

# Sprawiedliwość owiec

Filozoficzna powieść kryminalna



Leonie Swann



# **Sprawiedliwość owiec**

**Filozoficzna powieść kryminalna**

Leonie Swann

Przekład  
Jan Kraśko

## Dramatis oves w kolejności pojawiania się

Matylda - ma bardzo dobry węch i jest z tego dumna.

Sir Ritchfield - przewodnik stada, niemłody już i niedosłyszący; szwankuje mu pamięć, lecz wzrok wciąż ma dobry.

Panna Maple - najmądrzejsza owca w stadzie, może nawet najmądrzejsza owca w całym Glennkill, a całkiem możliwe, że najmądrzejsza owca na całym świecie. Nigdy się nie poddaje, ma dociekliwy umysł i jest odpowiedzialna, choć nie zawsze.

Wrzosowata - młoda, energiczna owca, która czasem najpierw mówi, a dopiero potem myśli.

Chmurka - najbardziej wełnista owca w stadzie.

Biały Wieloryb - chodząca pamięć stada: nigdy nie zapomina tego, co zobaczy. Bardzo wytrwały, wiecznie głodny merynos o spiralnych rogach.

Otello - jest czarny, pochodzi z Hebrydów, ma cztery rogi i tajemniczą przeszłość.

Zora - czarnogłówka, która nie ma lęku wysokości, jedyna owieczka z rogami w stadzie George'a Glenna.

Ramzes - młody baran, który ma jeszcze krótkie rogi.

Bystra - najszybsza owca w stadzie, pragmatyczna myślicielka.

Sara - owcza matka.

Jagnię - które widziało coś dziwnego

Melmoth Wędrowiec - bliźniaczy brat Sir Ritchfielda, legendarny baran, który zniknął.

Cordelia - lubi niezwykle słowa.

Maisie - młoda, naiwna owca.

Zimowe Jagnię - trudne jagnię, wieczny mąciciel.

Willow - druga najcichsza owca w stadzie; ale nikomu to nie przeszkadza.

Baran Gabriela - bardzo dziwny baran.

Fosco - słusznie uważa, że jest mądry.

Trop wił się na wszystkie strony,  
tak jak chciały tego owce, które go stworzyły.  
Stephen Crane *Tales of Adventure*

## 1. Otello dzielnie pojada dalej

Jeszcze wczoraj był zdrowy - powiedziała Matylda, nerwowo strzygąc uszami.

-To nie ma nic do rzeczy - zauważył Sir Ritchfield, najstarszy tryk w stadzie. - Nie umarł na chorobę. Szpadel to nie choroba.

Pasterz leżał w bujnej, zielonej irlandzkiej trawie obok stodoły, niedaleko ścieżki przez pasionek. Leżał i ani drgnął. Na jego wełnianym norweskim swetrze siedziała samotna wrona, która z zawodowym zainteresowaniem analizowała jego budowę wewnętrzną. Obok wrony przycupnął wielce rozradowany królik. Owce odbywały naradę nieco dalej, prawie na skraju urwiska.

Rankiem, gdy znalazły pasterza, niezwykle zimnego i zupełnie martwego, zachowały spokój i były z tego niezmiernie dumne. W pierwszym przyptywie trwogi zabrzmiało oczywiście kilka rozpaczliwych okrzyków - "Kto nam teraz będzie przynosił siano?", "Wilk! Tu jest wilk!" - lecz panna Maple szybko stłumiła panikę. Wy tłumaczyła im, że tu, na najzieleńszych i najsoczystszych pastwiskach w całej Irlandii, tylko idiota jadłby siano w środku lata, i że nawet najbardziej wyrafinowane wilki nie przebijają szpadlem swoich ofiar. Bo nie ulegało wątpliwości, że to właśnie szpadel sterczał z wnętrzości pasterza, mokrych teraz od rosy.

Panna Maple była najmądrzejszą owcą w całym Glennkill. Niektórzy twierdzili, że najmądrzejszą owcą na świecie. Ale nikt nie mógł tego udowodnić Glennkill organizowano co prawda Konkurs na Najmądrzejszą Owcę - i to co roku - lecz niezwykła inteligencja panny Maple przejawiała się już w samym tym, że nigdy nie brała udziału w żadnym konkursie. Zwycięzcę koronowano najpierw wieńcem z koniczyny (który to wieniec można było potem zjeść), następnie obwożono go przez kilka dni po okolicznych pubach, gdzie z oczami łzawiącymi od papierosowego dymu musiał pić guinnessa, którego goście wlewali mu do gardła, aż nie mógł ustać na nogach. Co więcej, od tej pory odpowiadał za dosłownie wszystkie pastwiskowe psikusy, ponieważ najmądrzejsza owca zawsze była głównym podejrzanym.

Ale George Glenn już nigdy nie miał nikogo o nic podejrzewać. Leżał przy ścieżce ze szpadlem w brzuchu, a jego owce zastanawiały się, co robić. Stały na skraju urwiska między błękitnym jak woda niebem a niebieskim jak niebo morzem, gdzie nie docierał zapach krwi i gdzie nie czuły się za nic odpowiedzialne.

- Nie był zbyt dobrym pasterzem - powiedziała Wrzosowata jarliczka niewiele starsza od jagnięcia, która wciąż miała do George'a pretensje o to, że pod koniec zimy przyciął jej piękny ogonek.

- Właśnie! - zawtórowała jej Chmurka, najbardziej wełnista i najbardziej okazała owca, jaką kiedykolwiek widziano. - Nie doceniał naszej pracy. Mówił, że norweżki robią to lepiej! Że dają więcej wełny! Nosił swetry z norweskiej wełny: to hańba! Jaki inny pasterz znieważyłby tak własne stado?

Uwagi te sprowokowały dłuższą wymianę zdań między Wrzosowa-tą, Chmurką i Białym Wielorybem. Wieloryb utrzymywał, że wartość pasterza mierzy się ilością dostarczonej przez niego paszy i że pod tym względem George'owi nie można było nic zarzucić. W końcu uzgodnili, że dobry pasterz to taki, który nigdy nie przycina jagnięciu ogonka, nie ma pasterskiego psa, daje owcom dużo dobrego jedzenia, zwłaszcza chleba i cukru - nie zapominając przy tym o jedzeniu zdrowym, takim jak zielenina, koncentraty i buraki pastewne (bo wszystkie były owcami bardzo rozsądnymi) - i nosi wyłącznie ubrania z produktów własnego stada, jak choćby jednoczęściowe

kabotki z przędzy, w których wyglądałyby naprawdę ładnie, bo prawie jak owca. Naturalnie wiedziały, że istoty tak doskonałej nie ma na całym świecie, jednak miło było pomarzyć. Trochę powzdychały i już miały się rozejść zadowolone, że wyjaśniły sobie wszystkie problemy. Jednakże głosu nie zabrała jeszcze panna Maple. Odezwała się dopiero teraz.

- Nie chcecie wiedzieć, jak umarł?

Sir Ritchfield spojrział na nią zaskoczony.

- Umarł od tego szpadla. Ty też byś umarła, gdyby przebito cię na wy lot kawałem ciężkiego żelaza. Nic dziwnego, że nie żyje. - Sir Ritchfield lekko zadrżał.

- Ale skąd się ten szpadel wziął?

- Ktoś go w niego wbił. - Dla Sir Ritchfielda był to koniec dyskusji, lecz problemem zainteresował się nagle Otello, jedyna czarna owca w stadzie.

- To mógł zrobić tylko człowiek albo... wielka mała - powiedział; Otello spędził młodość w dublińskim zoo i wspominał o tym przy każdej okazji.

- Człowiek. - Panna Maple z satysfakcją kiwnęła głową. - Moim zdaniem powinniśmy sprawdzić, co to za człowiek. Jesteśmy to winni George'owi. Ilekroć złe psy porywały nasze jagnięta, George zawsze szukał winowajcy. Poza tym był naszym pasterzem. Nikt nie miał prawa przebijając go szpadlem. To wilcze zachowanie. To morderstwo.

Owce ogarnął niepokój. Zmienił się wiatr i powiało zapachem świeżej krwi.

- A kiedy już go znajdziemy? - spytała nerwowo Wrzosowata. - Tego, kto wbił szpadel.

Co wtedy?

- Wtedy będzie... sprawiedliwość! - zameczał Otello.

- Sprawiedliwość! - zameczały pozostałe owce.

I tak to postanowiono, że zagadkę niegodziwego morderstwa George'a Glenna rozwiążą jego własne owce. Same, bez niczyjej pomocy.

Najpierw panna Maple poszła obejrzyć zwłoki. Zrobiła to niechętnie. W letnim irlandzkim słońcu George cuchnął już tak bardzo, że każdą owcę przechodziły dreszcze.

Zaczęła od tego, że okrążyła go z daleka ze stosownym respektem. Wrona zakrakala, zatrzepotała czarnymi skrzydłami i odleciała. Panna Maple podeszła bliżej, obejrzała szpadel, obwąchała twarz i ubranie George'a. W końcu - w tym momencie stojące w bezpiecznej odległości i zbite w gromadkę owce wstrzymały oddech - wetknęła nawet nos do rany i dokładnie zbadała ją od środka; tak to przynajmniej wyglądało z miejsca, gdzie stały. Wróciła z zakrwawionym pyszczkiem.

- No i co? - spytał Wieloryb, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia; nigdy długo nie wytrzymał, bo źle znosił stres.

- Nie żyje - odparła panna Maple. Chyba nie chciała nic więcej mówić, a już na pewno nie na ten temat. Obejrzała się i popatrzyła na ścieżkę. - Musimy być przygotowani. Wcześniej czy później przyjdą tu ludzie. Trzeba ich obserwować. I lepiej nie stójmy tak w kupie. To podejrzenie wygląda.

Powinniśmy zachowywać się naturalnie.

- Przecież zachowujemy się naturalnie - zaprotestowała Matylda. - George nie żyje. Ktoś go zamordował. Mamy się obok niego paść, jedząc zbryzganą krwią trawę?

- Tak, bo tak trzeba. - Wyrósł między nimi czarny Otello. Na widok ich przerażonych min zafalowały mu nozdrza. - Nie martwcie się. Ja pójdę. Spędziłem młodość pod zagrodą dla mięsożernych. Trochę krwi więcej mnie nie zabije.

W tym momencie Wrzosowata pomyślała, jaki ten Otello odważny. Postanowiła paść się częściej obok niego, oczywiście dopiero wtedy, kiedy zabrają zwłoki George'a i kiedy świeży,

letni deszcz zmyje do czysta pastwisko.

Panna Maple przydzieliła im stanowiska obserwacyjne. Sir Ritchfield, który mimo sędziwego wieku wciąż miał dobry wzrok, zajął pozycję na wzgórzu; rozciągał się stamtąd widok aż na brukowaną drogę za żywopłotami. Wieloryb miał kiepskie oczy, za to dobrą pamięć. Dlatego stanął obok Sir Ritchfielda, żeby zapamiętywać wszystko to, co ten zobaczy. Wrzosowata i Chmurka miały obserwować ścieżkę biegnącą przez łąkę: Wrzosowata zajęła pozycję przy bramie od strony wioski, Chmurka natomiast w miejscu, gdzie ścieżka opadała w dół. Zora, czarnogłówka, która nie miała lęku wysokości, stanęła na wąskiej skalnej półce tuż pod szczytem urwiska, żeby obserwować stamtąd plażę. Twierdziła, że miała wśród przodków dziką górską owcę i kiedy widziało się, z jaką swobodą i pewnością siebie truchta nad przepaścią, łatwo można było w to uwierzyć.

Otello zniknął w cieniu za dolmenem, niedaleko miejsca, gdzie leżał przebity szpadlem George. Panna Maple warty nie trzymała. Wetknęła pyszczek do poidła, próbując zmyć z nosa ślady krwi.

Pozostałe owce zachowywały się naturalnie.

Nieco później na ścieżce pojawił się niezupełnie już trzeźwy Tom O'Malley; szedł z Golagh do Glennkill, do tamtejszego pubu. Świeże powietrze dobrze mu robiło: zielona trawa, błękitne niebo. Uganiające się za zdobyczą mewy krzyczały i wirowały w powietrzu tak szybko, że zakreśliło mu się w głowie. Owce George'a pasły się spokojnie i malowniczo. Jak na zdjęciu z broszury reklamowej. Jedna z nich zapędziła się wyjątkowo daleko, bo aż na skalną półkę i wyglądała tam jak mały biały lew.

- Hej, owieczko! - zawołał Tom. - Tylko nie spadnij. Szkoda by było takiej ślicznotki.

Owca spojrzała na niego z pogardą i nagle poczuł się głupio. Głupio i jak pijany. Ale to była już przeszłość. Jeszcze się wybije. W turystyce. Tak jest, przyszłością Glennkill była turystyka. Musi obgadać to z kumplami w pubie.

Ale najpierw chciał przyjrzeć się z bliska temu pięknemu, czarnemu baranowi. Cztery rogi. Niezwykłe. Tak, George miał wyjątkowe owce.

Ale czarny baran nie dał mu się podejść i prawie nie drgnąwszy, z łatwością uniknął dotyku jego ręki.

I wtedy Tom zobaczył szpadel.

Dobry szpadel. Przydałby mu się taki. Postanowił go wziąć. Tymczasem ukryje go pod dolmenem i wróci tu wieczorkiem. Ale po ciemku? Nie bardzo mu się to podobało. Ludzie różnie o tym miejscu gadali. Ale on był człowiekiem nowoczesnym, a szpadel był pierwsza klasa. Chwyając za rękojeść, trącił nogą coś miękkiego.

Minęło dużo czasu, odkąd miał w Szalonym Niedźwiedziu tak dużą i uważną publiczność jak tego popołudnia. Niedługo potem Wrzosowata dostrzegła grupkę ludzi biegnących ścieżką od strony wioski. Od razu zameczała, raz krótko, raz długo i znowu krótko, a wtedy spod dolmenu niechętnie wyszedł Otello.

Na czele grupy biegł chudy mężczyzna, którego owce nie znały. Wyteżyły wzrok. Przywódca stada jest zawsze ważny.

Za chudzielcem truchtał rzeźnik. Owce wstrzymały oddech. Już sam jego zapach wystarczał, żeby zmiękły im nogi w kolanach. Rzeźnik pachniał śmiercią. Przeróżnym krzykiem, bólem i krwią. Bały się go nawet psy.

Owce nienawidziły rzeźnika. I uwielbiały Gabriela z wystrzępioną brodą, drobnego człowieczka w miękkim kapeluszu ze spuszczonego brzegiem, który z trudem nadażał za

biegnącą przed nim górą mięsa. Wiedziały, dlaczego nienawidzą rzeźnika. Nie wiedziały, dlaczego uwielbiają Gabriela, ale Gabrielowi nie można się było oprzeć. Jego psy umiały robić niesamowite sztuczki. Rok w rok zdobywał główną nagrodę w Gorey, w konkursie dla najlepszych psów pasterskich. Powiadano, że umie rozmawiać ze zwierzętami, ale to nie była prawda. Owce go nie rozumiały, przynajmniej wtedy, kiedy mówił po gaelicku. Lecz ilekroć przechodził ścieżką przez łąkę, zawsze były dziwnie wzruszone i mile polectane, a on zawsze potrafił uwieść je tak skutecznie, że ufnie do niego podchodziły.

Ludzie dobiegli już prawie do zwłok. Owce zapomniały, że mają zachowywać się naturalnie, i wyciągnęły szyje, żeby lepiej widzieć. Przywódca ludzkiego stada stanął jak wryty o kilka jagnięcych skoków przed ciałem George'a. Przez chwilę chwiał się jak długa gałąź na wietrze, lecz jego czujne, małe, ostre jak szpilki oczy przez cały czas patrzyły na szpadel sterczący z wnętrzości pasterza.

Gabriel i rzeźnik też przystanęli kilka kroków od trupa. Rzeźnik wbił wzrok w ziemię. Gabriel wyjął ręce z kieszeni. Chudzielec zdjął czapkę.

Pojadając trawę, Otello dzielnie przeszedł tuż obok nich.

Potem, ciężko dysząc i sapiąc, ścieżką nadbiegła Lilly, a wraz z nią nadpłynął obłok pachnących bzem perfum. Lilly miała mocno zaczerwienioną twarz i rude, rozwichrzone włosy i na widok George'a wydała krótki, przeraźliwy krzyk. Owce spojrzały na nią spokojnie. Lilly przychodziła czasem na łąkę, zwykle wieczorem, i krzyczała tak z byle powodu. Na przykład wtedy, kiedy wdepnęła w owcze bobki. Albo kiedy zaczęła spódnicą o żywopłot. Albo kiedy George powiedział coś, co się jej nie spodobało. Owce do tego przywykły. Często zniknęła z George'em w przyczepie. Jej dziwne krzyki zupełnie im nie przeszkadzały.

Ale zaraz potem wiatr poniosł przez łąkę krzyk zupełnie inny, przeciągły i żałosny. Biały Wieloryb i Chmurka nie wytrzymali i pogalopowali na wzgórze, gdzie zawstydzili się i ponownie spróbowali przybrać naturalny wygląd.

Nie zwracając uwagi na mokrą od wieczornego deszczu trawę, Lilly opadła na kolana obok zwłok. To ona tak strasznie krzyczała. Niczym dwa ogłupiałe owady, jej ręce wędrowały na oślep po norweskim swetrze George'a i szarpały go za kołnierz.

Nagle wyrósł obok niej rzeźnik, który pociągnął ją mocno za ramię. Owce wstrzymały oddech. Rzeźnik poruszał się szybko jak kot. Coś powiedział. Lilly spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Poruszyła ustami, lecz mówiła za cicho. Rzeźnik jej odpowiedział. Potem chwycił ją za rękaw i odciągnął na bok. W tym samym momencie chudzielec zaczął mówić coś do Gabriela.

Otello rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Gdyby trzymał się blisko Gabriela, nie zdołałby podsłuchać rozmowy rzeźnika z Lilly - i vice versa. Ale nic z tego. Żadna z owiec nie chciała podejść ani do George'a, ani do rzeźnika, ponieważ obydwoj pachnieli śmiercią. Wołały skupić się na próbach przybierania naturalnego wyglądu.

Wtem od strony poidła nadbiegła truchtem panna Maple, która wzięła na siebie obserwację rzeźnika. Na nosie miała podejrzaną, czerwoną plamę, ale ponieważ wytarzała się w błocie, wyglądała po prostu jak bardzo brudna owca.

- ...idiotyczne zamieszanie - mówił rzeźnik. - Przestań robić z siebie widowisko. Wierz mi, skarbie, masz teraz inne zmartwienia. - Serdelkowatymi palcami wziął ją pod brodę i zadarł jej głowę, tak że musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- Dlaczego miałoby mnie podejrzewać? - spytała, próbując się uwolnić. - Dobrze nam się z George'em układało.

Rzeźnik jeszcze mocniej zacisnął palce na jej podbródku.

- Dobrze - odparł. - Rzeczywiście. To im wystarczy. A komu jeszcze dobrze się z nim układało? Zaczekaj tylko, aż otworzą testament, wtedy zobaczymy, jak to z wami było. Nie



przypuszczam, żebyś robiła fortunę na tych swoich kosmetykach, a puszczając się na prawo i lewo w tej dziurze, też się nie wzbogacisz. Dlatego bądź mila dla starego Hama, a nie będziesz musiała się o nic martwić.

Gabriel coś powiedział. Rzeźnik odwrócił się gwałtownie i pomaszerował do tamtych, zostawiając Lilly samą. Ta zadrżała i owinęła się szczelniej szalem. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie płaczem. Panna Maple wiedziała, jak się Lilly czuje. Być dotkniętą przez rzeźnika - to tak, jakby za ucho chwyciła cię sama śmierć.

Ludzie znowu zaczęli rozmawiać, ale owce stały zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Potem zapadła niezręczna, wymowna cisza. Gabriel odwrócił się i ruszył w kierunku wioski, a chudzielec potruchtął za nim. Lilly zawahała się i poszła w ich ślady.

Rzeźnik Ham nie zwracał na nich uwagi. Podeszedł do George'a. Powoli podniósł swoją wielką rzeźnicką łapę i gdy zawisała nad zwłokami jak gruby bławatek, nakreślił nią w powietrzu dwie linie. Dłuższa biegła od głowy George'a do jego brzucha, a krótsza od ramienia do ramienia. Wtedy zawołał go Gabriel i Ham też pospieszył w kierunku wioski.

Później trzech policjantów przyszło zrobić zdjęcia. Przyprawdzili bardzo wyperfumowaną dziennikarkę. Ona też robiła zdjęcia, o wiele więcej zdjęć niż oni. Stała nawet na skraju urwiska, żeby sfotografować Zorę na skalnej półce oraz Sir Ritchfielda i Białego Wieloryba pasących się przed dolmenem. Owce były przyzwyczajone do turystów - takich z plecakami na plecach - którzy czasem się im przyglądali, ale przy tak dużym zainteresowaniu prasy wkrótce poczuły się nieswojo. Pierwszemu nerwy puściły Wielorybowi, który głośno mecząc, wbiegł na szczyt wzgórza. Zaraził paniką pozostałych, nawet pannę Maple i Otella, i w ciągu kilku minut w gromadkę zbiło się tam całe, lekko zawstydzone stado.

Ale policjanci nie zwracali na nie uwagi. Wyciągnęli szpadel z George'a, włożyli ich - to znaczy, George'a i szpadel - do dużych, plastikowych worków, popęzali trochę po ziemi, wreszcie zniknęli w białym samochodzie. Niedługo potem zaczęło padać. Wkrótce pastwisko wyglądało tak, jakby nic się na nim nie wydarzyło.

Owce postanowiły schronić się w stodole. Poszły tam całym stadem, ponieważ teraz, tuż po śmierci George'a, stodoła wydawała się miejscem pośepnym i trochę złowrogim. Tylko panna Maple została na dworze trochę dłużej, żeby deszcz zmył z niej błoto i resztki krwi z pyszczka.

Gdy weszła do stodoły, owce stały wokół Otella i zasypywały go gradem pytań, lecz jemu się nie spieszyło.

- Jak mogłeś wytrzymać, stojąc tak blisko rzeźnika? - zabeczła niespokojnie Wrzosowata. - Ja umarłabym ze strachu. Omal nie umarłam, patrząc, jak do nas idzie!

Panna Maple przewróciła oczami. Ale musiała oddać mu sprawiedliwość: podziw stada nie wywierał na nim najmniejszego wrażenia. Spojrzał na nią i bardzo rzeczowo zaczął:

- Najpierw przemówił rzeźnik. "Świnia". Tak powiedział.

Owce popatrzyły po sobie zdumione. Żadna świnia nigdy nie postawiła racicy na ich pasionku! Uwaga rzeźnika nie miała sensu. Jednakże Otello był bardzo pewny siebie.

- Pachniał gniewem. I strachem. Ale głównie gniewem. Chudzielec się go bał. A Gabriel nie. - Zastanawiał się przez chwilę nad jego bohaterstwem, po czym kontynuował: - Lilly nie powiedziała niczego sensownego. Powtarzała tylko: "Och, George". "Dlaczego akurat teraz?" I: "Dlaczego mi to robisz?" Może nie wiedziała, że on nie żyje. Potem rzeźnik pociągnął ją za rękę. "Nie wolno go dotykać", powiedział. Na to ona cicho odparła: "Proszę, chcę tylko pobyć z nim trochę sama". Tamci milczeli, a rzeźnik mruknął: "Jeśli ktoś w ogóle ma prawo, to tylko Kate". Zabrzmiało to okropnie. Potem odciągnął ją od George'a.

Owce mu przytaknęły. One też dobrze to wszystko widziały. Podejrzanie natychmiast padło na rzeźnika. Ale panna Maple niecierpliwie pokręciła głową.

- Kiedy rzeźnik odszedł - ciągnął Otello - chudzielec zaczął mówić do Gabriela. Dziwnie pachniał, whisky i guinnessem, ale nie tak, jakby pił. Pachniało jego ciało i ubranie. A zwłaszcza ręce.

- To on to zrobił! - zabeczał Ramzes, młodziutki baran z bujną wyobraźnią. - Polał sobie ręce whisky, bo nie mógł znieść zapachu krwi. - To możliwe - odparła z wahaniem panna Maple.

Matylda, która miała najlepszy węch w stadzie, pokręciła głową. Ludzie nie potrafią wyczuć zapachu krwi tak jak my - powiedziała. - Oni prawie nie mają węchu.

- A potem chudzielec powiedział cicho tak: "Tyle miał do zrobienia, w głowie roilo mu się od zwariowanych planów. Ale już ich chyba nie zrealizuje, co?" Mówił bardzo szybko, tak szybko, że nie zapamiętałem wszystkiego za pierwszym razem. I ciągle wracał do tych planów. Chyba chciał wyciągnąć coś z Gabriela. Ale Gabriel milczał.

Zamyślony Otello przekrzywił głowę.

- Moim zdaniem chudzielec go denerwował. Właśnie dlatego Gabriel zawołał rzeźnika. Kiedy rzeźnik podszedł bliżej, chudzielec od razu za milkł. A potem wszyscy zaczęli mówić naraz. Lilly powiedziała: "Trzeba zawiadomić jego żonę". Gabriel: "I policję". Rzeźnik: "Zostanę z nim, aż przyjadą". A chudzielec na to, że: "Nikt nie zostanie tu sam". Wtedy tamci spojrzeli na niego, tak jak baran patrzy na barana przed pojedynkiem. Rzeźnik się zaczerwienił. Ale kiwnął głową.

Panna Maple zaczęła zbierać pytania. Owce miały powiedzieć, czego nie zrozumiały i czego chciałyby się dowiedzieć. Stała w środku stada z Białym Wielorybem. Kiedy uznała, że pytanie jest warte zapamiętania, spoglądała na niego i kiwała głową, a Wieloryb je zapamiętywał. Kiedy coś już zapamiętał, nigdy tego nie zapominał.

- Dlaczego nas fotografowali? - spytała Matylda.

- Dlaczego padał deszcz? - spytała Chmurka.

- Dlaczego George wyszedł na pasionek nocą? - To Wrzosowata. Panna Maple zerknęła na Wieloryba i kiwnęła głową. Wrzosowata spojrzała z dumą na Otella.

- Dlaczego przyszedł tu rzeźnik? - spytała Matylda.

- Czego rzeźnik chce od Lilly? - spytał Otello. Panna Maple kiwnęła głową.

- Co to znaczy testament? - spytała Bystra i panna Maple znowu kiwnęła głową.

- Kiedy znowu będziemy mogli paść się w miejscu, gdzie leżał George? - spytała Chmurka.

- Czy na pasionek wypędzą teraz świnie? - spytała Matylda.

Dlaczego morderca zrobił to szpadlem? Przecież mógł zepchnąć go z urwiska - zauważyła Zora. Panna Maple kiwnęła głową.

- A co z wilkiem? - spytała Sara. - Czy naszym jagniętom coś grozi? Jagniętom albo nam? Panna Maple zawahała się, ale nie dała Wielorybowi znaku.

- Dlaczego ktoś nie zamorduje rzeźnika? - rzuciła Chmurka.

Kilka owiec zameczało z aprobatą, lecz panna Maple nie zareagowała. - Jak długo George leżał na łące? - spytał Wieloryb. Panna Maple kiwnęła głową i Wieloryb się rozpromienił. Z kręgu owiec wytruchtało jagnię. Nie miało jeszcze imienia. Jagnięciu nadaje się imię dopiero wtedy, kiedy przeżyje swoją pierwszą zimę.

- Czy wróci tu duch George'a? - spytało nieśmiało.

Chmurka nachyliła się ku niemu uspokajająco i jagnię wtuliło łebek w jej gęste runo.

- Nie, maleństwo, nie wróci. Ludzie nie mają duszy. Nie ma duszy, nie ma i ducha. To proste.

- Jak możesz tak mówić? - zaprotestował Wieloryb. - Nie wiemy, czy ludzie mają duszę, czy nie.

- Każde jagnię wie, że dusza mieszka w zmyśle węchu. A ludzie nie mają dobrych nosów. - Matyllda miała znakomity węch i często rozmyślała o problemach duszy i nosa.

- Najwyżej zobaczysz takiego malutkiego duszka. - Rozbawiony Otello też nachylił się nad jagnięciem. - Nie ma się czego bać.

- Ale ja już go widziałem! - zabeczkało jagnię. - Był bardzo duży, o wiele większy ode mnie, a ja mam bardzo dobry węch. I był kudłaty, i tańczył. Początkowo myślałem, że to duch wilka, ale teraz wiem, że to był duch George'a. Bardzo się przestraszyłem. Z rana myślałem, że to był tylko sen.

Panna Maple przyjrzała mu się uważnie.

- Skąd wiesz, że George już nie żył?

- Bo go widziałem.

- Widziałeś martwego George'a i nic nam nie powiedziałeś?

- Nie, to nie tak. - Jagnię pociągnęło nosem. - Widziałem szpadel. Ale pod szpadlem musiał leżeć George, prawda? - Jagnię zrobiło zamyśloną minę. - A może on na ten szpadel upadł?

Niczego więcej nie udało się zeń wyciągnąć. Ot, wyszło w nocy ze stodoły, ale nie wiedziało dlaczego. W świetle księżyca zobaczyło szpadel i kudłatego ducha, lecz nie potrafiło opisać go dokładniej. Było tak przerażone, że od razu zasnęło.

Zapadła cisza. Owce zbiły się w jeszcze ciaśniejszą gromadkę. Jagnię schowało łebek w runie Chmurki, a pozostałe owce wbiły wzrok w ziemię. Panna Maple westchnęła.

- Dwa pytania do Białego Wieloryba. Kim jest duch wilka? I gdzie jest Tess?

Owce wymieniły spojrzenia. Rzeczywiście, gdzie była Tess, stary owczarek George'a, jego najwierniejsza towarzyszka, jedyna prawdziwa miłość jego życia, najłagodniejszy pies pasterski, jaki kiedykolwiek je pasał?

Kiedy owce poszły spać, panna Maple dodała po cichu kolejne pytanie do listy. Powiedziała Ramzesowi, że nie wie, czy ręce mordercy były zakrwawione. Tymczasem tak naprawdę nie wiedziała nawet, czy morderca w ogóle miał ręce. George miał spokojną twarz. Lekko pachniał piwem i dymem, a palcami ścisnął dwa kwiatki. Uznała, że to trochę dziwne, ponieważ George nie interesował się kwiatami. O wiele więcej czasu poświęcał warzywom.

Ale znalazła coś jeszcze, coś, co kazało jej podwinąć nosem jego zakrwawiony norweski sweter. I tam, na bladym brzuchu, tuż nad miejscem, gdzie sterczał szpadel, zobaczyła odcisk owczej racicy - jeden, pojedynczy odcisk.

## **2. Wrzosowata coś podejrzewa**

Nazajutrz owce obudziły się w nowym świecie, w świecie bez pasterza i jego psa. Długo się wahały, zanim postanowiły wyjść ze stodoły. W końcu wyszły na świeże powietrze pod dowództwem Wieloryba, który był głodny. Wstał piękny poranek. W nocy tańczyły na trawie dobre wróżki, które zostawiły na niej tysiące kropelek rosy. Jasne, gładkie, niebieskie morze

wyglądało tak, jakby ktoś je do czysta wylizał, a po niebie wędrowało kilka małych, puszystych obłoczków. Legenda głosiła, że są to owieczki i baranki, bardzo wyjątkowe owieczki i baranki, które zeszyły kiedyś z urwiska, które pasą się teraz na niebie, i których nikt nigdy nie strzyże. Tak czy inaczej, ich widok był dobrym znakiem.

Owce ogarnął doskonały, wręcz fantastyczny nastrój. Poprzedniego dnia długo stały w gromadzie i rozbolały je napięte ścięgna, dlatego hasały teraz i baraszkowały po pasionku jak marcowe jagnięta, galopując w stronę urwiska, zatrzymując się na samym jego skraju, zawracając i pędząc z powrotem w kierunku stodoły. Wkrótce wszystkie się zasapały.

I właśnie wtedy Wieloryb pomyślał o warzywniaku. Za stodołą stała przyczepa, rozchwiertana buda, którą George Glenn jeździł kiedyś z innym stadem owiec. Ostatnimi czasy trzymał w niej tylko jakieś szpargały. Za przyczepą założył ogródek warzywny, gdzie posadził sałatę, groszek, rzodkiewki, rzeżuchę, pomidory, cykorię, jaskier i trochę szczypiorku.

Posadził to wszystko i ogroził płotkiem. Warzywniak był na łące, ale owce nie miały prawa tam wchodzić. Ciężko ten zakaz znosiły, zwłaszcza że sam płotek nie stanowił żadnego problemu. Tak więc od owczych żniw w tym warzywnym rajku powstrzymywała je tylko czujność pasterza. Ale pasterza już nie było. Bystra pchnęła skobel pyszczkiem, Matylda zaatakowała jaskry, Chmurka groszek, a Wrzosowata pomidory. Kilka minut później na starannie utrzymanych grządkach nie zostało dosłownie nic.

Owce stopniowo zamilkły. Popatrzyły na siebie ze wstydem. I jedna po drugiej wróciły truchtem na pasionek. Otello, jedyny, który nie brał udziału w warzywnym wypadzie, stał przy bramie. Dał znak pannie Maple. Poszli razem za przyczepę, gdzie zwykle stał szpadel, którym George kopał w ogródku. Tego dnia jednak zobaczyli tam tylko pociągnięte wapnem deski, żaluzje i kilka wygrzewających się na słońcu much. Otello spojrzał pytająco na pannę Maple.

Ta spojrzała w zadumie na niego.

Przez cały ranek owce miały wyrzuty sumienia. Biały Wieloryb zjadł wraz z sałatą tyle ślimaków, że zrobiło mu się niedobrze. Jedno z jagniąt kulało, bo w kopytko wbił mu się kawałek drewna. Wszyscy myśleli o George'u.

- Byłby bardzo zły - powiedział Sir Ritchfield. - Zająłby się jego kopytkiem - powiedziała Chmurka.

- I czytał nam różne rzeczy - dodała Cordelia.

Bo naprawdę czytał. Spędzał na łące mnóstwo czasu. Przychodził wczesnym rankiem, kiedy zbici w ciasną gromadę wciąż byli pogrążeni w głębokim owczym śnie. Rozpędzać ich musiała Tess, też śpiąca o tak wczesnej porze. George śmiał się i mówił:

- Ach wy leniuchy! Dalej, do roboty!

Owce czuły się wtedy lekko urażone. One się pasły, a on pracował w warzywniaku albo coś naprawiał.

Uraza mijała w południe. Bo w południe zbierały się przed schodkami przyczepy i George im czytał. Czasem czytał bajki, z których dowiedziały się, skąd bierze się rosa, czasem fragmenty książki o owczych chorobach, których strasznie się bały, a raz zaczął im czytać powieść kryminalną, z której nic nie rozumiały. On chyba też nie, bo w połowie lektury wyrzucił książkę i nie dowiedziały się już, kto zabił.

Ale najbardziej lubił romanse, cienkie książeczki drukowane na szarym papierze, których wszystkie bohaterki miały na imię Pamela i włosy czerwone jak "zachód słońca na południowych morzach". Ale stary George nie czytał ich dlatego, że był romantykiem czy dlatego, że miał zły gust literacki (a gust taki na pewno miał; książka o chorobach wystawiła je na bardzo bolesną próbę). Nie, czytał im, żeby spuścić parę. Czytał, jak rudowłose Pamele wabiły i usidlały niewinnych piratów, lekarzy i baronów i bardzo się przy tym ekscytował, wymyślając wszystkim

rudowłosym na świecie, a zwłaszcza swojej żonie.

Kiedy zdradził im szczegóły swego życia rodzinnego, bardzo się zdumiały. Jego żona była najpiękniejszą kobietą we wsi jego osobistą Pamelą, i początkowo nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Ale zaraz po ślubie Pamela (która tak naprawdę miała na imię Kate) zaczęła piec pyszne szarlotki i utyla. Tymczasem on dalej był chudy i robił się coraz bardziej oschły. Marzył o podróżowaniu po Europie ze swoim stadem i szarlotki nie mogły mu tego zastąpić. W tym miejscu opowieści owce zwykle pochylały głowy. One też chciałyby zwiedzić Europę, bo wyobrażały sobie, że jest to olbrzymia łąka pełna jabłonek.

- Teraz już nigdy nie pojedziemy do Europy - powiedziała Zora.

- Ani nie pójdziemy na to drugie pastwisko - dodała Wrzosowata. - Dzisiaj dostałybyśmy tabletki.

- Tylko Bystrej było szkoda, że George nie wciśnie im do gardła cotygodniowej porcji wapnia. Bystra uwielbiała smak wapnia. Pozostałe owce aż się wzdrygnęły.

Wieloryb się wzruszył.

- Nie możemy go zapomnieć - powiedział. - I nie powinniśmy byli jeść jego warzyw.

- Dlaczego? - rzuciła obojętnie Zora, patrząc na morze.

Wieloryb szybko przeżuł ostatni listek sałaty. Ilekroć Zora mówiła coś obojętnym tonem głosu, zawsze czuł się jak rażony piorunem.

- Jak chcecie to naprawić? - spytała Chmurka.

Postanowili upamiętnić George'a, poświęcając mu kawałek łąki. Ale nie warzywniak, gdzie i tak miały zakaz wstępu. U stóp wzgórza znaleźli miejsce, gdzie rosły ich ulubione zioła, i zdecydowali, że od tej chwili nie może się tam paść żadna owca. Nazwali to miejsce Miejscem George'a. I nagle im ulżyło.

Panna Maple obserwowała ich z daleka. Wspominała, jak stary George czytał im bajki; uświadomiła też sobie, że ostatnimi czasy przychodził na łąkę coraz rzadziej i rzadziej. Czasem nie przychodził wcale, tylko szybko przejeżdżał obok tym cuchnącym samochodem. Z przedniego siedzenia wyskakiwała Tess i wypędzała ich na pasionek, a wieczorem ona i George wracali, żeby przeliczyć stado. Ale nie było ich przez cały dzień. Początkowo George próbował nauczyć Tess, jak zaganiać ich i spędzać podczas jego nieobecności, ale Tess była przekonana, że jej głównym zadaniem jest spędzanie i zaganianie George'a. Owce zaganiała tylko w ramach przysługi dla swego pana.

Tess. No właśnie. Uciekła? Jeśli tak, George'a musiało zabić coś bardzo strasznego. Tess była wierna jak owcza matka. Zrobiłaby dla niego wszystko. Ale George umarł, a ona zniknęła.

Poruszając się niezwykle szybko i gwałtownie, Wieloryb odbiegł od grupy podziwiającej Miejsce George'a, ponieważ nabrał ochoty na rosnące tam zioła. Potruchtał w stronę panny Maple. Ale drogę zaszedł mu Sir Ritchfield. Panna Maple nie wiedziała, skąd się tam nagle wziął. Sir Ritchfield łypnął na niego spode łba i młody baran szybko skręcił, ale nie w kierunku Miejsca, tylko w kierunku urwiska. Tam przystanął i w zamyśleniu spojrzął w dół, na plażę.

- Młodych trzeba uczyć szacunku - mruknął Sir Ritchfield. - Inaczej skończą jak Melmoth Wędrowiec.

Panna Maple nie odpowiedziała. Żadna inna owca nie była mniej podobna do Melmotha niż Biały Wieloryb.

Entuzjazm dla Miejsca George'a powoli osłabł. Owce zajęły się tym co zwykle, czyli popasaniem i tylko panna Maple wciąż patrzyła na plażę. Dobrze, że się uspokoiły. Kiedy napelnia żołądki trawą, kiedy opadną emocje, ponownie ogarnie je ciekawość i wrócą do sprawy morderstwa. Oczywiście będą robiły sobie przerwy na jedzenie, będą się jedzeniem pocieszały, ale na pewno sobie nie odpuszczą. Dobrze je wszystkie znała; na jej oczach dorastały młode, ona

też dorastała u boku starszych. Kiedy była jeszcze małym jagniątkiem, całe stado przejmowało się i fascynowało eskapadami Sir Ritchfielda i jego brata bliźniaka Melmotha Wędrowca. Od chwili kiedy Sir Ritchfield po raz ostatni wspominał o bracie, upłynęło tak dużo czasu, że chyba o nim zapomniał. Panna Maple poczuła się nieswojo. Powietrze było doskonałe: od morza wiał chłodny wiatr, łąka pachniała świeżo i aromatycznie. Mimo to doszedł ją nagle zapach śmierci, śmierci nowej i starej, niemal już zapomnianej. Maple zaczęła się paść.

Po południu znowu odwiedzili ich ludzie. Od strony wioski nadeszli pulchna kobieta i ubrany na czarno mężczyzna. Mężczyzna miał uderzająco długi nos i sztywny kołnierzyk wokół szyi. Kobieta też była ubrana na czarno, miała za to ogniście rude włosy, niebieskie oczy i różowe policzki, dlatego owce uznały, że wygląda bardzo kolorowo. Pachniała jabłkami. Zapach był tak ładny, że tym razem ich rozmowie przysłuchiwało się aż pięciu obserwatorów: panna Maple, Otello, Wrzosowata, młoda owieczka imieniem Maisie i Biały Wieloryb.

Ludzie przystanęli przed dolmenem.

-To tutaj? - spytała kobieta.

Mężczyzna kiwnął głową.

Kobieta wbiła wzrok w ziemię. Deszcz zmył wszystkie ślady, więc patrzyła nie tam, gdzie trzeba.

-To straszne - powiedziała cicho. - Kto to zrobił? To znaczy, kto mógł coś takiego zrobić? Owce nadstawiły uszu. Może wysoki, ubrany na czarno mężczyzna znał odpowiedź na dręczące je pytanie. Ale mężczyzna milczał.

- Nie zawsze było mi z nim łatwo - dodała kobieta.

- Nikomu nie było łatwo - odparł długonosy. - Był zagubioną duszą, zbłąkaną owieczką, ale Pan w swej nieskończonej dobroci zabrał go do domu.

Zaskoczone owce wymieniły spojrzenia. Chmurka zameczała.

- Szkoda, że nie znałam go lepiej - mówiła dalej kobieta. - Ostatnio był taki obcy.

Myślałam, że przybyło mu lat, że zaczyna się starzeć. Często gdzieś wyjeżdżał, zakazał mi otwierać listy. - I... - Stanęła na palcach, żeby szepnąć mu coś do ucha, ale owce usłyszały ją i tak. - I odkryłam, że potajemnie czytał powieści, romanse, takie o miłości. - Zaczerwieniła się. Z czerwonymi policzkami było jej do twarzy.

Mężczyzna spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Naprawdę? - spytał.

Powoli ruszyli w stronę przyczepy. Owce się zdenerwowały. Lada moment ludzie odkryją spustoszenie, jakiego dokonały w warzywniaku.

Kobieta powiodła wzrokiem po ścianie przyczepy, po ogołoconych do czysta grządkach i powyciąganych z ziemi sadzonkach pomidorów.

- Tak tu pięknie - westchnęła.

Owce nie mogły uwierzyć własnym uszom.

- Może powinnam była go tu odwiedzać. Ale on nie chciał. Nie po zwał. Mogłam przynosić mu szarlotkę... Teraz już za późno. - Miała łzy w oczach. - Zwierzęta nigdy mnie nie interesowały.

George przynosił do domu wełnę i dopiero wtedy brałam się do roboty. Wełna była taka śliczna, taka miękka... - Kobieta zaszlochała.

- Co będzie teraz ze stadem, Kate? - spytał długonosy. - To ładne pastwisko, naprawdę bardzo ładne, poza tym ktoś musi zadbać o owce.

Kate popatrzyła wokoło.

- Chyba nie potrzebują opieki. Widać, że im tu dobrze.  
- Stado musi mieć pasterza - odparł cierpko długonosy. - Jeśli nie chcesz zawracać sobie nimi głowy, Ham chętnie je kupi.

Owce zamarły z przerażenia, ale Kate tylko wzruszyła ramionami. - Ham nie jest pasterzem - odparła. - On by się o nie nie troszczył.

- Można troszczyć się o kogoś na wiele sposobów. Miłością i dyscypliną, słowem i mieczem. Tak naucza Pan. Porządek, oto, co liczy się naprawdę. - Ubrany na czarno mężczyzna wycelował w nią z naganą w głosie swoim długim nosem. - Jeśli rozmawiając z Hamem, czułabyś się niezręcznie, mogę porozmawiać z nim w twoim imieniu. Kobieta pokręciła głową i owce odetchnęły.

- Nie. Ham to stara, już dawno zamknięta sprawa. Zresztą, nie wiem nawet, czy wszystko należy teraz do mnie. Jest testament. George spisał go w miasteczku. Musi być niezwykle, bo szukał tego notariusza i szukał, zanim znalazł odpowiedniego. Testament na pewno powie nam, kto to wszystko dostanie. Ja nic nie chcę. Mam tylko nadzieję, że nie zapisał niczego jej.

Musiała chyba uznać, że łąka nie jest już tak piękna, bo nagle rzuciła:

- Chodźmy. Mężczyzna kiwnął głową.

- Bądź dzielna, moje dziecko. Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie. - Odeszli i przemaszerowali przez Miejsce George'a, trając kilka świeżych pędów.

Otello zacisnął zęby.

- Nie chciałbym, żeby ten jego "pan" był moim pasterzem. Owce pokiwały głowami.

- Ucieknę, zanim sprzeda nas rzeźnikowi - zameczał Wieloryb.

- A ja zeskoczę ze skały - oświadczyła Zora. Wszyscy wiedzieli, że w głębi ducha Zora chciałaby skończyć jako jedna z tych bardzo wyjątkowych owieczek i baranków na niebie.

- Nie, wszyscy zostanieie tutaj - oznajmiła łagodnie panna Maple. - Przynajmniej dowiedzieliśmy się, co to jest testament. Testament mówi, do kogo należą teraz rzeczy i owce George'a.

- Tak i jest u Mateusza w miasteczku! - dodała Wrzosowata. - I powie temu długonosemu, że George nigdy nie sprzedałby nas rzeźnikowi! Od razu im ulżyło.

- Mam nadzieję, że szybko go znajdą - powiedziała Bystra.

- George nie był jagnięciem - zauważyła Wrzosowata.

- Ta kobieta jest za stara, żeby był jej ojcem - wtrącił Wieloryb.

- Długonosy kłamał - oświadczył Otello. - On nie lubił George'a, i to ani trochę. A ja nie lubię jego. Ten drugi też mi się nie podoba, ten cały "pan". - To on to zrobił, ten "pan"! - wykrzyknęła nagle Wrzosowata. - Zabrał George'a do domu. I wtedy się to stało. Pokłócili się, najpierw na słowa, a potem na miecze. Tylko że nie mieli mieczów pod ręką, więc zabił go szpadlem.

Wieloryb się z nią zgodził.

- Pewnie poszło im o porządek. George nigdy nie dbał o porządek. Porządek miał tylko w warzywniaku. - Zawstydzony zerknął w stronę Miejsca. - Musimy się teraz dowiedzieć, kim jest ten "pan".

Panna Maple posłała mu sceptyczne spojrzenie.

Chmurka nie powiedziała dotąd ani słowa. Lecz nagle się ożywiła.

- "Pan" jest jagnięciem.

Owce spojrzały na nią zdumione. Nawet sama Chmurka była zaskoczona.

- Nie, "pan" jest pasterzem - odparła Wrzosowata. - Bardzo złym pasterzem. O wiele

gorszym od George'a.

Chmurka pokręciła głową.

- Nie, nie, to szło inaczej. Gdybym tylko miała lepszą pamięć... - Wbiła wzrok w kępę trawy pod kopytkami, lecz owce wyraźnie czuły, że myśli o czymś innym. - Ten mężczyzna... Ja go znam. Przyszedł raz na łąkę. Kiedyś, dawno temu. Byłam jeszcze jagnięciem. George trzymał mnie na rękach, bo właśnie przycinał mi raciczki. Pachniało... Pachniało ziemią i słońcem jak po letnim deszczu. To był taki piękny zapach, a potem... Potem zapachniało czymś gorzkim. Od razu poczułam, że George nie lubi tego człowieka. Ten człowiek przyszedł go gdzieś zaprosić, ale miał nieprzyjazny głos. Powiedział, że chce pobłogosławić te głupie zwierzęta. Nie wiedziałam, co to znaczy: "pobłogosławić", ale poczułam się nieswojo. Myślałam, że mówi o mnie, bo ciągle się wierciłam i chwilę wcześniej George powiedział, że ze mnie głuptasek. Przestraszyłam się. Ale George roześmiał się tylko i powiedział:, Jeśli mówisz o Hamie, to błogosławisz go co niedzielę". Długonosy bardzo się rozgniewał. Nie pamiętam, co powie dział, ale dużo mówił o "panu" i jak to "pan" odłączy owce od kozłów.

Zaniepokojone owce aż zameczały.

Chmurka popatrzyła w zamyśleniu na kępę trawy. Długo milczała, przemówiła ponownie dopiero wtedy, kiedy Zora łagodnie trąciła ją pyszczkiem.

- Wtedy George też wpadł w gniew. "W takim razie pobłogosław to głupie zwierzę", powiedział i podał mnie długonosemu. Długonosy cuchnął, a ja bardzo się bałam. Nie wiedział, jak mnie trzymać, ale zabrał mnie do swego domu. Jego dom, wysoki, spiczasty i zimny jak on sam, był największym domem w wiosce. Zamknął mnie w ogrodzie. Zupełnie samą. Rosła tam jabłonka, ale ogrodził ją płotem i jabłka gnęły na ziemi.

Kilka owiec zameczało z oburzenia. Chmurka zadrzała.

- I nagle do domu wpłynęła rzeka ludzi. Jedni byli z psami, inni z owcami i prosiakami. Ja też musiałam tam wejść. W środku panował okropny hałas, ale długonosy mówił jeszcze głośniej. "Witajcie w domu Bożym!", krzyknął. - Chmurka zamilkła i znowu popadła w zadumę.

- A więc on ma na imię Bóg - skonstatował Sir Ritchfield. Otello zrobił dziwną minę.

- Bóg?

- Możliwe - odezwała się niepewnie Chmurka. - Ale po jakimś czasie zrozumiałam, że czczą tam takiego specjalnego baranka. Pomyślałam, że to miłe. Nazywali go "Panem". Była muzyka, taka jak w radiu, tylko... trochę inna. Rozejrzałam się i znowu bardzo się przestraszyłam. Na ścianie wisiał człowiek bez ubrania i chociaż z ran ciekła mu krew, to nie czuć było jej zapachu... - Chmurka urwała.

- A z brzucha sterczał mu szpadel, tak? - rzucił triumfalnie Sir Ritchfield.

- Ten Bóg jest dość podejrzany - powiedział Wieloryb.

- Jest bardzo potężny - kontynuowała Chmurka. - Ludzie padali przed nim na kolana. A on mówił, że wszystko wie.

Matylda w zamyśleniu przeżuła pęk trawy.

- Tak, chyba to pamiętam - powiedziała. - Chmurki nie było przez cały dzień. Mama szukała jej tak, jak... jak tylko mama potrafi.

- Dlaczego nigdy nam o tym nie mówiłaś? - spytała Zora.

- Bo tego nie rozumiałam - odrzekła cicho Chmurka. I jakby rozmarzona zaczęła wycierać nos o przednie nogi.

Owce wciąż myślały o Bogu.

- On nie może wszystkiego wiedzieć - odezwał się w końcu Otello. - Nie wiedział, że George czyta powieści o Pamelach.

- Że czytał - poprawił go oschle Sir Ritchfield. - Morderca zawsze wraca na miejsce



zbrodni - powiedział Wieloryb.

- I długonosy rzeczywiście wrócił. - Baran rozejrzał się dumnie. Była to chyba jedyna pożyteczna rzecz, jakiej dowiedzieli się z powieści kryminalnej George'a. A on oczywiście to zapamiętał. - A ty? - spytał. - Co o tym myślisz?

Panna Maple kiwnęła głową.

- Tak, to rzeczywiście podejrzane. Nie lubił George'a, a George nie lubił jego. Za bardzo interesował się tym, co stanie się z nami i z łąką. A kiedy stali przed dolmenem, patrzył dokładnie tam, gdzie przedtem leżał George.

Owce zamilkły z wrażenia.

- Ale to może być tylko zbieg okoliczności - ciągnęła panna Maple.

- Bo patrzył na ziemię przez cały czas. Za dużo jest tych pytań. O co na przykład chodziło z tym, że Ham to stara, już dawno zamknięta sprawa? I dlaczego Kate miała nadzieję, że George nie zapisał nic „jej”? Kim ta „ona” jest?

- Niełatwo jest zrozumieć ludzi - powiedziała Matylda.

Owce pospuszczały głowy. Pasty się i myślały.

Biały Wieloryb myślał, że nie zawsze rozumiał nawet George'a, chociaż akurat on łatwo dawał się zrozumieć - jak na człowieka. Interesował się warzywniakiem i czytał im książki o Pamelach. Szarlotki go nie interesowały. Ale ostatnio robił dziwne rzeczy. Od czasu do czasu wyciągał tarczę.

Gdy wychodził w gumiakach na łąkę, niosąc ten okrągły, jaskrawo pomalowany przedmiot, Wieloryb natychmiast szukał sobie bezpiecznego schronienia. Jedyne bezpieczne miejsce, z którego nie było widać tarczy, odkrył za przyczepą, tuż koło warzywniaka. I właśnie tam zobaczył go George, kiedy po raz drugi wyszedł na dwór z błyszczącym pistoletem w rękę. Wycelował w niego i krzyknął:

- Mam cię! Nogi do góry!

Wieloryb uciekł wtedy zygzakiem przez pasionek, a on się śmiał.

Huk był nie do zniesienia, ale odkąd George kupił tłumik, słychać było tylko cichy trzask, tak jakby owca wgrzyzała się w jabłko. Ten trzask w ustach Wieloryba były jedynymi dostrzegalnymi rezultatami entuzjazmu, z jakim George podchodził do strzelania. Po prostu nie było w tym żadnego sensu. Wieloryb z rozkoszą zademonstrowałby ten sam odgłos, jedząc prawdziwe jabłka, mimo to George nie chciał zrezygnować z pistoletu.

Panna Maple myślała o dłoniach Lilly, o tym, że wędrowały po kabotku George'a niczym wścibskie owady.

Zora z kolei myślała o tym, że ludzie źle znoszą wysokość. Ilekroć podchodzili za blisko skraju urwiska, zawsze bledli, a ich ruchy stawały się jeszcze bardziej niezdarne niż zwykle. Na urwisku owca miała nad człowiekiem nieskończenie wielką przewagę, i to nad każdym. Nawet George był bezradny, kiedy ona, Zora, zeskakiwała na swoją ulubioną skalną półkę. Zawsze trzymał się w bezpiecznej odległości. Wiedział, że zwabienie jej na powrót pochlebstwami jest czystą stratą czasu, dlatego zwykle wołał, a potem zaczynał w nią rzucać, najpierw kawałkami darni, potem wyschniętymi bobkami.

Z otchłani na dole wiatr niósł czasem przeciągłe, ledwo słyszalne przekleństwo. George'owi od razu poprawiał się humor. Na czworakach podchodził na sam skraj urwiska i obserwował turystów, których fajno trafiło w głowę. Oczywiście ona widziała dużo więcej. Potem wymieniali spojrzenia: leżący na brzuchu, uśmiechnięty George i ona, Zora, stojąca na skalnej półce niczym górską kozica. W takich chwilach rozumieli się doskonale.

Zora uważała, że ludzie radziliby sobie znacznie lepiej, gdyby tylko zdecydowali się wreszcie chodzić na czterech nogach.

Ramzes myślał o tygrysie z historii, którą Otello opowiadał czasem grupce zadziwionych jagniątek.

Wrzosowata zaś o drodze na drugie pastwisko. O bzyjących owadach, o warkocie samochodów, które ich mijały, o cuchnących spalinach i lśniącym morzu. Na wiosnę powietrze pachniało wilgotną ziemią, latem w zbożu harcowały z trzepotem stada wróbli, a jesienią, kiedy drzewami potrząsał wiatr, spadał na nich deszcz żołądzi. A zimą szron malował na asfalcie dziwne wzory. Cudownie było tak iść - cudownie, ale tylko do miejsca, gdzie czyhali zieloni ludzie. Zieloni ludzie mieli czapki i pistolety i nie wróżyli niczego dobrego. Nawet George się przy nich denerwował. Mimo to pozdrawiał ich przyjaźnie i pilnował, żeby ich psy nie podchodziły za blisko owiec. Bez niego nigdy by tamtędy nie przeszli. Wrzosowata zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczą tamto pastwisko.

Cordelia myślała, jak to ludzie potrafią wymyślać różne słowa, wymyślać i ustawiać te wymyślone słowa na papierze tuż obok siebie. To były czary. Wiedziała o tym tylko dlatego, że George wyjaśnił im kiedyś, co to znaczy. Kiedy czytając na głos, napotykał słowo, którego nie rozumiała, zawsze je wyjaśniał. Czasami wyjaśniał nawet słowa, które rozumiała, jak na przykład: "leki profilaktyczne" czy "antybiotyki". Leki profilaktyczne brało się, żeby nie zachorować, antybiotyki zaś, żeby wyzdrowieć. I jedno, i drugie miały gorzki smak. George chyba nie za bardzo się na tym znał. Zaczął im to tłumaczyć, ale się zaplątał. W końcu zaklął i zrezygnował.

Ale z innych wyjaśnień bywał bardzo zadowolony, nawet jeśli owce ich nie zrozumiały. W takich przypadkach starały się nie okazywać, jak niewiele pojęły.

Ale czasami udawało mu się nauczyć je czegoś nowego. Cordelia uwielbiała jego wyjaśnienia. Uwielbiała poznawać słowa opisujące rzeczy, których nigdy nie widziała, a nawet rzeczy, których w ogóle nie widać. Dobrze te słowa zapamiętywała.

- Czary - powiedział kiedyś George - to coś nienaturalnego, coś, czego tak naprawdę nie ma. Jeśli pstryknę palcami i Otello zrobi się biały, to będą czary. Ale jeśli wezmę puszkę farby i pomaluję go na biało, to już nie. - Roześmiał się i przez chwilę wyglądało na to, że naprawdę chce pstryknąć palcami albo pójść po farbę. - Ale wszystko to, co wydaje się czarami - ciągnął - jest zwykłą sztuczką. Czarów nie ma.

Cordelia pasła się z lubością. "Czary" było jej ulubionym określeniem na coś, czego nie było. Potem znowu pomyślała o śmierci George'a. W jego śmierci też było trochę czarów. Ktoś przebił go szpadem na środku łąki. George musiał strasznie krzyżeć, ale żadna z owiec stojących w stodole, a więc bardzo blisko, niczego nie słyszała, a potem jagnię zobaczyło ducha. Ducha, który cicho tańczył. Cordelia potrząsnęła głową.

-To tylko sztuczka - szepnęła.

Otello myślał o okrutnym błaznie.

A Bystra o dziwnych ludziach, którzy czasem odwiedzali George'a. Zawsze przyjeżdżali nocą. Bystra miała lekki sen i słyszała chrzęst opon samochodowych, kiedy skręcali z brukowanej drogi na drogę przecinającą łąkę. Czasami chowała się w cieniu za dolmenem, żeby popatrzeć. Wystawiali to przedstawienie tylko dla niej. Światła reflektorów przecinały ciemność albo tonały we mgle, tworząc jarzącą się białawo chmurę. Przejeżdżające przez łąkę samochody były duże; miały cicho warczące silniki i nie cuchnęły jak samochód George'a, który on sam nazwał Antychrystem. Potem światła gasły i w stronę przyczepy ruszał człowiek w długim, ciemnym płaszczu, jeden albo dwóch. Szli ostrożnie, uważając, żeby nie wdepnąć po ciemku w świeże bobki. Czyjaś ręka pukała do drewnianych drzwi. Raz, dwa, trzy razy. Drzwi otwierały się

i w ciemności wykwiłał prostokąt czerwonego światła. Stojąc w drzwiach, obcy wyglądali przez chwilę jak dwa wielkie, ostro zarysowane kruki. Bystra nigdy nie widziała ich twarzy, mimo to wydawały się niemal znajome...

Ścieżką przez pola w stronę łąki pędziło coś czarnego. Pędziło bardzo szybko. Owce wpadły w panikę. Nie odrywając oczu od obcego, uciekły galopem na szczyt wzgórza. Wrócił Bóg. Z długim nosem wycelowanym w ziemię, krążył po łące jak myśliwski pies, który zwietrzył trop.

Obszedł dolmen i skręcił w stronę skraju urwiska. Omal nie spadł, ale w ostatniej chwili zadarł swój wielki nos i zobaczył rozciągający się przed nim bezmiar błękitu. Wysoki jak tyka gwałtownie przystanął. Przez stado przetoczyło się ciche westchnienie. Owce obserwowały go i ruchy jego nosa, odkąd tylko on i nos ruszyli w stronę urwiska.

Bóg zerknął na nich. Otello złowrogo spuścił rogi, lecz Bóg ruszył już ścieżką w kierunku wioski. Po trzech, czterech krokach coś usłyszał. Zamarł, odwrócił się raptownie i z bladą, wystraszoną twarzą uciekł na wrzosowiska.

Owce też to usłyszały. Był to niski, natarczywy odgłos. Brzmiał tak samo jak ten, który wydawały, grasując w warzywniaku George'a. I cały czas się zbliżał. Potem usłyszały szczekanie psów i ludzkie głosy. A jeszcze potem zobaczyły to, przed czym uciekał długonosy Bóg. Przez łąkę szło stado ludzi, stado, jakiego nigdy dotąd nie widziały.

### **3. Panna Maple moknie**

George nie lubił ludzi. Ludzie rzadko kiedy zachodzili na łąkę - ot, czasem jakiś farmer albo staruszka, która chciała sobie poplotkować - a kiedy już zachodzili, George wpadał w gniew. Puszczal wtedy bardzo głośną kasetę z szarego magnetofonu i uciekał do warzywniaka, gdzie taplał się w brudzie, dopóki ten ktoś sobie nie poszedł.

Tak więc owce nie widziały dotąd stada ludzi i były zbyt zaskoczone, żeby wpaść w panikę. Później Wieloryb mówił, że było ich siedmiu, ale Wieloryb miał słaby wzrok. Zora naliczyła ich dwudziestu, panna Maple czterdziestu pięciu, a Sir Ritchfield całe mnóstwo, więcej niż mógł zliczyć. Sęk w tym, że Sir Ritchfield miał fatalną pamięć, zwłaszcza kiedy był zdenerwowany. Zapomniał, do ilu doliczył, więc zaczął od początku i liczył tak dwa albo trzy razy. Psy też policzył.

Krótkowzroczny Wieloryb patrzył posepnie na ludzi. Cóż, mogli darować sobie teorię o mordercy, który wraca na miejsce zbrodni. Wszyscy tu wrócili, a morderca musiał być wśród nich. Owce patrzyły ciekawie na ludzkie stado. Nie przewodził mu osobnik ani najsilniejszy, ani najbystrzejszy: na czele szedł Tom O'Malley. Za nim dzieci, za dziećmi kobiety, a za kobietami mężczyźni z rękami niezdarnie wepchniętymi do kieszeni. Na samym końcu sunęło kilku trzęsących się staruszków, którzy szli powoli i chwiejnie.

Tom niósł stary, zardzewiały szpadel. Wbił go w ziemię co najmniej dziesięć kroków od miejsca, gdzie rano leżał George. Ludzie cofnęli się, jakby ochlapał ich zimną wodą, i stanęli kręgiem w pełnej respekcie odległości.

-To było tutaj! - krzyknął Tom. - Dokładnie tutaj. Krew trysnęła aż dotąd, do tego miejsca - dodał, robiąc dwa długie kroki w stronę dolmenu. - A tutaj - powiedział, robiąc kolejne trzy kroki w przeciwnym kierunku - stałem ja. I jak tylko to zobaczyłem, od razu wiedziałem, że już

po naszym George'u. Wszędzie była krew. A on miał wykrzywioną twarz, ale tak strasznie. Wykrzywioną twarz i język na wierzchu, cały siny i zwisający.

Nie było w tym ani słowa prawdy. Panna Maple pomyślała, że to dziwne. Bo rzeczywiście, powinno być tak, jak mówił Tom. Wszędzie krew i wyraz bólu na twarzy George'a. Ale George wyglądał wtedy tak, jakby właśnie położył się spać.

Ludzkie stado cofnęło się jeszcze bardziej i wydało dziwne westchnienie, jakby z przerażenia i zachwyty.

- Ale wasz stary przyjaciel Tom nie spanikował! - krzyczał O'Malley. - Nie Tom. Tom poszedł prosto do Szalonego Dzika, żeby zadzwonić na policję...

- No pewnie! - przerwał mu jakiś chrapliwy głos. - Nasz stary przyjaciel Tom zawsze trafi do knajpy!

Ludzie parsknęli śmiechem. Tom pochylił głowę. Stojące na wzgórzu owce nie słyszały już, co mówi. Załamały się resztki porządku w ludzkim stadzie. Dzieci ganiały się po całym pasionku, dorośli stali w małych grupkach i przez cały czas gadali. Wiatr niósł na wzgórze strzępy rozmów.

- Król goblinów! Król goblinów! Król goblinów! - śpiewały dzieci. -...że zostawił wszystko dla kościoła - mówił jeden z wieśniaków.

- Lilly załamała się, jak go znaleźli! - zaszczebotała puciołowata kobieta. Stojący obok niej mężczyzna wziął ją z uśmiechem za rękę.

Inny mężczyzna, bardzo niski, wrzucił ramionami.

- A czego się spodziewaliście? Był grzesznikiem.

-Ty też jesteś grzesznikiem, Harry! - odparła ze śmiechem szczerbata staruszka. - Gospoda pod Samotnym Sercem, resztę przemilczmy! Taki dobry siostrzeniec. Szczęściara z tej twojej cioteczki!

Mężczyzna zbladł i rzeczywiście zamilkł.

- Mówią, że był bardzo bogaty - rzucił inny, taki z wystającym brzuchem.

- Miał długi - wtrącił inny. -Wszyscy o tym wiedzą.

- ...i trochę za bardzo lubił owce - mówił jakiś młodzieniec dwóm przyjaciółom. -

Chwyacie? -

Zrobił wymowny gest. Przyjaciele parsknęli śmiechem.

- Crime passionel w stadzie owieczek? - zawołał najchudszy z nich tak głośno, że spojrzwały na niego dwie stojące obok kobiety. Mężczyźni roześmiali się ponownie, wszyscy trzej, i ponownie ich śmiech zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie.

Ktoś musiał go zaskoczyć, na to przynajmniej wygląda - powiedział mężczyzna mocno zalatujący potem. - A starego George'a cholernie trudno było zaskoczyć. -To cios dla turystyki - dodał piskliwie inny. - Załatwił nas na amen. -... .chciał sprzedać wszystko Hamowi, owce, ziemię, dosłownie wszystko! - mówiła kobieta bez szyi.

- To dzieło szatana - wyszeptła myszowata jejmość do dwojga małych, jasnowłosych dzieci.

- Boże, zmiłuj się nad jego duszą - powiedziała drżącym głosem inna. Owce ją znały. Miała na imię Beth, ale George nazywał ją Świętoszką.

Świętoszka Beth pojawiała się regularnie przed przyczepą, żeby namawiać go do czegoś, co nazywała dobrymi uczynkami. Owce nie wiedziały, co to dokładnie znaczy, i myślały, że może chodzi jej o to, żeby George popracował trochę w innym warzywniaku. Ale on miał już własny warzywniak. I dobrze rozumiały, dlaczego nie chce jej słuchać. Ilekroć mówił: "Nie", Beth wciskała mu do ręki plik papierów zwanych broszurami, żeby nawrócić jego grzeszną duszę. Nie wiedziały, co się stało z jego duszą, zakładając, że w ogóle ją miał. Tak czy inaczej,

cieszył się z tych broszur, chociaż nigdy im ich nie czytał. Wieczorami, już po odejściu Beth, zawsze jadł pieczone ziemniaki, które odgrzewał nad małym, migotliwym płomykiem ogniska.

Nagle w sam środek stada wpadł wróg - odwieczny wróg. Mogły jedynie uciekać. Jeszcze chwilę przedtem były tylko dwa: i jeden, i drugi biegał, węsząc po pasionku, a kiedy pan przywoływał je gwizdem do siebie, obydwie niechętnie zalegały i próbowały ukradkiem wypełznąć na otwartą przestrzeń. Ale im bliżej grupa rozszepowanych ludzi podchodziła do dolmenu, tym dalej zapuszczały się one. I teraz utworzyły małe stado: trzy owczarki i zwykły pies. Owczarki miały błyszczące ślepie, nakrapianą sierść i przemykały przez łąkę jak duchy. Tuż przy ziemi biegly na wzgórze. Zdenerwowane owce głośno zabeczały. Poruszając się jak drapieżniki, psy popędziły je w jedną stronę, potem w drugą, jeszcze potem rozdzieliły je i ponownie zbiły w gromadę. Nie wytrzymałaby tego żadna owca. Tak naprawdę to się nie bały - psy zaganiały je i spędzały tysiące razy - jednak ogarnęło je znajome zdenerwowanie.

Nagle zobaczyły, w jaki sposób porusza się ten trzeci pies, i zdenerwowanie przeszło w strach. Na pierwszy rzut oka szary wilczarz irlandzki zachowywał się tak samo jak owczarki: przypadając do ziemi, ostrożnie podchodził bliżej. Ale coś było nie tak. Wilczarz nie szczekał, szedł bez wahania. Owce wstrzymały oddech: po raz pierwszy w życiu ktoś na nie polował. Pies puścił się pędem prosto na nie.

Wybuchła nieokiełznana panika. Owce rozpierchły się na wszystkie strony, a zdeorientowane owczarki popędziły za nimi. Biały Wieloryb przebiegł dokładnie przez środek ludzkiego stada i powalił na ziemię Grzesznika Harry'ego. Zora schroniła się na skalnej półce. Stamtąd jako jedyna owca widziała, co się tak naprawdę dzieje.

Wzgórze opustoszało. U jego stóp, niedaleko Miejsca George'a, widziała dwie ciemne sylwetki, Otella i psa. Obydwaj właśnie się podnosili. Otello zaatakował pierwszy. Zora nigdy dotąd nie widziała atakującego barana. Otello powinien był przecież uciekać. Wilczarz się zawahał. Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, że ten mknący ku niemu czarny pocisk to jego łup. Zawahał się i pomknął w jego stronę. Ale zanim się zderzyli, puściły mu nerwy: zaszczekał i skręcił w bok. Otello też gwałtownie skręcił, zatoczył ciasny łuk i pogalopował prosto na psa. Zora nie wierzyła własnym oczom. Było oczywiste, że jest szybszy od wilczarza. Do wilczarza też to chyba dotarło, bo przywarował i obnażył kły, gotów zaatakować barana od dołu.

Zora szybko zamknęła oczy i pomyślała o czymś innym. W ten sposób radziła sobie w ciężkich chwilach. Pomyślała o dniu, w którym wydała na świat pierwsze jagnię, pomyślała o bólu i niepokoju. Tak, o niepokoju, bo jagnię było brązowe jak ziemia i pozostało takie nawet po tym, gdy starannie zlizwała krew z jego futerka. Brązowe jak ziemia, z czarnym pyszczkiem. Futerko miało stać się później wełniste i białe, ale ona o tym nie wiedziała, jeszcze nie wtedy. Zastanawiała się, dlaczego jest jedyną owcą na łące, która urodziła brązowe jagnię. Ale potem to malutkie, brązowe jagniątko zameczało i okazało się, że ma głos piękniejszy niż jakiegokolwiek inne jagnię na łące. I ładnie pachniało. Zora od razu wiedziała, że będzie bronić je przed całym światem bez względu na to, czy jest brązowe, czy białe. Tego samego dnia zaprowadziła je na skraj urwiska, żeby pokazać mu morze i mewy.

Odprężyła się. Jak dotąd powiła trzy jagniątko i wszystkie trzy były najdzielniejszymi i najpewniej stąpającymi zwierzątkami, jakie tylko można sobie wyobrazić. W tym roku nie rodziła, podobnie jak większość pozostałych maciorek. Nareszcie zrozumiała, dlaczego tak trudno jej medytować na skalnej półce, przynajmniej ostatnio, i dlaczego aż tak bardzo oddaliła

się od baranków na niebie. Przez całe lato brakowało jej jagniątek. Urodziły tylko dwie niedoświadczone jarki, w pośpiechu i niezdarnie, i George bardzo wtedy przeklinał. No i było jeszcze zimowe jagnię... Zora pogardliwie wydeła nozdrza. Wyteżyła słuch. Chciałaby usłyszeć meczenie choćby kilku młodziutkich stworzonek, ale jeśli nie liczyć krzyku mew, na które nie zwracała już uwagi, wszędzie panowała denerwująca cisza. Ludzie buczeli i brzęczeli w oddali jak rój owadów.

Nagle usłyszała przerażający krzyk. Jej oczy otworzyły się, chociaż ze wszystkich sił próbowała ich nie otwierać. Odruchowo spojrzała na wzgórce. Na ziemi leżało coś ciemnego: czyjeś ciało. Nogi przebierały w powietrzu, jakby chciały biec dalej. Zora zadrżała. Pies dopadł Otella. Dopiero po chwili stwierdziła, że to nie Otello tam leży, tylko pies. Po Otellu nigdzie nie było ani śladu.

Kudłaty wilczarz na próżno próbował wstać. Nadszedł jego pan, jeden z dwóch młodych mężczyzn, którzy tak nieprzyjemnie się śmiali. Blady jak ściana trącił psa nogą. Potem nadszedł inny mężczyzna. Wziął psa na ręce i gdzieś go poniósł.

Ludzie zaczęli rozmawiać z jeszcze większym ożywieniem i podnieceniem. Nikt nie wiedział, co się stało temu zdrowemu, silnemu psu. Kiedy zobaczyli jego zakrwawiony brzuch, kilka kobiet przeraźliwie krzyknęło. W powietrzu znowu rozbrzmiały słowa: "Szatan!" i "Król goblinów!" Kobiety-matki natychmiast przywołały do siebie dzieci. Ludzkie stado odeszło pośpiesznie i tak nagle, jak się pojawiło.

Został tylko szpadel.

Zora siedziała bez ruchu na skalnej półce, zastanawiając się, czy to nie sen. Tak, to musiał być sen. Rosnąca wokoło trawa była mięciutka jak owczy pyszczyk, a zioła zupełnie inne niż te na pasionku. Zora nazywała je "zielem znad otchłani" i ziele to smakowało lepiej niż cokolwiek innego na łące. Zewsząd dochodziły chłodne podmuchy świeżego powietrza - Pachniało morzem i wodorostami - a w dole krążyły białe, skrzekliwie krzyczące mewy. W dole, pod nią, bo tu była zupełnie sama. Tu nikt nie mógł tu za nią przyjść.

Stado uspokoiło się powoli i zaczęło się paść. Był tam i Otello. Zacina z owiec nie zwracała na niego specjalnej uwagi. Zora pomyślała, jak mało o nim wie.

George przywoził czasem nowych. Były to zwykle dopiero co odstawione od wymienia jagnięta, które stado zawsze przyjmowało ciepło i życzliwie. Jak daleko Zora sięgała pamięcią, przyjechały do nich jedynie dwie dorosłe owce: Otello i Biały Wieloryb. Wieloryb przyjechał przed dwoma laty hałaśliwym samochodem George'a. Siedział na tylnym siedzeniu, tylko on, bo nikogo więcej tam nie było. I właśnie tam zobaczyły go pierwszy raz, młodego, pulchnego barana, który wyglądał oszołomiony przez okno, zjadając mapę drogową swego nowego pasterza. George po stawił go przed nimi i wygłosił krótką przemowę. Wieloryb jest baranem tucznym, powiedział, ale spokojnie, nikt tu nie pójdzie pod nóż, trzeba nam tylko trochę świeżej krwi. Owce tego nie zrozumiały i początkowo bardzo się Wieloryba bały. Ale on był całkiem przyjacielski i chyba trochę zakłopotany. A kiedy Sir Ritchfield wyzwał go na pojedynek, okazało się, że jest też zupełnie niegroźny.

Natomiast Otella Sir Ritchfield nie wyzwał ani razu i nikt nie dziwił się dlaczego. Bardziej zaskakujące było to, że Otello nigdy nie wyzwał Sir Ritchfielda. Zdawało się, że darzy go szacunkiem, chociaż im Ritchfield gorzej słyszał i miał słabszą pamięć, tym mniej owce to rozumiały.

Żadna z nich nie widziała, jak przyjechał na łąkę. Po prostu zjawił się tam pewnego ranka, w pełni dorosły baran z czterema groźnie zakręconymi rogami. Aż z czterema rogami! Żadna z nich nigdy w życiu nie widziała takiej owcy. Jarki były pod wrażeniem, barany mu w duchu zazdrościły. Zora bardzo dobrze to wszystko pamiętała, bo od tamtej chwili nie minęło wcale tak dużo czasu. George go nie przedstawił. Zamiast tego, zaczął śpiewać, gwizdać i tańczyć. Nigdy dotąd nie widziały, żeby był taki podekscytowany. Śpiewał w dziwnych językach i na wąskiej, lecz imponującej ranie na czole Otella rozsmarował to cuchnące mazidło, którego tak bardzo się bały. One aż zadrżały, ale Otello stał nieruchomo jak posąg. A George przeskakiwał z nogi na nogę tak długo, że w końcu musiał zdjąć wełniany sweter.

Zora potruczała do pozostałych owiec. Chciała spytać, czy Otello naprawdę pokonał tego wielkiego, szarego psa. Wydawało się, że to nieprawdopodobne. Spotkała Matyldę, która pasła się tak blisko Miejsca George'a, że Zora musiała ugryźć się w język, żeby jej nie zganić.

Matylda w zamyśleniu coś przeżuwała.

- Posłuchaj - zaczęła Zora. - Widziałas, jak Otello walczył z tym psem?

Matylda spojrzała na nią tępym wzrokiem.

- Otello to baran - odparła. - Znakomita trawa - dodała zachęcająco. Zora zawróciła.

Postanowiła spytać panny Maple albo jeszcze lepiej Wieloryba. Kto jak kto, ale Biały Wieloryb miał świetną pamięć.

Podniósłszy głowę, żeby wychwycić jego zapach, zauważyła, że Otello dołączył już do pozostałych i że się z nimi pasie. Wyglądał tak jak zwykle. Zora pochyliła głowę i też zaczęła się paść. Tak, o rzeczach mylących i zagmatwanych najlepiej było jak najszybciej zapomnieć, bo inaczej ziemia mogła zapaść się pod kopytkami.

Owce nie należą do stworzeń gadatliwych. A to dlatego, że pyszczki mają często pełne trawy, a czasem trawę mają i w głowie. Ale wszystkie uwielbiają dobre opowieści. A już najbardziej lubią słuchać i się zachwycać; między innymi dlatego, że łatwo jest przy tym żuć. Od śmierci George'a czegoś im w życiu brakowało. Ponieważ już im nie czytał, zdarzało się, że któraś z owiec opowiadała coś pozostałym. Owcą tą był często Biały Wieloryb, od czasu do czasu Otello, bardzo rzadko któraś z jarek.

Matki opowiadały głównie o jagniętach, ale pozostałych to nie interesowało. Oczywiście niektóre jagnięta były legendarne - jak choćby Sir Ritchfield w dzieciństwie - lecz matki tych jagniąt celowo trzymały buzię na kłódkę.

Ale ilekroć opowiadał Otello, wszystkie owce zamieniały się w słuch, chociaż tak naprawdę nie bardzo go rozumiały. Opowiadał o lwach, tygrysach i żyrafach, o dziwnych zwierzętach z krajów, gdzie panował pałacy skwar. Często się wtedy kłóciły, ponieważ każda wyobrażała je sobie inaczej. Czy żyrafy pachniały jak zgniłe owoce, czy miały puszyste uszy i chociaż odrobinę wełny na ciele? Opisy Otella były zwykle powierzchowne, ale to wystarczyło, żeby zaczął mrowić je kark. O ludziach Otello nie opowiadał. Nigdy.

Za to Biały Wieloryb prawie zawsze. Najczęściej powtarzał opowieści, które czytał im George. Wszystkie pamiętał, dlatego były tak samo dobre jak wtedy, kiedy słyszały je pierwszy raz. Tylko trochę krótsze. Bo w którymś momencie Wieloryb robił się głodny i opowieść natychmiast dobiegała końca. Im była lepsza (to znaczy, im więcej było w niej o łąkach, o pasieniu się i jedzeniu), tym szybciej się kończyła. Prawdziwa zabawa polegała nie na słuchaniu opowieści, tylko na obstawianiu, jak długo potrwa tym razem.

Tego dnia sprawa nie wyglądała najlepiej. Wieloryb opowiadał im bajkę. A w żadnej innej opowieści nie było tyle o łąkach, trawie i owocach. Z błyszczącymi oczami opisywał im

bajkowy bał, który odbywał się co wieczór na żabiej łące. Z wilgotnymi rozprawiał o zazdrosnych goblinach, które obrzucały jabłkami dobre wróżki. Opowiadał o ich królu, o królu goblinów, który pojawiał się w wysokiej trawie, wskrzeszał zmarłych i kazał im polować na żywych. I nagle stało się coś niezwyklego. Ktoś mu przerwał.

- Naprawdę myślicie, że to jego robota? - spytała niepewnie Cordelia. - Króla goblinów? Wszystkie owce wiedziały, że chodzi jej o śmierć George'a. Wieloryb szybko wyrwał z ziemi kępę trawy.

- Czy może Szatana? - dodała Bystra.

- Bzdura - prychnął nerwowo Ramzes. - Szatan nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Kilka owiec zameczało, całkowicie się z nim zgadzając. Żadna z nich nie uważała, żeby Szatan był do tego zdolny. On, stary osioł, który pasł się czasem na sąsiedniej łące i wydawał te mrozące krew w żyłach ryki? Nie, wykluczone. Owszem, miał straszny głos, ale poza tym robił wrażenie zupełnie niegroźnego.

- A ja wciąż uważam, że zabił go Bóg - wymłaskał z pełnymi ustami Wieloryb. - Świętoszka Beth też tak uważa. - Owce darzyły Beth pewnym szacunkiem, ponieważ poświęcała dużo czasu i wysiłku na uporanie się z tak kłopotliwą i wątpliwą sprawą jak dusza George'a.

Ale po co miałyby to robić? - spytała Matylda.

- Niezbadane są jego wyroki - wyjaśniła Chmurka. Owce popatrzyły na nią zaskoczone. Chmurka zdała sobie sprawę, że powiedziała coś dziwnego.

- On sam tak mówi - dodała.

- W takim razie kłamie! - Otello był wściekły. Oczy jarek błyszczały z podziwu. Tylko na pannie Maple jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia.

- Czy George zmarł podczas przyływu czy podczas odpływu? - spytała nagle.

Przez chwilę panowała głucha cisza. A potem Wieloryb i Zora zameczały chórem:

- Podczas przyływu!

- Dlaczego pytasz? - spytała Matylda.

Panna Maple zaczęła chodzić tam i z powrotem, próbując się skupić.

- Gdyby ktoś zepchnął go z urwiska, woda zabrałaby go i poniosła, może nawet aż do Europy, i nikt by nie wiedział, co się z nim stało. A tak, niemożliwe było, żeby ktoś go nie znalazł. Morderca chciał, żeby go znaleziono. Dlaczego? Dlaczego chcemy, żeby ktoś coś znalazł?

Owce myślały długo i intensywnie.

- Bo chcemy sprawić komuś przyjemność? - zasugerował niepewnie Biały Wieloryb.

- Bo chcemy kogoś ostrzec - powiedział Otello.

- Bo chcemy komuś o czymś przypomnieć - dodał Sir Ritchfield.

- Właśnie! - wykrzyknęła z zadowoleniem Maple. - Musimy się teraz dowiedzieć, komu sprawiono przyjemność, kogo ostrzeżono i komu o czymś przypominano. Komu i o czym.

- Nigdy się tego nie dowiemy - westchnęła Wrzosowata.

- Może jednak się dowiemy - odparła panna Maple.

I z tymi słowami zaczęła się paść. Owce pomilczały chwilę, z pełnym szacunku lękiem rozmyślając o wielkim zadaniu, jakie je czekało.

Nagle zameczało jakieś jagnię, ze strachu i oburzenia. Odpowiedziała mu matka, Sara, która drżała i wiła się, jakby próbowała wytrząsnąć z runa dokuczliwego owada. Jagnię stało obok całej we łzach. Raptem między nogami Sary przemknęło coś małego i kudłatego.

Przemknęło i zygzakując, uciekło.

Maluch. Złodziej. Zimowe jagnię. Podczas gdy wszyscy byli pogrążeni w zamyśleniu, skorzystało z okazji, żeby wykraść dójce trochę mleka.



Każda owca wie, że zimowe jagnię to nic dobrego. Zimowe jagnięta rodzą się w złej porze roku, kiedy jest zimno, dlatego mają wypaczony charakter i wredną duszę. Przynoszą nieszczęście i przyciągają rabusiów, którzy mogą skraść przemarznięte zwierzęta. Poza tym nie było gorszego zimowego jagnięcia od tego, które nękało ich stado prawie od roku. Urodziło się w najczarniejszej godzinie nocy. Jego matka umarła i wszyscy myśleli, że ono też umrze. Ale ono potruchtało chwiejnie za stadem i owce niechętnie je przyjęły. Truchtało tak przez dwa dni. Trzeciego dnia, kiedy wszystkie spodziewały się, że wreszcie padnie, George pozbawił je złudzeń butelką mleka. Gdy z wyrzutem zabeczały, wymamrotał coś o "dzielnym maleństwie" i wbrew wszelkim nakazom zdrowego rozsądku zaczął o nie dbać i w końcu wychował je na bezwzględного złodzieja mleka, na jagnię o proporcjach kozy, na zwierzę, które choć o wiele za małe jak na swój wiek, było twarde, wytrzymałe i chytne. Kiedy tylko mogły, próbowały je ignorować.

Dlatego nie były zbyt wzburzone i teraz. Upewniwszy się, że pobiegło na skraj łąki i przystało pod wronim drzewem, zachowały się tak, jakby nic się nie stało.

Przez resztę dnia niespiesznie popasały (ale nie na Miejscu George'a) i spokojnie trawiły trawę w wieczornym półmroku. Potem potruchtały do stodoły. Chmurka obwieściła, że noc będzie deszczowa.

Zbiły się w gromadkę -jagnięcia w środku, wokół jagniąt starsze owce, dorosłe barany na zewnątrz - i natychmiast zasnęły.

Panna Maple miała czarny sen, sen tak czarny, że nie widziała w nim nawet trawy przed własnym owczym noskiem.

Stał przed nią dolmen, większy, lecz niższy i szerszy niż w rzeczywistości. Na dolmenie zaś stały trzy mroczne sylwetki ludzi. Czują, że na nią patrzą. Tak, ci ludzie widzieli w ciemności.

Nagle jeden z nich ruszył w jej stronę. Jego zamazana postać przybrała kształt rzeźnika.

Panna Maple odwróciła się i uciekła. Szpadel, który przytrzymała rączką przedniej nogi, z głuchym stukotem upadł na ziemię. poszedł ją szept rzeźnika:

- Stado potrzebuje pasterza.

Panna Maple wiedziała, że w tej chwili nie potrzebuje pasterza, tylko stada. Zameczała i meczała dopóty, dopóki z ciemności nie odpowiedziały jej inne owce. Potykając się i zataczając, odnalazła je wreszcie i wepchnęła się w sam środek bezpiecznego, wełnistej gąszczu.

Raptem wyczuła coś podejrzanego. Stado pachniało inaczej niż zwykle, tylko nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Usłyszała kroki rzeźnika i zamarła. Wtedy zerwał się wiatr i rozwiął ciemność jak mgłę. W bladym świetle dnia zobaczyła, że wszystkie owce zrobiły się czarne. Że jest wśród nich jedyną białą. I że rzeźnik idzie ku niej z szarlotką w ręku.

Nagle znowu pociemniało. Obudziła się. Chciała przytulić się do Chmurki, swojej ulubionej nocnej przytulanki, ale coś było nie tak. Śpiące wokoło owce pachniały znajomo i obco zarazem. Zafalowały jej nozdrza. Biały Wieloryb, który wciąż pachniał sałatą, pachnąca świeżym, morskim powietrzem Zora, żywiczno-barani zapach Otella... Tak, ale było wśród tych zapachów coś innego, coś nieznanego, jakby wmieszały się między nie obce owce, zwierzęta zupełnie do nich niepasujące, w każdym razie takie, których osobowości nie sposób było wyczuć ani tym bardziej rozpoznać. Takie na wpół owce. Panna Maple rozejrzała się, ale wszędzie było tak ciemno jak w stodole z jej snu. Na dworze lało, poza tym nie słychać było żadnych innych

odgłosów. Nagle wyczuła jakiś ruch koło drzwi. Odepchnęła Chmurkę na bok. Ta cichutko zameczała przez sen, a ponieważ dołączyły do niej inne owce, panna Maple straciła na chwilę poczucie kierunku. Znieruchomiła. Kiedy meczenie ucichło, znowu usłyszała szum deszczu.

Padało jak nigdy dotąd i z nieba lały się strugi wody, długie i grube jak pręty przytrzymujące chodnik na schodach. Panna Maple zapadła się po kolana w błoto. Runo nasiąkło wodą i była teraz dwa razy cięższa niż zwykle. Pomyślała o jagniątku i już miała ruszyć w stronę dolmenu, gdy wtem usłyszała głośny, dźwięczny odgłos, jakby kamień uderzył o kamień. Odgłos dochodził od strony urwiska. Panna Maple westchnęła. Urwisko nie należało do miejsc, gdzie chciałaby spotkać wilczego ducha w środku ciemnej, deszczowej nocy. Mimo to poszła dalej.

Na skraju otchłani było jaśniej, niż myślała. Morze odbijało trochę światła i zobaczyła zarys brzegu. Brzeg był mroczny, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest to brzeg i że nikogo tam nie ma. Ten, kto wydał ów dźwięczny odgłos, musiał chyba spaść. Maple ostrożnie wymacała kopytkiem brzeg śliskiego zbocza i spojrzała w dół. Oczywiście nic nie zobaczyła, nie zobaczyła nawet, jak głęboka rozciąga się przed nią przepaść. Postanowiła zawrócić i zdała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. Trawa była mokra i śliska. Ktoś zastawił na nią pułapkę, a ona, panna Maple, najmądrzejsza owca w całym Glennkill, a może i najmądrzejsza owca na całym świecie, od razu w nią wpadła. Czekala tylko, aż czyjaś ręka lub nos pchnie ją lekko, lecz zdecydowanie do przodu i zepchnie w dół.

Czekała długo. Gdy zdała sobie sprawę, że nikogo za nią nie ma, ogarnęła ją złość, a w złości wystarczył jeden gwałtowny skok do tyłu: znalazła się na względnie twardym gruncie i potrucała z powrotem do stodoły. W drzwiach przystanęła i wzięła głęboki oddech. Znowu pachniało tylko owcami, niczym więcej. Z ulgą wypuściła powietrze i stwierdziła, że trzęsą jej się nogi. Szybko poszukała Chmurki, która wciąż meczała cichutko przez sen, w którym zamiast rzeźnika z szarlotką była najpewniej wielka, zielona łąka.

Nagle jednym z rozdygotanych kopytek wdepnęła w coś ciepłego i płynnego. Woda. Woda skapująca z Sir Ritchfielda. Stary baran stał bez ruchu z zamkniętymi oczami jakby mocno spał. Cały przemókł jak owca, którą przez długi czas trzymano pod wodą. Panna Maple położyła głowę na wełnistym grzbiecie Chmurki i się zamyśliła.

#### **4. Wieloryb przeciska się przez dziurę**

Nazajutrz nie było wiatru i nie krzyczały mewy. Tam i z powrotem po łące pełzała gęsta, szara mgła. Widać było nie dalej jak na dwie długości owcy. Stado długo czekało w stodole, gdzie było ciepło i wygodnie. Teraz, kiedy ani George, ani Tess nie wypędzali ich na pasionek wczesnym rankiem, owce stały się wybredniejsze. -Jest mokro - powiedziała Matylda.

- Jest zimno - dodała Sara.

- Nic tam po nas - mruknął Sir Ritchfield i to przesądziło sprawę. Sir Ritchfield nie znosił mgły. We mgle dobry wzrok na nic mu się nie przydawał. Zauważył, że ostatnimi czasy coraz gorzej słyszy i że często zapomina, skąd właśnie wrócił.

Ale owce wahały się też z innego powodu. Tego dnia we mgle było coś złowieszczonego i zdawało się, że za jej białym oddechem tańczą dziwne cienie.

Dlatego przez cały ranek nie wychodziły ze stodoły. Z czasem zaczęło im się nudzić, zaczęły dręczyć je wyrzuty sumienia, no i zwyczajnie zgłodniały. Ale przypomniało im się, jak George i Tess drażnili je w dni takie jak ten i nie drgnęły z miejsca. Podczas gdy te z pierwszej linii, te stojące najbliżej wyjścia, patrzyły w zadumie na kłębiącą się mgłę, Wieloryb przeciskał

się przez dziurę w tylnej ścianie stodoły.

Drewniane zadziory deski utknęły w runie i zadrapały delikatną skórę. Dlatego precyzyjnie się do połowy, nabrał wątpliwości, czy był to dobry pomysł.

“Jeśli przejdzie łeb, przejdzie i cała reszta”, mawiał George. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że George mówił tak o szczurach z przyczepy, które żywiły się resztkami z przerdzewiałych puszek.

Nigdy nie widział szczura z bliska. I wcale nie był taki pewny, czy naprawdę wyglądają jak małe owce. Bo tak powiedziała mu matka, kiedy był jeszcze małym, pulchnym jagniątkiem. Powiedziała, że szczury to małe, bardzo wełniste owieczki, które przebiegają stadkami przez stajnie i stodoły, roznosząc sny owcom większym. Jako już dorosły baran często zastanawiał się, dlaczego inne owce zawsze wierzgają, próbując je kopnąć. Doszedł do wniosku, że robią tak pewnie tylko te, które mają złe sny. On sam nigdy nie narzekał na sny. Może nie były zbyt urozmaicone, za to spokojne.

Przestał się przeciskać, żeby pomyśleć o ich wyglądzie, to znaczy, o wyglądzie większości owiec. Na przykład Zora: elegancki nos, czarny, aksamitny pyszczyk, wdzięcznie wygięte rogi (w stadzie George'a tylko ona miała rogi i bardzo było jej z nimi do twarzy), duże, wełniste ciało, cztery długie, proste nogi i delikatne kopytka. Być może głowa jest najładniejszą częścią ciała owcy, ale na pewno nie jest najszerszą.

Wieloryb wygiął się niezdarnie najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Postanowił nie wpadać w panikę - przynajmniej nie od razu. Czy dobrze robił, przeciskając się potajemnie przez dziurę za plecami innych owiec? Miał ku temu powody, tylko czy na pewno dobre? Cóż, głodniał szybciej i częściej niż one - to chyba niezły powód, w dodatku jeden z wielu. Wyciągnął szyję, chwycił zębami kępkę trawy i trochę się uspokoił.

Kolejny powód należał do bardziej skomplikowanych. Była nim mianowicie jego pamięć, Sir Ritchfield i panna Maple, a raczej wszyscy oni razem wzięci. Trop. Ślad. W powieści kryminalnej George'a roilo się od tropów, rzecz w tym, że George wyrzucił książkę. Ale panna Maple na pewno wiedziałaby, co z takim tropem zrobić. A Sir Ritchfield na pewno spróbowałby nie dopuścić do tego, żeby się o nim dowiedziała. Dlatego Wieloryb musiał precyzyjnie się przez dziurę. Żeby powiedzieć jej o tym w tajemnicy. Nie było jej w stodole, więc musiała być na dworze. A może jednak nie?

Kiedy stanął przed dziurą, wydawało mu się, że sprawa jest bardzo prosta, ale teraz w bok kłuła go ostra drzazga i z przerażeniem pomyślał, że zaraz przebije sobie skórę i zacznie przepuszczać jak Sir Ritchfield. Wszystkie owce zgadzały się co do tego, że w Sir Ritchfieldzie musi być dziura, przez którą powoli uciekają wspomnienia. Ale mówiły tak tylko wtedy, kiedy baran ich nie słyszał. A ostatnio nie słyszał prawie nigdy.

Wieloryb spróbował zrobić się cieńszy i ostry, kłujący ból natychmiast ustąpił. Ale gdy tylko nabrał powietrza i zrobił się grubszy, drzazga znowu dźgnęła go w bok. Czuł, że zaraz wpadnie w panikę. Czuł na karku jej drapieżny oddech. Tak, będzie przepuszczał gorzej niż Sir Ritchfield i zapomni wszystko już tutaj, w tej dziurze. Utknie tu na dobre i umrze z głodu. Z głodu - on, Biały Wieloryb!

Wypuścił powietrze i zrobił się tak cienki, że zobaczył gwiazdy przed oczami. A potem ze wszystkich sił wierzgnął.

Rozgorączkowany i podniecony Otello spędził pół nocy na łące, ociekając wodą. Czy on wróci? Odkąd zobaczył Sir Ritchfielda, w głębi duszy miał nadzieję, że tamten wróci. Jednocześnie bardzo się tego bał. No i stało się. Wciąż czuł jego zapach. Myśli kłębiły mu się

między rogami niczym gęsta mgła. Myśli i uczucia: radość, gniew, wściekłość, tysiące pytań i mrowiące poczucie onieśmienia.

Ale już dawno nauczył się odpędzać złe myśli. Odwrócił głowę w stronę stodoły i wetknął nos w wilgotną mgłę: nerwowy pot i kwaśny zapach skonsternowania. Stado tkwiło w kleszczach niepokoju. Nic dziwnego: tego dnia nawet on wyczuwał we mgle coś groźnego.

Sir Ritchfield wciąż nie wypuszczał ich z suchej stodoły. Tym lepiej. Otello zastanawiał się, co stary baran chce przez to osiągnąć. Czyżby wiedział, kto odwiedził w nocy ich łąkę? Czyżby próbował ukryć to przed owcami? Jeśli tak, to dlaczego?

Potem zastanawiał się przez chwilę, którądy pójść. Musiał wybrać drogę najmniej oczywistą, to jasne. Potruchtał w kierunku skał. Deszcz i wilgotna mgła zmyły wszystkie zapachy. Przekrzywił głowę i zaczął wypatrywać śladów oczami, tak jak na jego miejscu zrobiłby człowiek. Trochę się tego wstydził.

“Są prawie głusi i prawie nie mają zmysłu powonienia”, rzucił szyderczo znajomy głos. Głos z przeszłości, któremu towarzyszył gorączkowy trzepot czarnych wronich skrzydeł. “Jeśli chcesz się dowiedzieć, co wiedzą dwunożni, musisz pomyśleć o tym, czego nie wiedzą. Dla nich liczy się tylko to, co widzą oczami. Nie wiedzą więcej od nas, przeciwnie, wiedzą mniej, dlatego tak trudno ich zrozumieć, ale...” Otello potrząsnął głową. Dobra rada - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - ale głos często go rozpraszał, a on musiał się teraz skupić.

Znalazł miejsce, gdzie ziemia była nie tylko rozmiękła, ale i ubita jak masło, jakby ktoś się tu długo kręcił. Prawdopodobnie panna Maple. On nigdy nie zostawiłby po sobie takiego bałaganu. Nie, szukał czegoś mniej rzucającego się w oczy. Trochę dalej zobaczył karłowatą sosnę jedyną sosnę? w okolicy. “Przyjazne iglaki, strażnicy tajemnic, korzenie mądrości”. Drzewo przykuło jego uwagę.

Okrażył je kilka razy, aż pochyliło się ze wstydu. Nic było w nim niczego niezwykłego. Oczywiście nie licząc dziury, ale on nie wierzył w te wszystkie opowieści. Dziura była tuż obok, pod korzeniami i przebijała na ukos skałę. Dniami i nocami dochodził z niej szum morza, gulgotanie i bulgotanie, szyderczy śmiech otchłani. Powiadano, że kiedy księżyc jest w pełni, przełazą przez nią morskie stwory - przełazą i ośliżłymi paluchami macają po ścianach stodoły. Ale on wiedział, że błyszczące ślady, które tam rano widywali, to ślady ślimaków. W głębi serca pozostałe owce też to wiedziały. Po prostu lubiły słuchać takich opowieści i tyle. Te młode, najbardziej odważne, stawały tu czasem po trzy, po cztery, żeby posłuchać dobywających się z dziury odgłosów i trochę się pobać.

Teraz z kolei w dziurę patrzył on. Była stroma, tak, oczywiście, ale nie za stroma ani dla człowieka, który mógł zejść nią na czworakach ani dla dzielnego barana. Zawahał się. “Coś, co nie smakuje ci, kiedy przeżuwasz to pierwszy raz, nie będzie ci smakowało i za dziesiątym razem”, powiedział szyderczy głos. “Czekanie wzmaga strach”, dodał niecierpliwie, kiedy Otello nie drgnął z miejsca. Lecz on głosu nie słuchał. Jak urzeczony patrzył na coś leżącego u jego stóp. Na błyszczące pióro, czarne i nieruchome jak noc. Głośno parsknął. Jeszcze raz spojrzął w stronę stodoły i zniknął w dziurze.

Biały Wieloryb stał na wolnym powietrzu, trzęsąc się i ciężko dysząc. Bolały go obydwie boki, a w jednym miejscu coś go ostro kłuło. Żeby się uspokoić, powtórzył w myśli najtrudniejszy zwrot, jakiego kiedykolwiek się nauczył: “Operacja Polifem”. Zwrotu tego używał czasem George i nie rozumiał go nikt w stadzie. Wieloryb był jedną z nielicznych owiec potrafiących zapamiętać nawet to, czego nie rozumiały. Powtórzył zwrot i od razu poczuł się lepiej.

Odwrócił głowę, żeby nie bez dumy spojrzeć na wąską dziurę, przez którą się właśnie przecisnął: on, Biały Wieloryb. Ale drewniana ściana stodoły zniknęła już we mgle tak gęstej i twardej, że miał ochotę odgryźć kawałek i go zjeść. Opanował się jednak i zamiast mgły, zjadł trochę trawy.

Mgła nie była dla niego problemem. Gorzej się w niej widziało, to prawda, ale on i tak widział nie najlepiej. O wiele bardziej niepokoiło go to, że wypełniony kroplami chłodnej, pachnącej trawą wody nos często zawodził. Ale z reguły czuł się we mgle bezpieczny, tak jakby błędził w runie gigantycznej owcy, w runie lekkim jak piórko. Nieporuszony pojedał dalej. Teraz był już pewny, że przynajmniej pierwszy powód, dla którego postanowił wyjść ze stodoły, był dobry. Uwielbiał spowitą mgłą trawę, jej czysty jak woda, pozbawiony przykrych zapachów smak. Panny Maple mógł poszukać później, zresztą niewykluczone, że przyciągną ją odgłosy zucia, jakie wydawał. Popasał niespiesznie to tu, to tam, dopóki nie zaspokoił pierwszego głodu.

Raptem potrafił nosem coś twardego i zimnego. Zatrwożony odskoczył do tyłu ze wszystkimi czterema nogami w powietrzu. Sęk w tym, że z miejsca, gdzie się teraz znalazł, nie widział tego, co go tak przestraszyło. Zawahał się. Zwyciężyła ciekawość. Ze wrokiem wbitym w ziemię zrobił krok do przodu. Leżał tam szpadel, wokół którego Tom O'Malley zebrał ludzkie stado. Wbito go za płytko, więc przechylił się na bok i w końcu upadł. Wieloryb omiótł go gniewnym spojrzeniem. Narzędzia powinny leżeć w szopie, a nie na pasionku. Ale to narzędzie nie pachniało tak jak pachniały zwykle inne narzędzia, spoconymi rękami, poirytowaniem i czymś ostrym. Na szpadlu wyczuł jedynie nikłe wspomnienie ludzkiego zapachu; nie licząc tego, narzędzie pachniało czystością i gładkością jak mokry kamień.

Ale wystarczyło tylko bardziej się postarać i pamięć ludzkiego zapachu powoli wróciła, przybierając wyraźniejszą strukturę. Jej częścią były mydliny, whisky i octowy płyn do czyszczenia. Wieloryb wyczuł też zjełczały zapach krótkiej brody i niemytych stóp. I w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że zapach ten nie bije wcale ze szpadla, tylko z żywego człowieka, który szedł przez mgłę tuż obok niego. Podniósł głowę i zobaczył jego sylwetkę, białą, rozmytą, kroczącą bokiem jak krab. Stracił zimną krew i pogalopował przed siebie.

Bieganie we mgle nie jest rzeczą rozsądną. Dobrze o tym wiedział. Ale wiedział też, że nie potrafiłby ustać spokojnie w jednym miejscu. Okazało się nagle, że nogi, które w normalnych okolicznościach prowadziły go bezbłędnie do ulubionych ziół i pachnącego kobierca świeżej trawy, mają własne, zupełnie niezależne od niego plany. Zdawało się, że w głowie zebrała mu się cała mgła świata, dlatego chciałby po prostu o tym zapomnieć, chciałby być samymi nogami i uciec gdzie pieprz rośnie od George'a, od wilczego ducha, od panny Maple, od drapieżnych psów, od Sir Ritchfielda i jego pamięci, a przede wszystkim od śmierci. Tak mocno walił nogami w ziemię, że rozboleła go kopytko. Próbował myśleć o czymś innym, o byle czym, o czymkolwiek, i natychmiast przyszła mu do głowy myśl najgorsza ze wszystkich: myśl o tym, co się za chwilę zdarzy.

Wcześniej czy później musiał wpaść na jakąś przeszkodę. Przeszkodą tą mogły być skały. Albo stodoła. Albo przyczepa George'a. Proszę, oby tylko nie przyczepa, pomyślał. Świadomość, że mógłby spotkać ducha George'a, który stałby w warzywniaku - w miejscu, gdzie on, Biały Wieloryb, dokonał przestępstwa - wymachując nadgryzioną główką sałaty, przerażała go najbardziej.

Wpadł na coś dużego, miękkiego i ciepłego. To coś ustąpiło, stęknęło i upadło. Zewsząd dochodził ten przenikliwy zapach i zanim zdążył go zbadać, ze strachu ugięły się pod nim nogi. Usiadł na zadzie, wytrzeszczył oczy i wbił wzrok we mgłę. Stęknięcie przeszło w przekleństwo, w słowa, których nigdy w życiu nie słyszał, i które mimo to od razu zrozumiał. A potem z mgły wyłonił się rzeźnik, najpierw jego wielkie, czerwone łapy, potem zaokrąglony brzuch, wreszcie

te straszne, błyszczące oczy. Oczy patrzyły na niego leniwie i z niezrozumiałą satysfakcją. Bez ostrzeżenia rzeźnik rzucił się naprzód, jakby chciał zmiażdżyć go samym ciężarem ciała.

Następną rzeczą, z której Wieloryb zdał sobie sprawę, było to, że musiał chyba zrobić unik, gwałtownie uskoczył i to nie raz, tylko co najmniej kilka razy. I że rzeźnik musiał kilka razy upaść, bo miał uwalane błotem łokcie, brzuch, kolana i połowę twarzy. Do lewego policzka przywarło mu kilka ździebeł trawy, które wyglądały jak wąsy, i w jego krótkowzrocznych oczach rzeźnik stał się nagle rozjuszonym, opasłym tygrysem. Części twarzy, których nie pokrywało czarne błoto, zwłaszcza czoło i oczodoły, były czerwone jak podrażniony owczy język. Szyję też miał czerwoną, dziwnie grubą i opuchniętą. Wyczerpany Wieloryb trząsał się jak osika.

Zapadła cisza i w ciszy tej rzeźnik zobaczył, że baran też leci z nóg. Zacisnął wielgachną pięść i uderzył nią w otwartą dłoń drugiej ręki. A potem objął pięść palcami i mocno je zacisnął. Wyglądało to tak, jakby jego dłonie zrosły się w gulę surowego mięsa. Zbierały mu kłykie i rozległ się cichy, ohydny trzask, jakby powoli pękały mu kości. Wieloryb patrzył na niego bezradnie, odruchowo przeżuując kępkę trawy, którą wyrwał z ziemi w odległych, o wiele szczęśliwszych czasach. Trawa nie miała żadnego smaku. Wieloryb nie pamiętał już nawet, dlaczego w ogóle się pasł. Nie wiedział już, dlaczego paść się mogła jakakolwiek inna owca na świecie, skoro w pobliżu był rzeźnik. A rzeźnik zrobił mały krok do tyłu. I raptem jakby zapadł się pod ziemię.

Wieloryb wciąż stał i żuł. Żuł, dopóki w pyszczku nie pozostało ani jedno ździebło trawy. Dopóki żuł, nie mogło stać się nic złego. Czuł się głupio, żując na pusto, ale nie śmiał wyrwać z ziemi kolejnej kępki trawy.

Przesunęła się smuga mgły i wtem - zupełnie nagle - w powietrzu zrobiła się dziura. Okno, przez które mógł wyjrzeć. Wyjrzał, ale nic nie zobaczył. Stał na samym skraju przepaści. Stał i już nie zastanawiał się, gdzie zniknął rzeźnik. Ostrożnie zrobił krok do tyłu. Potem drugi. A jeszcze potem zrobił w tył zwrot i dał się pochłonać mgłę.

Do tej pory zawsze lubił mgłę. Kiedy był jeszcze małym jagnięciem, pewnego dnia pasterz odstawił go od wymienia matki. "Za szybko tyje", powiedział. I od tej chwili sam ssał mleko jego matki, tyle tylko że za pomocą jakiegoś urządzenia. Pasterz też był gruby, ale żadna owca nie mogła nic na to poradzić. Wieloryb zaczął dostawać mleko rozcieńczone wodą. Lubiał patrzeć, jak płynny ten się mieszają. Białe mleko tworzyło w wodzie cienkie nitki, dopóki nie powstała gęsta, delikatna sieć. Ta sieć była jak powoli gęstniejąca mgła, była obietnicą pełnego żołądka i tego, że wszystko jest w porządku. Ale tam, nad urwiskiem, Wieloryb odkrył, że mgła nie jest jednak runem gigantycznej owcy, a nawet jeśli nim była, to w runie tym roiło się od pasożytów, od rzeźników z rękami z surowego mięsa, które zamieniały w mięso wszystko to, czego dotknęły.

Zaczął się też zastanawiać nad znaczeniem straszliwych wrzasków dochodzących z przepaści. Czuł je całym sobą, nawet koniuzkami spiralnie wygiętych rogów. Rozbolały go od nich zęby i kopytka, mimo to nie drgnął z miejsca. Już wiedział, że nie można tak po prostu uciekać, nawet do innych owiec, które też były swego rodzaju mgłą i mogły rozwiać się szybko jak dym. Wiele razy widział, jak znikają. Zniknęli jego przybrani bracia, jagniątko, z którymi ssał mleko, jego karmieni mlekiem przyjaciele i tylko pasterz zawsze wracał do domu, gruby i zimny jak głaz. Spojrzał na ziemię i zobaczył trawę zieloną jak przedtem. Może powinien trzymać się trawy. Nie odrywając od niej wzroku, ruszył przed siebie. Kopytko za kopytkiem, szedł ostrożnie tam, gdzie go wiodła.

Otello był na siebie zły. Kiedy już się zdecydował, dziura nie stanowiła żadnego

problemu. To był cały on, to do niego pasowało. "Problemem nie są nogi, oczy czy usta - szepnął głos.- Problemy są zawsze w głowie". Dlatego teraz układał je i analizował tak dokładnie, jak dokładnie może to robić tylko przeżuwiająca trawę owca. Pokonał już kawałek plaży, nie znajdując żadnych śladów. Przesypujący się między racizkami piasek był przyjemnie miękki, lecz zdradliwy. Poza tym spowalniał ruchy. No, a teraz doszedł do tego ten wrzask.

Dochodził z daleka, więc Otello nie powinien się nim przejmować, był jednak głośny i denerwujący. Któż mógł tak przeraźliwie krzyczeć? To go zainteresowało. W innych okolicznościach obejrzałby się pewnie za siebie, żeby to sprawdzić. Ale znacznie bardziej ciekawiło go to, co leżało przed nim. Musiał być blisko wioski. Wiedział, że najwyższa pora zejść z plaży.

Spojrzał na urwisko. Tu było mniej strome, w wielu miejscach miękkie i piaszczyste. Tam, gdzie wiatr usypał małe wydmy, rosła gruba, ostra morska trawa. Nie była zbyt smaczna, dawała za to dobre oparcie dla kopyt. Wspiął się na zbocze. Na szczycie zbocza zobaczył jeszcze więcej szczeciniastej trawy i wydeptaną przez ludzi wąską ścieżkę, wijącą się bezsensownie po ziemi. Trawa ciągnęła się monotonicznie na wszystkie strony i nic mu nie mówiła. "Jeśli nie wiesz, co robić - szczydził głos - musisz albo zrezygnować, albo dać temu spokój, co na jedno wychodzi". Otello przystanął. Każda owca mogłaby dojść do wioski kilkoma drogami, ale jednej na pewno nie wybrałaby żadna. No, prawie żadna. Otello wkroczył na ścieżkę wydeptaną przez ludzi.

Ścieżka wiała się niezdecydowanie to lewo, to w prawo i po pewnym czasie doszedł do kamiennego muru. Mur był tak wysoki, że nawet stanąwszy na tylnych nogach, nie mógł zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Szkoda, bo działały się tam bardzo dziwne rzeczy. Słyszał cichy, spokojny pomruk wielu głosów i to bynajmniej nie męła je przytłumiała. Czuł, że są to głosy podekscytowane, lecz celowo przyciszone. A ludzie rzadko kiedy zwracali sobie głowę tym, żeby być cicho. To zawsze coś znaczyło. Otello doszedł do małej żelaznej furtki. Przednim kopytkiem podniósł skobel: furtka skrzypnęła i się otworzyła. Otello wszedł do środka cichutko jak towarzyszący mu cień i głową zamknął za sobą drzwiczki. Nie pierwszy raz cieszył się, że przeżył w cyrku tyle koszmarnych chwil.

W pierwszym momencie pomyślał, że trafił do olbrzymiego warzywniaka. Był tak starannie utrzymany, że wyglądał jak ogród: prościutkie alejki, kwadratowe klomby, zapach świeżo przekopanej ziemi i dziwnych roślin. Ktoś musiał tu coś posadzić, tyle tylko że to coś wcale nie pachniało apetycznie. Alejkami szli ludzie, powoli, małymi krokami. Nadchodzili dosłownie zewsząd, ale w jakiś cudowny sposób wszyscy skręcali w tę samą stronę jakby coś ich tam ciągnęło. Otello ukrył się za stojącym pionowo kamieniem. Czuł się nieswojo, nie tylko z powodu ludzi. Nie, chodziło o zapach. Teraz wiedział już na pewno, że nie jest to warzywniak. Wraz z mgłą nad wyżwirowanymi alejkami unosił się bardzo stary, zastały odór. Otello pomyślał o Samie. Sam pracował w zoo i był tak głupi, że żartowały z niego nawet kozy. Ale dyrekcja zoo powierzyła mu opiekę nad dołem na ziemi niczyjej za pawilonem słoni. Nawet już jako małe jagnię Otello rozumiał, dlaczego słonie zawsze mają przymknięte powieki, ciężkie i zaczerwienione. Każde zwierzę wiedziało o dole. Kiedy Sam stamtąd wracał, kozy zostawiały go w spokoju, a padlinożercom zwęzły się oczy. Bo kiedy Sam wracał z domu słoni, pachniał starą śmiercią.

Był na pogrzebie pierwszy raz, ale zachował się wspaniale. Cały czarny i poważny stał między nagrobkami, od czasu do czasu skubiąc bratki i uważnie przysłuchując się muzyce. Kiedy otworzyło się brązowe pudło, Po zapachu natychmiast poznał, kto w nim leży. I nawet nie

wychodząc z mgły, wyczuł kiwającego się posepnie Boga. Bóg mówił o sobie, a gruba Kate płakała. Wyglądało na to, że nikt nie myśli o spoczywającym w trumnie George'u. Nikt z wyjątkiem jego, Otella.

Przypomniało mu się, jak zobaczył go pierwszy raz w kłębach papierosowego dymu. Miał przekrwione oczy. Był tak wyczerpany, że trzęsły mu S1? nogi. Leżący przed nim pies był martwy, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, że zawsze znajdzie się kolejny. Skupiał się na tym, żeby nie upaść i nie zamknąć oczu. Trudne zadanie, stanowczo za trudne. Zamrugął, żeby do oczu nie spływała mu krew, lecz kiedy zamknął powieki, nie dał już rady ich otworzyć. Kilka sekund błogiej ciemności, a potem czyjś głos: "Zamknięte oczy to śmierć". Otello nie miał nic przeciwko temu, żeby umrzeć, mimo to posłusznie rozwarł powieki i spojrzał prosto w niebieskie oczy George'a. Ten patrzył na niego z tak wielkim zainteresowaniem, że Otello zdołał wytrzymać jego wzrok do chwili, aż przestały dygotać mu nogi. Potem odwrócił się w stronę drzwi, którymi wychodziły psy, i nadstawił rogi.

Wkrótce potem leżał już w starym samochodzie, zalewając krwią tylne siedzenie. George siedział za kierownicą, ale samochód stał w miejscu, a na okna napierała noc. Stary pasterz spojrzał na niego z triumfem w oczach.

- Pojedziemy do Europy - powiedział.

Ale się mylił. Nigdy tam nie pojechali. Sprawiedliwości, pomyślał Otello. Sprawiedliwości.

## 5. Chmurka wierzga

Owce miały za sobą potworny dzień. Nigdy dotąd nie czuły się tak niekochane. Najpierw mgła, potem wrażenie, że coś w niej chodzi, te wszystkie bulgoczące odgłosy i obce, podejrzane zapachy.

Zimowe jagnię zwabiło pod jakimś pretekstem dwa inne jagnięta do ciemnego kąta stodoły i nastraszyło je tak bardzo, że uciekając, wpadły na ścianę i mocno się potłukły. Jedno uderzyło się w głowę, drugie w przednią nogę. Sir Ritchfield niczego nie widział i niczego nie słyszał, po prostu stał w miejscu. Ale potem zaczęły się te wrzaski i w końcu nawet on, najstarszy baran w stadzie, musiał przyznać, że coś jest nie tak. Chyba mu ulżyło, bo wreszcie zrozumiał choć trochę z tego, co się działo.

Czego jak czego, ale wrzasków znieść nie mogły. Wypadły pędem na łąkę i zbyt zdenerwowane, żeby jeść, potruchtały przez mgłę, strzygąc uszami. Zbiły się w gromadę na wzgórzu. Matylda gwałtownie wierzgnęła i trafiła Ramzesa w nos. W posepnym nastroju czekały, aż wiatr rozwieje mgłę, a wraz z mgłą ciszę. Brakowało im nawet krzyku mew.

Wiatr zerwał się w południe. Ponownie rozkrzyczały się mewy, a Zora potruchtała na urwisko. Zameczała i już wkrótce nad przepaścią stały wszystkie owce, spoglądając ze zdumieniem w dół. Na małej łasze piasku wśród licznych kamieni leżał rzeźnik. Leżał na plecach i wyglądał zaskakująco płasko i szeroko. Sir Ritchfield twierdził, że widzi czerwoną strużkę krwi w kąciku jego ust, ale tego dnia owce nie były do niego zbyt przyjaźnie nastawione i nie wierzyły w ani jedno jego słowo. Rzeźnik miał zamknięte oczy i się nie poruszał. Owce rozkoszowały się tym widokiem. Nagle Ham otworzył lewe oko i dobry nastrój momentalnie prysnął. Oko patrzyło na nie, na każdą owcę z osobna i nawet stojąc wysoko na skałach, poczuły, że miękną im nogi. Oko wyraźnie czegoś szukało, lecz tego nie znalazło i ponownie się zamknęło. Owce ostrożnie się cofnęły.



- Zmyje go - rzuciła z optymizmem Zora. Pozostali nie byli tego tacy pewni.  
- Plażą zawsze przechodzi młodzieniec z psem - westchnęła Cordelia. Kilka owiec pokiwało głową. Wiedziały o tym z książek o Pamelach.  
- Pies znajduje tego, kto spadł - dodała Chmurka, najuważniejsza słuchaczka George'a. - Młodzieniec jest oczarowany i zabiera tego kogoś ze sobą. Ale przynajmniej go nie będzie.

"Morze nigdy niczego nie zwraca", powtarzał George, zrzucając ze skał pudełka z przyczepy. Z drugiej jednak strony, młodzieńcy szybko nudzili się uratowanymi osobami, nawet pachnącymi Pamelami, dlatego łatwo było przewidzieć, że wcześniej czy później stracą zainteresowanie i rzeźnikiem o serdelkowatych palcach.

- Niech Wieloryb opowie nam historię o Pameli i rybaku - zaproponowała Bystra. Owce zameczały, zgodnie ją popierając. Uwielbiały opowieść o Pameli i rybaku, ponieważ główną rolę odgrywał w niej wielki stóg siana. A Wieloryb dobrze ją opowiadał i kiedy kończył, długo stały w pełnej za dziwienia ciszy, wyobrażając sobie, co robiłyby w stogu one, owce.

Ale Wieloryb wśród nich nie było. Zajrzały do warzywniaka, sprawdziły na Miejscu George'a. Miejsce było nietknięte. Jak mogły go o coś takiego posądzić? Co za wstyd. Zażenowane zamilkły. Potem, nerwowo machając ogonkiem, Zora potruchtała z powrotem na skały, żeby sprawdzić, czy obok rzeźnika nie leży przypadkiem kłęb białej wełny. Na szczęście nie leżał. Ale tak, dobrze wszystko przewidziały. Aż trzech młodzieńców kładło nieruchomego rzeźnika na nosze. Co za głupota. Zora pokręciła głową. Zameczała na koleżanki, lecz żadna z nich nie śmiała popatrzeć, jak tamci odchodzą. Za dobrze pamiętały jego oczy. Stopniowo stało się jasne, że Białego Wieloryba na łące nie ma.

- Może on nie żyje - powiedziała cicho Bystra. Zora energicznie pokręciła głową.

- Nie znika się natychmiast tylko dlatego, że się nie żyje - odparła. - George też nie żył i nie zniknął.

- Na pewno zmienił się w baranka na niebie - zameczał podekscytowany Ramzes. Owce popatrzyły do góry, ale niebo było jednolicie szare, jak brudny pudding.

- Nie mógł zniknąć - wtrąciła Cordelia. - To tak, jakby w świecie była dziura. Jakby to były czary.

Wrzosowata podrapała się za uchem tylną nogą.

- Może po prostu odszedł - rzuciła Matylda.

- Nie można tak po prostu odejść - zaprotestował Ramzes. - Żadna owca nie może.

Zamilkły i długo milczały. Wszystkie myślały o tym samym.

- Melmoth Wędrowiec odszedł - powiedziała w końcu Chmurka. Wrzosowata straciła równowagę i upadła na bok. Owce odwróciły głowy.

Dobrze znały opowieść o Wędrowcu, chociaż nie lubiły jej słuchać ani opowiadać. Historię tę matki szeptały do ucha małym jagniątkom jako ostrzeżenie. Nie było w niej ani stogu siana, ani niczego takiego, była jedynie niesamowitość, która wszystkich przerażała.

- Melmoth Wędrowiec nie żyje! - parsknął Sir Ritchfield. Owce aż podskoczyły.

Rozmawiały bardzo cicho i nie spodziewały się, że ze wszystkich owiec usłyszy je akurat on. - Melmoth Wędrowiec nie żyje - powtórzył. - George szukał go z psami rzeźnika. Wrócił, pachnąc śmiercią. Kiedy zapadła piąta noc, tylko ja czekałem na niego przed przyczepą. Czekałem i wyczułem śmierć. Żadna owca nie może opuścić stada. Nikt nie śmiał mu odpowiedzieć. Jedna po drugiej owce pospuszczały głowy i odruchowo zaczęły pojadać.

Chciałyby zapytać pannę Maple o Białego Wieloryba, ale panny Maple z nimi nie było. Chciałyby spytać Otella, czy za łąką w ogóle coś jest, bo Otello znał świat i zoo. Ale on też gdzieś przepadł. Były skonsternowane. Zastanawiały się, czy wokół stada nie krąży przypadkiem

rabuś, który wykrada najtłustsze, najsilniejsze i najmądrzejsze owce. Rabuś bez żadnego zapachu. Duch wilka na przykład albo król goblinów,, albo Pan, kimkolwiek tak naprawdę był.

Sir Ritchfield postanowił policzyć owce. Był to żmudny proces. Ritchfield umiał liczyć tylko do dziesięciu, i to nie zawsze, musiały więc stać w małych grupach. Dochodziło wtedy do sprzeczek, bo niektóre twierdziły, że ich nie policzył, podczas gdy on twierdził, że policzył. Każda bała się, że ją przeoczy, ponieważ owca niepoliczona mogłaby zniknąć. Niektóre przemykały ukradkiem do sąsiedniej grupy, żeby policzył je dwa razy. Sir Ritchfield beczał i parskał, wreszcie doszedł do wniosku, że na pasionku jest ich w sumie trzydzieścioro czworo.

Skonsternowane owce wymieniły spojrzenia. Dopiero teraz dotarło do nich, że nie mają pojęcia, ile ich tak naprawdę powinno być. Tak mozolnie wypracowana liczba była w sumie zupełnie bezużyteczna.

Co za rozczarowanie. Miały nadzieję, że czują się teraz bezpieczniej. Przeliczywszy stado, George był zawsze bardzo zadowolony. "Znakomicie", mówił, chociaż czasami rzucał tylko krótkie: "Aha". Potem szedł albo na urwisko i ciskał w Zorę suchymi bobkami, albo do warzywniaka, gdzie zwykle spotykał któreś z odważniejszych jagniąt, które z wyciągniętym językiem próbowało przepchnąć się przez siatkę.

Tak, przeliczywszy owce, George zawsze wiedział, co robić. One zaś nie.

Sfrustrowany Ramzes ubódł Matyldę i wzburzona Matylda głośno zameczała. Podobnie Wrzosowata. Zora skubnęła ją w zad. Co dziwne, Wrzosowata tym razem nie zareagowała, za to natychmiast rozbeczała się Bystra, Cordelia i dwie młode jarki. Sir Ritchfielda zaczął grzebać kopytami w trawie i w ziemi. Bystra szturchnęła Maisie, najbardziej naiwną owcę w stadzie. Zaskoczona Maisie omal nie upadła, a potem lekko uszczypnęła w ucho Chmurkę, która mocno wierzgnęła i trafiła Matyldę w przednie nogi. Wszystkie owce czuły się urażone, wszystkie głośno meczały. Nagle -jak na tajny znak - zamilkły, wszystkie z wyjątkiem Sir Ritchfielda, który bódł je i wzywał do zachowania porządku.

W tym samym momencie ścieżką nadszedł Otello. Popatrzył na nie lekko zdziwiony i potruczał na skały. Owce wymieniły spojrzenia. Chmurka przepaszajaco polizała w ucho Matyldę. Ramzes delikatnie skubnął w zad Cordelię. Otello zaś spokojnie patrzył na plażę, na odcisnięty w piasku ślad rzeźnika, którego nie zmyło morze. Przekrzywił głowę. Jeszcze przed chwilą owce miały do niego mnóstwo pytań, ale teraz żadna nie chciała mu przeszkadzać. Wystarczyła im świadomość, że owca, która zniknęła, może powrócić. I pierwszy raz tego dnia z przyjemnością zaczęły się paść.

Pod lipą spotkało się trzech mężczyzn. Jeden był spocony, drugi pachniał mydłem, trzeci miał chrapliwy oddech. Wokół nich z błyszczącymi ślepiami pełzał strach.

- Jeśli Ham coś zwęszy, będzie po nas - powiedział ten spocony.

- Obłęd! - wychrypiał ten z głośnym oddechem. - Szaleńcze ryzyko! George... Któż to wie. Ale Ham gadał z prawnikiem. To nie są puste groźby.

Strach kiwnął głową.

- Co za głupiec mógł to zrobić? -jęknął ten spocony.

- Hamowi? -W powietrzu mocniej zapachniało mydłem, co oznaczało, że ten trzeci musiał wykonać gwałtowny ruch. - Myślisz, że to nie był wypadek?

- Jasne, że nie - szepnął ten spocony, pocąc się jeszcze bardziej.

- Wypadek? - powtórzył ze śmiechem chrapliwy głos. - Ham miałby spaść ze skały?

Trzymał się na nogach pewniej niż ty czyja. Zresztą, co by robił na urwisku? Powiem wam, co myślę. Ktoś go tam zwabił. Wystarczył pachnący fiołkami liścik i ten dureń poleciał tam jak na

skrzydłach.

- Ale w kalendarz nie kopnie - odparł ten spocony. - Jest twardy jak stara zelówka, zawsze taki był.

Lekarz mówi, że nie jest tak źle. Chodzić już nie będzie, ale najważniejsze, że żyje.

- Może o wszystkim zapomniał - wtrącił z nadzieją ten pachnący mydłem. - Po takim wypadku... - Ham nie zapomni - przerwał mu ten z chrapliwym oddechem. - Niewiele wchodzi mu do łba, ale jak już coś wejdzie, to szybko nie wyjdzie. Pamiętacie, jak Josh pił go na weselu George'a? - Niewykluczone że tamci pokiwali głową. Niewykluczone, że próbowali się uśmiechnąć. Jak mogliby zapomnieć? Josh stawiał Hamowi kielicha za kielichem, a Ham, który prawie nigdy nie pił, wlewał je sobie do gardła jak wodę. Och, jaki mieli wtedy ubaw! - Zapomniał, jak się nazywa. Do oka wlała mu mucha, a on nawet nie mrugnął.

- A Joshowi opłacił się każdutką kieliszek, dostał więcej, niż chciał. A Ham? Sam bym się chętnie tak schlał. - Ten spocony zachichotał. Zaczynał działać kolegom na nerwy.

- Kiedy się obudzi, na pewno będzie pamiętał - powiedział ten z chrapliwym oddechem - I wszystko zacznie się od nowa.

Zamilkli. Pewnie znowu pokiwali głową. A potem poszli, każdy w swoją stronę. Strach uśmiechnął się i elegancko obrócił, owijając grzywą pień lipy. A potem podążył za wszystkimi trzema naraz.

Lipa była bardzo stara. Kiedyś rosła pośrodku wsi i tańczyli wokół niej wieśniacy. Składali jej krew w ofierze, więc rosła i kwitła. Może widziała wilki; na pewno widziała psy, których nowi panowie używali do polowań na dziką zwierzynę, bydło i ludzi. Dzisiaj stała tu samotnie. I wciąż rosła. Pień miała wyższy niż dwie długości owcy. Za pnem zaś stał Biały Wieloryb. Przyszedł tu, ponieważ pod drzewem czuł się bezpiecznie. Drzewo było jak stodoła. Nie uciekł, kiedy nadeszli ludzie. Już wiedział, że ucieczka nie ma sensu. Po prostu żuł trawę i chłonał każde słowo.

Nie myślał o mężczyznach, a już na pewno nie o rzeźniku. Myślał o towarzyszącym im strachu. Tamci go nie zauważyli, ale on doskonale widział każdy jego ruch, widział tak wyraźnie, jakby pień lipy był z wody. Większy niż owca, na czterech nogach, był wielką, silną bestią, drapieżnikiem o jedwabistym futrze i chytrych ślepiach. Ale on się go nie bał. Ostatecznie nie był to jego strach.

Zaśpiewał nocny ptak. Zapadał wieczór. Wieloryb pomyślał o owcach i przestał żuć. Nagle zapragnął dołączyć do stada tak bardzo, że zaswędziało go grube runo za uszami. Najwyższa pora, żeby ktoś poskubał go w kark - to było ważniejsze niż dziwaczne drapieżniki i wrzeszczący rzeźnicy. Oczywiście pamiętał, którędy doszedł tu przez poranną mgłę, dlatego radośnie wymachując uszami, potruchtał z powrotem do domu.

Dotarł tam dopiero zmierzchu. Był bardziej zamyślony niż zwykle i chyba trochę chudszy. Pewnie dlatego, że poruszał się inaczej. Kilka owiec zameczało i wybiegło mu na spotkanie. Długo go nie było i dopiero teraz zdały sobie sprawę, jak bardzo go lubią. "Wyjątkowo ładnie pachniał - pachnieć tak może tylko owca całkowicie zdrowa i taka, która doskonale trawi pokarm - no i znał najciekawsze opowieści. Zasypały go gradem pytań, ale on był bardziej milczący niż kiedykolwiek dotąd. Natychmiast pojawiło się straszliwe podejrzenie, że stracił pamięć. Ale nikt nie śmiał powiedzieć tego na głos. Wieloryb podszedł do Zory, która z roztargnieniem zaczęła go skubać.

Zapadła ciemność, ale owce wciąż stały na dworze. Czekały na pannę Maple. Ale panna Maple się nie pojawiła. Dopiero gdy okrągły księżyc stanął wysoko na niebie, zobaczyły, że od

strony wrzosowisk nadchodzi mała owieczka. Tuż przed nią truchtał długi, chudy cień. To była ona, panna Maple. Robiła wrażenie wyczerpanej. Chmurka polizała ją w pyszczek.

- Do stodoły - rzuciła panna Maple. - Wszyscy.

Owce stłoczyły się wokół niej i weszły do domu. Ich pełne wyczekiwania twarze zalała księżycowa poświata sącząca się przez wąskie świetliki. Panna Maple oparła się wygodnie o Chmurkę.

- Gdzieś ty była? - spytała niecierpliwie Wrzosowata.

- Prowadziłam śledztwo - odparła panna Maple. Owce wiedziały, co znaczy "śledztwo"; znały to słowo z powieści kryminalnej George'a. Pro wadząc śledztwo, detektyw wtyka nos w nie swoje sprawy i zawsze ma kłopoty.

Panna Maple opowiedziała im jak doszła do domu George'a. Zupełnie sama. Przez wieś, gdzie omal nie przejechał jej samochód i gdzie ścigał ją wielki rudy pies. Przeszła przez całą wieś, ukryła się za kolcolistem i przez otwarte okno podsłuchiwała toczącą się w domu rozmowę. Była zdumiewająco odważna.

- Nie bałaś się? - spytała Wrzosowata.

- Bałam się - przyznała panna Maple. - Nie było mnie tak długo, bo bałam się wyjść zza tego krzaka. Ale dużo słyszałam. -Ja bym się bała – odparła Wrzosowata, kątem oka zerkając na Otella.

Panna Maple powiedziała, że od południa do wieczoru Kate odwiedziło bardzo dużo ludzi. Nie naraz, tylko pojedynczo. Wszyscy mówili to samo. Że jakie to straszne. Że co za potworność. Że Kate musi być silna. Natomiast Kate nie mówiła prawie nic, z wyjątkiem: "Tak, i "Nie", no i przez cały czas płakała, zakrywając nos dużym kawałkiem materiału. Ale potem, już późnym wieczorem, ktoś zapukał do drzwi i w progu stanęła Lilly. Kate przestała płakać. Jak śmiesz! - krzyknęła. "Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro" - szepnęła Lilly. "Przynajmniej ty go nie miałaś!" - wrzasnęła Kate i zatrzaskała jej przed nosem drzwi.

- Była jak wściekła kocica - powiedziała panna Maple. -Jak wściekła kocica.

Owce nie były zaskoczone. Pamele z książek George'a też wybuchały gniewem, i to bez powodu. Dlatego szybko straciły zainteresowanie przygodą, która nie wiedzieć czemu tak bardzo zafascynowała ich koleżankę. Ostatecznie miały na głowie inne zmartwienia.

Panna Maple zauważyła to i westchnęła.

- A wy? Miło spędziliście dzień? Zakłopotane owce opowiedziały jej, co się działo.

- Otworzył jedno oko - powiedziała Bystra.

- Leżał na plaży - dodała Matylda.

- Wieloryb nic nam dziś nie opowiedział - wtrąciła Wrzosowata, zerkając gniewnie w stronę Białego Wieloryba.

- I był taki płaski - uzupełniła Sara.

- I pokłóciliśmy się - dodał Ramzes.

- A Sir Ritchfield nas liczył - przypomniał sobie Ramzes.

- A potem zabrali go młodzieńcy - dorzuciła Zora. Panna Maple ponownie westchnęła.

- Niech Wieloryb o tym opowie. - Jego tu nie było - odparła Cordelia. Panna Maple zrobiła zdziwioną minę. - Ani jego, ani Otella - sapnęła Wrzosowata.

Panna Maple spojrzała pytająco na czarnego barana i ten opowiedział im o dziwnym ogrodzie, o drewnianym pudle i o tym, jak pochowano George'a. Przez stado przetoczył się cichy szmer. - Nie ma tam dołu, ale zmarli chyba się nie rozkładają - mówił Otello.

- To wygląda jak ogród, ale nie warzywny, tylko taki zwykły, bardzo porządnie utrzymany. Wiecie, co o nim mówili? Że należy do Boga.

Przeżalone owce wymieniły spojrzenia. Grzebać zmarłych w ogrodzie. Coś takiego. Bóg

podobał im się coraz mniej i mniej.

- To był on - wymamrotał Sir Ritchfield.

Panna Maple zerknęła na niego kątem oka. Baran wyglądał bardzo staro, o wiele starzej niż zwykle i zdawało się, że olbrzymie, zakręcone rogi są dla niego stanowczo za ciężkie.

- Ci ludzie wcale nie byli smutni - ciągnął Otello. - Podnieceni, tak, bardzo podnieceni, ale nie smutni. I zdenerwowani. Rozgadani i czarni jak kruki, a dobrze wiemy, co jedzą kruki. - Owce z powagą pokiwały głową. - Rzeźnika nie było i zastanawiali się dlaczego. Teraz przestaną.

- Otello myślał przez chwilę. - Wszyscy pozostali byli: Kate, Lilly, Gabriel, Tom, Świętoszka Beth, Bóg i mnóstwo ludzi, których nie znamy. Chudzielec, który przyprowadził na łąkę tych trzech, nazywa się Josh Baxter. Jest właścicielem pubu.

Wszyscy popatrzyli na pannę Maple, ale ona podniosła tylko przednią nogę i w zadumie podrapała się w nos. Owce były rozczarowane. Myślały, że polowanie na mordercę będzie bardziej ekscytujące, łatwiejsze, a przede wszystkim szybsze. Tak jak w powieściach o Pamelii, gdzie po tajemniczej śmierci jednego z bohaterów prawie natychmiast pojawiał się równie tajemniczy nieznamy o pociągłej, oszpeconej blizną twarzy i zimnych, niespokojnych oczach.

Zazwyczaj chciał zatrzymać Pamelę dla siebie, ale przy odrobinie wprawy łatwo można było przewidzieć, że jest mordercą i dwie, najwyżej trzy strony dalej zabijał go w pojedynku przystojny młodzieniec. Tymczasem ostatnie wydarzenia przypominały prawdziwą powieść kryminalną, a George wyrzucił książkę, nie kończąc lektury. Były wtedy bardzo rozczarowane, ale teraz zastanawiały się, czy nie lepsze to niż całymi dniami na próżno łamać sobie głowę.

- Musimy się dowiedzieć, co to za opowieść - powiedziała Cordelia. Owce popatrzyły na nią pytająco.

- Każda opowieść jest o czymś innym - wyjaśniła cierpliwie Cordelia. - Opowieści o Pamelach są o Pamelach i o namiętności. Bajki są o czarach. Książka o chorobach owiec jest o chorobach, na które chorują owce. Powieść kryminalna jest o śladach i tropach. Kiedy ustalimy, o czym jest ta, dowiemy się, czego szukać. Zażenowane owce wymieniły spojrzenia.

- Oby tylko nie była to opowieść o chorobach - zameczała Matylda. - To jest opowieść kryminalna - odparła z przekonaniem panna Maple.

- Nie, miłosna - zabczała nagle Wrzosowata. - Czy wy tego nie widzicie? Lilly, Kate i George.

Dokładnie tak jak z Pamelami. George nie lubi Kate i lubi Lilly. Ale Kate lubi George'a. Jest zazdrość i śmierć. To banalnie proste! - Rozentuzjasmowana Wrzosowata zaczęła brykać jak małe jagnię.

- Tak, tylko że wtedy powinna umrzeć Lilly - odparła ostrożnie panna Maple. - A nie George. Byłby pojedynek i jeden rywal próbowałby zabić drugiego. Nie walczy się z kimś, kogo się kocha. Walczy się z tym, kto chce ci odebrać ukochaną. - Ale - dodała na widok rozczarowanego pyszczka Wrzosowatej - ja też o tym myślałam. Bo rzeczywiście, coś w tym jest. Tylko, że to coś nie ma sensu.

- To jest opowieść o miłości - powtórzyła z uporem Wrzosowata.

- A jeśli jednym z rywali był George? - rzucił Otello. - I walczył o Lilly? Albo bronił Kate?

Panna Maple w zadumie przekrzywiła głowę, ale chyba nie chciała już o tym mówić.

O wiele później, kiedy większość owiec już spała, Biały Wieloryb, który po raz pierwszy w życiu miał kłopoty z zaśnięciem, wyjrzał przez otwarte drzwi stodoły i zobaczył samotną

owieczkę, która stała na skraju urwiska i patrzyła na morze. Panna Maple. Wieloryb postanowił do niej dołączyć. Dołączył i przez chwilę stali obok siebie w przyjaznej ciszy. Potem opowiedział jej o potwornościach dnia. Panna Maple długo milczała, lecz w końcu powiedziała:

- Ciągnie się tak i ciągnie. Wieloryb westchnął.

- Czasami trochę mnie przeraża. Nie mógłbym na nie patrzeć. To znaczy, nie tak długo jak Zora.

- Nie mówię o morzu - odparła łagodnie panna Maple. - Mówię o tym wszystkim. Tyle się ostatnio dzieje. Przedtem nie bywał tu prawie żaden człowiek. Oczywiście z wyjątkiem George'a, ale George nie był tak naprawdę człowiekiem, tylko pasterzem. - Panna Maple znowu popadła w zadumę. - I nagle przychodzą całe stada. Krążą nawet w porannej mgłę. Rzeźnik i ktoś jeszcze. To wszystko się z sobą łączy. Czy naprawdę ktoś zwabił tu rzeźnika? Jeśli tak, to kto? I dlaczego? Dlaczego tych trzech mężczyzn spod lipy bało się, że rzeźnik umrze, chociaż żaden nich go nie lubi? Musimy być czujni i bacznie wszystko obserwować, a ty musisz wszystko zapamiętywać.

Wieloryb podniósł głowę. Był dumny, że jest chodzącą pamięcią stada. Jagle przypomniał sobie, dlaczego przecisnął się potajemnie przez dziurę w ścianie stodoły.

- Już coś zapamiętałem - odrzekł. I opowiedział jej, jak to stał na wzgórzu z Sir Ritchfieldem, zapamiętując to, co ten widział. I zapamiętał niemal wszystko. Ritchfield widział, jak tamci odchodzą, Gabriel, Josh, Lilly i rzeźnik. Widział, że jeden z nich został z tyłu i nagle się schylił. Może coś podniósł? Albo coś położył? Wyrwał z ziemi kępkę trawy? Ale właśnie wtedy Sir Ritchfield musiał kichnąć. I kichnął pięć razy z rzędu. Zanim skończył, dążył już zapomnieć, który z nich się schylił i co trzymał w ręku.

- Po prostu zapomniał! - prychnął pogardliwie Wieloryb. - Po trzech oddechach! Nieprawdopodobne! Mimo to wciąż pamięta, że o czymś zapomniał, i próbuje mnie zastraszyć, żebym nic nie wygadał. - Przekrzywił głowę. - I tak nic bym nikomu nie powiedział. Lubię go. Jest naszym przewodnikiem. Ale moim zdaniem to coś jest śladem. - Spojrzał pytająco na pannę Maple.

Ta patrzyła na ciemne morze.

- Śladem - powtórzyła w zadumie. - Ale śladem prowadzącym do czego? Sir Ritchfield próbuje zastraszyć kogoś, kto mówi prawdę? To do ego niepodobne. - Umilkła. - Dziwne - dodała po chwili. I nagle podjęła decyzję. - Umiesz trzymać język za zębami?

Wieloryb zamknął usta i zacisnął zęby.

Wtedy opowiedziała mu o odcisku owczego kopytka na brzuchu George'a.

- Ktoś na nim stanął, i to całym ciężarem ciała. Albo go kopnął. Trudno powiedzieć. Pytanie tylko kiedy. Przed śmiercią? Możliwe. Ale jeśli tak, tuż przed śmiercią, bo znak był bardzo wyraźny. Co oznacza, że... Wieloryb spojrzał na nią wyczekująco.

- Co oznacza, że tuż przed albo tuż po śmierci George'a była tam jakaś owca. Tuż przed, tuż po albo... w trakcie. Silna owca. Ciężka. - Panna Maple zerknęła na Wieloryba. - Ale po co miałyby go kopać? Stawiała się mu tak jak te, które nie chcą łykać tabletek wapnia?

Wieloryb pomyślał o tabletkach i potrząsnął uszami.

- Ale najdziwniejsze - kontynuowała panna Maple - najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że ta owca nic nam o tym nie powiedziała. Albo zapomniała, albo...

- To Ritchfield! - zameczał Wieloryb. I się zawstydził. Obiecał przecież trzymać język za zębami.

Ale panna Maple była za bardzo zamyślona, żeby zwrócić na to uwagę.

- ...nie chce nam o tym powiedzieć. - Odwróciła głowę i z poważną miną spojrzała na Wieloryba.

- Musimy się zastanowić, czy owca mogła by mieć coś wspólnego ze śmiercią George'a. Nie tylko ludzie zachowują się dziwnie, niektórzy z nas też. Choćby Sir Ritchfield. Czy Otello. Otello opowiedział nam o ogrodzie zmarłych, tak, ale nie wiemy, co tam robił. W ogóle mało o nim wiemy.

Nie wiemy na przykład, co George robił z nim wieczorami za przyczepą. Tak, musimy o tym pomyśleć.

Wieloryb przełknął ślinę. Wciąż miał zamknięte usta. Kiedy wrócili do stodoły, okazało się, że nikt nie śpi. W powietrzu wisiało coś ekscytującego.

- Co się stało? - spytała panna Maple.

Owce długo milczały. Potem do przodu wystąpiła Matylda. W świetle księżycy miała niepokojąco długi nos. - Wrzosowata coś znalazła. Znalazła Rzec!

## 6. Matylda wietrzy niebezpieczeństwo

I tak zaczęła się ta bogata w wydarzenia noc, na której wspomnienie wszystkie owce bojaźliwie meczyły jeszcze wiele miesięcy później. A zaczęła się konkretnie od tego, że oniemiała ze wstydu Wrzosowata stanęła w kącie stodoły, kuląc się pod niedowierzającym spojrzeniem kolegów i koleżanek.

- Rzec? - powtórzył Biały Wieloryb.

- Rzec? - tchnęła Cordelia.

- Jaką Rzec? - spytało jedno z jagniąt. - Czy mogę ją zjeść? Czy Rzec boli? - Matka spjrzała na nie z zakłopotaniem. Jak wyjaśnić takiemu berbeciowi, co to jest Rzec?

- Tak naprawdę to nie jest... Rzec - wymamrotała Wrzosowata. Zwiesiła głowę i przypominała teraz muła. - Ale jest piękna.

- Czy da się ją zjeść? - spytał Wieloryb; jeśli chodziło o rzeczy, był równie stanowczy jak każda inna owca.

- Chyba nie - odrzekła Wrzosowata i opadły jej uszy.

- Czy ta Rzec żyje? - spytała Zora.

- Nie wiem, ale... to możliwe! - Wrzosowatej przyszło to do głowy dopiero teraz, wystarczyło na nią popatrzeć. - Właśnie miałam to sprawdzić. Kiedy pada na nią światło, coś się w niej rusza. Jest piękna jak woda. Chciałam ją mieć, żeby móc zawsze na nią patrzeć...

- Wrzosowata! - Wyrósł przed nią Sir Ritchfield. Łeb trzymał wysoko i w świetle księżycy jego prawie potrójnie zakręcone rogi rzucały pełen wyrzutu cień na jej nogi.

Otello posłał mu dziwne spojrzenie. Nagle zrozumiał, dlaczego Ritchfield wciąż jest przewodnikiem stada.

- Możesz patrzeć na wszystko, co jest naprawdę piękne - zaczął sędziwy baran. - Na niebo. Na trawę. Na baranki na niebie. Możesz wąchać zapach jagniąt. Oglądać promienie słońca igrające w gęstym runie. To ważne. Ale nie można tego mieć. - Przemawiał do niej jak do małego dziecka. Powiedział to, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, mimo to owce były pod wrażeniem. - Można mieć tylko to, co żyje. Jagnię. Stado. Jeśli coś masz, to coś ma ciebie. Jeśli to coś żyje i jest owcą - świetnie. Bo owce są stworzone do bycia razem. Razem musi trzymać się całe stado, owce, jarki, dójki, jagnięta i barany. Żadne z nas nie może tak po prostu odejść. To takie głupie, och, jakie głupie... Powinienem był milczeć, tak, gdybym się tylko nie odezwał... - mówił teraz bez ładu i składu. Mamrocząc, patrzył na Wrzosowata, jakby jej tam nie było. Wrzosowata znowu zrobiła przekorną minę i już miała wśliznąć się po cichutku między

koleżanki, gdy wtem z najciemniejszego kąta stodoły dobiegł czyjś chrapliwy głos. Głos kruchy jak gałąź wyrzucona przez morze na brzeg.

- Źle jest mieć - powiedział. - Źle jest mieć Rzeczy.

Wszyscy skierowali nos w stronę Willow, która stała w cieniu za pustą kratą na siano. Jej oczy błyszczały jak dwie krople rosy.

Głowa Wrzosowatej opadła na samo dno niewyobrażalnie głębokiej otchłani.

- Mamusiu!

Matki i ich dzieci są zazwyczaj nierozłączne jak piaszczysta ziemia i morska trawa. Matka, która publicznie beszta własne jagnię, to rzecz niesłychana. Ale jedyną przyczyną, dla której Willow nie zrobiła tego przedtem, było to, że i tak nigdy nic nie mówiła. Przynajmniej tak twierdziły co mądrzejsze owce. Była drugą najbardziej milczącą owcą w stadzie. Ostatnim razem odezwała się tuż po narodzinach Wrzosowatej, kiedy to rzuciła obojętną, niewspółmiernie pesymistyczną uwagę na temat pogody. Ale żadnej z nich wcale nie było przykro, że nie jest gadatliwa. Podobno zjadła w młodości cały zagon cierpkiego szczawiu. Inaczej nie można było wytłumaczyć jej wiecznie złego humoru. Ale tym razem Willow nie przesadziła.

- Wstyd - powiedziała Chmurka.

- Skandal - dodała Zora, spokojnie wyciągając pojedyncze źdźbło siana z pustej kraty.

-To nieprzyzwoite - mruknęła Bystra.

-To głupie - rzuciła Matylda.

-To ludzkie - dodał Sir Ritchfield, który znowu przybrał surową minę przewodnika. To przeważało. Wrzosowata wyglądała teraz tak, jakby za chwilę miała zmienić się w małe, pozbawione węchu zwierzątko.

Panna Maple postawiła uszy.

- Ale w sumie co to za Rzecz? - spytała.

- To jest... -Wrzosowata urwała. Chciała powiedzieć: "piękne", ale powoli zaczynało docierać do niej, że nie wolno mówić o tym takimi mowami. Dlatego szybko pomyślała, czy można by powiedzieć o Rzeczy coś innego, ale równie dobrego. -To nie ma końca.

- Wszystko ma koniec - westchnęła Sara.

- Gdyby coś nie miało końca, nie byłoby niczego więcej, ani jednej owcy na świecie - dodała Zora, która często zajmowała się takimi problemami na skalnej półce.

Owce wymieniły smutne spojrzenia. Ale Wrzosowata się uparła.

- Są na niej dwa znaki, takie jak w książkach. Może to nie Rzecz, może to jakaś opowieść. Trochę przypomina łańcuch, taki jak łańcuch Tess, tylko że ten jest krótszy i nie ma końca. Można patrzeć na nią godzinami i nigdy go nie zobaczyć.

- A ty oczywiście patrzyłaś - zameczała Matylda. - Pachnie nią twój nos. Od razu to wyczułam.

Wrzosowata wszystko wyznała. Znalazła Rzecz na pasionku zaraz po śmierci George'a i dała się nią zauroczyć. Dla bezpieczeństwa schowała ją pod kamieniem. Dopiero dzisiaj wzięła ją w pyszczek i ukryła pod dolmenem, kiedy Sir Ritchfield liczył stado. Było jej bardzo przykro. Już nigdy więcej nie chciała jej widzieć.

Owce postanowiły, że trzeba natychmiast kogoś tam wysłać i na dobre się jej pozbyć. Tak, pokażą Rzeczy, że jej miejsce jest tam, w świecie rzeczy, na ziemi, daleko od stada. Uczestnictwo w ekspedycji do dolmenu było rzeczą bardzo zaszczytną, dlatego zaczęły się zastanawiać, kogo powinny wybrać. Chmurkę rozbolewały nagle stawy. Sara musiała nakarmić małe, a Bystra miała gwałtowny atak kichania. To zaskakujące, ale okazało się również, że Wieloryb nie widzi po ciemku.

Owce bały się pójść nocą do dolmenu, zwłaszcza że niedawno widziano tam wilczego



ducha. Ostatecznie urządzono, że w wyprawie udział weźmie Sir Ritchfield, Otello, panna Maple (którą Rzeczą bardzo zaciekała), Matylda, która nigdy nie potrafiła wymyślić w porę żadnej wymówki, i Zora, zbyt dumna, żeby w ogóle o wymówce pomyśleć. Wieloryb też musiał pójść. Nie pomogło mu nawet to, że wpadł na słupek, chcąc przekonać owce o swojej nocnej ślepoty. Wieloryb był ich pamięcią. Wieloryb po prostu musiał dołączyć do ekspedycji.

Czekała na nich ciepła, łagodna, księżycowa noc. Od przyczepy widać było aż do skały, ale ostre, aromatyczne zapachy przytępiły zmysł powonienia. Z Sir Ritchfieldem na czele członkowie wyprawy potruczali do dolmenu. Matylda została na otwartej przestrzeni, żeby jej czuły nos natychmiast wychwycił zapach wilczego ducha. Pozostali pochylili głowę i zajrzeli pod kamień szczytowy, Wieloryb i Zora z jednej strony, Sir Ritchfield i Otello z drugiej. Otello pogrzebał kopytkiem w ziemi i odkopał Rzeczą. Początkowo jej nie dostrzegli, ponieważ prehistoryczny grobowiec tonął w ich cieniu. Za to momentalnie zwietrzyli zapach człowieka, zapach niemal ginący w zapachach nocy. Spocona ręka, metal i ostry, nierozpoznawalny, kręcący w nosie śwąd. Panna Maple kazała Wielorybowi zrobić krok do tyłu i kiedy urażony baran go zrobił, na Rzeczą padła szeroka smuga księżycowego światła.

W skrytości ducha spodziewali się zobaczyć coś naprawdę pięknego (albo tak pięknego jak Rzeczą), tymczasem zobaczyli w piasku coś w rodzaju cienkiego łańcucha z przyczepionym doń kawałkiem metalu. Łańcuch rzeczywiście nie miał końca, bo tworzył zamknięty krąg, ale na tym kończyła się jego nieskończoność. Rzeczą należąca do człowieka. Owce patrzyły na nią z pogardą.

- Faktycznie, są tu jakieś znaki - skonstatował Sir Ritchfield zawstydzony, że w stodole stracił wątek i nie wiedział, o czym właściwie mówi. Ale teraz mógł odzyskać szacunek dzięki dobremu wzrokowi. - Ten pierwszy jest ostry jak zadarty ptasi dziób i ma pośrodku linię. Drugi wygląda jak brzuch na dwóch nogach. To znak dwunożnych. Moim zdaniem to zły znak! - Ritchfield popatrzył rezolutnie na towarzyszące mu owce.

Wieloryb zaproponował, żeby zrzucić Rzeczą ze skały.

Zora nie chciała nawet o tym słyszeć. Uważała, że skały są na to za dobre.

Matylda cicho zameczała, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Sir Ritchfield poddał myśl, żeby Rzeczą zakopać, chociaż nie miał odwagi jej dotknąć.

Matylda zameczała po raz drugi.

Wieloryb mógłby ostatecznie Rzeczą dotknąć, ale nie chciał jej zakopywać tylko po to, żeby potem się na niej paść.

Panna Maple zaskoczyła ich wszystkich.

- Zatrzymamy ją - oznajmiła. - To jest dowód rzeczowy. Pojawił się po śmierci George'a. Może zgubił go morderca. No wiecie, tak jak my gubimy bobki - dodała, widząc, że Sir Ritchfield patrzy na nią tępym wzrokiem. - To nie pachnie jak bobki - zaprotestował Wieloryb. Zatrwożona Matylda zameczała po raz trzeci. Panna Maple niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Pomyślałam o tym przed chwilą, tam, w stodole. Ludzie przyzwyczajają się do rzeczy. Rzeczy przyzwyczajają się do ludzi. Jeśli będziemy uważnie obserwować Rzeczą, znajdziemy mordercę.

W tym momencie Matylda wcisnęła się pod dolmen i sekundę później otarła się o niego smuga światła. Tuż za smugą szło trzech ludzi. Światło omiotło ściany przyczepy George'a. Chciało się gdzieś ukryć.

- Zgasz tę głupią latarkę - powiedział czyjś głos. - Widać każde ziarenko pszenicy, a Tom O'Malley musi sobie przyświecać. - Smuga znalazła jakąś szparę i nagle zniknęła.

- Tak, tak, wal po nazwiskach! Tylko po jaką cholere włożyliśmy na łeb te durne pończochy? - Owce znały ten głos z poprzedniego dnia. Należał do Grzesznika Harry'ego.

O'Malley zachichotał. Owce zauważyły, że nie pachnie alkoholem. Omal go nie rozpoznały.

- Ty - powiedział - coś ty taki strachliwy? Nie robimy nic złego. Robimy tylko to, co trzeba. Dla Glennkill!

- Dla Glennkill! - wymamrotał cicho Harry.

- Glennkill-srenkill - mruknął ten pierwszy, chudzielec imieniem Josh. - Albo staniemy tu i zaczniemy śpiewać Jasne wzgórza Glennkill, albo otworzymy w końcu tę cholerną przyczepę i poszukamy towaru.

Śpiewać nikt nie chciał. Owcom ulżyło. Trzy mroczne postacie, dwie krępe, jedna chuda i wysoka, pomaszerowały do przyczepy. W świetle księżyca błysnął metal, zabręczały klucze.

Brzęczały dość długo.

- Nie pasują - powiedział Grzesznik Harry. Chudzielec trzy razy kopnął drzwi.

- Niech szlag trafi tego George'a! - zaklął. - No to po herbacie. - Przy tknął nos do dwóch małych szybek w oknie przyczepy. Był tak wysoki, że nie musiał nawet stawać na palcach.

- Co teraz? - spytał Tom.

- Musimy mieć tę trawę - odparł Harry. - Trzeba wyważyć drzwi.

- Zwariowałeś? - zaprotestował Josh. - Ja tam nic nie wyważam. To przestępstwo. A pozbywanie się dowodów rzeczowych to nie przestępstwo, co? - rzucił pogardliwie Harry. - Jeśli znajdą towar, będzie po nas. Koniec z Czarodziejskim Dolmenem, koniec z kucykami, koniec z Centrum Kultury Celtyckiej, koniec z pędzeniem whisky. A ten nadmorski hotelik będziesz mógł wsadzić sobie gdzieś!

- Może tu tego nie ma? - powiedział Josh.

- A gdzie ma być? Jak twoim zdaniem stary George radził sobie przez te wszystkie lata? Pasąc kilka żałosnych owiec? Chyba żartujesz! Chciał sprzedać ziemię? Nie chciał. Roześmiał się ci w twarz, kiedy przyszedłeś z forszą. Taki wspaniały widok, ale nie, nic z tego, bo to pastwisko. A teraz co? Nareszcie wykitował, a my chcemy, żeby Glennkill trafiło do gazet jako mekka wszystkich ćpunów?

Owcom zadrżały nogi.

- Harry ma rację. - Tom zakołysał się lekko do przodu i do tyłu, tak z nawyku. - Stary George rzucał w turystów owczymi bobkami. Nie pozwalał nikomu tu przychodzić, strzelał nawet z pistoletu, żeby nas odstraszyć. Dlaczego? Ta ziemia to prawdziwa żyła złota i mógłby wywozić stąd szmal furmankami. Ale po co miałby ją sprzedawać, skoro i tak tłukł kasę jak się patrzy? Nocą na plaży lądują łodzie. Towar trafia do przyczepy, a rano George wsiada do swego starego rzęcha i znika.

Josh znowu pokręcił głową.

Ale podekscytowany Tom nabuzował się już do tego stopnia, że prawie krzyczał.

- Myślisz, że był niewinny jak aniołek, co? Otóż nie był. Dzieciaki widziały go kiedyś za przyczepą z czarnym baranem. Z baranem! Zboczeniec był z niego i tyle! Nie chcę nawet myśleć, co znajdziemy w przyczepie.

W drzwiach stodoły ukazało się kilka bladych pyszczków. Wszystkie obecne na łące owce wyczuły słuch. Ale nie tylko owce. Od jakiegoś czasu Matylda niespokojnie węszyła. Stała za daleko, żeby zwietrzyć zapach mężczyzn w maskach; byli zdenerwowani i bardzo się pocili, lecz intensywne nocne zapachy na szczęście tę woń zabijały. Jednakże wraz z każdym oddechem wychwytywała leciutki zapach, a właściwie ślad zapachu innego człowieka, nikły, ledwo wyczuwalny odór gotowanego i właśnie trawionego jedzenia. Początkowo myślała, że pachnie tak ukryta pod dolmenem Rzecz. Ale Rzecz leżała na ziemi, tymczasem zapach dochodził z góry.

Zadarła głowę. Tak, teraz była już pewna: na kamieniu szczytowym ktoś leżał.

Myśliwy. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Poczula mrowienie na karku i momentalnie nawiedziły ją wspomnienia, które nie były jej wspomnieniami, wspomnienia wąskich, kamienistych wąwozów i czyhających tam rabusiów. Wilk, pomyślała. Wilk!

Kiedy owca myśli: "Wilk!", natychmiast głośno meczy i ucieka, ale ona nie ruszyła się z miejsca. Nieprzyjaciel był za blisko i teraz, kiedy już go namierzyła, jego zapach otoczył ją ze wszystkich stron. Myśliwy się nie zbliżał. Myśliwy już tu był. Dlatego stała jak zahipnotyzowana, bezradnie wciągając powietrze do płuc.

To zadziwiające, jak łatwo strach może przeskoczyć z owcy na owcę. Matylda nie poruszyła się ani nie wydała żadnego odgłosu. Mimo to pozostałe pięć owiec od razu wyczuło wilka. Jej przyspieszony oddech powiedział im, że drapieźnik jest tuż-tuż, a jej słonawo-gorzki zapach, że to zasadzka, że trzeba uciekać. Sercem galopowały na wszystkie cztery strony świata, ale ponieważ Matylda stała bez ruchu, bez ruchu stały i one. Była ich czujką i najlepiej z nich wszystkich wyczuwała niebezpieczeństwo. Dlatego zawsze robiły to co ona.

Ona zaś doskonale zdawała sobie sprawę z ciężkiej na niej odpowiedzialności. Nie mogąc uciekać, próbowała przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej o czyhającym na dolmenie myśliwym. Zapach dymu. Dym, a więc człowiek, to było jasne. Człowiek, który niedawno jadł cebulę. Słyszała, jak na tej zdradliwej cebuli zaciskają się ścianki jego żołądka.

Chudzielec kopnął w drzwi przyczepy. Przerazone drzwi cicho jęknęły. Może ukrywał się za nimi zdenerwowany promień światła. Leżący na dolmenie myśliwy zeszywniał. Zeszywniał i Matylda wiedziała już, że nie poluje na nią, tylko na tych trzech. Gdyby ją teraz ktoś powąchał, wyczułby, jak bardzo jej ulżyło.

Dyskusja o tym, co stary George i Otello robili za przyczepą, dobiegła końca.

- No i co? - mówił Tom. - Szukali tu? Nie. Nie zrobili nic, absolutnie nic. Nie było śledztwa, nie było żadnych pytań. Sprawa wyciszona, po- grzebana i zapomniana. Oni wszyscy są w zmowie, gliniarze i handlarze. Wszyscy są przekupieni! -W głosie Toma pobrzmiwała nutka zawodu, że jego przekupić nikt nie chciał.

- No właśnie - rzucił poirytowany chudzielec. - Po co mamy wlamywać się do przyczepy, skoro i tak nikt nie interesuje się towarem?

Zapadło głucho milczenie. Harry bez przekonania kopnął w drzwi jeszcze raz. W przyczepie panowała cisza. Tom odwrócił się i już miał ruszyć w stronę bitej drogi, gdy nagle zamarł.

- Samochód! - szepnął.

Owce słyszały to już od dłuższego czasu. Drogą jechał duży samochód bez świateł. Zatrzymał się i przestał warczeć. Mężczyźni rozpierzchli się jak stadko kurcząt. Grzesznik Harry wprawnie zrobił kilka zwodów, a chudzielec pochylił się, żeby szybciej biec. Owce były zdumione. Nie wiedziały, że ludzi można tak łatwo przestraszyć. Bo mimo obecności samochodu, one wciąż trzymały nerwy na wodzy. Mężczyźni wpadli do stodoły, minęli skonsternowane owce i po drabinie wspięli się na wyżki.

Stado wyszło na dwór i niczym rozbryzgujące się krople mleka popłynęło na spotkanie obcego, który ku nim szedł. Ale obcy nie zwrócił na nie uwagi. Nie zaskoczył go widok głośno meczących owiec, które biegały chaotycznie po łące. Spokojnym krokiem zmierzał w stronę przyczepy.

Bez ruchu stało jedynie sześć zwierząt pod dolmenem. Matylda nie uległa wszechogarniającemu poczuciu klęski. Wciąż skupiała uwagę na czyhającym nad nimi myśliwym. Ten zaś rozplaszczyl się na kamieniu. W żołądku gwałtownie przewracała mu się cebula. Szybko oddychał. Matylda zdała sobie sprawę, że on też się boi.

Obcy nie kopnął w drzwi. Obcy zapukał. Raz krótko, dwa razy długo i znowu krótko.

Potem chwilę odczekał i zaczął majstrować przy zamku. Serce waliło myśliwemu jak serce owcy, która musi połknąć tabletkę wapnia. Mimo to ani drgnął. Nie śmiał się poruszyć. Cichy, metaliczny trzask zabrzmiał jak krzyk nocnego świerszcza. Ale drzwi nie ustąpiły. Obcy odwrócił się w końcu i ruszył ścieżką przez łąkę.

Zawarczał silnik.

A potem zapadła cisza.

## 7. Sir Ritchfield dziwnie się zachowuje

Tej nocy działy się również inne rzeczy, ale nie tak spektakularne jak te wokół przyczepy George'a. Czyhający na dolmenie myśliwy bezszelestnie zniknął, pozostawiając po sobie tylko słaby zapach cebuli. Chwilę później ze stodoły nieśmiało wychynęli trzej mężczyźni w maskach. Próbując zachowywać się cicho, robili dużo hałasu. W milczeniu poszli w kierunku wioski.

Owce obserwowały to wszystko i przez jakiś czas zachowywały wzmożoną czujność. Rozproszyły się po łące niczym stadko zdezorientowanych baranków po niebie. Otello pachniał jak sina chmura burzowa. Łagodny wiatr powoli rozwiął wszystkie strachy, mimo to o spaniu nie było już mowy. Owce pochyliły głowy i zaczęły się paść.

Pasienie się po ciemku było zaskakująco miłe. W trawie apetycznie grały nocne owady, a wszystko pachniało wilgotnymi ziołami. Dlaczego nigdy dotąd nie zaznały tak wspaniałych przyjemności? Przez George'a. George zapędzał je noc w noc do tej nudnej stodoły, tymczasem za jej ścianami trwał cudownie apetyczny nocny spektakl. George nie miał zielonego pojęcia, czym jest sztuka pojadania.

Sztukę tę posiadały tylko one, owce. Naturalnie wybuchały na ten temat niezliczone sprzeczki, ale dzięki sprzeczkom było jeszcze ciekawiej. Panna Maple lubiła słodką koniczynę i kwiaty, Chmurka zaś trawę z suchymi, lecz jakże smacznymi kłosami. Matylda szalała na punkcie mdławego ziela, które nazywały mysim. Uważała, że dobrze robi na węch. Tak naprawdę było dokładnie na odwrót, bo tylko owca obdarzona wyjątkowym poczuciem węchu mogła znaleźć mysie ziele wśród tysięcy smacznym ziół na rozległym kobiercu zapachów. Sir Ritchfielda najbardziej kusiły rośliny z dużymi liśćmi i jeśli nawet przez pomyłkę zjadł wraz z nimi kępkę szczawiu, zupełnie mu to nie przeszkadzało. Sara szczawiu nie znosiła. Bystra uwielbiała zioła niskie i aromatyczne, jak na przykład owcze ucho czy słodki dziurawiec. Cordelia, której nie chciało się schylać, zjadała najpierw owies. Biały Wieloryb jadł wszystko bez wyjątku. Kiedy wracali na łąkę po dłuższej nieobecności, wystarczyło jedno spojrzenie na dokładnie wyjedzone ścieżki i od razu było wiadomo, kto gdzie się paść.

Nocne pojadanie przypadło Zorze do gustu. Wprawiło ją w dobry nastrój, radosny i filozoficzny, jednocześnie refleksyjny i zachęcający do działania. Idealny nastrój na opowieści. Była jedyną owcą w stadzie, która nie tylko lubiła ich słuchać, ale i je układała, przynajmniej od czasu do czasu. Nie były to opowieści skomplikowane, ot, dwie, trzy powiązane ze sobą myśli. Ważne w nich były nie wydarzenia, tylko to, jak się na te wydarzenia patrzyło. Opowieści te pomagały jej zrozumieć galopujący wokoło świat i to, co się na nim działo. Była przekonana, że są dobrym sposobem na pokonanie otchłani pod skałami. Dlatego teraz opowiedziała sobie opowieść Białego Wieloryba. Opowieści Wieloryba należały do jej ulubionych. Biały Wieloryb chciałby zjeść rosnące nad przepaścią ziele, ale ma lęk wysokości... Niełatwo jest skupić się na opowieści, której głównym tematem jest coś, co się nie dzieje. Ale ona miała w tym wprawę. Wieloryb stał na skraju urwiska, tuż nad skalną półką. Oczywiście udawał, że ciekawi go widok.

Wiatr wiał od morza i wyczuwała jego przyjemny zapach. Skupiła się na wietrze, który igrając w jego runie, tworzył na nim małe fale, popychał go łagodnie w stronę przepaści i trochę go denerwował. W jej opowieści pogoda była oczywiście dobra. I oczywiście krzyczały w niej mewy. Zapadał wieczór. George siedział na schodach przyczepy z fajką w zębach. Nie wiedział, że plażą idzie dwóch turystów, uginając się pod ciężarem wielkich plecaków. Jeden z nich zauważył ją na półce i wskazał drugiemu. Zafascynowany nimi Wieloryb zrobił mały krok w stronę przepaści. Pozostałe owce pasły się nieco dalej. Otello przestał jeść. Zdumiony obserwował Wieloryba. Inteligentny jest, pomyślała Zora z opowieści. Nie tak inteligentny jak panna Maple, ale inteligentny. Wszystko widzi. Tak myślała w swojej opowieści. Ale nie była pewna, o czym myśli w opowieści on, czarny baran. W tle pasły się Bystra i Cordelia. A za Bystrą, daleko z tyłu, stał... Zora nie mogła uwierzyć własnym oczom. W miejscu, gdzie łąka dochodziła do drogi, stał rzeźnik, rzeźnik, który wcale nie pachniał. Miał tylko jedno oko, dokładnie pośrodku czoła i okiem tym patrzył z wściekłością na Wieloryba.

Zora potrząsnęła głową. Nie była to opowieść, która pomogłaby owcy wygrać z otchłanią. I co w tej krótkiej, prostej historyjce robił rzeźnik?

Podniosła łeb i w ostatniej chwili otrząsnęła się z zadumy. Niewiele brakowało, bo stała na samym skraju Miejsca. Najwyższa pora ruszyć w inną stronę. Przyjrzała się krytycznie Miejscu. Było chyba mniejsze niż poprzednio.

Już miała zawrócić, gdy wtem zobaczyła, że z ciemności po drugiej stronie Miejsca obserwuje ją jakaś owca. W normalnych okolicznościach przeszłaby nad tym do porządku dziennego. Jeśli chodziło o jedzenie, zawsze była bardzo logiczna: jedząc, trzeba skupić się najedzeniu, a nie na rozpraszających uwagę drobiazgach. Ale w obserwującej ją owcy było coś dziwnego. Może nawet groźnego. Zadarła głowę, żeby lepiej wyczuć zapach, lecz wiatr ciągle zmieniał kierunek i niczego jej nie powiedział. Wyteżyła wzrok. Spiralnie zakrzywione rogi. Sir Ritchfield. Od razu jej ulżyło. Przez chwilę bała się, że... Tak naprawdę to nie wiedziała czego. Zameczała przyjaźnie, ale Sir Ritchfield nie odpowiedział. Ostatnimi czasy źle słyszał, zameczała więc głośniej.

Sir Ritchfield spojrział w stronę dolmenu.

- Nie ma już go, tak? - szepnął.

Zora była zaskoczona, że potrafi tak cicho mówić. Zazwyczaj parskał, prychał i ryczał, im był starszy, tym był głośniejszy. I o co mu właściwie chodziło? O myśliwego z dolmenu? O George'a?

Chyba jednak o George'a.

- Już tu nie wróci, co?

- Nie, nie wróci - odparła. Zrobiło jej się zimno. Nagle zapragnęła znaleźć się w stodole, wśród stłoczonych, przytulonych do siebie owiec.

- A ten idiota Ritchfield stał z boku i nic nie zrobił - rzucił niemal wesoło Sir Ritchfield.

Zora poczuła się tak, jakby patrzyła w przepaść głębszą i szerszą niż ta pod skałami. Zamknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, Sir Ritchfielda już nie było. Rozejrzała się i zobaczyła, że stoi przed dolmenem. Podbiegła do niego i szepnęła:

- Jak to z boku?

Ritchfield spojrział na nią zaskoczony.

- Co? - zameczał.

- Jak to z boku? - powtórzyła Zora.

- Mów głośniej! - zabeczał Sir Ritchfield.

Zora potrząsnęła głową i potruchała w zadumie na skalną półkę. Nieco później obok Miejsca przechodziła panna Maple. Odkąd wyłączyli je z pasionka, było w nim coś

fascynującego i tajemniczego zarazem. Panna Maple zerknęła na nie i już miała pójść dalej, gdy wtem zobaczyła coś strasznego.

- Wieloryb! - prychnęła.

Przez sam środek Miejsca wiodła szeroka, bezwstydną wygryziona ścieżka. Panna Maple popatrzyła na nią i stwierdziła, że była dla Wieloryba niesprawiedliwa. Bo nie wszystkie rośliny zostały zjedzone. Pośród zniszczenia pozostało kilka łaskotników. Kiedy się je jadło, przyjemnie łaskotały w nos, dlatego należały do ich ulubionych kwiatów. Było nie do pomyślenia, żeby Wieloryb je przeoczył.

Nie pamiętała, kto ich nie lubi. Zaraz, chwileczkę. Przecież kiedyś tego kogoś widziała. Próbowала sobie przypomnieć, kto to był, lecz na próżno. Nie miała tak dobrej pamięci jak Wieloryb. Ale jeśli ktoś pasł się na Miejscu George'a, sprawa była naprawdę poważna. Oznaczało to, że ten ktoś nie lubił George'a. Była to swego rodzaju zniewaga.

Panna Maple rozejrzała się, lecz nie dostrzegła niczego niezwykłego czy podejrzanego. Większość owiec krążyła po łące, rytmicznie skubiąc trawę. Ona już zaspokoila głód i trawa, którą zjadła o tej niezwykłej nocnej porze, dziwnie leżała jej na żołądku. Dlatego postanowiła skupić się na zagadce morderstwa. Ale najpierw musiała coś zrobić. Potruchtowała do dolmenu.

Nieco później owce zobaczyły, jak idzie do stodoły z Rzeczą w pyszczku. Robiła wrażenie zadowolonej i była chyba w dobrym nastroju.

- Gdzie idziesz? - spytała Chmurka.

- Najwyższa pora pomyśleć, co zrobimy, kiedy znajdziemy mordercę - odparła panna Maple, nie zwalniając kroku. Chmurka poszła za nią. Panna Maple zniknęła w ciemnej stodole, a kiedy wyszła, już bez Rzeczy w pyszczku, miała błyszczące oczy. - Załatwione - powiedziała.

Owce nie były zbyt uszczęśliwione.

- Ona zabrała mi Rzeczą! - zaprotestowała Wrzosowata.

- To źle - mruknęła w przypiływie niezwykłej elokwencji Willow, druga najbardziej milcząca owca w stadzie.

Panna Maple patrzyła na nie, a one na nią. Patrzyły, ale tylko kilka z nich patrzyło na nią przyjaźnie. Chmurka wyglądała tak, jakby miała wyrzuty sumienia. Wrzosowata jakby komuś zazdrościła, Matylda była zmartwiona, a Sir Ritchfield stanowczy. Tylko Biały Wieloryb, choć nieco roztargniony, pasł się spokojnie dalej. Panna Maple westchnęła.

- Nie chcę zatrzymywać Rzeczy dla siebie - powiedziała. - Chcę od dać ją ludziom. Pomyśleliście, co będzie, kiedy już znajdziemy mordercę. Myślicie, że uderzy w niego piorun? Potrzebujemy dowodów!

- To nie jest dowód - zabczała Matylda. - To jest Rzeczą.

- Ale ta Rzeczą może być dowodem - odparła niecierpliwie panna Maple, chociaż miała bardzo mgliste pojęcie, jaką rolę może odegrać Rzeczą w skazaniu mordercy.

- Nie znajdziemy go - westchnęła Bystra.

- Wiemy, że George zginął od szpadla - powiedział Sir Ritchfield, próbując je uspokoić.

- To wystarczy.

- Właśnie! - zameczała Matylda, która z całej tej historii nie zrozumiała nic więcej.

- Właśnie! - zameczało kilka innych owiec.

- Skończmy z tym śledztwem!

- W ogóle przestańmy o tym myśleć. Panna Maple nie wierzyła własnym uszom.

- Przecież mamy tyle pytań - odparła. - Sami układaliście listę. Gdzie jest Tess? Kim jest wilczy duch? Po co przyszedł tu Ham? Co George miał wspólnego z narkotykami? I co to w ogóle są narkotyki? Kim jest myśliwy? Co tu robił? Na łące był myśliwy, a wy nie chcecie nawet wiedzieć dlaczego?

- A po co? - zameczała Matylda. - Najważniejsze, żeby już nie wrócił. - Kilka owiec natychmiast ją poparło. - A jeśli nawet wróci, to i tak go wyczuję! - dodała z dumą Matylda.

Ponownie przeszedł obok nich rozpromieniony Wieloryb, żywy dowód na to, że ziemskie szczęście naprawdę istnieje i że można je osiągnąć bardzo prostymi sposobami. Owce patrzyły na niego z zazdrością.

- Widzisz? - rzucił Sir Ritchfield. - Oto jak owca powinna spędzać czas. Na jedzeniu! A nie na zadawaniu pytań! Odpowiedzi i tak nie znajdziemy. Dlatego George wyrzucił tę książkę. Zrozumiał, że niczego się nie domyśli. To też powinnaś wziąć pod uwagę.

Panna Maple niecierpliwie pogrzebała kopytkiem w trawie.

- Ale pytania już padły - odparła. - Ta historia musi mieć jakiś koniec. Gdyby George przeczytał całą książkę, wszystkiego byśmy się dowiedzieli. A ja chcę się dowiedzieć. I wy też. Wiem, że jesteście ciekawi. Po prostu nie chcecie zawracać sobie tej głupiej, owczej głowy!

- To dla nas za trudne - przyznała z zażenowaniem Cordelia. - W świecie ludzi jest tyle rzeczy, których nie rozumiemy. I nie mamy już nikogo, kto wyjaśniałby nam znaczenie różnych słów.

Owce zamilkły. Prawie wszystkie patrzyły na trawę pod kopytkami, jakby chciały sprawdzić, czy na pewno rośnie. Inne obserwowały baranki na nocnym niebie.

- Powinniśmy o tym zapomnieć - powiedziała cicho Chmurka. - Tak będzie łatwiej.

Kilka owiec zameczało zgodnym chórem. Zapominanie było prostym i sprawdzonym sposobem na wszystkie smutki. Im dziwniejsze i bardziej niepokojące było zdarzenie, tym szybciej trzeba było o nim zapomnieć. Dlaczego nie pomyślały o tym wcześniej?

Panna Maple popatrzyła na nie z niedowierzaniem.

- Ale jeśli o wszystkim zapomnimy, skończą się nasze opowieści. Nie widzicie, że to jest jak opowieść?

Nikt jej nie odpowiedział.

- Wy naprawdę nie chcecie - skostatowała, nie mogąc tego pojąć.

- Chcemy - odparła z godnością Chmurka. - Tylko inaczej niż ty.

- Nieprawda, wcale nie inaczej, tylko że jeszcze o tym nie wiecie! Wokół nas krąży wilk, a my nie wiemy, kto to jest. A skoro nie wiemy, kto to jest, jak mamy się go wystrzeżać? Straciliśmy pasterza, który się nami opiekował, a wy wciąż myślicie, że z tym światem wszystko jest jak trzeba!

Owce nigdy dotąd nie widziały, żeby panna Maple była tak wzburzona. Jeśli się dobrze zastanowić, nigdy dotąd nie widziały jej w złym humorze.

- Nie zauważylibyście wilka nawet we własnym stadzie. Pamiętacie historię o wilku w owczej skórze?

Była to najbardziej przerażająca opowieść, jaką kiedykolwiek słyszały od George'a. To, że panna Maple przypomniła im o niej akurat teraz, w środku nocy, było ciosem poniżej pasa.

- Albo wy znajdziecie wilka, albo wilk znajdzie was. To bardzo proste. Wszystkie opowieści mają koniec. Nie ma sensu wyrzucać książki w połowie lektury tylko dlatego, że czegoś nie rozumiemy!

- Panna Maple głośno prychnęła. - Jeśli nie chcecie dowiedzieć się, kim jest wilk, się tego dowiem!

Chmurka, która nie lubiła kłótni, spojrzała na nią wilgotnymi oczami.

- Potrzebujemy pasterza - szepnęła.

Ale panna Maple ją zignorowała. Pogardliwie machnęła ogonem. A potem potruchnęła pod wronie drzewo, jak najdalej od stada, i zapatrzyła się w mrok.

- Sprawiedliwości! - zameczała. Odpowiedział jej tylko Otello.

- Sprawiedliwości! - zameczał.

Przybite owce wymieniły spojrzenia. I na przekór wszystkiemu znowu zaczęły się paść. Chciały pokazać pannie Maple, jak cudownie proste i cudownie bezmyślne może być owcze życie. Tylko wciąż zamyślony Otello nie przestawał meczeć.

- Sprawiedliwości! - powtarzał cicho. - Sprawiedliwości!

- Co to jest sprawiedliwość?

Patrzyło na niego zimowe jagnię. Małe i kudłate miało za dużą głowę i błyszczące oczy.

- Co to jest sprawiedliwość?

Lepiej nie wdawać się z nim w rozmowę, pomyślał Otello. Zimowe jagnię otwierało usta tylko po to, żeby narobić komuś kłopotów.

- Co to jest sprawiedliwość?

Mimo to Otello je lubił. Jagnię takie jak to zbiłoby z tropu każdego okrutnego błazna.

- Sprawiedliwość to... Przemówił i jagnię wybałuszyło oczy.

- Sprawiedliwość to... - powtórzył! czarny baran. Rzeczywiście, co to właściwie jest?

Chociaż nikt o tym głośno nie mówił, w zoo zabierano niektóre owce i rzucono je na pożarcie drapieżnikom. I wcale nie były to owce najsłabsze czy najgłupsze. Były po prostu owcami. Czy to sprawiedliwe? Nie. A potem Lucyfer Smithley kupił go do numeru z nożami, ponieważ Otello był dokładnie taki, jak trzeba, czarny, groźny i miał cztery rogi. I ponieważ na czarnym runie nie było widać krwi, kiedy mimo diabolicznej wprost celności, o której krzyczały cyrkowe plakaty, zdarzyło mu się chybić. To też nie było sprawiedliwe. Jeszcze potem Smithley dostał zawału. Tak, to było sprawiedliwe, ale Otella przekazano wtedy okrutnemu błaznowi i jego zwierzętom i zmuszono do wykonywania głupich sztuczek na arenie. A to już sprawiedliwe nie było. Kiedyś Otello wpadł w gniew i zabił jego psa. Tak, to było sprawiedliwe, ale zaraz potem błazen sprzedał go rzeźnikowi. Sprawiedliwe? Nie. Błazen sprzedał go rzeźnikowi, a rzeźnik zaczął wystawiać go do walk z psami. niesprawiedliwe! niesprawiedliwe! niesprawiedliwe!

Otello parsknęła i jagnię spojrzało na niego nieufnie. "Pomyśl o śladach ślimaków na trawie - powiedział wewnętrzny głos. Zawsze wybiegaj myślą naprzód".

Otello wziął się w garść.

- Sprawiedliwość jest wtedy - powiedział - kiedy możesz biegać i paść się, gdzie chcesz.

Kiedy możesz walczyć o swoje. Kiedy nikt ci niczego nie kradnie i nie zabrania iść własną drogą. To jest sprawiedliwość. - Nagle poczuł się bardzo pewny siebie.

Zimowe jagnię przekrzywiło wielką głowę. Na jego pyszczku błąkał się cień drwiny albo szacunku.

- I George'owi ktoś coś ukradł?

- Tak, drogę do Europy.

- Ale może George też chciał ukraść komuś drogę i się pokłócili. To by było sprawiedliwe.

Otello zdziwił się, że malec tak dobrze go rozumie.

George nic by nikomu nie ukradł.

- Ale założmy, że ukradł - drażyło jagnię. - Może nie miał innego wyjścia. Czasem trzeba kraść, bo nikt nie chce ci nic dać. Czyja to wina, kiedy tak jest?

- Boga! - odarł bez namysłu czarny baran.

- Tego z długim nosem? - spytało jagnię. - Dlaczego?

Ale Otello potruchtał już w przeszłość i go nie słyszał. Patrzył ponad płotami i ogrodzeniami, ponad mnóstwem płotów i ogrodzeń. Patrzył przez płatki śniegu. Płatki pierwszego śniegu, jaki kiedykolwiek widział. Ale nie, bo zamiast patrzeć, musiał biec za błaznem, żeby ukraść mu z kieszeni chustkę do nosa. Błazen potknął się, upadł i ciepło ubrane



dzieci zaklaskały w dłonie.

Kopniak, który błazen wymierzył mu, gdy się w końcu podniósł, nie był wcale udawany.

- Dlaczego owce muszą pracować w Boże Narodzenie? - spytał dziecięcy głosik. - To niesprawiedliwe!

- Ależ oczywiście, że sprawiedliwe - odpowiedziała ze śmiechem jakaś kobieta. - Bóg stworzył zwierzęta, żeby służyły ludziom. Tak to już jest.

Otello gniewnie parsknął. Tak to już jest! Stojące obok zimowe jagnię też parsknęło, komicznie go naśladując. Potem bezczelnie wierzgnęło i brykając jak koza, uciekło na łąkę.

Horyzont był różowy jak pyszczek marcowego jagnięcia. Patrząc w kierunku wioski, Otello zobaczył czarną sylwetkę owcy. Kilka chwil później na tle porannego nieba pojawiły się sylwetki innych. A między nimi widać było wyraźnie wysokiego mężczyznę w miękkim kapeluszu z opuszczonym brzegiem. Pasterz Gabriel prowadził stado na ich łąkę.

## 8. Nikt nie odpowiada Zorze

Tuż obok przeleciał biały motyl, mleczny tancerz, kawałek niesionego przez wiatr jedwabiu. Jedwab robi się z gąsienic, olbrzymich stad małych, pełzających robaczków. Ludzie gotują je i kradną im skórę, a owce strzygą. Ludziom jest wszystko jedno, czy swoją nagą skórę polewają sokiem z robaków, czy okrywają ją wełną, pod warunkiem że jest to białe i że jest im w tym ciepło. Wszyscy chcą być biali jak jagnięta, lecz długo tak nie wytrzymują, dlatego są kolorowi i cuchną. Kolorowi, mimo to wciąż nadzy - oto cała tajemnica, ich naga tajemnica. Stają nago w obecności Rzeczy. Pochłonięci Rzeczami zdradzają je i są przez nie zdradzani.

Co to było tym razem? Szpadel, prawda? Zatrząśł się na to wspomnienie, ale ze śmiechu. Na kopytko jego lewej tylnej nogi wpełzał pałacy smutek.

Był piękny dzień, a on tonął w zieleni. Trzepoczący w górze kawałek bieli nie miał na jej tle żadnych szans. Wokoło falowało pachnące powietrze; napowietrzny śpiewak z ochotą zapadł się w toń. Zieleni ciągnęła się aż po horyzont. Była pieśnią bezsensu. Rosła i rozrastała się bezrozumnie, każąc wszystkim robić to samo. A oni jej słuchali. Zieleni była najpiękniejszym ziemskim przykazaniem.

Na horyzoncie pojawił się inny głos, mały, cichy, czerwony głos przebijający się przez szaleństwo świata. Tylko głupiec by go zignorował. Wyprostował się, głośno sapiąc, i spojrział przez wysoką trawę. Siedząca na jego grzbiecie wrona odfrunęła.

Drogą szła kobieta. Jej twarz przesłaniał słomkowy kapelusz z bardzo szerokim rondem - rzucał głęboki cień aż na szyję - lecz nie ulegało wątpliwości, że jest młoda. Z wdziękiem i bez trudu niosła walizkę. Tylko ktoś młody śmiałby włożyć czerwoną sukienkę sięgającą łydek i czerwoną jak tryskająca z serca krew. Kobietę wyprzedzał silny, świeży zapach przyciemniony ziemią i zdrowym potem. Zapach, w którym można się zakochać.

Przystanęła na środku drogi i postawiła walizkę. Nie było to zbyt mądre. Z zieleni mógł wypaść samochód i rozplaszczyc sukienkę na asfalcie. On sam nigdy nie ryzykował, nigdy tam nie chodził, ale ona się chyba nie bała. Była wysoka i dobrze widziała ponad gęstwiną. Ogień i rozsądek. Trawy będą się jej kłaniać. Wytarła policzki chustką, którą zawiązała na prawej ręce. Gdy spojrzała w niebo, zobaczył jej twarz. Ale widział ją tylko przez chwilę, bo zaraz potem na jej oczy, nos i czerwoną sukienkę padł czarny cień. Pochyliła się i wyjęła z walizki mapę. Była więc nietutejsza, nie wracała do domu. Bo czy można wrócić do domu, który jest obcy i nieznany? Czy w ogóle można wrócić? Nie, ona tu przynależała, była panią zieleni. Tylko co

powiedzą na jej widok bladzi wieśniacy gryzący się wspomnieniami?

Klęła bardzo dobrze, jak poganiacz bydła. Zaklęła i roześmiała się dziwnym śmiechem. Przenikliwym jak beczenie owcy.

A potem energicznym ruchem podniosła walizkę. Było oczywiste, że postawiła ją, żeby pomyśleć, a nie po to, żeby odpocząć. I nagle skręciła z drogi na pobocze.

Omali nie znalazła go w wysokiej trawie. To dziwne, że skręciła, nie trzepocząc powiekami ani nie przewracając oczami. Większość ludzi zawahałaby się przed zejściem z bitej drogi. Ludzie są podejrzliwi. Ludzie mają delikatne stopy i zachowują się tak, jakby na łące było pełno dziur, w które można wpaść, dlatego początkowo idą jak przez błoto. Tymczasem ona zeszła z drogi zdecydowanie jak owca idąca tam, gdzie wskaże nos. I wciąż tak szła, tam, w kierunku wsi. Była mądra i bystra, nie dała się zwieść drodze. O tak, bladzi wieśniacy zatańczą dla niej, wywijając w powietrzu szpadlami. Będzie na co popatrzeć.

Owce zawsze uważały, że Gabriel jest znakomitym pasterzem. Choćby tylko ze względu na swoje ubranie. Czy to zima, czy lato, zawsze nosił czapkę z niefarbowanej owczej wełny. Niektóre twierdziły, że i z niemytej. Jeszcze trochę i pachniałby dokładnie tak jak one. Zwłaszcza kiedy było mokro.

I umiał prawić im komplementy. Ale prawił je nie słowami, tak jak czasem (choć stanowczo za rzadko) prawił je George, tylko patrząc na nie bez mrugnięcia swoimi niebieskimi oczami. Takie patrzenie mile łechtало duszę i sprawiało, że miękły im nogi w kolanach.

Owce miały duże oczekiwania co do jego umiejętności jako pasterza.

Ale jak dotąd nie zdarzyło się nic wielkiego. Psy spędziły stado i Gabriel przeliczył je bez choćby jednego odgłosu. Jego psy nigdy nie szczekały. Nigdy. Po prostu patrzyły na owce i to wystarczyło, żeby od kopyt aż po szpik w kości przeniknął je wilczy strach.

Gabriel stał przed przyczepą milczący jak dolmen. Stał, a jego niebieskie oczy patrzyły na każdą owcę z osobna, jakby czegoś szukały. Każdej z nich niemal niedostrzegalnie kiwał głową. Większość owiec była pewna, że jest to gest uznania. Że Gabriel obejrzał je i zaaprobował. To było podniecające. Były z tego dumne - dopóki Otello nie zepsuł im humoru.

- On nas liczył - sapnął poirytowany. - Tylko nas Uczył, to wszystko.

W przeciwieństwie do większości stada czarny baran nie wpadł w zachwyt na widok nowego pasterza. Pogrążony w mrocznych myślach stał z daleka od innych.

W jego oczach płonął zapiekły gniew. Natychmiast rozpoznał w Gabrielu poskramiacza zwierząt: pasterz wykonywał takie same gesty i miał tak samo znudzone oczy. Za jego zwodniczą przyjacielskością kryła się ta sama złośliwość. Okrutny błazen też był poskramiaczem i poskramiał je cukrem, głodem i podstępными torturami. To właśnie on zaszczerpił mu gniew i ku swemu zaskoczeniu Otello stwierdził, że gniew ten - nawet po tak długim czasie - jest wciąż świeży i nienaruszony.

Ale nie, już mu tak łatwo nie ulegnie. Nauczył się ujarzmić go cierpliwością.

Było to tego dnia, kiedy zamiast od razu zamknąć drzwi stajni, błazen stanął do niego tyłem i się pochylił. Wygłodniały Otello łapczywie wetknął nos w siano, lecz ani na chwilę nie spuszczał wzroku z jego zadka.

Nagle zapomniał o jedzeniu.

Nadstawił rogi.

I wtedy po raz pierwszy usłyszał ten głos. Cichy, dziwnie mroczny głos, w którym kryło się dużo rzeczy.

- Uważaj, czarny baranie - mówił. - Twój gniew już nadstawił rogi. Już wpadłeś we

wściekłość i jeśli nie będziesz uważał, zaraz wyrwie się spod kontroli.

Otello nawet się nie odwrócił.

- No to co? - prychnął. - I co z tego? Niech się wyrwa. Tamten na to zasłużył.

Za oknem przeleciała z trzepotem wrona.

- Ale ty sobie na to nie zasłużyłeś - szydził głos. - Jak myślisz, przeciwko komu obracasz swój gniew? Nie przeciwko niemu, człowiekowi, który karmi się strachem, który napawa ludzi przerażeniem. Obracasz swój gniew przeciwko sobie samemu i kiedy już cię dopadnie, nie dasz mu rady.

Otello tylko parsknął.

Rogi wciąż miał nadstawione, wzrok wbity w błazna.

Ale nie zaatakował.

- No to co?

Głos nie odpowiedział.

Otello spojrział przez ramię. Stał za nim szary baran o potężnych rogach, Baran w kwiecie wieku, same mięśnie i ścięgna, zwierzę o wdzięcznych ruchach i grubym runie. W ciemnej stajni jego bursztynowe oczy płonęły niczym oczy złego goblina. Otello poczuł się nieswojo i uciekł wzrokiem w bok. Błazen wychynął z rekwizytorni, zatrzasnął drzwi stajni i odszedł. Pod nogami rozczarowanego Otella zawirował cały świat. Szary baran trącił go nosem. Specyficznie pachniał rzeczami, których Otello nie rozumiał.

- Już dobrze - mruknął. - Głowę masz teraz jak kropla wody na gałęzi, co? Gdybyś pozwolił gniewowi uciec, błazen by cię rozgryzł. Popatrzyłby ci między rogami prosto w oczy i zobaczyłby, co nosisz w sercu. A tak nie wie o tobie nic. A im mniej wie, tym większą masz nad nim przewagę. Znajdź najsłabsze punkty przeciwnika. To stara gra. - I nagle zrobił rozbawioną minę.

Otello potrząsnął uszami, żeby odpędzić brzęczące w ciemności słowa. Ale szary baran nie pozwolił mu złapać tchu.

- Zapomnij o gniewie - mówił. - Pomyśl o śladzie ślimaków na trawie, wybiegnij myślą naprzód.

- Ale ja jestem głodny! - powiedział Otello tylko po to, żeby coś po wiedzieć.

- W takim razie walcz!

- Jak mogę walczyć, skoro trzyma mnie pod kluczem? - prychnął Otello. - Na to nic nie pomoże!

Przykuwszy jego uwagę, szary baran stał się małowówny jak karmiąca matka w podłym humorze.

- Nic oprócz myślenia.

- Ja myślę - odparł Otello. - Myślę dniami i nocami. - Troszkę skłamał, bo nocami zwykle spał w kącie stajni.

- W takim razie myślisz o złych rzeczach.

- Myślę o sianie - wyznał cichutko Otello.

Tak jak się tego spodziewał, szary baran przyjął to z dezaprobatą.

- Myśl o błyszczącym futerku kreta, o szumie wiatru w krzewach, myśl o tym, co czujesz w brzuchu, gdy zbiegasz szybko ze wzgórza. Myśl o zapachu odległej ścieżki, o wolności, którą niesie wiatr. Ale już nigdy więcej nie myśl o sianie.

Otello nie odrywał od niego oczu. W brzuchu czuł coś dziwnego, ale na pewno nie był to głód.

- Krótko mówiąc - podsumował szary baran - myśl o mnie. Tak więc Otello pomyślał o szarym baranie i gniew wycofał się za cztery rogi, tam, gdzie jego miejsce. Owce wciąż na niego

patrzyły i wciąż były zaskoczone.

- Gabriel nas liczył - powtórzył opryskliwie. - Tylko nas liczył. Kiedy już to powiedział, z rozczarowaniem pomyślały, że pewnie ma rację. Ale szybko poweselały. Jeśli liczenie było procesem tak przyjaznym i tajemniczym, nie wyobrażały sobie nawet, jak podniecające będą rzeczy naprawdę ważne, rzeczy takie jak napelnianie kraty sianem, rozrzucanie słomy czy karmienie ich burakami pastewnymi. Ale najbardziej ciekawiło je, czy Gabriel będzie im czytał.

- Poezję - westchnęła Cordelia.

Nie bardzo wiedziały, co to jest poezja, ale poezja musiała być piękna, ponieważ młodzieńcy z książek często czytali ją Pamelom w świetle księżycy, a George, który nigdy nie powiedział o Pamelach ani jednego dobrego słowa, przestawał wtedy być zły i wzdychał.

- Albo coś o koniczynie - dodał z nadzieją Biały Wieloryb.

- Albo o morzu, niebie i nieustraszonosci - wtrąciła Zora.

- Oby tylko nie o chorobach owiec - mruknęła Wrzosowata. - Jak myślisz, Otello, o czym będzie nam czytał?

Ale Otello nie odpowiedział.

- Będzie czytał głośno i wyraźnie, tak jak trzeba - oznajmił Sir Ritchfield.

- I wyjaśni nam mnóstwo nowych słów - dodała Cordelia.

Coraz bardziej je to ciekawiło. O czym ten Gabriel będzie im czytał? Nie mogły się już doczekać popołudnia.

- Może spytamy ich? - zaproponowała Chmurka. Miała na myśli owce i barany ze stada Gabriela.

Psy zapędziły je na skraj pasionka i Gabriel właśnie stawiał tam druciane ogrodzenie. Owce George'a nie były pewne, co o tym myśleć, ponieważ pasionek bardzo zmalął.

- Akurat tam, gdzie rośnie mysie ziele - utyskiwała Matylda. Ale to pozostałym owcom nie przeszkadzało. Chodziło im bardziej o ogólną zasadę.

Z drugiej jednak strony, cieszyły się, że owce Gabriela nie będą biegały z ich stadem, ponieważ były trochę dziwne. Miały krótkie nogi, długie grzbiety, długie, smutne nosy, niespokojne oczy i były dziwnie blade. No i nieładnie pachniały. Nie to, że niezdrowo, ale zalatywało od nich zde-nerwowaniem i martwotą. Ale najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że prawie wcale nie miały runa, tylko coś w rodzaju gęstych kłaków. Widać było, że dawno ich nie strzyżono. Dlaczego Gabriel pasł owce bez runa? Jaki z nich pożytek?

Musiał być szczęśliwy, że nareszcie trafiło mu się stado pięknych, wełnistych owieczek. Te z kłakami na grzbiecie na pewno niedługo odeśle. Doszły do wniosku, że dopóki tego nie zrobi, najlepszym sposobem współżycia z obcym stadem będzie całkowite jego ignorowanie. Ale teraz zaczęła dręczyć je ciekawość.

- Poszłabym i spytała - powiedziała Matylda - ale kiedy do nich pod chodzę, swędzą mnie nozdrza.

Wszyscy popatrzyli na Sir Ritchfielda. Ostatecznie to przewodnik powinien nawiązać kontakt z obcym stadem. Ale Sir Ritchfield pokręcił głową.

- Cierpliwości! - parsknął.

Biały Wieloryb się bał. Otello stracił nagle całe zainteresowane literaturą, a pozostali byli zbyt dumni, żeby rozmawiać z owcami bez runa.

W końcu na ochotnika zgłosiła się Zora. Dużo rozmyślała na skalnej półce i uważała, że duma, nawet ta usprawiedliwiona, nie powinna stanowić przeszkody na drodze do poznania świata. Kiedy Gabriel zaczął rozwijać zwój siatki za przyczepą, ruszyła w stronę przybyszów.

Ci akurat się paśli. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, było to, że trzymają się bardzo blisko siebie, bok w bok, ramię w ramię. Pasienie się w takiej ciasnocie musiało być niewygodne.

Nie zwrócili na nią uwagi, chociaż jej zapach dotarł do nich na długo przed nią. Przystanęła tuż za stadem, grzecznie czekając, aż ktoś do niej zagada. To jedna, to druga owca podnosiła głowę i rozglądała się nerwowo na wszystkie strony, lecz ich wzrok przebijał ją na wylot, jakby w ogóle jej tam nie było. Zaskoczona obserwowała je przez chwilę. Wreszcie straciła cierpliwość i głośno zameczła.

Pyski przestały skubać trawę, szyje się wyprostowały. Spojrzały na nią dziesiątki wyblakłych oczu. Ale ona przywykła do patrzenia w otchłań. Stała przed nimi jak na zimnym wietrze i wytrzymała ich spojrzenie.

Może to była próba? Może chciały sprawdzić, czy jest odważna? Zora poruszyła szybko uszami i figlarnie skubnęła kilka źdźbeł trawy. Nie wydarzyło się nic.

Kilka owiec po drugiej stronie stada ponownie spuściło głowę i monotony odgłos żucia powiedział jej, że znowu zabrały się do jedzenia. Ale większość oczu wciąż patrzyła na nią. Musiała przyznać, że zrobiło się jej nieswojo. Biło z nich migotliwe światło, jakie widać czasem na niebie w złą pogodę. A w złą pogodę owce nie mogą jasno myśleć.

Stało się oczywiste, że przybysze nie wyjdą z żadną inicjatywą. Jeśli coś miało się wydarzyć, wydarzenia te musiała sprowokować ona, Zora. Zerknęła na swoje stado. Patrzyło w jej stronę i przez chwilę wydawało się, że patrzy tak jakoś dziwnie. Ale zaraz potem doszła do wniosku, że to nieprawda. Stojący na wzgórzu Sir Ritchfield był stanowczy i uważny. Zbite w gromadkę Chmurka, Matylda, Bystra i Cordelia obserwowały ją z wyczekiwaniem. Stojący przed nimi Biały Wieloryb nie odrywał od niej wzroku. Wiedziała, że z tej odległości Wieloryb widzi jedynie rozmazaną, czarno-białą plamkę. Była wzruszona. Odezwanie się do tych dziwnych owiec przestało być nagle trudne.

- Cześć. - Postanowiła zacząć od czegoś niewinnego. - Smakuje wam nasza trawa? - Za późno zdała sobie sprawę, że mogły to źle odebrać, po myślenie, że to aluzja do tego, że weszły w szkodę.

- Pogoda też jest niezła. - Niebo było szare i ciepłe, powietrze odświeżająco wilgotne, a wokoło pachniała łąka.

Owce milczały. Te, które pospuszczały głowy, żeby sobie pojeść, znowu je podniosły. Może nie lubiły gadać o niczym. Któż to wie, jak mądre książki czytał im Gabriel.

- Możemy porozmawiać o tym, jak dostać się do nieba - zaproponowała. Owce nie zareagowały.

- Bo na pewno można - ciągnęła. - Przecież niektóre baranki już tam są. Tylko jak tam wejść? Trzeba znaleźć jakieś specjalne miejsce? Czy po prostu paść się i paść, cały czas pod górę? - Obserwowała je uważnie. Nic. Wciąż żadnej reakcji. Dostrzegła tylko jedną, lekką zmianę. Niespokojne migotanie w ich oczach przybrało na sile.

- Dobrze, wszystko mi jedno, co o tym myślicie. Nawiasem mówiąc, jestem pewna, że łączy się to z otchłanią, że najpierw trzeba stoczyć z nią walkę. Ale nie przyszłam tu, żeby o tym rozmawiać. - Postanowiła mówić prosto z mostu. - Chodzi o Gabriela. Jest waszym pasterzem od długiego czasu. Chcieliśmy się dowiedzieć, co wam czyta. Owce patrzyły na nią i milczały. Nie rozumiały, co powiedziała? Niemożliwe. Żadna owca nie może być aż tak głupia.

- Pasterz - prychnęła. - Rozumiecie? Gabriel. Gabriel! - Spojrzała w stronę przyczepy i zobaczyła, że Gabriel prawie skończył przygotowywać kolejny zwój siatki.

Pora wracać.

Jeszcze raz popatrzyła na stado i nie zauważyła w nim żadnej zmiany.

Tuż obok, ledwie kilka kroków dalej, stał dziwny baran. Posłała mu wściekłe spojrzenie i... znieruchomiała. Dopiero teraz stwierdziła, że obcy wcale nie są tacy mali. Nie mieli zbyt długich nóg, to prawda, mieli za to długie ciała i byli potężnie zbudowani. Stojący obok baran

robił wielkie wrażenie i skojarzył się jej z rzeźnikiem. Na pożegnanie chciała rzucić coś sarkastycznego i szyderczego, ale zmieniła zdanie i uznała, że lepiej będzie stąd uciec, i to jak najszybciej. Baran spojrział na nią i zdawało jej się, że to dziwne migotanie w jego oczach nagle ustało. Po raz pierwszy naprawdę na nią patrzył. A potem powoli, niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

Zora odwróciła się i pogalopowała prosto na skalną półkę.

Gabriel skończył stawiać ogrodzenie koło południa. Usiadł na schodach przyczepy, tam, gdzie zawsze siadał George, i zapalił fajkę. Zapach delikatnych smużek dymu dziwnie zakręcił owcom w nosie. Prawdziwy Gabriel ukrywał się za dymem, w miejscu, gdzie nie mogły zwirzeć żadnego zapachu. Nawet Matylda musiała przyznać, że kiedy siedzi za tą pachnącą zasłoną z owczej wełny i tytoniowego dymu, nie jest w stanie nic o nim powiedzieć.

Już dawno nie było tak spokojnego południa. Na spokój ten składało się łagodne słońce, na wpół przesłonięte mglistymi chmurkami, wspaniała widok nieskazitelnie błękitnego morza i brzęczenie owadów. Jednakże najlepsza z tego wszystkiego była ulga płynąca ze świadomości, że na schodach przyczepy siedzi tak sprawny pasterz. To i czekanie na jego wieczorne opowieści.

Kiedy jednak zobaczyły jadącego ku nim rowerzystę, cały spokój nagle prysnął. Nie ufały rowerzystom. Dla bezpieczeństwa wycofały się na wzgórze. Ale rowerzysta wcale ich nie ścigał. Pojechał prosto do Gabriela.

Stojąc w bezpiecznej odległości, trochę się uspokoiły, zastrzygły nerwowo uszami i czujnie je nadstawiły. Rozpoznały go, kiedy tylko zsiadł z roweru i stanął przed Gabrielem. W dniu śmierci George'a przyszedł z nim na łąkę, z nim, z Lilly i z Hamem, i był pierwszym człowiekiem, który oglądał zwłoki. Tak, to był Josh, wysoki chudzielec, który poprzedniej nocy przyciskał nos do okna przyczepy. Miał pachnące alkoholem palce, pachniał też mydłem i niemytymi nogami. Emanował czymś lekko gorzkawym. Biały Wieloryb schował się za dolmenem i ostrożnie wyjrzał przez szparę między głazami.

Co odważniejsze owce, takie jak Otello, Chmurka i Zora, z ciekawości podeszły nieco bliżej.

- Cześć, Josh - rzucił Gabriel, nie wyjmując z ust fajki i przeszywając gościa spojrzeniem niebieskich oczu. Owce wiedziały, jak przybysz musi się teraz czuć. Na pewno miał rozanielony wyraz twarzy i zmiękły mu nogi w kolanach.

Poszperał nerwowo w kieszeni, wyjął klucz i podał go Gabrielowi.

- To od Kate. Znalazła go w pudełku z herbatnikami, dasz wiarę? - Roześmiał się głośno. Owce rozumiały, dlaczego tak się denerwował. Pewnie te herbatniki zjadł.

- Kate mówi, że to musi być w przyczepie - dodał. - Bo w domu na pewno nie ma.

- Aha. - Gabriel wziął klucz i położył go niedbale na najwyższym stopniu schodów.

- Gabriel?

Nad przyczepą przeleciała ciekawska sroka. - A jeśli tego nie znajdziemy? Co wtedy?

- Jeśli nie znajdzie tego nikt inny... - Niebieskie oczy Gabriela sondowały błękitny jak morze kłąb dymu, który buchnął mu z ust.

- Gabriel, czy ty wiesz, co mówisz?

Pasterz wyglądał tak, jakby tego nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

- Gadają, że tu tego nie ma - ciągnął uparcie chudzielec. - Że wszystko jest w testamencie.

- W takim razie dowiemy się już w niedzielę - odparł Gabriel. Chudzielec wydał nerwowy odgłos. Potem skulił się i ruszył z powrotem do roweru. Zrobił ledwie trzy kroki, gdy Gabriel go zawołał.

- Josh, tak przy okazji...  
- Tak?  
- Dość tych głupot. Rozumiesz? Skończcie z tym. Natychmiast.  
- Głupot? - powtórzył zaniepokojony chudzielec. - Jakich głupot?  
- Takich, jak choćby ta nocna wyprawa do przyczepy George'a. Co to za pomysł? Owce tylko straszycie.  
Chmurka była wzruszona. Gabriel myślał o nich nawet w takiej chwili.  
Wyglądało na to, że Josh nie chce rozmawiać o nocnej wyprawie.  
- Co to za rasa? - spytał, patrząc krytycznie na owce Gabriela i mówiąc bardzo szybko. - Dziwne jakieś. Nigdy takich nie widziałem.  
- Nowy gatunek tucznych - odparł Gabriel kącikiem ust. Jego niebieskie oczy wciąż patrzyły na Josha. Zapadło długie milczenie.  
Chudzielec westchnął.  
- Ty naprawdę wszystko wiesz, co?  
Gabriel powiedział coś po gaelicku. Owce zastanawiały się, czy ma w ustach dwa języki.  
- Nic nie dało się zrobić - odparł Josh. - Ci idioci, Tom i Harry, i tak by tu przyszli. Znaleźć trawę, uniknąć skandalu, najważniejsza jest turystyka: w kółko to samo. Jakby to wszystko załatwiało. Nie zdają sobie sprawy, że tak nie jest. Dlatego pomyślałem, że lepiej będzie, jak z nimi pójde, rozumiesz? Dałem im zły klucz, żeby nie zabierali narzędzi i nie weszli.  
Gabriel kiwnął głową i Joshowi wyraźnie ulżyło. Mówienie przychodziło mu teraz dużo łatwiej.  
- Ale wiesz co? Nie byliśmy wczoraj sami. Ktoś tu przyjechał. Ktoś obcy. Pewnie handlarz, jeden z tych od narkotyków. Coś się dzieje. Jeśli znajdą to przed nami...  
Znowu przeleciała nad nimi sroka. Oczywiście nie wiadomo, czy ta sama, ale zatoczyła elegancki krąg i głośno skrzecząc, usiadła na dachu przyczepy.  
- Niczego nie znajdą - przerwał mu Gabriel. - Nie wiedzą o kasecie. Szukają tylko towaru. Tak czy inaczej, jestem tu i pilnuję. Uspokój chłopaków z pubu.  
Josh entuzjastycznie kiwnął głową. Owce wiedziały, jak się czuł. Miał oddać Gabrielowi przysługę i było mu miło.  
- Gabriel? - Szedł już do roweru, lecz nagle się odwrócił.  
Pasterz przełożył fajkę z prawego kącika ust do lewego i spojrzął na niego pytająco.  
- Dobrze to załatwiłeś. - Josh zatoczył ręką szeroki łuk obejmujący przyczepę, owce i całą łąkę.  
- Dopóki nie otworzą testamentu - odparł Gabriel - ktoś musi zajmować się owcami. Ci z zarządu bardzo mi dziękowali. Dobro zwierząt. Przepisy higieniczne i tak dalej. No i zaoszczędzę trochę na paszy. - Uśmiechnął się czarująco. - A poza tym - dodał, poklepując ręką stopień schodów - mogę tu siedzieć, ile chcę.  
Josh uśmiechnął się z ulgą. Skinął mu na pożegnanie głową, wsiadł na rower i odjechał z kłopotem w kierunku wsi.  
Gdy tylko zniknął za zakrętem drogi przez łąkę, brązowa ręka Gabriela znowu spoczęła na schodach. Lecz szukała na próżno. Bo klucza już tam nie było. Puszczając do niego błyszczące zajaczkę z dachu przyczepy - z dzioba sroki.

Już dawno nie były tak ambitne jak pod opieką Gabriela. Pasty się sumiennie, stawiając długie, proste kroki. Wdzięcznie wyciągały szyję, czując, że robią dobry uczynek i z przyjemnością jadły nawet suchą, mniej smaczną trawę. Gdy odpoczywały w cieniu starej

stodoły, wysoko trzymały głowę, kątem oka obserwując Gabriela. A on biegał za sroką. Biegał jak rozdokazywane jagnię, od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, tam i z powrotem po całej łące...

## 9. Panna Maple prowadzi śledztwo

Na przykład Glendalough - mówiła kobieta - ten święty. Osiadł tu, żeby żyć jak pustelnik, ale odkąd wszyscy się o tym zwiadzieli, nie mógł opędzić się od pielgrzymów. Był to najpopularniejszy cel pielgrzymek w średniowieczu, a dlaczego? Dlatego że ludzie są zwierzętami stadnymi. Trzeba ich przekonać, że przyjeżdżają tu dosłownie wszyscy, i jeśli w to uwierzą, na pewno też przyjadą. To proste. - Kobieta z uśmiechem odgryzła kawałek maślanej babeczki. Jej sukienka była czerwona jak jesienne jagody.

Stał przed nią cały koszyk babeczek. Babeczki były starannie przykryte serwetką, żeby nie siadały na nich muchy, ale owce czuły ich zapach mimo to. Kobieta zanurzyła babeczkę najpierw w dobrze ubitej śmietanie, a potem w czerwonym słoiku. Wzięła dzbanek, naląła herbaty do plastikowego kubeczka, wrzuciła dwie kostki brązowego cukru i dodała śmietanki. Babeczki, dżem, herbata, cukier i śmietana: wszystko to stało na wielkim piknikowym obrusie w jaskrawą kratę. Była tam również butelka soku pomarańczowego, biały ser, kruche ciasteczka, grzanki, mały słoik majonezu i sałatka z pomidorów posypanych drobno siekaną pietruszką. Obrus zajmował kawałek łąki w pobliżu urwiska i kobieta rozłożyła go na szczęście w miejscu, gdzie wszystkie interesujące rośliny zostały już wyjedzone. Owce nie lubiły jaskrawych kolorów i były trochę zdenerwowane - zdenerwowane, tym bardziej że po letnim tańcu ze sroką Gabriel zostawił je samym sobie.

Nad pasionkiem unosiły się zapachy, których istnienia nigdy dotąd nawet nie podejrzewały, unosiły się i mile łechtaly je w nozdrza. Owce trzymały się w bezpiecznej odległości, lecz z nieukrywanym łakomstwem spoglądały na koszyk z babeczkami i miseczkę z sałatką.

Obok obrusa siedziała Świętoszka Beth, czarny obraz skrępowania o chudych nadgarstkach. Miała schludną, skromną fryzurę i robiła wszystko, żeby jej obfita spódnica zajmowała jak najmniej miejsca. Niczego nie jadła, ale od czasu do czasu podnosiła rękę i ścisnęła palcami mały, błyszczący przedmiot na piersi. Ilekroć to robiła, słoik majonezu niebezpiecznie chybotął.

- Wiara - westchnęła. - Nielatwo jest wierzyć.

- Nam nie. Innym tak. - Czerwona kobieta się roześmiała. Sięgnęła po drugą babeczkę i ochrzciła ją śmietanką. - Proszę się częstować.

Beth bez słowa pokręciła głową. Popatrzyła na dolmen.

- Powinna pani coś zjeść - zachęcała kobieta. - Są dobre. Chyba niewiele pani je - dodała, zerkając na jej chude, porośnięte włosami ręce. - Tak - odparła Beth. - Niewiele. Mieszkam obok restauracji z daniami na wynos. Widok ludzi, którzy obżerają się do nieprzytomności, zamiast myśleć o zbawieniu duszy, odbiera mi apetyt.

Na czerwonej kobiecie nie zrobiło to wrażenia. Z lubością wbiła zęby w babeczkę.

- Wie pani, co jest najdziwniejsze? - powiedziała trochę niewyraźnie, bo nie skończyła jeszcze przeżuwać jedzenia. - Wie pani, kiedy ludzie uwierzą, że wszyscy tu przyjeżdżają? Kiedy wzmówicie im, że to pustkowie. To ich przekona. Wszyscy szukają odosobnienia. Jeśli miejsce jest odosobnione, zwalą się tu tłumy ludzi, żeby się nim nacieszyć.



Beth patrzyła tępo przed siebie. Zachybotał słoik majonezu.

Matylda myślała o jej nieprzyjemnym zapachu. Świętoszka pachniała czymś gorzko-kwaśnym. Długą głodówką i przedwczesną śmiercią. Psuła jej przyjemność wachania zapachów bijących z jaskrawego obrusa.

- Naprawdę nie rozumiem, czym się tak martwicie - dodała czerwona kobieta. Zupełnie nie przeszkadzało jej to, że Beth brzydko pachnie i przez cały czas milczy. -Tu jest wprost bajecznie. W miejscu takim jak to każdy czułby się dobrze.

- Ja się nie czuję - odparła Beth. - I chyba nikt z Glennkill. Działy się tu straszne rzeczy. Nie powinnam tak mówić, powinnam starać się panią przekonać, że jest zupełnie inaczej. Mimo to mówię. Nie dam się już zastraszyć. Pan jest ze mną.

- Straszne rzeczy? - powtórzyła nieporuszona kobieta. - Tym lepiej! Ludzie uwielbiają straszne rzeczy. Święty torturowany przez pogan? Wspaniale! Poganin wrzucony do morza przez świętych? Jeszcze lepiej! Nic tak nie sprzyja turystyce jak zbrodnia.

Nie miała żadnych problemów ze słowami. Cordelia słuchała jej z podziwem. Ta kobieta musiała znać mnóstwo opowieści.

Beth głośno przełknęła ślinę. Zabrzmiało to jak stłumiony chichot, ale każdy, kto spojrzałby na jej twarz, od razu poznałby, że był to stłumiony szloch.

Czerwona kobieta zauważyła to i spoważniała.

- Było tu jakieś morderstwo? - spytała. - Przepraszam. Nie wiedziałam. - Odłożyła na obrus na w pół zjedzoną babeczkę.

-Tak, morderstwo - potwierdziła ponuro Beth. Słoik majonezu ponownie zachybotał.

- To był pani krewny? - spytała łagodnie kobieta. - Narzeczony? Świętoszka pokręciła głową.

- Nie, nikt z rodziny. A już na pewno nie narzeczony. Uśmiełby się gdyby to usłyszał. Zawsze się ze mnie śmiał. Ale chodziliśmy razem do szkoły. Umarł straszną śmiercią, śmiercią poganina.

- Czytałam o tym w gazecie - powiedziała w zadumie kobieta. - Zabito go szpadlem. Niezbyt to miłe. Ale proszę się nie martwić, na turystykę na pewno to nie wpłynie. Oczywiście dobrze by było, gdyby aresztowano mordercę. Mają już podejrzanego?

Czerwona kobieta sięgnęła po sałatkę. Przez stado przetoczyło się bezgłośnie westchnienie. Sałatka z pomidorów interesowała owce bardziej niż pozostałe smakołyki na obrusie. Miały nadzieję, że kobieta naje się babeczkami i sałatkę zostawi nietkniętą. Ale perspektywy wyglądały marnie, przynajmniej na razie.

- Powiadają, że chodziło o pieniądze czy o narkotyki, a nawet o coś jeszcze gorszego. - Beth spiekła raka. - Ale to jeszcze nic. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że w Glennkill coś się dzieje... - powiedziała to wyższym, bardziej piskliwym głosem, który zupełnie nie przypominał głosu Świętoszki. Owce podskoczyły i nerwowo zastrzygły uszami. - Że krąży tu bestia w ludzkiej skórze, bestia o tak schorowanej, tak bezbożnej i zrozpaczonej duszy, że...

Beth patrzyła kobiecie prosto w oczy, ale ta wytrzymała jej spojrzenie, nawet nie mrugnawszy okiem. Potem zanurzyła widelec w miseczce z sałatką i wyjęła z niej malutkiego pomidora. Owce nigdy dotąd nie widziały tak małych pomidorów. Nawet karłowate pomidory w ogródku George'a (warzywa te nigdy mu się nie udawały) były przy nich prawdziwymi gigantami. Ale pachniały tak jak te duże. Pachniały przeapetycznie i szybko znikwały między nieskazitelnie białymi zębami czerwonej kobiety.

Teraz, kiedy Świętoszka zaczęła w końcu mówić, nie sposób ją było powstrzymać.

- Widzi pani, to nie było zwyczajne morderstwo, takie, które dałoby się logicznie wyjaśnić i zrozumieć. Zupełnie nie przypominało tych w telewizji, bo w tych telewizyjnych zawsze chodzi

o pieniądze albo o władzę. Nie, ja po prostu to czuję. Roznoszę broszury, cudowne pisma ewangeliczne i jeśli robi się to wystarczająco długo, tak jak ja, bez trudu wyczuwa się ludzi. Może się pani ze mnie śmiać, ale ja ich wyczuwam.

Głos Świętoszki, który zupełnie nie przypominał teraz głosu Świętoszki zadrżał i zawibrował. Nie zadrżała natomiast ręka czerwonej kobiety, która podnosiła do ust widelec, tym razem aż z dwoma małutkimi pomidorami.

- Mogłabym pani powiedzieć takie rzeczy, że... To morderstwo ma coś wspólnego z duszą, powiem tylko tyle. Z wyrzutami sumienia. Ten, kto to zrobił, odróżniał dobro od zła, ale był za słaby, żeby postąpić właściwie. To takie straszne, kiedy jest się na to za słabym. Ma się wtedy ochotę wziąć nóż i wyciąć tę słabość z własnego ciała. Wziąć nóż i... Ale słabość ta wciąż tam jest i przychodzi taka chwila, kiedy nie ma już wyboru, kiedy trzeba zniszczyć to, co silne. A niszczenie tego, czego nie można osiągnąć, jest najgorszym ludzkim grzechem. Boże, nie opuszczaj mnie.

Świętoszka powiedziała to z zadartą głową, jakby przemawiała prosto do nieba i jakby zupełnie zapomniała o czerwonej kobiecie. Ale teraz znowu patrzyły na siebie. Kobieta miała zwięzione oczy. Zapomniany widelec z dwoma małutkimi pomidorami zawisł w powietrzu tuż przed jej czerwonymi ustami. Oczy Świętoszki z kolei były okrągłe jak oczy dziecka. Na jej twarzy błąkał się smutny uśmiech. Owce też zapomniały o pomidorach, oczywiście tylko na chwilę. Nigdy dotąd nie widziały, żeby Beth się uśmiechała. Wyglądała bardzo ładnie. A przynajmniej ładniej niż zwykle.

- Wiem, że to dla pani dziwne, ale ja takie rzeczy naprawdę wyczuwam.

Czerwona kobieta pokręciła głową. Chciała coś powiedzieć, ale Świętoszka nie pozwoliła jej dojść do głosu. Świętoszka, która nie pozwala komuś dojść do głosu, była czymś zupełnie nowym.

- Widzi pani, rozmawiałam z policją. Ja i tylko ja, bo nikt inny tego me zrobił. Proszę sobie tylko wyobrazić: cała wieś i tylko ja poszłam na policję. To milczenie nas wszystkich udusi.- Beth wzięła głęboki oddech. Policja twierdzi, że George'a najpierw otruto. Że spokojnie zasnął. I że dopiero potem użyto szpadla. Kiedy już nie żył, rozumie pani? Pytanie tylko dlaczego, a ci z wydziału zabójstw pewnie wcale się nad tym nie zastanawiają. Ale ja roznoszę broszury już od lat, od drzwi do drzwi, od domu do domu. Dlatego dobrze wiem, jacy to poganie.

Czerwone usta zamknęły się na dwóch równie czerwonych pomidorach.

- Jest taki stary przesąd. Kiedy ktoś umiera, przez pierwszą godzinę po śmierci nie wolno podchodzić do ciała. Podobno czyhają tam diabelskie psy, chcąc połknąć duszę zmarłego. A dusza George'a należała już do diabła, o tak. Wyobraża pani sobie, jak przerażona musi być dusza w ciele człowieka przebitego szpadlem? Wyobraża pani sobie, ile odwagi trzeba, żeby to przerażenie pokonać? Mówi pani, że morderstwo nie wpłynie na handel i turystykę. Ale ja czuję, że Glennkill nie będzie w stanie powrócić do normalnego życia, dopóki czarna owca nie opuści wreszcie naszego stada.

Świętoszka gwałtownie wstała i zrobiła to jednym, zaskakująco płynnym ruchem. Otello posłał jej złe spojrzenie. Siedząc, Beth miała w sobie odrobinę elegancji, ale stanąwszy na dwóch nogach, momentalnie ją straciła.

- Jeśli ma pani jakieś pytania na temat możliwości turystycznych naszego regionu, proszę przyjść do biura parafialnego. Jest otwarte codziennie od dziesiątej do dwunastej, a w środy pracujemy od dziewiątej.

Już miała się odwrócić, ale czerwona kobieta łagodnie przytrzymała ją za rękaw. Wciąż miała zwięzione oczy.

- A gdybym chciała zadać kilka pytań na temat George'a? - szepnęła. Miała głęboki głos.

Matowy, naprawdę piękny. Głos w sam raz do czytania.

Beth zamarała. Jej oczy ponownie przeszukały bezchmurne, błękitne niebo. Kiedy w końcu spojrzała w dół, na jej ustach błdził cień uśmiechu.

- W takim razie - szepnęła - proszę przyjść do mnie dziś wieczorem. Niebieski dom naprzeciwko kościoła. Od frontu jest restauracja z daniami na wynos. Mieszkam od podwórza.

Beth odeszła. Robiła się coraz mniejsza i mniejsza i wkrótce stała się tylko czarnym punkcikiem, ostro zarysowanym na tle przedwieczornego nieba. Czerwona kobieta patrzyła za nią bez ruchu. W miseczce leżał zapomniany pomidor. Już ostatni.

Dostał go Otello. A teraz stał sobie spokojnie i z rozmarzeniem patrzył, jak czerwona kobieta pakuje resztę jedzenia do koszyka i skrajem urwiska powoli odchodzi w kierunku wioski. Otaczały go zazdrosne owce. Skąd ten Otello zawsze wiedział, co zrobić? Kto nauczył go tak wprawnego obchodzenia się z ludźmi? Skąd wiedział, że trzeba stanąć przed kobietą, tuż zanim ta schowała miseczkę, stanąć bardzo umiejętnie, bo ani nachalnie, ani wstydliwie? Kobieta zobaczyła go, roześmiała się chrapliwie śmiechem, bardzo podobnym do śmiechu George'a, i wyciągnęła miseczkę w jego stronę. A wtedy Otello spokojnie zjadł ostatniego pomidora.

Dlatego owce były teraz w złym humorze. Żadna z nich nie śmiała się zrobić tego co on, zwłaszcza z kimś zupełnie obcym, mimo to żywiły do niego urazę. Tylko panna Maple była zamyślona. Zamyślona do tego stopnia, że pasąc się, przegapiła kępkę koniczyny.

- Ona nie jest głupia - wymamrotała ni to do siebie, ni do pozostałych.

- Beth nie jest głupia. Za dużo myśli o duszach, za mało o ludziach, ale nie jest głupia.

- Ta czerwona też nie. - Otello powiedział to z odrobiną zbyt dużą dumą w głosie.

- O nie. - Panna Maple pokręciła głową. - Ta czerwona też nie.

- Nie spodziewałabym się, że George może mieć dziecko - odezwała się Matylda.

- Wyczuliście to, prawda?

Do ciekawej rozmowy między panną Maple, Otellem i Matyldą dołączyło kilka zaciekawionych owiec. One też pokiwały głową. Rodzinny zapach. Pot, skóra i włosy. Nie ulegało wątpliwości, że czerwona kobieta jest córką George'a.

- Nie wiemy, co to znaczy - powiedziała Cordelia. Tożsamość barana, który spłodził jagnię, nie ma dla owcy żadnego znaczenia, ale któż to wie, jak to jest z ludźmi. W jednej z powieści o Pamelach występował ojciec, który trzymał córkę pod kluczem, żeby nie mogła uciec z jakimś baronem.

- Tak czy inaczej, Pamela od szarlotki na pewno nie jest jej matką - powiedziała Chmurka. Skonsternowane owce wymieniły spojrzenia. Co to znaczy? I czy to naprawdę ważne?

- Ale tak - kontynuowała panna Maple - czerwona kobieta powie działa coś ważnego. Jest taka sama jak George i zawsze mówi ważne rzeczy w taki sposób, że je rozumiemy. Powiedziała, że ludzie są zwierzętami stadnymi. Myślę, że ma rację.

Panna Maple zapomniała o jedzeniu i pogrążona w głębokiej zadumie krążyła teraz po pasionku.

- Ludzie mieszkają w jednym miejscu, w wiosce. Razem przyszli obejrzyć szpadel. Tak, są zwierzętami stadnymi tak samo jak my. Ale dlaczego...

Panna Maple znieruchomiała.

- Dlaczego to dla nas nowość? Dlaczego nie wiedzieliśmy, że ludzie są zwierzętami stadnymi? Odpowiedź jest prosta!

Przyjrzała im się uważnie. Po ich minach poznała, że prosta bynajmniej nie jest. Już miała mówić dalej, gdy odezwał się podekscytowany Sir Ritchfield.

- Opuścił stado! - zameczał. - George opuścił stado! Panna Maple kiwnęła głową.

- Tak. George opuścił ludzkie stado. Nigdy do niego nie należał. Albo został wygnany.

Zawsze był zły na ludzi z wioski, wszyscy o tym wiemy. Może jego śmierć to kara za opuszczenie stada.

Przerażone owce zamilkły. Ich pasterz opuścił ludzkie stado: straszna myśl.

- Ale żeby aż diabelskie psy? - szepnęła Cordelia. - Nie zasłużył na to. Bystra zadrżała.

- Muszą być straszne, skoro nawet ludzie się ich boją. Może wilczy duch to tak naprawdę diabelski pies?

Mimo słonecznej pogody na myśl o wilczym duchu w runie wszystkich owiec zagnieździł się mglisty strach. Odruchowo zbiły się w gromadkę. Chmurka niespokojnie zameczała.

Tylko Matylda miała kpiącą minę.

- Diabelskie psy wcale nie muszą być duże - powiedziała. - Pomyślcie tylko, jak mała jest ludzka dusza. Sięga im do kolana. I to najwyżej do kolana. Poradziłby sobie z nią nawet bardzo mały pies.

Owce spróbowały przypomnieć sobie, jak wyglądał najmniejszy pies, jakiego kiedykolwiek widziały. Był wielkości dużego buraka, miał złotawą sierść, spłaszczony nos i ujadał na nie z ramion jakiejś turystki. Czy właśnie tak wyglądał diabelski pies? Albo duch wilka? Takich psów nie musiały się bać.

Panna Maple niecierpliwie pokręciła głową.

- Ważne jest to, że w oczach ludzi ich dusza jest duża. Beth ma rację. Ludzie myślą, że diabelskie psy są wielkie i straszne. Ale w takim razie dlaczego nie bali się przebić George'a szpadlem?

Owce rozważyły to pytanie, ale nie doszły do żadnego wniosku.

Panna Maple myślała dalej.

- Wiemy, dlaczego nikt nie słyszał jego krzyku. Nikt nie słyszał jego krzyku, bo George wcale nie krzyczał. Już nie żył, kiedy ktoś wbił w niego szpadel. Dlatego na pasionku było tak mało krwi.

Owce były zdumione. Teraz, kiedy panna Maple to powiedziała, sprawa była jasna i przejrzysta jak kałuża czystej wody.

Panna Maple potrząsnęła uszami, żeby odpędzić kilka much.

- Ale to niczego nie wyjaśnia. Po co ktoś miałby przebijać szpadlem martwego George'a?

Zapadła niezręczna cisza. Czy którakolwiek owca mogła odpowiedzieć na tak trudne pytanie? Ale panny Maple to nie zniechęciło. Znowu zaczęła krążyć nerwowo po pasionku.

- Tak, oczywiście, teraz możliwości jest więcej. Może morderców było dwóch? Jeden George'a otruł, a drugi myślał, że zabił go szpadlem. Albo szpadel miał zmylić trop, zamaskować prawdziwe morderstwo. Ale moim zdaniem... - Panna Maple przystanąła, żeby skubnąć kilka stokrotek. - Moim zdaniem ten szpadel to głupia sztuczka. Coś, co wymyśliłyby razem dwa małe jagnięta. Może morderca odważył się użyć szpadla dlatego, że był z nim ktoś jeszcze?

Nieco później owce rozeszły się po łące, żeby trochę pojeść, ale jagnię, które nie miało jeszcze imienia, wciąż stało jak wryte w miejscu, gdzie ich rozmowa dobiegła końca. Wtulone bezpiecznie w mięciutkie runo Chmurki słyszało każde słowo. Początkowo szukało tylko ciepła. Ale w puszystym runie Chmurki zaczęło się całe trząść. Żałowało, że nie jest na tyle odważne, żeby odezwać się w obecności tych wszystkich starych, doświadczonych owiec. Ale czy by mu uwierzyły? Czy by je wysłuchały? Dlatego w końcu się nie odezwało. Chciało im powiedzieć, że się mylą.

Chciało im powiedzieć, że panna Maple, najmądrzejsza owca w całym Glennkill, a może nawet najmądrzejsza owca na całym świecie, popełniła straszliwy błąd.

Bo wilczy duch wcale nie był złotawy. Wilczy duch był kudłaty i szary. Jagnię wiedziało, że owce nie mogą zapomnieć o wilczym duchu, ponieważ duch ten wciąż grasował wśród wzgórz za pastwiskiem. Wieczorami, kiedy księżyc już wzeszedł, ale kiedy niebo nie było jeszcze blade i kiedy wszystko miało głęboki, intensywny zapach, wyczuwało się to tak, jak wyczuwa się ciemność, nawet z zamkniętymi oczami. Jagnię pomyślało, jak wilczy duch rozpostarł czarne skrzydła nad dolmenem, i po raz drugi usłyszało jego chrapliwy krzyk.

Pozostałe owce spokojnie pasły się dalej.

Jednakże każdy, kto przyjrzałby się im uważniej, od razu stwierdziłby, że ta sielska atmosfera jest bardzo złudna i że powoli, acz systematycznie za przyczepą George'a, gdzie nie widział ich Sir Ritchfield, zbiera się mała grupa odważnych owiec.

Owiec, które zamierzały opuścić stado.

To panna Maple wpadła na ten pomysł.

Była absolutnie zdecydowana pójść wieczorem do wioski i podsłuchać rozmowę między Świętoszką Beth i czerwoną kobietą. Ale nie sama - nie śmiała zrobić tego ponownie. Dlatego wezwała Zorę i Otella, bo byli najdzielniejsi, Bystrą, bo myślała bardziej pragmatycznie niż inni, Chmurkę, bo zawsze pasły się razem, no i Białego Wieloryba, bo Wieloryb wszystko pamiętał.

Jej propozycja nie spotkała się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem.

- Żadna owca nie może opuścić stada! - zabczała Chmurka. Uważała, że nic więcej nie trzeba dodawać.

- Ale my nie opuszczamy stada - wyjaśniła panna Maple. - Opuścilibyśmy je wtedy, gdyby do wioski poszła tylko jedna z nas. Ja poszłam i popełniłam błąd. Już nigdy więcej tego nie zrobię. Nie wytrzyma tego żadna owca. - Panna Maple aż się wzdrygnęła. - Ale jeśli pójdzie kilka owiec, dwie albo trzy, nie będzie to miało nic wspólnego z opuszczeniem stada. Bo dwie lub trzy owce same stworzą małe stado! - I potoczyła wokoło triumfalnym wzrokiem.

- Moglibyśmy pójść wszyscy - zameczała Chmurka. - Jeśli pójdą wszyscy, to ja też. - Zrobiła odważną minę.

Panna Maple pokręciła głową.

- Nie. W ogrodzie Świętoszki zaroiliby się od owiec. Zaczęłyby coś podejrzewać.

Wszystkie to zrozumiały.

- Musi pójść tylko kilka - ciągnęła panna Maple. - Tyle, żeby mogły ukryć się w cieniu drzew. Jeśli je ktoś zobaczy, na pewno pomyśli, że się zgubiły. Pójdziemy do domu Świętoszki, podsłuchamy, o czym rozmawiają, i wrócimy na łąkę. To łatwe.

- Ale gdzie jest jej dom? - spytała Zora. - Może być wszędzie. - To niebieski dom naprzeciwko kościoła - odparła panna Maple. - Od frontu jest restauracja z daniami na wynos.

- Ale jak tę restaurację znajdziemy? - spytała Bystra. - Albo kościół. Nie wiemy nawet, co to jest kościół.

Rozczarowane, ale i ucieszone, że teraz nikt już nie pójdzie na niebezpieczną wyprawę, owce przygotowały się na długie, niezręczne milczenie. Odczekawszy stosowną chwilę, zaczęły się znowu paść.

I wtedy odezwał się Biały Wieloryb. Ze wszystkich owiec akurat on.

- W restauracji z daniami na wynos są frytki - wymamrotał zamyślony między kolejnymi ruchami przeżuwanymi trawę szczęk. Widać było, że nie uważał. Dopiero gdy zapadła cisza, podniósł głowę i spojrzał prosto na pannę Maple, która patrzyła na niego błyszczącymi oczami.

Wieloryb był jedyną owcą w stadzie, która miała jakiegokolwiek doświadczenie z frytkami. George poczęstował go kiedyś jednym z tych ociekających tłuszczem patyczków tylko po to, by

uwierzył, że frytki nie będą mu smakowały. Od tamtej pory Wieloryb wiedział, jak pachną, a nawet jak smakują. I na pewno ten zapach pamiętał.

Biały Wieloryb szukający jedzenia będzie jak owczy radar. Plan był niemal doskonały.

## 10. Pelargonie dla Wieloryba

Pośrodku Glennkill był mały, nieciekawo wyglądający plac, gdzie stała parkowa ławka, marmurowa kolumna z napisem i gdzie rosły cztery zaniedbane drzewa oraz żywopłot, za którym można się było schować. Żywopłot rzucał dwa cienie: jeden był rozmyty i złotawy, drugi zimny, ostry i wyraźny.

Po jednej stronie placu stał dom z pomalowanym dachem, oświetlony złotawym światłem reflektorów. Po drugiej wisiał zimny neon restauracji z daniami na wynos.

Za restauracją czaiła się ciemność.

A w ciemności tej czaiły się trzy owce.

Panna Maple, Otello i Biały Wieloryb wyruszyli o zmierzchu, żeby podsłuchać rozmowę między Świętoszką Beth i czerwoną kobietą. Wieloryb był zły. Żeby zachęcić go do udziału w wyprawie, obiecano mu frytki, ale kiedy już doszli do wioski, panna Maple i Otello przepędzili go szybko przed drzwiami restauracji. Zaglądał teraz z nimi przez okno, bo kazano mu obserwować Beth, która jadła właśnie surowe warzywa - kalarepę, marchewki, rzodkiewki i seler - i na którą czekały jeszcze dwa jabłka na deser. Żeby cokolwiek zobaczyć, musiał oprzeć przednie kopytka na przewróconej do góry nogami ławce pod stojącą na parapecie skrzynką z kwiatami i dobrze wyciągnąć szyję. Ta niezwykła pozycja zaczynała przyprawiać go o ból karku.

Z ulicy dochodziły niepokojące odgłosy: warkot samochodowych silników, śmiech ludzi, szczekanie psów. Podwórko, gdzie stali, wciągało te dźwięki, ciskało nimi o ścianę domu, o ścianę drugiego domu i ślepa ścianę garażu.

Skończywszy kolację, Świętoszka wstała. Na talerzu została marchewka, trzy rzodkiewki, seler i duże jabłko. Wieloryb znowu odzyskał nadzieję, ale Świętoszka wyniosła talerz z pokoju i wróciła z pustymi rękami. Usiadła w fotelu i zaczęła bawić się drewnianymi paciorkami na sznurku. Przesuwała je między palcami, monotonicznie mrucząc: Ojczenaszktóryś jestwniebiesięć-sięimię...

Kiedy czyjeś zdecydowane kroki minęły restaurację i zastukały na podwórzu, była tak zajęta paciorkami, że nawet ich nie usłyszała. Ale owce od razu wiedziały, kto skrzyknął za róg, rzucając jasny, neonowy cień. Czerwona kobieta wciąż pachniała ziemią, słońcem i zdrowiem, chociaż wszystkie te rozkoszne zapachy częściowo zagłuszał papierosowy dym.

Zdenerwowany Wieloryb zmrużył oczy i spojrzał za siebie, szukając drogi ucieczki. Ale owce ani drgnęły. Wszystko dobrze przeciwiczyły i wiedziały, że jeśli tylko kobieta nie minie drzwi, na pewno nie zauważy ich za krzakiem żarnowca.

Kobieta zapukała i Świętoszka podskoczyła w fotelu. Szybko odłożyła paciorki, kciukiem prawej ręki zrobiła na piersi jakiś znak i pospieszyła do drzwi. A potem obydwie zniknęły im z oczu i przez chwilę owce słyszały jedynie niewyraźny pomruk ich głosów. Jakie to było podniecające. Nigdy dotąd nie widziały ludzkiego domu od środka. Wchodzenie różniło się jak widać od wychodzenia.

Za oknem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła czerwona kobieta, z tym że tym razem nie była czerwona. Miała na sobie niebieskie spodnie i zieloną bluzkę, a tuż za nią weszła Świętoszka Beth.

- Rebeka - powiedziała kobieta. - Proszę mi mówić po imieniu. Ale Świętoszka milczała. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa.

- Pani nie przyjechała tu w interesach - odezwała się w końcu Świętoszka. - Pani przyjechała tu ze względu na George'a.

Rebeka kiwnęła głową.

- Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o jego życiu. I śmierci. A jeśli przy okazji uda mi się zwiększyć ruch turystyczny w Glennkill, świetnie, nie mam nic przeciwko temu. - Uśmiechnęła się ironicznie, ale Świętoszka tego nie zauważyła.

- Dlaczego? Pani jest z policji? Najwyższa pora, żeby coś wreszcie zrobili.

Rebeka zaczerwieniła się i odrzekła:

- Nie. Przyjechałam tu z powodów... osobistych. Beth zmrużyła oczy.

- Przecież nic pani o nim nie wie. Skojarzenia są jednoznaczne.

Rebeka spuściła głowę. Milczała.

-I przyszła pani z tym do mnie! - Świętoszka mówiła teraz wzburzonym głosem, wzburzonym prawie tak jak wtedy, kiedy próbowała wcisnąć George'owi broszury. - Akurat do mnie! Myślałam, że jest pani kobietą godną szacunku. Powinnam panią wyprosić, z Biblią w rękę, ale wyprosić. Czego pani tu szuka?

Rebeka wciąż się uśmiechała, lecz jej uśmiech był teraz o wiele smutniejszy.

- Przebaczenia - odparła cicho. - Chyba tak by to pani nazwała.

Jej odpowiedź z najwyższą łatwością dokonała czegoś, czego nie mogły dokonać najostrzejsze uwagi George'a: poraziła Świętoszkę jak grom z jasnego nieba. Szczupłe palce Rebeki kreśliły krzywe linie na komodzie, podczas gdy ona stała naprzeciwko niej jak płacząca wierzba w spokojny dzień.

Biały Wieloryb zaczynał się nudzić. Wyciągnął szyję, skubnął liść rosnącej w skrzynce pelargonii i zaczął głośno żuć. Otello przeszył go gniewnym spojrzeniem. Wieloryb zrobił niewinną minę.

Świętoszka była blada jak ściana.

- Boże - szepnęła. - O Boże... - I nagle jakby coś przyszło jej do głowy. Trochę się uspokoiła. - Herbaty? - spytała.

Rebeka kiwnęła głową.

I wtedy coś stuknęło. W poszukiwaniu pączków pelargonii Wieloryb pochylił się za bardzo do przodu, stracił równowagę i usiadł na zadzie.

Otello cicho prychnął.

-Ty, Wieloryb, jeśli dotkniesz choćby jeszcze jednego pączka, przegonię cię po całej łące, aż zrobisz się chudy jak stara koza.

Biały Wieloryb przestał żuć i wstał. Panna Maple popatrzyła surowo na obydwu barany. Wszyscy troje ponownie zajęli stanowisko obserwacyjne w cieniu za skrzynką na kwiaty.

Ale Świętoszka i Rebeka znowu zniknęły. Słysząc było tylko brzęk porcelany.

- Niczego się pani nie dowie - powiedział głos Świętoszki. - Nie od tutejszych.

- Sprawa jest aż tak skandaliczna? - spytał głos Rebeki.

- Nie do opisanie. Nie do opisanie choćby dlatego, że tak naprawdę nikt nic o tym nie wie. Ot, garść nieistotnych szczegółów, które zupełnie do siebie nie pasują. Ta wieś jest jak przegniłe jabłko. Rozumie pani? Psuje się od środka. Tak jak jabłko.

Wieloryb zrobił minę. To był błąd, niepotrzebnie tu przyszli. Już miał zabrać nogi z okna, gdy wtem panna Maple odkryła, co się stało. Świętoszka i Rebeka wcale nie zniknęły. Po prostu usiadły w niskich, głębokich fotelach i zasłaniały je teraz pelargonie.

- Niech pani spojrzy - powiedziała Świętoszka. Na stole coś zaszeleściło.

- Hm - mruknęła Rebeka. Świętoszka roześmiała się sztucznie.

- Będzie ciekawiej, kiedy powiem pani, gdzie to znalazłam.

Tego było już za dużo. Panna Maple nie wytrzymała.

- Wieloryb! - zameczała cichutko, lecz stanowczo jak przewodnik stada. - Zjedz je. Zjedz te pelargonie. Wygryź w nich dziurę. Szybko! -W Glennkill nie było owcy, która jadłaby szybciej od Białego Wieloryba, i kilka pelargonii nie stanowiło dla niego absolutnie żadnego problemu. Ale Wieloryb ani drgnął. Stał między panną Maple i Otellem i wyglądał tak, jakby cierpiał na niestrawność.

- Biały Wielorybie! - Panna Maple już dawno nie była tak zła. Wieloryb popatrzył na nią z nieszczęśliwą miną, a potem spojrział na Otella.

- No, wcinaj! - warknął czarny baran przez zaciśnięte zęby.

Wystarczyła dosłownie chwila i bujne pelargonie uległy niemal całkowitej zagładzie. Przez wyjedzoną przez Wieloryba dziurę owce zobaczyły siedzące przy stole kobiety. Z wnętrza pokoju wyglądało to tak, jakby Świętoszka posadziła w skrzynce trzy owcze łby. Na szczęście ani ona, ani Rebeka nie patrzyły w okno. Były zbyt pochłonięte rozmową.

- Można by powiedzieć, że to dzieci, że to taki żart - mówiła Świętoszka.

- Hm - powtórzyła Rebeka.

Patrzyły na mały pęk słomy. Ktoś go związał. Ktoś nadał mu kształt człowieka z rękami, nogami i głową. Ktoś przebił go na wylot patykiem.

-Wie pani, jak dzieci nazywały George'a? Królem goblinów! Wyobraża pani sobie? Co im przyszło do głowy? Barbarzyńcy! Oczywiście nazywały go tak tylko za jego plecami. O tak, bały się go jak księcia...

Rebeka kiwnęła głową.

- I myślała pani, że to...

- Głupi, dziecięcy dowcip. W dodatku nie pierwszy. - Świętoszka westchnęła.- Znalazłam to w zeszłym tygodniu na schodach jego przyczepy. Bo nie zrezygnowałam. Bo wciąż miałam nadzieję, chociaż się ze mnie śmiał. Ale nie było go w domu. Ostatnio dużo wyjeżdżał. Znalazłam to i zabrałam. Nie chciałam, żeby zawracał sobie głowę bzdurami o jakichś goblinach.

- Ale teraz myśli pani, że...

- Że było to ostrzeżenie i że przeze mnie o niczym nie wiedział. - Świętoszka uśmiechnęła się smutno. - Ale cóż. I tak by mnie pewnie nie posłuchał. Bo George nie słuchał żadnych ostrzeżeń. Nigdy.

Zapadła cisza.

- Dlaczego tak często wyjeżdżał? - spytała Rebeka. - Co robił, kiedy go tu nie było?

Świętoszka skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie wiem. Elegancko się wtedy ubierał, w garnitur i białą koszulę. Wyglądał dziesięć lat młodziej, jak prawdziwy dżentelmen. Ludzie oczy wiście gadali, aleja w plotki nie wierzę. Myślę, że jeździł do Dublina, do jakichś biur czy banków. Chciał stąd uciec, chciał uciec z Glennkill.

- Ale ktoś nie chciał mu na to pozwolić. Tak? Świętoszka tylko westchnęła.

- Miał romans?

Zaszokowana Beth pokręciła głową.

Rebeka uniosła brew.

- Myśli pani, że chodziło o pieniądze? Świętoszka roześmiała się z przymusem.

- Pewnie wszyscy się nad tym zastanawiają. Myślą tylko o pieniądzach. Co za barbarzyńcy! Czy George w ogóle miał pieniądze? W normalnych okolicznościach powiedziałabym, że nie, bo nie było tego widać. Bo co to niby za majątek? Kawalek ziemi, kilka



owiec i mały dom. Większość tutejszych ma dużo więcej. Nieźle zarabiają na turystach, chociaż ciągle narzekają. Ale z drugiej strony, George coś jednak miał. Zegarek. Nikogo z Glennkill nie byłoby na taki stać, nawet Baxtera, tego właściciela pubu, chociaż ma pensjonat i ciągle tyje od tych noclegów ze śniadaniem. Mówię to w przenośni, oczywiście. Jeśli go pani zobaczy, domyśli się pani, o co mi chodzi. - Świętoszka zachichotała jak uczennica.

-A George miał ten zegarek za nic - ciągnęła. - Nosił go, siejąc rzodkiewki. - Jej ręce bawiły się słomianą lalką. W jej głosie pobrzmiwała nutka skrywanego podziwu. - No, a teraz wszyscy czekają na otwarcie testamentu. Otworzą go w niedzielę, publicznie, na placyku. Z miasta przyjedzie notariusz. George wszystko mu powiedział. Ale tych barbarzyńców interesują tylko pieniądze. Proszę mi wierzyć, nigdy dotąd nie czekali na nic z większym napięciem, nawet na ten głupi owczy konkurs.

- Konkurs na najmądrzejszą owcę - powiedziała z uśmiechem Rebeka. - Turystyczny magnes. A George go przyćmił.

- Powinno się tego zakazać - odparła Beth. - Zmuszają zwierzęta do takich rzeczy, że... To idiotyzm. No, ale muszę już iść. Szerzyć słowo Boże.

Lalce odpadła ręka. Wyglądało to tak, jakby słomiany ludzik ścisnął w dłoni garść siana. Szczupłe palce Świętoszki wprawnie przywiązały rękę żdźbłem słomy i lalka znowu była cała.

Panna Maple zdała sobie sprawę, że czuje się nieswojo, i to od kopytek aż po koniuszki włosów w runie. Miała wrażenie, że uszy zarosły jej wełną, że szybę oddzielającą ich od Świętoszki i Rebeki przesłania dym. Słyszała i widziała, ale tak, jakby stała we mgle. Chwilę trwało, zanim zrozumiała dlaczego. Słyszała i widziała, lecz nie wyczuwała kobiet węchem. Obydwie były za szybą i nie pachniały, dlatego nie mogła powiedzieć, czy mówią prawdę, co czują i czego się boją. Był to świat widmowy i niekompletny. Pomyślała, że ludzie, ze swoimi maleńkimi duszami i sterczącymi nosami, czują się tak zawsze. Że rodzi to nieufność. Niepewność. Niepokój i lęk.

-...zmienny, kapryśny - mówiła Świętoszka. - Ale ja w to nie wierzę. Serce człowieka jest dziwne. Zawierza tylko jednemu i jeśli już zawierzy, pozostaje mu wierne na dobre i złe.

Owce były zdumione. Świętoszka zawsze mówiła tylko o ewangelii i o "dobrych uczynkach". Wszystko inne nazywała "gadaniem o niczym". I nagle sama gadała o niczym, nie próbując nawet wcisnąć Rebecce broszurki. W tym nowym, beztroskim nastroju przypominała trochę młode jagnię. Odważne i bezbronne zarazem. Musiała być bardzo zdenerwowana.

- Weźmy na przykład Hama.

- Hama? - powtórzyła Rebeka. - Abrahama Rackhama, tego rzeźnika - wyjaśniła z krzywym uśmiechem Świętoszka. - Jeśli chce się pani czegoś dowiedzieć, musi pani zrozumieć, jak myślą miejscowi. Imię "Abraham" jest dla nich za długie. Trzysylabowe imię nie ma tu szans.

Zmarszczyła czoło.

- Oczywiście są wyjątki. Choćby Gabriel. To zabawne, ani razu o tym nie pomyślałam. Nikt nie śmiałyby mówić mu: "Gabe".

- Ale skąd ten "Ham"?

- Kiedy go pani zobaczy, sama pani zrozumie. Ludzie nie są tu zbyt pomysłowi, dlatego bardziej pasowałby do niego "Abe". Ale jeden Abe już tu jest, poza tym "ham" znaczy szynka. Ham ma dwie szynki w nazwisku, no i jest rzeźnikiem. Och, powinna go pani zobaczyć. Koniecznie!

- Ale dlaczego pani o nim wspomina?

- Bo na pani miejscu zaczęłabym od niego. Zawsze jest taki pobożny, jakby był jedynym człowiekiem na świecie, który czyta Biblię. Ale ludzie się go boją. On też się boi. W sklepie ma... kamerę. I to od lat, bo zainstalował ją wtedy, kiedy znaleźmy je tylko z amerykańskich

filmów. Po co rzeźnikowi kamera w sklepie? Nawet w banku ich nie ma. Moim zdaniem Ham naprawdę się boi, a to znaczy, że coś ukrywa. Tak myślę. Kiedyś mu to powiedziałam, na bożonarodzeniowej zbiórce darów w kościele.

-I?

- Zaczerwienił się. Był zły, zakłopotany. A Ham nie należy do ludzi, którzy łatwo wpadają w zakłopotanie. Nie chcę nawet myśleć, co można by znaleźć w jego rzeźni. Boże, nie opuszczaj nas!

Wieloryb, a raczej jego żołądek, wydawał bulgoczące odgłosy. Otello spiorunował go wzrokiem.

Rebeka oblizwała usta.

- Dziwna wieś. Nie tak ją sobie wyobrażałam. Myślałam, że będzie tu spokojnie.

- Kiedyś było - odrzekła Świętoszka.

- Ale najwyraźniej nie tak spokojnie, jak mogłoby być. Świętoszka pokręciła głową.

- Nie, nie przed śmiercią George'a. Dużo wcześniej. Przed laty. - Zmarszczyła czoło. - Siedem lat temu. Wyjechałam na pół roku do Afryki, a kiedy wróciłam, było już zupełnie inaczej. Więcej podejrzliwości. Mniej strachu przed Bogiem. George'a dotknęło to bardziej niż innych. Odstawał od nas i odstawał, wreszcie stał się odludkiem. A potem... Sama już nie wiem.

- Ale co się właściwie stało?

- Nic - odrzekła z goryczą Świętoszka. - Oczywiście, że nic. Tak mówią. Ale od tamtej pory... - Beth pochyliła się do przodu. - Od tamtej pory czekają, aż coś ich zbawi.

Wielorybowi zadrżały nogi. Zsunął się ze skrzynki i wbił szklisty wzrok w ścianę garażu. Nie wiedzieć czemu, pachniał teraz sfermentowanymi owocami jarzębiny. Przewrócił oczami. Kolka! On, Biały Wieloryb, który na pusty żołądek mógł zjeść każdą ilość świeżej koniczyny, miał kolkę! Pelargonie musiały być złośliwe jak wilk!

Otello i panna Maple wzięli go między siebie, żeby się nie położył. Jedynym lekarstwem na tego rodzaju kolkę był spacer. Wiedziały to od George'a.

- Dalej - szepnęła panna Maple. - Jeszcze jeden krok, jeszcze tylko jeden krok.

- I nie mecz - mruknął Otello.

Wieloryb potknął się, ale nie zameczał, chociaż wciąż miał szkliste oczy. Wspierając się na panie Maple i Otello, pochodził trochę po podwórzu restauracji.

Wtem otworzyły się drzwi i uderzyła ich fala gorzkawego zapachu Świętoszki. A właściwie esencji zapachu, jakby Beth trzymała tę esencję w domu i wychodząc, zabierała jej tylko trochę. A nad tą zapachową jałowością snuła się strużka pełnego, ciepłego zapachu Rebeki, która chwilę później stanęła na podwórzu. Panna Maple, Wieloryb i Otello ledwo zdążyli schować się za krzakiem żarnowca.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziała Rebeka do smutnego zapachu w drzwiach. - Bardzo mi pani pomogła, zwłaszcza tym, co powiedziała pani na końcu. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Zgłodniałam. Myśli pani, że restauracja jest jeszcze otwarta?

- Nie w takiej wiosce jak ta - odparł głos z drzwi. - Ale mogę panią czymś poczęstować. Może zje pani kawałek chleba i trochę sałatki?

- Bardzo dziękuję, ale nie. - Rebeka uśmiechnęła się, zrobiła dwa kroki i w stronę ulicy i się odwróciła. - Ale czegoś tu nie rozumiem - powiedziała.

- Widzę, że nie lubi pani Glennkill. Dlaczego pani nie wyjechała?

Za drzwiami długo panowała cisza. A potem...

- Powiedzmy, że z powodów osobistych - tchnął głos, w którym żadna owca nie rozpoznałaby głosu Świętoszki.

- Ze względu na George'a? - spytała Rebeka, ale drzwi już się zamknęły. Rebeka przeszła

przez podwórze i zniknęła za rogiem.

W samą porę, bo Biały Wieloryb wił się z bólu. Kazali mu jeszcze trochę pochodzić. Panna Maple szeptała mu do ucha słowa pocieszenia, a Otello groźby.

Po chwili Wieloryb przystanął.

- No, dalej! - zameczała panna Maple. Otello trącił go pyszczkiem w bok, i to wcale nie łagodnie.

- Nie - odparł słabo Wieloryb.

- Musisz - warknął Otello.

- Nie muszę - mruknął Wieloryb. - Nie rozumiecie? Już po kolce. Zgłodniałem!

Gdy wyszli, na ulicy było cicho i spokojnie. Wielorybowi wciąż trzęsły się nogi, mimo to zjadł kilka kwiatów, które jakiś bezmyślny człowiek posadził wokół marmurowej kolumny.

Panna Maple wzięła kurs na pastwisko, lecz po kilku krokach zauważyła, że Otello nie idzie za nimi. Stał pod kolumną niczym mały, czarny obłoczek. Panna Maple zameczała ponaglająco, ale on pokręcił głową.

- Trochę się tu pokręcę - powiedział.

Panna Maple potrząsnęła uszami, zastanawiając się po co.

Ale Otello był bardzo tajemniczy i chwilę później zniknął w cieniu żywopłotu. Panna Maple miała ochotę za nim pójść, lecz Wieloryb pachniał dezorientacją, zażawionymi oczami i trzęsącymi się nogami i nie chciała zostawiać go samego. Poszli więc w kierunku łąki.

Wieloryb wciąż miał szkliste oczy. Natomiast panna Maple już dawno tak szybko nie truchtała.

- Ciekawe - powiedziała. - Nie chciałbyś wiedzieć, co zdarzyło się siedem lat temu?

Siedem lat, szmat czasu. Była najmądrzejszą owcą w całym Glennkill, ale nawet ona nie potrafiła wyobrazić sobie, ile to tak naprawdę jest. Siedem lat, czyli siedem razy lato. Nie, nic z tego. To może siedem razy zima? Ledwo pamiętała tę ostatnią, kiedy George przybił stary dywan do drzwi stodoły, żeby ochronić je przed wiatrem. Przed tą ostatnią była jeszcze jedna, a przed tą jeszcze jedną kolejną. Ciąg zim ginał w mrokach przeszłości. Biały Wieloryb snuł własne myśli.

- To rzeźnik - stęknął.

- Dlaczego? - Panna Maple spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Dlatego że ma kamerę? Nie wiemy nawet, co to jest kamera. Wieloryb miał upartą minę.

- Nikt go nie lubi - ciągnęła w zadumie panna Maple. - Mimo to ci mężczyźni pod drzewem bali się, że może umrzeć. - Potrząsnęła głową.

- Tyle tu strachu. Każdy się boi. To cud, że George nie bał się prawie niczego.

- Chcieli go nastraszyć - zauważył Wieloryb. - Wiązką słomy. - Po kręcił głową, dziwiąc się ludzkiej głupocie. Na świecie było mnóstwo strasznych rzeczy, ale słoma na pewno do nich nie należała.

- To było ostrzeżenie. - Panna Maple przystanąła. Przyszło jej coś do głowy. Wieloryb spojrzał na nią pytająco. - Posłuchaj, jeśli ten słomiany ludzik przebity patykiem miał być ostrzeżeniem dla George'a, czy to możliwe, żeby przebity szpadlem George miał być ostrzeżeniem dla kogoś innego?

Wieloryb miał tępą minę, ale panna Maple bynajmniej nie oczekiwała odpowiedzi. Była pochłonięta myślami.

- Dzieci bały się George'a. Dlaczego? Co w sobie miał, że przerażał aż tylu ludzi?

Wielorybie, zapamiętaj to, proszę: król goblinów.

- Król goblinów - sapnął Wieloryb.

## 11. Otello i sprawa pomyłonej tożsamości

Bez trudu znalazł dom Boga. Był to największy dom we wsi, wysoki, ze stromym dachem, dokładnie taki, jak mówiła Chmurka. O wiele trudniej było podejść tam niezauważenie. W przeciwieństwie do innych domów miał jaskrawo oświetloną fasadę. Tylko pod łukowatymi drzwiami było trochę czarnego jak przepaść cienia. Wyteżył słuch. Gdzieś w oddali skowyczał pies i grała muzyka. Przebiegł truchtem przez oświetlony dziedziniec. Tuż obok biegły dwa długie cienie, a cień trzeci, jeszcze dłuższy od tamtych i bardzo błady, biegł za nim. Cała czwórka poruszała się niemal bezszelestnie.

Przed drzwiami znowu został sam. Powąchał powietrze. Z jednej strony pachniało ulicą, samochodami i letnią nocą, z drugiej wypełzającym przez szpary chłodem i kręcącą w nosie pleśnią.

Nie wyczuł ani zapachu człowieka, ani w ogóle niczego żywego.

Czy aby na pewno?

“Kiedy zaczynasz sobie ufać, natychmiast przestań”, szepną! mu do ucha znajomy głos. Otello wciągnął do płuc kolejny haust powietrza.

Jedna, może dwie myszy, na pewno nic większego. Martwiły go tylko drzwi. Wyższe i szersze niż te, które kiedykolwiek dotąd widział. Klamki zamontowano tak wysoko, że nawet stanąwszy na tylnych nogach, nie mógł dosięgnąć ich przednimi. Jakby mieszkały tam jakieś wielkoludy. Bóg był wysoki, ale nie aż tak.

Może dałby radę chwycić klamkę zębami? Stał na tylnych nogach, oparł się przednimi o drzwi i wyciągnął szyję. Drzwi drgnęły i się otworzyły. Tylko trochę, ale wiedział już, że nie są zamknięte na klucz i że nie, musi naciskać klamki.

Stał na czterech nogach i opuścił głowę. Bez trudu poradził sobie rogami.

Teraz posłuchaj.

Cisza.

Postawił nogę na zimnym, lśniącym kamieniu, jedną, potem drugą. Już miał postawić trzecią, tylną, gdy znajomy głos przemówił ponownie.

“Każda droga to tak naprawdę dwie drogi”. Tam i z powrotem, pomyślał Otello. “Droga powrotna jest zawsze najważniejsza” - dodał szyderczo głos.

Otello niecierpliwie parsknął. Był na siebie zły. Drzwi otworzyły się, w go wpuścić, ale to wcale nie znaczyło, że zechcą go wypuścić.

Zrobił dwa kroki do tyłu. Na zad znowu padło światło, na ziemi znowu ' trzy długie cienie. Nadstawił rogi i popędził przed siebie. Za- atakować, trafić, odparować cios uniesionymi rogami. Elegancka sekwencja ruchów, którą zaskarbiłby sobie szacunek w każdym pojedynku.

Ciężkie drzwi otworzyły się na oścież i przez oczyma mignęły mu tonące w blasku księżycy ławki, wysokie kolumny i jeszcze wyższa kopuła. Arena cyrkowa?

Drzwi się zamknęły i uderzyła weń fala stęchłego powietrza. Drzwi minęły futrynę i się cofnęły. Do środka i na zewnątrz. Tam i z powrotem. Teraz był już pewien: od wewnątrz potrafi otworzyć je z taką samą łatwością jak od strony dziedzińca.

Odczekał w cieniu, aż znowu zapadnie cisza. Potem odczekał jeszcze trochę. Złość ustąpiła miejsca zimnej cierpliwości. Już wkrótce miał wyzwąć Boga na pojedynek za ból i cierpienie, za wszystkie te zachłanne i zobojętniałe oczy tego świata.

Ale gdy stanął na gładkiej, kamiennej posadzce i drzwi odcięły go od światła, przeszły go ciarki. To miejsce za bardzo przypominało cyrk. Organy z wesołą muzyką, która towarzyszyła najokropniejszym rzeczom. Puste ławki dla publiczności, podwyższenie. Gotowe do

przedstawienia rekwizyty: mikrofon, podium, mała ławka. Ogrodzenie ze szpiczastych prętów z płonącymi na prętach świecami. Wyobraził sobie te nieszczęsne stworzenia, które dzień w dzień przepędzono przez nie dla uciechy siedzących na widowni ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że Chmurka była świadkiem jednego z takich spektakli. Cieszył się, że udało mu się wysledzić Boga. Przedstawienie musi trwać dalej.

Minął rząd ławek. Gruby, czerwony dywan tłumił stukot kopyt. Dywan był tylko dla artystów. Biada zwierzęciu, które przypadkowo na nim stanęło. Ale on miał to gdzieś.

Wtem usłyszał jakiś dźwięk, cichy, udręczony dźwięk przypominający skrzypnięcie nienaoliwionych drzwi. Jakies zwierzę? Człowiek? Ostrożnie powiódł wzrokiem po rzędach ławek. W świetle księżyca tańczyły ' drobinki kurzu. Za chmurą kurzu zaś wisiało coś w rodzaju kraty, a na niej człowiek, bardziej martwy niż żywy. Czy to on tak jęczał? Otello zadrżał: bezbronna ofiara numeru z rzucaniem nożami! Nie, to nie wyglądało na wypadek. Ten, kto rzucał nożami, dobrze wiedział, co robi.

Dopiero gdy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że człowiek na kracie nie mógł wydać żadnego odgłosu. Chmurka miała rację - nie zwiertzył zapachu krwi i teraz już wiedział dlaczego: człowiek był zrobiony z drewna.

To dziwne, ale wcale nie poczuł się lepiej. Naturalnie wiedział, że ludzie potrafią robić rzeczy z drewna. Ale po co robili akurat takie? To wykraczało poza granice owczego pojmowania.

W głębi domu zaskrzypiały drzwi.

Czyjeś kroki.

Boga?

Bocznymi drzwiami po drugiej stronie areny wszedł długonosy mężczyzna z małym, roztańczonym światłem w ręku.

Bezszelestny jak cień Otello minął kolejny rząd ławek, przeciął smugę księżycowego światła i przywarł do ściany. Stała tam drewniana szopka z ciężką zasłoną z przodu. Zza zasłony bił zapach pleśni przyprawiony nutką strachu. Otello zawahał się.

Tańczące światełko było coraz bliżej.

Otello wspiał się na drewniane schodki i zniknął w szopce. Zakotłosała się zasłona. Tam i z powrotem.

Ale mężczyzna minął go i poszedł dalej.

A więc to nieprawda, że Bóg wszystko wie, pomyślał triumfalnie Otello.

Zamarł. Nie drgnął mu żaden mięsień. Kiedy zasłona znieruchomiła, rozejrzał się ostrożnie wokoło. Ławka. Zakratowane okienko z boku. Pewnie po to, żeby wpadało tu choć trochę powietrza. Skrzynia transportowa dla ludzi? Sądząc po zapachu, chyba tak. Ludzie się tu bali.

Metaliczny trzask. Gdzieś daleko.

Postanowił zaryzykować. Przez szparę w aksamitnych fałdach materiału roztaczał się dobry widok.

Długonosy mężczyzna stał na podium i bez większego entuzjazmu robił coś przy ogrodzeniu ze świecami. Od czasu do czasu zerkał na zegarek. Na coś czekał.

Przez chwilę nie działo się nic.

A potem coś zaskrzypiało, coś przetoczyło się ciężko przez wyźwirowany dziedziniec. Było coraz bliżej i bliżej.

Bóg wyczekująco odwrócił głowę.

Otworzyły się wielkie drzwi. Przesunęły się nad kamieniami, zahaczyły o jakąś nierówność i utknęły. Zadrżały od uderzenia. Przez długą szparę wpadło światło, ale nie światło

księżycyca, tylko żółte światło reflektorów.

Otello czekał w napięciu. W świetle ukazała się postać, postać mała jak dziecko, ale tak szeroka, że z trudem mieściła się w drzwiach. Wjechała do środka niczym skrzyżowanie człowieka z maszyną. Tęga, czarna, mocno zarysowana sylwetka w wieńcu rozczochranych, złotych włosów. Sunęła bezszelestnie po gładkiej, kamiennej posadzce, nieruchoma i ruchoma zarazem. Otello miał wrażenie, że człowiek-maszyna oderwie się zaraz od ziemi. Doszedł go wprawiający w konsternację zapach metalu i gorzkich lekarstw, oliwy i gojących się ran i wiedział już, że w tej zapachowej chmurze kryje się...

- Ham. - Długonosy uśmiechnął się łagodnie. -To dobrze, że wracasz do zdrowia. I że przychodzisz do mnie w tak ciężkiej chwili. -Wbił palce w ciepły, aromatyczny wosk. Ale żaden aromat nie zabiłby gorzkiego odoru potu, który długonosy zaczął nagle wydawać.

I nagle Otello zrozumiał, że Bóg nienawidzi rzeźnika bardziej niż wszystkich innych, bardziej niż nienawidził George'a. I że rzeźnik chyba o tym wie. Mały jak dziecko minął go, nawet nie podnosząc głowy i pojechał prosto do drewnianej figury.

- Nie przyszedłem do ciebie - mruknął. - Przyszedłem do niego.

Długonosy skulił się, jakby nagle pochłodziło i wszędzie osiadł szron. Nie odpowiedział. I tak Otello odkrył, że Bóg też boi się rzeźnika.

Podczas gdy Ham patrzył bez słowa na drewnianą figurę, długonosy kręcił się nerwowo w niszy. Cekał, aż rzeźnik sobie pójdzie. Otello wyglądał ostrożnie przez szparę w zasłonie i też czekał. Mijał czas. Długonosy Bóg był coraz bardziej zdenerwowany.

Wreszcie ruchome krzesło drgnęło i się odwróciło. Dojechało bezszelestnie do drzwi, głośno zaskrzypiało na dziedzińcu i zniknęło. Ulga zawisła w powietrzu jak rozedrgana mgła. Bóg podszedł do drzwi. Wyjrzał na dwór i pomagając sobie całym ciężarem ciała, pchnął je i odblokował. Gdy je zamknął i gdy złotawe światło zostało na zewnątrz, poczuł się lepiej. Zaczął nawet nucić pod nosem.

Gdy mijając rzędy ławek, szedł w świetle księżycyca w stronę drewnianej szopki, jego dziwna szata płynęła jak woda. Otello szybko zabrał głowę, mimo to Bóg coś zauważył. Przystanął dokładnie naprzeciwko. Zaszleścił miękki materiał, rozchyliła się zasłona. Otello nadstawił rogi. Szopka zadygotała, lecz do środka nie wpadł ani jeden promień światła. Bóg usiadł po drugiej stronie drewnianego przepierzenia i czarny baran uznał, że pora uciekać.

Lecz gdy zrobił krok, zatrzeszczała drewniana podłoga.

- Aaaa... - powiedział długonosy. - Tu jesteś. Przepraszam, że musiałeś czekać. Chcę zamknąć kościół, a tu proszę. Że też musiał przyjść akurat teraz. - Bóg się roześmiał.

Otello ani drgnął.

- Chcesz się wypowiedzieć? - Głos Boga był ciągliwy i lepki jak żywica z pnia sosny.

Otello siedział cicho.

-Tylko żartuję - szepnęła przez kratę Bóg. - Cieszę się, że jesteś. Bałem się już, że nie przyjdiesz. To naprawdę bardzo ważne. W sprawie George'a milczałem jak grób. Ale już nigdy tego nie zrobię. Ja też mam sumienie.

Otello mimowolnie parsknął.

- Nie śmieję się! -jęknął Bóg. - Po prostu zostaw Hama w spokoju. Nie wiem, czy to ty byłeś na urwisku. Jeśli tak, zrobiłeś coś bezgranicznie głupiego. To musi się skończyć, słyszysz? Dobrze wiesz, że jeśli Ham umrze, wszystko się wyda. Zresztą z jego strony nic nam nie grozi. Dlaczego miałby nagle coś robić? Nie lubił George'a. Ma te swoje kamery, sklep i telewizor i jest szczęśliwy. Nie ma sensu się nim przejmować.

Po jego głosie łatwo można było poznać, że bardzo się o Hama martwi. Otello, który wyczuł głębię jego nienawiści do rzeźnika, uznał, że to bardzo dziwne. Pograżony w zadumie

zaczął machinalnie żuć kawałek skóry zwisającej z obicia fotela w szopce. Nie, już się go nie bał. Nie mógł się już doczekać, kiedy zwróci na siebie jego uwagę.

- Z Kate jest bezpiecznie - mówił Bóg. - Dopóki ona tu jest, Ham nic nie robi. Zwłaszcza, że została wdową i znowu jest wolna. Nie wiem, może Ham się nawet cieszy, że George nie żyje. Dlatego zostawcie go w spokoju. Słyszysz?

Otello chrapliwie parsknął, co Bóg wziął za znak zgody.

- Dobrze wiedzieć, że też tak to widzisz. - Jego twarz znalazła się nagle tuż przy drewnianej kratce. - A jeśli chodzi o tę trawę...

Otello też przysunął bliżej głowę, tak że od głowy Boga i jego nosa dzieliło ją ledwie kilka centymetrów. Nos Boga nerwowo drgał. Trawa. Otello był zaskoczony, że Bóg poruszył nagle tak wrażliwy temat jak trawa.

Ale on raptem zamilkł. Błyszczącymi oczami patrzył przez kratkę.

- To ty? - spytał.

Otello nie odpowiedział. Nagle Bóg wypadł z szopki i gwałtownym ruchem rozchylił zasłonę. Do środka wpadło światło księżycy. Przez chwilę stali bez ruchu i patrzyli na siebie, on i Otello. A potem Otello zameczał, głośno, strasznie i tak agresywnie, że w całym domu Boga rozbrzmiało echo.

Bóg przeraźliwie krzyknął. Minął pędem rzędy ławek, potknął się, upadł, wstał, niezgrabnym skokiem przesadził żelazne ogrodzenie ze świecami i zniknął za bocznymi drzwiami, którymi przedtem wszedł. Zadowolony Otello obserwował go uważnie.

Na dworze znowu truchtały obok niego dwa cienie, a jeden długi truchtał przed nim. Lecz nocne ptaki widziały z drzew coś dziwnego, coś, co zakłócało symetrię cieni w świetle. Bo w pewnej odległości za Otellem truchtał cień czwarty. Bardzo kudłaty cień z bardzo długimi, zakrzywionymi rogami.

Jak chmurki, jak spokojne, dobrze odżywione chmurki słodko pachnące młodzieńczą mnogością, pasły się o brzasku na łące nieświadome nocy, która spełzła ukradkiem z trawy. Spełzła i przycupnęła pod dolmenem z gwiazdami jak martwe oczy między kośćmi. Nic dziwnego, że nie mrugały. Wiedział, że dolmen to karawan dla śmierci, karawan bez kół, oczywiście, bo śmierć mogła poczekać. Nie trzeba było szpadla, by udowodnić, że jest cierpliwa.

Po drugiej stronie dolmenu pasła się młodzież, jego własne młode, owce o silnych nogach, z poczuciem radości w brzuchu, lecz głupie, tak głupie, że niemal współczuł im tej radości. Po drugiej zaś stronie była łąka, która nie mogła istnieć: Droga Powrotna. Szukał jej po całym świecie, pod gładkimi kamieniami, po tamtej stronie wiatru, w oczach nocnych ptaków, w spokojnych sadzawkach. Ale zawsze widział tylko siebie i dłużej by pewnie tego nie zniósł - gdyby nie odnalazł Drogi. Przez cały ten czas była tuż za jego uszami, przez cały ten czas się z niego śmiała, nic więc dziwnego, że nie mógł jej nigdzie znaleźć. Dźwigał ją, lecz między samymi koniuszkami włosów w runie, tam, gdzie chłodził ją deszcz, gdzie czasem go swędziało. Ale on nie zwracał na to uwagi. Miał w runie za dużo pasożytów i Droga mogła być jednym z nich.

Droga Powrotna jest zawsze najważniejsza, szeptały liście. Szeptały tak wszędzie i musiał im wierzyć: były aromatycznym tchnieniem, runem tego świata, chociaż runo to zawsze uciekało aby dalej od zwiędłego brązu. Ale kiedy powietrze zaczynało pachnieć zimnym dymem, kiedy nadchodził czas jaskółczych lotów i mrocznych dni, brąz pokrywał ziemię mimo to. Trzeba było wtedy uważać, żeby niczym maleńkie pajęczki nie wpełznął na kopytka i wyżej, na nogi. Ano właśnie, znowu swędziały go nogi - niepotrzebnie pomyślał o pajęczkach. Pajęczki próbowały

ostudzić serce i wchodziły do nosa. Ale liście miały rację. Nawet w porze jaskółczych lotów szeptały do niego z żywopłotów, ostrokrzewów, z wiecznie żarłocznego bluszczu, z karłowatych sosenek, nawet z jego własnej roztrzęsionej duszy. Droga Powrotna jest zawsze najważniejsza. Wierzył im wszystkim. Wierzył też wronom, które oczyszczały runo z pasożytów, nie robiąc krzywdy Drodze. Czarne skrzydła na grzbiecie, skrzekliwe krakanie i błyszczące oczy. Bo jaskółki też wracały wraz z liśćmi.

A teraz Droga Powrotna wygięła się jak stonóg, skurczyła do jednego kroku. Bo pasły się ledwie krok dalej i były jak obłoczki zimowego oddechu, ciepłe i żywe na tym martwym świecie. Widział wśród nich czarnego barana, barana o gniewnej duszy, ze szramami pod runem. Teraz jego dom był tutaj. Od kogo to zależało, kto tak chciał? George umiał spędzić i rozpędzić stado lepiej niż jakikolwiek pies pasterski. Jego też powinien był zapędzić. Tam, między rozproszone owce, dokładnie na środek Drogi. Ale George za głęboko zajrzał pod dolmen i zobaczył kamień i kości. Zobaczył tego, który był jak spokojna sadzawka, zobaczył jego obwisły brzuch. Lecz rogi te wiły się jak ona, jak Droga, zakrzywione i dumne jak jego własne.

Jego dusza pogalopowała przodem.

On sam zaś stał i patrzył, jak przed nim ucieka. Nikt nie powiedział mu, że ten ostatni krok będzie krokiem niemożliwym. Ten smutek. Smutek tak wielki, że chętnie zawyłby do księżyca, tak jak wyły czasem wrony, myśląc, że ich nie widzi. Nie było mostu, dzięki któremu mógłby zrobić ten ostatni krok, ani brodu z płytką wodą. Nie wiedział, że właśnie teraz przyjdzie mu utonąć. Jego rogi wwierciły się w odchodzącą noc niczym śruby. Ale tak. Tak, bród jednak był, bo mógł zbudować go ze słów, prastarych słów pieczołowicie przechowywanych w duszy przez te wszystkie lata, słów czarodziejsko wymyślonych. Zaczął ich szukać. Lecz dusza tak bardzo urosła, była tak zdumiewająca i zatłoczona. Lecz było tyle dróg, drózek i ścieżek, tyle szlaków, które przez te wszystkie lata przemierzył, że nie mógł już znaleźć ani jednego. Ale musiał. I to szybko, ponieważ owce są ulotne jak zimowy oddech, a pod dolmenem siedział milczący pasterz o błyszczących, niebieskich oczach. Nad morzem powoli wstawał dzień i znowu chciał go odpędzić, tak jak odpędzał go od czterech dni. Piąty dzień. Piąty dzień był dniem Drogi Powrotnej.

Zawahał się.

## 12. Ramzes interweniuje

O świcie pierwsza wyszła na łąkę panna Maple. Nie pamiętała, żeby w ogóle zasnęła i spała. Coś nie pozwalało jej wypocząć. Sen? Nie, raczej wspomnienie snu, wspomnienie półowcy. Czuła się tak, jakby w powietrzu znowu wisiał ten sam zapach, tyle tylko że dziwny i niekompletny.

Owce Gabriela, pomyślała. I od razu wiedziała, że to nie może być to. Owce Gabriela miały łatwy zapach, ot, stadko młodych samic i samców, roczniaków i dwulatków o zapachu płaskim i nijakim. Ale te półowce wcale nie były młode. Było wśród nich kilka bardzo starych baranów, były matki z jagniątkami, wspomnienia, doświadczenia, pomysłowość, była młodość ducha i niewinność. Stado kompletne, tylko że niekompletne. Tak, powietrze przesycał bardzo dziwny zapach.

W porannej mgle stał Sir Ritchfield. Na Miejscu George'a. Panna Maple myślała przez chwilę, że umarł i nie żyje. Nie dlatego, że stał zupełnie nieruchomo - nie było w tym niczego niezwykłego, bo stare barany często tak nieruchomiały - tylko dlatego, że siedziały na nim



wrony. Na jego grzbiecie siedziały aż trzy wrony, a jaka owca - naturalnie owca żywa - pozwoliłaby na to, żeby trzy wrony urządziły sobie na niej stanowisko obserwacyjne? Żadna, a już na pewno nie Sir Ritchfield. Jedna z wron rozłożyła skrzydła i skrzekliwie zakrakała. Wyglądało to tak jakby Ritchfieldowi wyrosły dwa krótkie skrzydła. Runo panny Maple przeszło dreszcz.

Wyczuła, że coś się za nią poruszyło, i podskoczyła wysoko na wszystkich czterech nogach, tak jak tylko młode jagnię albo bardzo wystraszona owca podskoczyć potrafi. Tuż za nią z mgły wychynął Sir Ritchfield. Rzecz w tym, że Sir Ritchfield stał też na Miejscu George'a. Przejęta lękiem panna Maple zrobiła dwa kroki do tyłu.

Dwa barany stały naprzeciwko siebie jak dwa odbicia na przeciwległych brzegach kałuży. Z tym że czarnych wron w odbiciu nie było. Panna Maple pamiętała z bajek, że martwi też nie mają odbicia. Barany nadstawiły rogi i podeszły do siebie. Rogi splotły się z głośnym, dźwięcznym trzaskiem. Potem barany podniosły łeb.

- Odważyłem się - powiedział Sir Ritchfield, ten z wronami.

- Tak, odważyłeś się - zgodził się z nim Sir Ritchfield, ten bez wron. I nagle, zupełnie zdezorientowany, zabczał:

- Żadna owca nie może opuścić stada. George wrócił, pachnąc śmiercią. - Roztrzęsiony pokręcił głową. - Gdybym tylko trzymał język za zębami! Co za głupiec ze mnie...

I Sir Ritchfield, ten bez wron, potruchtał szybko w stronę urwiska. Drugi Sir Ritchfield patrzył za nim z czułością w oczach. Jakby na umówiony znak trzy wrony wzbily się w powietrze i na pasionku pozostał tylko jeden Sir Ritchfield. Kudłaty Ritchfield, który pachniał jak stado półowiec.

Panna Maple spojrzała z niepokojem na Sir Ritchfielda spacerującego nad urwiskiem. Odwróciła się i pobięła za nim.

Pierwsi na pastwisko wychodzili zwykle Chmurka i Biały Wieloryb. Wieloryb dlatego, że robił się głodny wcześniej niż pozostałe owce, a Chmurka dlatego, że na porannym powietrzu - tak przynajmniej twierdziła - wełna rosła znacznie szybciej.

- Nie myślicie chyba, że moja puszystość jest naturalna, prawda? - pytała.

- Tak, tak myślimy! - meczały jagnięta i kilka dorosłych owiec, które zawsze podziwiała jej nadzwyczajną puszystość.

Mile połączona Chmurka przewracała oczami i mówiła:

- No cóż, może i tak, ale nie myślcie tylko, że coś w tym celu robię. - I wtedy zainteresowane owce mogły wysłuchać długiego wykładu na temat dobroczynnych skutków porannego powietrza. Co dziwne, chociaż kazania Chmurki cieszyły się bardzo dużą popularnością, żadna owca nie wyrwała się z wełnistych objęć stada wcześniej niż pozostałe, żeby podwyższyć stopień swojej osobistej puszystości.

Tego ranka Biały Wieloryb wciąż odsypiał stres i napięcie związane z pierwszym w życiu atakiem kolki, dlatego Chmurka była sama na pokrytej rosą łące. Sama? Niezupełnie. Były tam oczywiście owce Gabriela, które wstawały bardzo wcześnie, ponieważ nie miały stodoły, i które były żywym zaprzeczeniem teorii o korzystnym wpływie porannego powietrza na puszystość runa.

Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że Sir Ritchfield też już nie śpi. Że stoi na Miejscu George'a i z godnością się pasie. Napuszyła się gniewnie i dzielnie stawiała mu czoło.

- Wiesz, gdzie jesteś? - spytała.

- W domu - odparł dziwnie wzruszony Sir Ritchfield. Spuścił głowę, popatrzył na

niezjedzone rośliny i znowu zaczął się paść, starannie omijając smakowite łaskotniki. .

- Wszedłeś na Miejsce George'a! - zabeczała głośno Chmurka. - Jak mogłeś?

- To łatwe - odparł Sir Ritchfield. - Przez wzgorza i pola, przez stare kamieniołomy, ponad ciałem, przez cały świat i z powrotem. Aby dalej od rzeźnika. To łatwe, bo padlinożerne strachy odeszły.

Głowa pod wiatr i otwarte oczy, nie wolno tylko wytrząsać wspomnień z runa. Zresztą to niemożliwe. Kiedy przychodzi co do czego, to naprawdę łatwe.

Chmurka patrzyła na niego z niepokojem. Coś z nim było nie tak, i to bardzo. Lękliwie zameczała. Chyba mu się to nie spodobało. Podszedł bliżej i szepnął jej do ucha:

- Nie martw się, wełnista owieczko. To nie jest Miejsce George'a. Miejsce George'a jest pod dolmenem, gdzie nie rośnie trawa, gdzie czeka niebieskooki pasterz. Miejsce George'a jest bezpieczne, dopóki ciepłe światło dnia nie powita klucza. Kto go ma?

Słowa te miały ją bez wątpienia pocieszyć i uspokoić. Sir Ritchfield przemawiał bardzo łagodnym głosem. Mimo to skonsternowana Chmurka uciekła do stodoły.

Nieco później na Miejscu George'a zebrało się całe stado. Owce stały w pełnej respekcie odległości od Sir Ritchfielda, który wciąż ani drgnął. Ich obecność trochę go chyba trapiła.

- Samotność ma swoje dobre strony - wymruczał.

- Co to znaczy? - spytała Wrzosowata. Pozostali milczeli.

- On ma zupełnie inny głos - odezwała się w końcu Bystra.

- I dziwnie pachnie - dodała Matylda. - Jakby był chory. Może nie chory, ale nie jak Sir Ritchfield. I nie jak owca. A przynajmniej nie jak normalna owca. Pachnie jak młody baran z jednym rogiem. I jak do świadczona matka. I jak młoda owca z gęstym runem, która nie widziała jeszcze zimy. I jak bardzo stary baran, który zimy już nie zobaczy. Pachnie tak, zarazem zupełnie inaczej. Pachnie jak półowca. - Matylda zupełnie się w tym pogubiła.

- On przecieka! - stwierdził Biały Wieloryb. - Sir Ritchfield przecieka!

Tak, to musiało być to. Dziura w Sir Ritchfieldzie powiększyła się do tego stopnia, że wyciekła przez nią cała pamięć, ta możliwa i ta niemożliwa.

Nie wiedziały, co robić. Ritchfield był ich przewodnikiem, ale oczywiście nie mogły oczekiwać, że poradzi coś na dziurę i przeciekanie. Panna Maple gdzieś przepadła. Otello też. Wieloryb, ich chodząca pamięć, po-truchtał spiesznie na drugą stronę łąki, ponieważ bał się, że przeciek może być zaraźliwy. Zora wytrzeszczyła oczy i czym prędzej uciekła na swoją półkę. Inicjatywę przejął w końcu Ramzes. Odprowadził stado na bok, żeby stary baran nie mógł podsłuchać, jakie omawiają pomysły.

Początkowo nie omawiali żadnych, bo żadnych nie mieli. Nikt nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak wygląda dziura w pamięci.

- Trzeba go stamtąd wypędzić, zanim wszystko wyżre - zaproponował Ramzes.

- Ale jak? - spytała Matylda. - To nasz przewodnik. - Nie, on już nie jest naszym przewodnikiem - odparł Ramzes. - Musimy tylko wyraźnie mu to powiedzieć.

Cóż, zawsze to jakaś propozycja. Owce były tak bardzo skonsternowane, że poparłyby z entuzjazmem każdą. Zanim Ramzes zdążył się zorientować, co się święci, szybciutko uzgodniono, że to właśnie on powie Sir Ritchfieldowi, że nie jest już przewodnikiem stada.

Owce zbiły się wyczekująco w gromadę, a on z wahaniem podszedł do Ritchfielda. Głośno przelknął ślinę. Nigdy dotąd nie widział, żeby Sir Ritchfield wyglądał tak majestatycznie. Już miał wymruczeć pełne szacunku powitanie, lecz stary przewodnik nie dopuścił go do głosu.

- Prostorogi baranie, prostorogi baranie - powiedział. Rzeczywiście, rogi Ramzesa

wyglądały jak dwa proste, szpiczaste patyki. - Szkoda słów. Co tu wyjaśniać? Czy nie widzisz, jaki jasny mamy dzień? Jaśniejszy niż wszystkie inne. Wiedzą to moje ptaki, dlatego tak wcześniej wstały. Wie to Ritchfield, dlatego poszedł szukać wspomnień. Przecież to oczywiste, że nie jestem przewodnikiem stada. Oczywiście jest również to, że jeśli nie zechcę opuścić tego uroczego pasionka, nie wypędzi mnie stąd żadna owca w świecie. Ale wy - dodał, mierząc wzrokiem zdezorientowane stado, które patrzyło w ich stronę - ale wy moglibyście wyrażać się o wiele jaśniej.

Ramzes bez słowa potruchtał z powrotem.

- Słyszał nas - zameczała Matylda.

Wyglądało na to, że dziura w pamięci Sir Ritchfielda wyostrzyła mu słuch. Na przyszłość postanowiły być ostrożniejsze z krytycznymi uwagami. Na wszelki wypadek odeszły jeszcze dalej i przystanęły dopiero pod dolmenem.

W cieniu dolmenu ukrywał się Otello, który stał tam, bacznie obserwując łąkę i Sir Ritchfielda.

- Otello - westchnęła z ulgą Wrzosowata. - Musisz wypędzić go z Miejsca!

- Macie mnie za wariata? - prychnął czarny baran i zamilkł.

Słyszac tę dziwną odpowiedź, owce poczuły się jeszcze bardziej niepewnie. Otello znał świat, znał zoo. Musiał wiedzieć o czymś, o czym one nie wiedziały. Pewnie dlatego stał tu bez ruchu i patrzył. Owce się zamyśliły.

- Powiedział, że poszedł szukać wspomnień - rzuciła z nadzieją Bystra.

- Jeśli ma dziurę w pamięci, trzeba zatkać ją wspomnieniami - poradziła Cordelia. -

Dziurę w ziemi zasypuje się ziemią.

- Ale dziury wygryzionej przez szczury szczurami nie zatkasz - zauważyła Chmurka.

- Zatkasz - upierała się Cordelia. - Bardzo grubymi szczurami.

Kilka minut później plan był gotowy. Postanowiły podsunąć Ritchfieldowi wspomnienie tak duże i grube, że żadna dziura nie będzie miała z nim szans. Wspomnienie to musiało objąć jak najwięcej owiec. Dlatego ściągnęły z półki Zorę i namówiły Wieloryba, żeby wrócił na pasionek. Wieloryb był gruby i grubość ta mogła okazać się bardzo pomocna. Tylko Otello zdecydowanie odmówił.

-To musi być coś naprawdę wyjątkowego. - Wrzosowata była bardzo podekscytowana. - Coś, czego nie robiło żadne inne stado.

Zaraz potem wszystkie legły na plecach tuż obok Miejsca. Leżały z nogami do góry i meczały ile sił w płucach. Sir Ritchfield przestał jeść i przyjrzał im się uważnie. Gdyby nie były tak bardzo pochłonięte leżeniem i meczeniem, na pewno zauważyłyby, że jest wielce rozbawiony.

- Co to za wyglupy? - prychnął znajomy głos. - Czy wyście oszaleli?

Owce wymieniły triumfalne spojrzenia, choć w tej pozycji było todość trudne. Sir Ritchfield znowu mówił jak dawny Sir Ritchfield. Zerwały się na równe nogi lekko podenerwowane, lecz dumne z sukcesu. Sir Ritchfield szedł ku nim od strony urwiska.

- Przyda się tu trochę porządku! - rzucił. - Baczność! Czy nie można zostawić was samych nawet na parę minut?

Owce patrzyły tępo to na jednego Ritchfielda, to na drugiego.

- To jest Sir Ritchfield - szepnęła Wrzosowata, zerkając na Sir Ritchfielda, który tak stanowczo domagał się porządku. - I ten drugi też.

- Nie - odparła panna Maple, która wyrosła u boku Sir Ritchfielda niczym zaboreczy cień.

-To jest Melmoth Wędrowiec.

Powrót Melmotha Wędrowca wywołał wśród owiec takie poruszenie, jakie wywołać mogło jedynie pojawienie się prawdziwego wilka. Wędrowiec był kimś więcej niż baranem, który zniknął: był legendą, tak jak Cwaniak Jack, którego nigdy nie ostrzyżono, albo jak siedmiorogi baran, duch, który tłumaczył krnąbrnym jagniętom, czym jest strach, kiedy zawiodły wszystkie inne ostrzeżenia. Był przykładem tego, co dzieje się z owcą, która opuści stado i podejrze za blisko skraju urwiska albo która nie zwracając uwagi na ostrzeżenia matki, zje coś, czego jeść nie wolno.

- Melmoth Wędrowiec zajął tam i już nie wrócił - mówiły, kiedy ciekawskie jagniątko podeszło za blisko przepaści.

- To jest paskudnik. Melmoth Wędrowiec zjadł go i już nie żyje.

Melmoth Wędrowiec umarł na tysiąc szeptanych sposobów, był zmorą i postrachem wszystkich pobierających nauki jagniąt i oto nagle wyrósł przed nimi, promieniując siłą i najlepszym zdrowiem. Owce matki zastanawiały się intensywnie, jak nauczą dzieci posłuszeństwa. A już żadne inne jagnię nie nasłuchiwało się tylu strasznych opowieści o Wędrowcu jak to zimowe. Stało w cieniu żywopłotu i patrzyło na niego z dziwnym błyskiem w oczach.

- Mamy dwóch Sir Ritchfieldów! - zameczały pozostałe jagnięta, wszystkie oprócz jednego, które wtuliło pyszczek w białe runo Chmurki.

Stado zdawało sobie sprawę, że Melmoth Wędrowiec jest kimś wyjątkowym. Niektóre owce nazywały go "tym, któremu się upiekło", chociaż nie bardzo wiedziały, kto i co mu upiekło i czy jest to określenie obraźliwe, czy wprost przeciwnie. Ale kiedy Sir Ritchfield wytłumaczył mu wreszcie, dlaczego nikt nie może paść się na Miejscu George'a, owce zaczęły zmieniać o nim zdanie.

- Ma gęste runo - powiedziała z uznaniem Chmurka. - Trochę zmierzwił, ale gęste.

- Ma ładny głos - dodała Cordelia.

- Ciekawie pachnie - zauważyła Matylda.

- I nie jada łaskotników - rzucił z nadzieją Biały Wieloryb. Oczywiście natychmiast pojawiło się pytanie, kto będzie teraz prze wodnikiem stada.

- Przecież nie możemy mieć dwóch - powiedziała Bystra. I zamyślona dodała: - Nawet jeśli są identyczni.

Chciałyby, żeby przewodnikiem nadal był Sir Ritchfield. Ale baran przewodnik, którego na pierwszy rzut oka nie można odróżnić od drugiego barana, nie jest przewodnikiem praktycznym. Poza tym Sir Ritchfield się zmienił. Był weselszy, bardziej figlarny, odważny jak młody baran. Rola przewodnika przestała go chyba interesować i większość czasu trzymał się blisko Wędrowca. Nigdy dotąd nie widziały, żeby był taki szczęśliwy. I ustanowił nową regułę: "Żadna owca nie może opuścić stada - tłumaczył tym, którzy zechcieli go wysłuchać - chyba że do stada wróci".

Wrócił Gabriel. Zjawił się na łące bardzo wcześnie, dużo wcześniej niż kiedykolwiek zjawił się George. Przyszedł bez pasterskiego kija i bez psów. I nawet bez kapelusza, tylko z fajką w kąciku ust. I z drabiną. Owce już pracowały i były z tego dumne. Niech Gabriel zobaczy, że się nie obijają.

Ale on nie robił wrażenia szczególnie zadowolonego. Dlatego że nie spodobał mu się Melmoth Wędrowiec? Ale przecież nie zauważył nawet, że w stadzie przybył nowy baran. Zerknął na swoje owce, które wyskubały już do czysta połowę odgrodzonego pasionka, i pomaszerował z drabiną prostu do wroniego drzewa.

Na samej łące nie było drzew. Zamiast drzew z lewej i prawej strony rósł żywopłot, który nie stanowił bynajmniej żadnej przeszkody, jeśli ta czy inna owca naprawdę chciała wyjść poza teren pastwiska. Rzecz w tym, że żywopłoty zasłaniały roztaczający się za nimi soczystozielony krajobraz, dzięki czemu nic owiec nie kusiło ani nigdzie ich nie ciągnęło. George nazywał te żywopłoty "psychologicznymi czynnikami odstrasżającymi".

W żywopłotach rosły drzewa: drzewo cieniste, pod którym latem zawsze panował miły chłód; mała jabłoń, która ku ich irytacji zrzucała jabłka, kiedy były nie większe niż owcze oko i kwaśne jak Willow w swój najgorszy dzień, i wronie drzewo, gdzie mieszkaly ptaki kraczące i krzyczące od świtu po zmierzch, które milkły jedynie w południe.

Gabriel szedł właśnie w stronę tego ostatniego. Przystawił drabinę do pnia i wspiął się na najniższą gałąź. Z gałęzi zerwały się ptaki, grube, niezdarne gołębie, lśniące, szydercze wrony i lękliwe, czarno-białe sroki.

Gabriel łąził po drzewie dość długo. Owce go obserwowały.

- Lubi sroki - stwierdził Biały Wieloryb. Pierwszy raz powiedział coś na temat nowego pasterza. Wstydził się, że całe to zamieszanie z Gabrielem nie robi na nim żadnego wrażenia. Gdyby tylko mógł, w ogóle nie wpuściłby tu jego dziwnych owiec. Bo teraz owce te w alarmującym tempie wyjadały część ich pasionka, a Zora zerkala nieśmiało na jednego z tych obcych baranów. Gabriel też sprawował się nie najlepiej. Bo co jak dotąd dla nich zrobił? Nie dał im ani buraków, ani koniczyny, ani suchego chleba, ani nawet siana. Nie przeczyścił poidła, chociaż on, Wieloryb, uważał, że to bardzo pilna sprawa. Przez cały poprzedni dzień biegał bez sensu po łące. A dzisiaj wlaż na drzewo! Ptaki oczywiście skrzeczały i głośno narzekały. Jeśli tak rozumiał swoje pasterskie obowiązki, czekały ich ciężkie czasy.

A teraz, gałąź po gałęzi, wdrapywał się coraz wyżej i wyżej. I niczym kot zaglądał do ptasich gniazd.

Owce szybko się tym znudziły. Gdyby panna Maple nie kazała im go obserwować, na pewno zajęłyby się czymś innym. Ale ponieważ kazała, gapiły się na gałęzie, dopóki od patrzenia pod tym niezwykłym kątem nie zakręciło im się w głowie. Nawet Melmoth Wędrowiec obserwował Gabriela dziwnym ptasim wzrokiem.

To Sir Ritchfield dostrzegł rzecz najważniejszą. W jednym z gniazd Gabriel znalazł to, czego szukał, a przynajmniej na to wyglądało. Nie tylko Sir Ritchfield, ale nawet i Zora, Wieloryb i Otello widzieli, że trzyma w ręku klucz. Ale tylko ich przewodnik zauważył, że nie jest to klucz, który Josh wyjął poprzedniego dnia z pudełka na herbatniki.

- Mały i okrągły - powiedział Sir Ritchfield. - Klucz z gniazda jest mały i okrągły. Ten wczorajszy był długi i cienki.

Owce były zdumione. Zdumiał je zwłaszcza Sir Ritchfield. Był tak dumny ze swego spostrzeżenia, że nie zauważył nawet, iż w ogóle ten klucz zapamiętał. Obecność Melmotha dobrze mu widać robiła.

Gabriel miał chyba gorszą pamięć od niego. Może źle ten klucz obejrzał? Zszedł z drzewa w dobrym humorze. W dobrym humorze wrócił do przyczepy, w dobrym humorze włożył klucz do zamka. Cichutko zagwizdał przez zaciśnięte zęby. Kiedy jego owce usłyszały ten gwizd, bez żadnego powodu wpadły w panikę. Wpadły i nie mogły się uspokoić jeszcze długo po tym, gdy Gabriel odszedł przez pola w kierunku wsi. Owce George'a patrzyły za nim niespokojnie, dopóki ich uwagi nie odwrócił dziwny odgłos.

Stojący obok dolmenu Melmoth cicho chichotał.

Szybko stwierdziły, że Wędrowiec nie jest tylko kolejną owcą w stadzie. Nie umiały wyjaśnić sobie dlaczego. Miał na nie destrukcyjny wpływ. Kiedy się z nimi paśł, stado nie potrafiło utrzymać szyku. Rozpierzchało się na wszystkie strony, jakby wskoczył w nie wilk.

Rozpierzchało się oczywiście, nie przestając pojadać, bardzo powoli, niemal niezauważalnie. Zaczynało się robić upiornie.

No i pojawiły się ptaki. Ale nie miłe, pulchne ptaszki śpiewające, tylko kraczący skrzekliwie padlinożercy, takie jak wrony czy sroki. Melmoth pozwalał, żeby się na nim gimnastykowały, i pasąc się, zabierał je na przejażdżkę. Owce nie bały się wron (może z wyjątkiem Białego Wieloryba), ale ptaki te za bardzo pachniały śmiercią. Kiedy spytały o to Wędrowca, ten szyderczo prychnął.

-To takie same stadko jak wasze, małe stadko czarnych skrzydeł - powiedział. - Pojadają, stoją na warcie i drapią w plecy. To nie ich wina, że karmią się śmiercią. Pamięci wam nie przedziurawia. Są mądrzejsze niż ich głos. Rozumieją wiatr.

Zwariował, pomyślała większość owiec, lecz żadna nie śmiała powiedzieć tego na głos. Jego język był dziwaczny jak beczenie kozy, ale nie, chyba nic mu się nie pomieszało. Jego ekscentryczne uwagi omijały po prostu sedno rzeczy. Były rozwlekłe i nużące, ale nie szalone. Tylko Cordelia utrzymywała, że Wędrowiec wyraża się dokładniej niż jakakolwiek inna owca.

- On nie opisuje rzeczy takimi, jakimi je widzi, on opisuje je takimi, jakimi są - tłumaczyła, ilekroć grupka owiec zebrała się gdzieś, żeby go skrytykować. Takie grupki zbierały się coraz częściej - potajemnie. Owce szybko zauważyły, że Wędrowiec posiadał nieprawdopodobną wprost umiejętność dostrzegania wszystkiego, co działo się na łące.

- Ptaki mu donoszą - zameczała Wrzosowata i od tej pory owce zaczęły bacznie obserwować niebo. Ale jeszcze baczniej obserwowały Wędrowca.

Tymczasem on pasł się na łące niczym samotny wilk. Nawet w wyrazie twarzy miał coś z wilka. Wyglądał tak, jakby wcale nie był owcą. Najodważniejsze z nich przypomniały sobie opowieść o wilku w owczej skórze i zadrżały.

No i było jeszcze samotne jagnię, jagnię, które stało na trzęsących się nóżkach, patrząc na Wędrowca wielkimi, nieśmiałymi oczami. Już wkrótce w stadzie zaczęła krążyć plotka, że

Melmoth jest jednak duchem. Owce wiedziały - z bajek - że zmarli wracają czasem jako duchy, żeby się na kimś zemścić. Coraz częściej słyszało się przytłumione szepty. "Król goblinów", szeptały szepty. I: "Wilczy duch".

Otello był poirytowany. Próbował wytropić starego barana od wielu dni. Od wielu lat, od tamtej deszczowej nocy w cyrku, kiedy to Melmoth Wędrowiec przegalopował przed rzędem namiotów jak wiatr, podczas gdy on, Otello, patrzył na to przez kraty i podczas gdy okrutny błazen leżał w błocie, wrzeszcząc o światło - od tamtej nocy zawsze wiedział, że musi go odnaleźć. Tymczasem Melmoth odnalazł jego. Czarny baran nie był zadowolony. Czy powinien wybiec mu radośnie na spotkanie, tak jak Sir Ritchfield? Melmoth nauczył go cierpliwości, nauczył go wszystkiego o wodzie i ogniu, nauczył go obserwować ślady ślimaków w trawie, zapędzać wściekłość i strach z powrotem do świata, z którego przyszły. Nauczył go obserwować myśli. I walczyć. Jego głos wiele razy uratował mu życie.

Jednocześnie zostawił go samego z okrutnym błaznem.

- Samotność ma swoje dobre strony - prychnął gniewnie Otello. - Ze wszystkich rzeczy, które Melmoth mu wpoił, w tę jedną nigdy nie wierzył.

Nie mogąc podjąć żadnej decyzji, ukrywał się przed nim najlepiej, jak mógł. Tak, Melmoth wiedział, że tu jest, lecz z jakiegoś powodu postanowił zostawić go w spokoju. Czy mu na nim nie zależało i traktował go jak jedną z niezliczonych owiec, które spotkał podczas swych samotnych wędrówek, jak owcę z kolejnego anonimowego stada, które zupełnie go nie interesowało? Ze wszystkich możliwych wyjaśnień to ostatnie było chyba najgorsze.

Ale teraz, słysząc lękliwe szepty własnego stada - pierwszego prawdziwego stada w życiu - poważnie się zaniepokoił. Bo co, jeśli w szepciach tych było ziarenko prawdy, jeśli między nim i George'em doszło kiedyś do śmiertelnego pojedynku i jeśli George naprawdę próbował go kiedyś upolować? Co wtedy? Jeżeli czegoś się w cyrku w ogóle nauczył, to tego, że Melmoth Wędrowiec jest zdolny do wszystkiego.

Panna Maple też intensywnie myślała. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Melmoth jest duchem. Ale czy to możliwe, żeby miał coś wspólnego ze śmiercią George'a? I co ukrywał Sir Ritchfield? Była pewna, że to iż od kilku ostatnich dni Sir Ritchfield dziwnie się zachowuje, ma coś wspólnego z Melmothem.

I kiedy Wędrowiec przysnął pod wronim drzewem, nie wytrzymała-stanowczym krokiem podeszła do Sir Ritchfielda i zaczęła się paść obok niego.

- Kto by pomyślał, że Melmoth przeżyje - rzuciła obojętnie. Ritchfield prychnął z rozbawieniem.

- Ja - odparł. - Czułem to; jesteśmy bliźniakami. Tamtej deszczowej nocy czułem, że wróci. Potem już tylko czekałem.

- Ale nic nam nie powiedziałeś.

Sir Ritchfield milczał.

- I zawsze nam powtarzałeś, że wyczułeś śmierć na rękach George'a - drążyła panna Maple.

- Wyczułem, tak - odrzekł w zadumie Ritchfield. - W takim razie umrzeć musiał ktoś inny.

- Umrzeć albo prawie umrzeć - zauważyła panna Maple. - Może Melmoth wyszedł z tego ledwie żywy. Musiał być bardzo zły, zły na George'a...

Sir Ritchfield nie odpowiedział. Pana Maple wyrwała z ziemi roślinkę, mniszka lekarskiego.

- Nic nam nie powiedziałaś - powtórzyła, skończywszy go przeżuwać.

- Próbowałeś zastraszyć Wieloryba, bo myślałeś, że dowiedział się czegoś o Wędrowcu. Nie chciałeś, żeby się wygadał. Dlaczego?

Sir Ritchfield zrobił strapioną minę.

- Tak, źle zrobiłem, próbując go zastraszyć - odparł. - Ale myślałem, że...

Panna Maple nie mogła dłużej wytrzymać.

- Myślałeś, że Melmoth ma coś wspólnego ze śmiercią George'a. Dziwnie się zachowywał, zakradł się nocą na łąkę, w dodatku zaraz po tym, gdy go zamordowano. Doszedłeś do wniosku, że tamtej nocy, zaraz po jego ucieczce, zdarzyło się coś strasznego. Że przez cały ten czas Melmoth nosił w sobie gniew, prawda? Dlatego postanowiłeś utrzymać jego powrót w tajemnicy.

Spojrzała na niego pewna, że ma rację. Nie ma to jak prawidłowa dedukcja na podstawie tropów i śladów, tak jak w powieści kryminalnej - Była z siebie dumna. Po jego przygnębionej minie poznała, że trafiła w dziesiątkę.

- Chciałem mu pomóc - mruknął. - Bliźniak za bliźniaka.

- Bliźniak za bliźniaka - prychnął Melmoth Wędrowiec, który wy rósł nagle u boku panny Maple. Ta spojrzała na niego, a potem na Sir Ritchfielda. I z jednej, i z drugiej strony widziała tego samego barana.

Melmoth przeszył brata wzrokiem i pogardliwie parsknął.

- Zły na George'a? - odparł. - Srocze gadanie. Wycie wiatru. Brednie małego jagnięcia. Chciałbyś pójść ze mną w noc, kiedy pójść ze mną nie chciałeś? Chciałbyś coś zaraz usłyszeć? -

Głośno zameczał, żeby usłyszały go wszystkie owce na łące. - Opowiem wam opowieść o piątej nocy.

Słońce stało wysoko na niebie, od morza nie wiał najłżejszy nawet wiatr. Jedynymi stworzeniami, którym nie przeszkadzał upał, były muchy brzęczące wokół nozdrzy i wążące do uszu. Dlatego nawet najbardziej sceptycznie nastawione owce nie miały wymówki, żeby nie skryć się pod chłodnymi gałęziami cienistego drzewa akurat tam, gdzie na mięciutkiej poduszce ze starych liści leżał Melmoth, opowiadając swoją historię. Zza pnia drzewa wyjrzało nawet zimowe jagnię, a ponieważ owce były zbyt ospałe, żeby je odpędzić, jagnię zostało.

Tego pięknego letniego dnia owce George'a wiele razy przechodził zimny dreszcz. Melmoth opowiadał im opowieść, jakiej żadna z nich dotąd nie słyszała, opowiadał nie tylko słowami, ale i wiatrem, który nosił w runie, opowiadał rozedrganym sercem, tak że już wkrótce wszystkie pędziły z nim przez ciemność.

A w opowieści tej panowało przejmujące zimno.

### 13. Melmoth Wędrowiec

Po patykach i kamykach, po patykach i kamykach. Po patykach, kościach i kamykach, po patykach, kościach i kamykach. Kopyta stukotały rytmicznie w zmrożoną ziemię. Serce galopowało przodem. Po patykach i kamykach. Wyły psy rzeźnika. Padlinożerca biegł za nimi. Nazywali go z Ritchfieldem "padlinożercą", ponieważ cuchnął śmiercią i był za gruby, żeby zabić coś dla własnych potrzeb. Ale wyglądało na to, że dołączył jednak do myśliwych, dlatego Melmoth uciekał ile sił w nogach. Po patykach, kościach i kamykach, po patykach, kościach i kamykach.

- Nie odważysz się - powiedział Sir Ritchfield z wyższością starszego bliźniaka.

Melmoth tylko się zirytował. Nawet przez myśl by mu nie przeszło, żeby spytać go, czy odwagi starczyłoby jemu. Przecież nie o to chodziło. Nie chodziło o żadną inną owcę. Chodziło o niego, o Melmotha. Przestał się paść. Odwrócił głowę i spojrzał w dal, za łąkę, gdzie wzgórze za wzgórzem, za wzgórzem wzgórze uciekał od nich pofalowany jak morze krajobraz.

- Odważę się - odparł, patrząc prosto na szyderczo wykrzywioną twarz brata.

Po patykach, kościach i kamykach, po patykach, kościach i kamykach. Nie pamiętał, kiedy i gdzie nauczył się tych słów. Były po prostu właściwe. Zapominał przy nich o padlinożercy. Kiedy je wypowiadał, nawet on przestawał się liczyć. Musiał tylko biec, po patykach i kamykach, musiał tylko błyskawicznie przebierać nogami i równo oddychać. Dopóki biegł, rzeźnik się nie liczył. Lecz oddech przestał być równy. W powietrzu było za dużo zimna, w płucach za mało ciepła. Po patykach, kościach i kamykach. Po kościach i kamykach, kościach i kamykach...

-Trzy dni i trzy noce - powiedział Sir Ritchfield. - Inaczej się nie liczy.

- Nie - odparł Melmoth. - Nie trzy. Sir Ritchfield pogardliwie prychnął.

- Inaczej się nie liczy. Każde zagubione jagnię może spędzić noc na polu. A nawet dwie



noce.

- Pięć dni i pięć nocy - zaśpiewał Melmoth. - Pięć słońc i pięć księżyców, pięć kosów, pięć słowików. - Brykał wokół brata, wesoło wierzgając.

Sir Ritchfield patrzył na niego z niepokojem. Ale tylko przez chwilę, bo dobry humor jest zaraźliwy.

- Pięć kosów, pięć słowików - zawtórował mu śpiewnie i zaczęli hasać po całej łące. Żadnemu z nich nie przyszło nawet do głowy, że ktoś zechce zapolować na Melmotha.

Po patykach, kościach i kamykach. Głównie po kamykach, a raczej kamieniach. A kamienie wcale nie ułatwiały biegania.

-Tylko się nie przezięb - rzucił z zakłopotaniem Sir Ritchfield.

Melmoth dumnie potrząsnął głową. Błyszczały mu oczy. Co ten Ritchfield wiedział o niebezpieczeństwach samotności? Przeziębienia na pewno wśród nich nie było. Melmoth myślał o tym przez wiele dni i doszedł do wniosku, że niebezpieczeństwa nie istnieją. Że to zwykły wymysł. Koszmary nocne małych wystraszonych jagniąt, straszne opowieści karmiących matek. Co robiły owce w stadzie? Pasły się i odpoczywały. A on? Co będzie robił bez stada? Oczywiście pasł się i odpoczywał. Cała reszta to tylko wyobraźnia. Niebezpieczeństw nie ma. Ani jednego.

Kamienne ściany. Zza chmur wychynał księżyc i Melmoth zobaczył, że biegną z obydwu stron. Niezbyt wysokie, jednak za wysokie i zbyt strome dla owcy. Po patykach, kościach i kamykach.

Po kamykach.

To już chyba koniec, bo ściany zamknęły się wokół niego, tworząc ślepy zaułek. Musi się na nie wspiąć. Musi. Po lewej stronie dostrzegł miejsce, gdzie robiły wrażenie mniej stromych. Coś w rodzaju gruzowiska, naturalnej rampy. Wszedł na nią, potykając się i zataczając. Początkowo wszystko było dobrze, lecz po kilku krokach kamyki zaczęły usuwać mu się spod nóg. Czuł się tak, jakby biegł przez zacinający deszcz. Padlinożerca czuł się chyba podobnie. Przerażliwie krzyknął, odwołując psy. Już ich nie potrzebował. W ciszy zaszurały kroki. Szurały szybko. Melmoth był pokonany. Jego strach też. W ostatnich sekundach życia postanowił być naprawdę odważnym baranem. I stawić czoło rzeźnikowi. Trzęsąc się, Powoli ruszył w dół kamienistego zbocza. Po patykach... kościach i... kamykach. Po patykach i...

Po kościach.

Spod kamieni, które poruszył, uciekając, wychynęła kość. Kość w środku ludzkiej nogi.

No i oczywiście się przeziębił, już pierwszej nocy, kiedy to prawie nieosłonięty od lodowatego listopadowego wiatru stał, wtulając się w głogowy żywopłot. Tej nocy nie spał. Wsłuchiwał się tylko w dobiegające zewsząd odgłosy i wyglądał dnia. Za dnia było lepiej, przynajmniej od czasu do czasu. Z kąpiącym nosem wędrował przez szarozielone pola i zimowe wrzosowiska, ostrożnie skubiąc grubą, ostrą trawę.

W południe znalazł się na wzgórzu, z którego dla owcy o sokolich oczach roztaczał się bardzo dobry widok. Melmoth miał sokole oczy, więc natychmiast zwrócił je w stronę błękitnego paska na horyzoncie. Udawał, że chce zorientować się w terenie. Ale tak naprawdę wypatrywał tam białych, wełnistych kropeczek. Niczego jednak nie dostrzegł. Nie dostrzegł nawet ani jednego baranka na niebie, chociaż dobrze się rozglądał. Od wzgórza aż po horyzont nie było

nikogo. Od głowy po nogi zalała go fala absurdalnej euforii i jeszcze bardziej wyteżył wzrok, żeby sięgnąć wzrokiem dalej, dalej i jeszcze dalej. Kiedy euforia zaczęła ustępować miejsca panice, dziko zygzakując, pogalopował przez opustoszałe wzgórze.

Niezdarnie, lecz ostrożnie przestąpił nad ludzką nogą - po kościach i kamykach - zrobił kilka kroków i znowu stanął na twardym gruncie. Co za ulga. Ukrył się w głębokim cieniu u stóp rumowiska i zastrzygł uszami. Psy dyszały, rzeźnik głośno sapał.

- Jest w starym kamieniołomie - powiedział rzeźnik. - Mamy go.

- Hm - odparł znajomy głos. - Hm.

Melmoth zobaczył dwa obłoki wyłaniającego się z ciemności światła, zobaczył gorącą parę buchającą z psich pysków i czarną, zwalistą sylwetkę rzeźnika. Cały się trząsł, ale tylko z wyczerpania. Wszystko słyszał, wszystko. Skowyt psów, bicie ich śliniących się serc, cichy brzęk księżycowej poświaty na zimnej ziemi, trzepot skrzydeł nocnych ptaków, a nawet aksamitny krok powoli odchodzącej nocy. Ta była już piąta. Ostatnia.

Rzeźnik miał latarkę. Melmoth widział, jak jej światło śmiga tu i tam, wspinając się po kamiennych ścianach, nieustannie się zbliżając. Światło zawahało się u stóp rumowiska. A potem ruszyło do góry, nie poruszając ani jednego kamyka. Było dobrym myśliwym: odrywało się od ziemi, błyskawicznie przeskakiwało w cień i przez cały czas sunęło prosto na niego. Oślepiony jaskrawą bielą stał przez chwilę, szybko mrugając. I nagle zapadła ciemność.

- O cholera! - zaklął rzeźnik.

- Co się stało? Coś mu jest? - spytał idący za nim George. - Mówiłem ci, żeby tak za nim nie gonić. Nie nocą. Nie wtedy, kiedy...

George zamilkł.

A potem powiedział:

- O cholera!

Melmoth zmusił się do otwarcia oczu i po chwili jego wzrok ponownie przywykł do ciemności. Już widział, co się stało. Światło znowu skreśliło. Smyrgnęło po kamienistej rampie i padło prosto na samotną ludzką nogę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest znalezienie ludzkiej nogi w tym miejscu. Celowała w nocne niebo, blada, owłosiona i cuchnąca śmiercią.

Światło zachybotowało. Rzeźnik zrobił dwa kroki do tyłu. Już tylko psy wykazywały zainteresowanie Melmothem, który ciężko dysząc, stał w głębokim cieniu.

- George? - rzucił rzeźnik. Jego głos nie był już taki straszny. - Nie sądzisz, że lepiej by było stąd... odejść?

Szczupła sylwetka George'a ani drgnęła.

- Już to widzieliśmy. Paskudny widok. Ja też wolałbym znaleźć tylko Melmotha. Ale już za późno. Musimy to jakoś załatwić. Niech to szlag!

- Niech to szlag! - poparł go rzeźnik. Cofnął się jeszcze o jeden krok. - Wyciągniesz go?

George zrobił pół obrotu w jego stronę i Melmoth wyczuł, że przeszła mu cała złość.

- Ham, to ty jesteś rzeźnikiem. Robisz to codziennie. Przynajmniej teoretycznie. Miałem nadzieję, że...

- To co innego. To zupełnie co innego. Boże święty, przecież to są zwłoki!

George wzruszył ramionami.

- A ty jabłka codziennie przierzucasz?

Podszedł bliżej i ze zbocza stoczyło się kilka kamieni. Wyjął z kieszeni rękawice. Włożył je i pociągnął za nogę. Zwłoki drgnęły, uwalniając małą lawinę kamieni. Melmoth zrobił krok do

tyłu, żeby ocalić przynajmniej swoje nogi. Kości i kamyki, kości i kamyki.

Rzeźnik wydał odgłos przypominający ten, jaki wydają ssące wymię jagnięta, coś w rodzaju mokrego cmoknięcia.

- To Szczur - wychrypiał. - Szczur McCarthy!

George, który wciąż ciągnął za sterczącą z kamieni nogę, dopiero teraz spojrzął w dół. Obok nogi pojawiła się druga, a za nią chudy korpus, chude ręce i szczurza, jakby zaskoczona i zupełnie martwa twarz. Ręce i nogi sterczały pod dziwnym kątem.

- Szywny - mruknął George. Rzeźnik kiwnął głową.

- Szywnieją mniej więcej po ośmiu godzinach. Do tej pory trzeba je przerobić. - Szybko zasłonił ręką usta, jakby chciał ugryźć się w język i cofnąć to, co mu się wysnęło.

George znowu wzruszył ramionami.

- Zawsze był trochę szywny.

Teraz obydwaj wyglądali tak, jakby żalowali, że w ogóle cokolwiek powiedzieli.

Psy węszyły ciekawie wokół zwłok. Melmoth mógł wykorzystać tę chwilę i bez trudu uciec. Ale był zbyt zmęczony. Stał w ciszy, wsłuchując się w aksamitne kroki odchodzącej nocy.

George pochylił się nad trupem.

- Cóż, śmiercią naturalną to on nie umarł. Spójrz.

Ham kiwnął głową, ale nie podszedł bliżej.

- Może wezwiemy policję? - rzucił.

- Gdyby to był ktokolwiek inny, to tak. Ale nie McCarthy. Pomyśl tylko. Coś tu nie gra. On nie umarł normalnie.

Melmoth nie widział w McCarthym nic nienormalnego. Kilka małych ran na rękach i na górnej części ciała. Niektóre były zupełnie niegroźne, ot, zwykłe sińce. Ale były tam również rany klute, chyba od noża. Raną śmiertelną natomiast była prawdopodobnie ta na głowie, ukryta pod tłustymi, sklejonymi krwią włosami. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie.

- Nic tu nie widać. Poświęć. Nie tam, tylko tu! - George miał poirytowany głos.

- Zasłaniasz! - odparł Ham. - Nie jesteś przezroczysty. Odsuń się trochę.

- Nie mogę!

George rzeczywiście nie mógł. Stał na środku wąskiego przejścia, w jedynym miejscu, gdzie dwunożny jego postury mógł stać, nie ryzykując upadku.

- To daj go niżej! - wysapał rzeźnik. - Inaczej nic z tego nie będzie. George spróbował wyciągnąć Szczura ze sterty kamieni, lecz sztywne kończyny stawiały zbyt duży opór. Spojrzął na Hama i warknął:

- Nie stój tak! Zrób coś!

Ham ciężko westchnął. Wziął jego rękawice, naciągnął je na wielkie, rzeźnickie dłonie i ruszył pod górę, uwalniając kolejną lawinę kamieni. Chwycił trupa za przednią i tylną nogę, jednym płynnym ruchem wyszarpnął go z pułapki i złożył u stóp George'a. Przez chwilę poruszał się elegancko jak foka w wodzie. Coś zaklekotało na kamieniach.

- Tutaj. - Ham wskazał potylicę martwego Szczura. - Cios w tył głowy. Chyba tym - dodał, spoglądając na przedmiot, który osunął się z trzaskiem po kamieniach.

Melmoth uważnie zbadał powietrze w poszukiwaniu nowego zapachu. To był zwykły szpadel, taki sam, jakim George przekopywał ziemię w warzywniaku.

- Piękna robota, co? - Rzeźnik wskazał górną część ciała. - Po jaką cholere to zrobili? Nie mam pojęcia. Aż ciarki człowieka przechodzą.

- To nienormalne - powtórzył po raz kolejny George. - Prawdziwe morderstwo.

Niesamowite.

Rzeźnik posłał mu niespokojne spojrzenie.

- Powinniśmy pójść na policję.  
- Zaraz - odparł George. - Chwileczkę. Najpierw musimy pomyśleć. Mamy tu niezły burdel. Dlaczego akurat on? Z czym się to może łączyć? Kogo będą podejrzewali? Kto miał powody, żeby go zabić?

- Na pewno Josh. Sam, Patryk i Gerry. Michael i Healy. George kiwnął głową.  
- Eddie, Dan, Brian, O'Connor, Sean i Nora.  
- Adrian i Mały Dennis - dodał rzeźnik.  
- Leary.  
- Harry i Gabriel.  
- Ty też - zauważył George.  
- I ty - odparł szybko Ham. - Na dobrą sprawę to wszyscy. Może oprócz Lilly. - Lekceważąco machnął ręką. George ponownie pochylił się nad Szczurem.

- Każdy mógł to zrobić.  
- Jedni zrobiliby to lepiej, inni gorzej.  
- Ty na pewno lepiej - mruknął George. - Jeśli pójdziemy na policję, będziemy musieli udowodnić, że to nie my. Musimy... - Przesunął czapkę na tył głowy. - Musimy mieć alibi. Pytanie tylko na kiedy? Możesz w przybliżeniu określić, kiedy go zabito?

- Hm - mruknął rzeźnik. - Trzymam je w chłodni, ale tu też nie jest za ciepło. Założmy, że to prosię. Gdyby to było prosię, dałbym mu... Bo ja wiem, że cztery dni. Zakładając, że się lenisz, zwlekasz z robotą i nie przetworzysz tuszy natychmiast, ale wtedy masz kłopoty.

- A gdyby przez jakiś czas leżał w cieple i gdyby dopiero co go tu przyniesiono?  
- Nawet gdyby leżał, to i tak będzie ze trzy dni - odparł rzeźnik. - Widzisz te sińce? Wychodzą po dwóch, a takie to są po trzech.

Czapka George'a zawędrowała na sam tył głowy.  
- Trzy dni. Trzy dni temu była niedziela. Byłem na łące; pomyślałem, że zrobię sobie dzień wolnego i choć raz odpocznę. A ty siedziałeś pewnie przed telewizorem, w dodatku sam, co?

Speszony Ham kiwnął głową.  
- Fatalna sprawa, fatalna sprawa... - wymamrotał George. - Jeśli to zgłosimy, przewrócą nam dom do góry nogami. I przeszukają przyczepę. Tego mi tylko trzeba. Mam iść do pudła przez McCarthy'ego? Nigdy. Moim zdaniem powinniśmy go tu zostawić. Niech ktoś inny go znajdzie.

George odwrócił się i pomaszerował w dół zbocza. Rzeźnik zagwizdał na psy i długimi, szybkimi krokami poszedł za nim. Melmoth stał obok Szczura i patrzył za nimi. Mimo ogromnego, prawdziwie wełnistego znużenia był zaskoczony. Padlinożerca ucieka od padliny! Nie do wiary. Patrzył i widział, jak powłócząc nogami, odchodzi wraz z nimi śmierć. Szur, szur. Po patykach, kościach i kamykach. Szur.

Wtem Ham przystanął i obejrzał się przez ramię. Śmiertelne zimno spelzło z rogów Melmotha i ogarnęło całą głowę. Tego dnia nie zniosłby już ponownego umierania. Najpierw strach, cierpki i parny, potem odwaga w obliczu śmierci, nieugięta, lecz oczywista, potem ulga, miękka iekliwa, a teraz znowu strach. Wiedział, że po raz drugi tak dzielny nie będzie. Nie w tej chwili.

- Co się stało? - George też przystanął.  
- Mam dziwne uczucie - odrzekł Ham. - Jakbyśmy coś przeoczyli. Melmoth zamarł. George roześmiał się gorzko.

- Lepiej by było, gdybyśmy przeoczyli dużo więcej.  
Ale padlinożerca już zawrócił. Już szedł w stronę Melmotha. Szur, szur, po kościach i

kamykach.

- Coś tu nie gra - mrucał. - Coś nie pasuje. Gdybym tylko wiedział co.

Melmoth zamknął oczy. Nadeszła chwila ostatecznej kapitulacji. Rzeźnik za chwilę przypomni sobie, co jest nie tak. A wtedy... Cóż, nie było nawet sensu zamykać oczu. Szur. Szur. Po kamykach. I ten zjełczały, gorący, coraz silniejszy zapach.

- W sklepie, w moim sklepie... - mrucał Ham. - Dzisiaj. Trzy porcje wieprzowej górkę dla Kate, potem Josh odebrał dziesięć kilo mielonej wołowiny dla pubu, a jeszcze potem sprzedałem Samowi dwadzieścia parówek na urodziny. Nie, to nie to. Josh. Josh i te dziesięć kilo wołowiny...

Rzeźnik zatrzymał się tak gwałtownie, że George wpadł na niego i zaklął.

- Cholera jasna! Zwariowałeś?

Ale Ham nie zwracał na niego uwagi.

- Potem były peklowane żeberka wieprzowe. Nie pamiętam, kto je kupił. Może Dan. Albo Eddie. A potem przyszedł ktoś jeszcze... Ale co do Josha jestem zupełnie pewny. Powiedział, że McCarthy był wczoraj w Pod Szalonym Dzikim. Mówił, że na pewno, że władze zatwierdziły wszystkie plany, że już nic nie można zrobić. Powiedział, że wczoraj. Wczoraj.

George zagwizdał przez zęby. Takim gwizdem nakazywał zwykle Tess, żeby zagoniła stado, chociaż była jeszcze młoda i nie zawsze go słuchała. Ale Tess tu nie było, a psy rzeźnika nie zareagowały.

- Nie mogę się w tym połapać - mamrotał Ham. - Kto pił wczoraj w pubie? - Oświetlił latarką Szczura. Promień światła musnął przy okazji Melmotha. - Na pewno nie on.

- Wczoraj? Na pewno powiedział, że wczoraj? - dopytywał się George.

Ham kiwnął głową.

- Wczoraj. Jeśli mi nie wierzysz, mam to na kasecie. - Ale ta kamera nie rejestruje dźwięku.

- Rejestruje, rejestruje - odparł Ham.

George uniósł brwi, lecz niezrażony rzeźnik mówił dalej:

- To mnie zastanowiło. Olewają go całymi tygodniami i nagle aż trzech zaczyna o nim gadać. Pomyślałem sobie, cóż, skoro sprawa wyszła na jaw...

George klepnął się ręką w czoło. Melmoth wiedział, że gest ten jest zarezerwowany wyłącznie dla jego najlepszych pomysłów. Jak choćby dla takiego, żeby pomalować szczury świecąca farbą, by sprawdzić, którą dziurą wchodzi do przyczepy. Albo że to panna Maple podkrada mu syrop z chleba. Albo że można schwytać Melmotha, chwytając Sir Ritchfielda, bo Melmoth i Sir Ritchfield są nierozłączni jak piasek i morska trawa. Kiedy George klepał się ręką w czoło, zawsze miał rację.

- To oni - powiedział. - Oni wszyscy.

Ham spojrział na niego tępym wzrokiem.

- To znaczy?

- Nie wiem dokładnie który, ale wiem, że jest ich dużo. Cała banda. Tak dużo, że siedzą w tym wszyscy z pubu. Boże, Ham, pomyśl tylko. Postanowili, że to zrobią, tak samo jak postanowili, że ratusz musi mieć nowy dach. A to sukiny. I tu go zakopali. A teraz rozповідаją, że wczoraj był Pod Szalonym Dzikim. A jak znajdą go tu, kiedy trudno będzie ustalić dokładną datę śmierci, wszyscy będą mieli cudowne alibi od wczorajszego dnia aż do chwili odkrycia zwłok. Spotkanie z adwokatem, wizyta u lekarza, wyjazd do miasta. Poobserwuj ich tylko przez kilka dni i sam się przekonasz.

- Ale... - Rzeźnik bezradnie zamachał rękami. - Oni wszyscy? O'Connor też? I Fred?

- Nie wiem, konkretnie kto go zaciukał - odparł rozdrażniony George. - Ale wiem, że

siedzą w tym wszyscy ci, którzy byli wczoraj w pubie. I prawdopodobnie kilku innych, których tam nie było. Z daleka od pubu trzymał się pewnie tylko ten, kto pociągał za sznurki.

- A gdybym i ja poszedł wczoraj do pubu? Myślałem o tym, a jakże. Nie było nic w telewizji.

- Wtedy powiedzieliby, że McCarthy właśnie wyszedł. Albo że jeszcze nie przyszedł. Albo że widzieli go niedawno w supermarkecie. Albo na placu zabaw, gdzie opowiadał dzieciom o tych swoich przeklętych planach. Jeśli jest ich dużo, to jedno i to samo.

- Nie do wiary - jęknął Ham. - Kupują moją kiełbasę. Moje kotlety. I nagle wszyscy są mordercami?

Nie mogę w to uwierzyć.

- Taka jest ludzka natura, więc lepiej uwierz - odparł George, ale Ham go nie słuchał.

- Kupują u mnie wołowinę na pieczeń. Jak mogę sprzedawać im wołowinę, wiedząc, że zabili człowieka?

Oddech Hama zawisł bezdźwięcznie w zimnym powietrzu. Wtem George zamarł.

- Zamknij się! - warknął przez zaciśnięte zęby. Warknął bardzo cicho. Kiedy mówił bardzo cicho, zawsze oznaczało to coś ważnego. Ale Hama nikt by już teraz nie powstrzymał.

- Nic już u mnie nie kupią - oznajmił. - Nic, a nic!

- Cicho! - syknął George. Ham zobaczył jego minę i zamilkł. Znowu słychać było tylko ten bezdźwięczny oddech. I czyjeś kroki. Na kamieniach. Kroki, które szybko się oddalały. Potem zapadła cisza.

- Niech to szlag! - zaklął George.

- Niech to szlag! - zaklął rzeźnik. Przez chwilę milczeli.

George westchnął.

- No, to już wiedzą. Do tej pory nic nam nie groziło. A teraz siedzimy po uszy w gównie. Ham wytrzeszczył oczy. Pachniał teraz czymś gorzko-kwaśnym. Strachem. Rzeźnik się bał.

- Nie myślisz chyba, że... George, przecież oni nas lubią. Nie lubili tylko Szczura.

George pokręcił głową.

- Szczura zabili dla paru funtów. Jak sądzisz, do czego się posuną, żeby ratować skórę?

- A to sukinsyny. - Ham zacisnął pięści. - Bezpieczeństwo! Tak, to jest to. Trzeba się zabezpieczyć. Trzeba się zabezpieczyć i mieć oczy z tyłu głowy. Nie zamierzam im tego ułatwiać!

Mieć oczy z tyłu głowy, pomyślał Melmoth.

- Tylko jak? - ciągnął rzeźnik. - Wpadliśmy w to jak idioci. Oni już wiedzą. Co teraz?

- Teraz trzeba pomyśleć - odrzekł George. - Myślenie pomaga. Trzeba znaleźć ich słabe punkty.

Znaleźć słabe punkty, pomyślał Melmoth. Myślenie pomaga.

- Oni nie mają słabych punktów - westchnął Ham. - Tylu ich jest. Kruk krukowi oka nie wykole i jeśli wszyscy w tym siedzą... - Zupełnie zagubiony bezradnie zamachał mięsistymi rękami.

- Nie panikuj, Ham. Myśl. Każdy ma słaby punkt.

Każdy ma słaby punkt, powtórzył Melmoth. Nigdy by się nie spodziewał, że George i rzeźnik są tacy mądrzy.

George poprawił czapkę.

- Cóż, mamy mało czasu. Najpierw to obgadają. Żaden z nich nie zrobi niczego na własną rękę.

- Zostaliśmy wyrzutkami - powiedział Ham. Trząśł mu się głos. - Czy ty tego nie widzisz?

Nie ma już powrotu. Jak wypadasz, to wypadasz na dobre. Niech to szlag! - Teraz trząś się już cały Ham.

George położył mu rękę na ramieniu. Wyglądało to dość zabawnie, bo był od niego znacznie niższy.

- Posłuchaj, spędzałeś kiedyś owce? Rzeźnik pokręcił głową.

- Stado owiec można łatwo spędzić, bo coś o nich wiesz. Wiesz, że zawsze zostaną razem. Zrobią wszystko, żeby zostać razem. Dlatego można je spędzić. A pojedynczej owcy już nie. Pojedyncza jest nieprzewidywalna. Samotność ma swoje dobre strony.

Melmoth i rzeźnik słuchali go z wytrzeszczonymi oczami. - Jeśli jesteśmy wyrzutkami, lepiej to wykorzystajmy - ciągnął George. - Znajdźmy dowody. Ta twoja kamera. To niezły pomysł. Poza tym sprzedajesz gazety w sklepie...

Ham spojrział na niego niepewnie.

- Gazety? Tak, ale...

- Świetnie! - George z zadowoleniem kiwnął głową. - Leżą w zasięgu kamery? Bo wtedy widać by było datę i mielibyśmy dowód.

Rzeźnik rozdziawił usta. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, do czego George zmierza. Ale on myślał już o czymś innym.

- Znakomicie - wymruczał. - Znakomicie. Jest ich dużo. A tłum nic nie ryzykuje. Trzeba zrobić tak, żeby policja natychmiast znalazła McCarthy'ego. A ty przegraj tę kasetę. Kopię ukryjemy. I jeśli przytrafi się nam coś złego, wszystko wyjdzie na jaw!

- Jeśli przytrafi się nam coś złego, wszystko wyjdzie na jaw - powtórzył rzeźnik. - Tak! Bardzo dobrze! Wkrótce się przekonają, jaki jestem naprawdę! Jutro wezmę kasety i pojedę do adwokata. Wezmę kasety i testament. Który otworzą po mojej śmierci!

- Tylko ci z pubu muszą się o tym szybko dowiedzieć, inaczej będzie po nas.

- Dowiedzą się z samego rana! - odparł stanowczo Ham. - Powiem pierwszemu klientowi, który do mnie przyjdzie.

Ruszyli przed siebie jeszcze szybciej niż przedtem.

Lecz już po kilku krokach George odwrócił się i oświetlił latarką Melmotha.

- Melmoth - rzucił przyjaźnie. - Chodź, stary.

- Jak możesz myśleć teraz o jakimś baranie? - prychnął Ham.

- Bo to mój baran. Moja zagubiona owieczka. Który z nas chodzi co niedzielę do kościoła, co? No, staruszkule? Chodź.

George wabił go swoim najprzyjaźniejszym głosem, głosem z cyklu: Mam dla ciebie kawałek buraka. Melmoth wiedział, że pasterz buraka nie ma. Mimo to chciałby z nim pójść. Z powrotem do stada.

Ale nie mógł.

"Nie ma już powrotu. Jak wypadasz, to wypadasz na dobre".

Był sam. I musiał sam zostać.

"Samotność ma swoje dobre strony".

Zaczął cofać się krok po kroku, aż dotknął zadem kamiennej ściany. George przez cały czas szedł za nim. Przyjacielskim gestem chwycił go za rogi, tak jak wiele razy robił to przedtem. Melmoth szarpnął się i szarpał się tak, jakby walczył o życie.

W końcu George zrezygnował.

- Pomóc ci? - spytał Ham.

- Nie, to bez sensu. On nie chce wracać.

I nagle w rękę pasterza błysnął nóż. Druga ręka chwyciła barana za gardło, jakby czegoś tam szukała. Melmoth zamarł. Ręka szukała i wreszcie znalazła: cienki sznurek głęboko w runie.

George przeciął go nożem. Na ziemię upadł z brzękiem klucza, gładki i błyszczący. Pasterz pochylił się, podniósł go, schował i westchnął.

Melmoth dobrze pamiętał dzień, kiedy George powiesił mu go na szyi. "Bo jesteś najdzikszy z nich wszystkich" - powiedział. Nie Sir Ritchfield z wysoko uniesionymi rogami, tylko właśnie on, Melmoth. To był wspaniały dzień.

George odszedł, nie oglądając się za siebie.

- Zwariowałaś? - wykrzyknął Ham. - Uganiamy się za nim przez cały dzień, a teraz go tu zostawiasz? Co ci jest? Dołączy do pierwszego napotkanego stada. Owca bez stada? Nikt o czymś takim nie słyszał! Zdechnie tu sam, nie przeżyje.

- Przeżyje, przeżyje - odparł George i dwa stożki bladego światła zniknęły w ciemności.

## 14. Bystra biegnie po pomoc

Tego wieczoru na pastwisku było cicho i spokojnie. Po trawie wędrowały szukające owadów gołębie, niebo było bladoróżowe, a morze u stóp urwiska gładkie jak mleko. Ucichł nawet monotony odgłos skubania trawy, jaki wydawały owce Gabriela. Ze zmętniałymi oczami napierały bezgłośnie na drucianą siatkę, aż poluzował się jeden ze słupków.

Owce George'a nie zwracały na nie najmniejszej uwagi. Zachwycone, wciąż siedziały pod cienistym drzewem.

- Udało ci się - rzekła z podziwem Cordelia.

Pozostałe milczały. Ich serca wciąż były przyspieszonym rytmem na wspomnienie przygód Melmotha Wędrowca, na wspomnienie błyszczącego noża, zapachu padlinożericy i wycia jego psów.

Melmoth też milczał. Wyglądał trochę tak, jakby wciąż wędrował przez kamieniołom. To dziwne, ale zdawało się, że bardzo odmłodził.

- Dalej! - zameczał ktoś drżącym głosem. Zimowe jagnię. Melmoth szybko odwrócił głowę.

- Co "dalej", młody pojadaczu?

Przestraszone jagnię schowało się za pniem drzewa.

- No... co było dalej? - zameczało z bezpiecznego schronienia.

- Nic - odparł Melmoth. - Opowieść zawsze kończy się wtedy, kiedy dobiega końca. Tak jak oddech. Ale życie toczyło się dalej, na wzgórzach i w dolinach, na bezdrożach, słonych plażach i brzegach lśniących rzek, w zasnutych mgłą górach, gdzie pasą się dzikie kozice, w stadach, przez które przeszedłem jak przez płatki śniegu w drodze do Morza Północnego, gdzie kończy się świat, wciąż dalej i dalej. Po prostu podążałem za życiem, które wije się, zygzakuje i ucieka w bezkresną dal jak mysz biegnąca przez trawę.

- To opowiedz nam o Morzu Północnym! - zameczał głosik zza drzewa.

Ale Melmoth już go nie słuchał.

- Ja też zawsze chciałem, żeby opowieść nie miała końca - szepnął do błyszczącego żuka, który spacerował po długim źdźbłę trawy tuż pod jego nosem. - Żeby weszła mi pod skórę, żeby powróciła, sama, bez obcych tego świata. Ale potrzebowałem do tego pasterza, a pasterz nie żyje. - Kłapnęły zęby i tłusty żuk zniknął wraz ze źdźbłem między szczękami. Melmoth zaczął w zadumie przeżuwać. Biały Wieloryb zmarszczył nos.

- Skąd wiesz, że George nie żyje? - spytała ostro panna Maple. Melmoth spojrzął na nią zaskoczony.



- Jak mogę nie wiedzieć? Moje ptaki wiedzą, wie powietrze. Niebieskooki człowiek spędza tu swoje bladookie stado. Splądrowaliście warzywniak. Ludzkie stado przychodzi tu i na oślep depta trawę. Poza tym - dodał z rozbawieniem - każdy, kto widziałby go tamtej nocy z cichym sercem, głośno bijącą krwią i sterczącym z życia szpadlem, od razu by wiedział, że George jest martwy.

- Byłeś tu tamtej nocy? - zameczała podekscytowana Chmurka. - Widziałeś, kto go tym szpadlem przebił?

- Nie, nie widziałem - parsknął gniewnie Wędrowiec. - Och, gdybym tylko widział...

- Ale potem? - przerwała mu panna Maple. - Widziałeś go tuż potem?

- Nocne ptaki nie zaczęły jeszcze śpiewać. Znalazłem go przed padlinożernymi żukami. Znalazłem go, zanim ciepło życia uciekło w ciemność.

- A potem? - nie ustępowała panna Maple. - Co zrobiłeś potem?

- Obszedłem go trzy razy w lewo, obszedłem trzy razy w prawo i trzy razy podskoczyłem, tak jak górską kozicą, kiedy milknie najmądrzejszy kozioł w stadzie. Postawiłem kopyto na jego sercu. Trudno powiedzieć, gdzie człowiek ma serce. Ale u niego to było widać. Chciałem, żeby mnie jeszcze raz zobaczył, żeby popatrzył na mnie chociaż przez chwilę. Żeby wiedział, że mi się udało. Jeden zachód słońca za późno, tylko jeden. Od ostatnich jaskółczych lotów słyszałem, jak płynie czas, bo szemrał jak piasek na wietrze. Myślałem, że to mój tak ucieka. Skąd mogłem wiedzieć, że to jego.

Wędrowiec posmutniał.

Panna Maple wyobraziła sobie jego kudłatą sylwetkę w ciemności, jego błyszczące oczy, płynne ruchy, wyobraziła sobie czarne wrony na jego grzbiecie. Tak, to wyjaśniało zagadkę odcisku kopytka na ciele George'a. Kiwnęła głową.

- Wilczy duch. - Miała go przed sobą.

Owce spojrzały na nią niespokojnie. Nie lubiły myśleć o wilczym duchu nawet za dnia, ze słońcem w runie, przy akompaniamencie krzyku mew. Matylda zaczęła podejrzliwie węszyć na wszystkie strony.

Co bystrzejsze owce patrzyły na Wędrowca. Wreszcie to do nich dotarło. Na łące nie było żadnego ducha - był tylko on, Melmoth. Chociaż z drugiej strony, określenie: "tylko" było chyba nieodpowiednie. W skrytości ducha zastanawiały się bowiem, czy powinny bać się go tak bardzo jak wilczego ducha, czy też ewentualnie bać się ducha tak mało, jak mało bały się Melmotha. A może na odwrót?

Stado ogarnął niepokój. Bystra i Biały Wieloryb, którzy do tej pory odpoczywali wygodnie na ziemi, nerwowo wstali. Nikt inny się nie poruszył. Sir Ritchfield, przewodnik stada, który w takich sytuacjach powinien dawać im przykład, tym razem go nie dał.

Powiedział tylko:

- Ha!

Ha? Czy znaczyło to, że w opowieści Melmotha nie ma ani słowa prawdy i że wilczy duch nie istnieje? Że jeden duch to za mało, żeby go zdenerwować? A może po prostu chciał powiedzieć, że czegoś nie zrozumiał?

Zbite z tropu owce wymieniły pytające spojrzenia. W końcu na ratunek pospieszył im głód.

Kiedy Melmoth opowiadał o nocnej przygodzie w kamieniołomach, na łące nie pasła się ani jedna. Wszystkie bieły razem z nim, wszystkim dziko waliło serce, wszystkie trzęsły się ze strachu i ludziły nadzieją. Ale teraz ich głównym uczuciem był głód. Dobrze, że książkowe Pamele nie przeżywały takich rzeczy, bo skończyłyby pewnie jako ostatnie chudziny. Wilczy duch, nie wilczy duch, zaczęły się z apetytem paść. I gdy się tak pały, z nosami głęboko w

trawie, starannie przeżuując i wyrywając z ziemi rośliny, napięcie minęło jak poranna mgła.

Ale niedługo potem coś poruszyło się w runie Chmurki. Wyśliznęło się spod niej zimowe jagnię. Chociaż trzęsły mu się nóżki, miało zdecydowany wyraz twarzy. Rozejrzało się po łące. Kilka kroków dalej stał Melmoth Wędrowiec, jakby go oczekiwał.

Popatrzyli na siebie.

- Mówią, że to ty jesteś wilczym duchem - zaczęło nieśmiało jagnię.

- Ja jestem Wędrowiec - odparł Wędrowiec.

- To znaczy, że wilczego ducha nie ma? -Jagnię wytrzeszczyło oczy.

Melmoth spuścił wielką, kudłatą głowę. Zmarszczyły mu się kąciaki ust. Siedzące na jego grzbiecie wrony szyderczo zakrakały.

- Widziałeś go na własne okrągłe oczy, prawda, mały pojadaczu?

-Tak, widziałem - odparło z powagą jagnię. - Wcale nie był taki jak ty. Był straszny.

Melmoth prychnął z rozbawieniem, ale spoważniał, zanim jagnię zdążyło się spieszyć.

- Posłuchaj, mały pojadaczu. Posłuchaj uważnie tymi ładnie wykrojonymi uszami, oczami, rogami, które jeszcze ci nie wyrosły, nosem, głową i sercem.

Małec otworzył usta, żeby lepiej słyszeć.

- Jeśli widziałeś wilczego ducha - powiedział Melmoth - to na pewno go widziałeś.

Tamtej nocy byłem z George'em, ale czy to wiadomo, że byłem sam? George był wyjątkowym pasterzem i leżał tam otulony runem nocy. Przewędrował wiele światów, w wielu światach gościł. A teraz we wsi tańczą bladolicy i przyszła tu czerwona kobieta. Czarni, milczący ludzie na próżno pukają do drzwi przyczepy, a z nieba zlatują padlinożercy. Czy to wiadomo, kto jeszcze tańczy wokół jego trupa? Nie ty. Nie ja.

- Cordelia uważa, że to sztuczki - powiedziało jagnię. - Że nie ma takich rzeczy jak duchy. Ale sama w to nie wierzy. Ona też się ich boi.

-To nie sztuczki - odrzekł Wędrowiec.- Możesz wierzyć Melmothowi, który popasał na wielu światach. Tak, duchy istnieją. Pełzające dziurowlazy, pełzacze z żywopłotów, morskie paluchy i sianowidma, że wymienię tylko te najmniej groźne. Ale kiedy we mgle zakwili Płaczące Jagnię, nie oprze mu się żadna karmiąca matka. Idą do niego wszystkie, jak jedna, a on wciąga je w sieć niczym pająk. Żadna z nich nigdy nie wróciła.

Jagnię zadrżało.

- Żadna?

- Żadna. I pamiętaj, żebyś nigdy nie patrzył na Czerwonego Kozła. Jeśli owca zobaczy Czerwonego Kozła, w pojedynku umrze baran z jej stada i nawet wiatr temu nie zaradzi. Dlatego lepiej na niego nie patrzeć. Lepiej też nigdy nie zwietrzyć zapachu Samotnej Mgły, kusicielki głosów. Kusicielka ma niebiański zapach, pachnie jak wszystkie najlepsze rzeczy razem wzięte, jak zioła, mleko i poczucie bezpieczeństwa, jak karmiącą matka jesienią, jak zwycięstwo w pojedynku, kusi cię, wabi, szepcze do ucha aksamitnym głosem. Ale zwietrzyć ją może tylko jedna owca w stadzie. Owca ta idzie za jej zapachem po kamykach i patykach, nie oglądając się za siebie, odchodzi coraz dalej i dalej, wreszcie trafia na wrzosowiska, do czarnego jeziora na mokradłach. Złośliwe oko jeziora patrzy na nią i patrzy...

- I co? - szepnęło jagnię.

- I co? - Melmoth przewrócił oczami. - I nic. Żadna owca nigdy nie uciekła przed tym szyderczym okiem, a przynajmniej żadna z tych, które odeszły ze stada całe i zdrowe. Samotnej Mgle uciekła tylko jedna.

Siedzące na grzbiecie Melmotha, wrony przekrzywiły głowę i popatrzyły na jagnię

jasnymi, paciorkowatymi oczami.

-Ty?

- Ja? -Wędrowiec puścił do niego oko. -Ważna jest opowieść, a nie opowiadający. Słuchaj opowieści. Słuchaj uważnie, zbieraj je z łąki jak jaskry. Znajdziesz tam wyjące psy, bezwonnego wypiarza z Islandii, owcę wampira, bezgłowego pasterza....

- I wilczego ducha - szepnęło jagnię.

- I wilczego ducha. Tak, mój mały, uparty tropicielu, wilczego ducha też. Jakby na potwierdzenie tych słów, wrony rozłożyły czarne skrzydła w wieczornym świetle.

Ale Wędrowiec już się odwrócił i niespiesznie minął wietrzącą za nim Matyldę. Minął truchtem Cordelię, Zorę i Sir Ritchfielda, który obserwował go z tajemniczą miną. Zniknął w głogowym żywopłocie i chwilę później owcom zdawało się, że ten dziwny, szary baran tylko się im przyśnił.

Ale Sir Ritchfield robił wrażenie zadowolonego.

- Poszedł na spacer - wyjaśnił. - Lubi noc. "Szkoda tracić jej na spanie", tak często mawia. Wróci. Żadna owca nie może opuścić stada.- I na wszelki wypadek dodał: - Chyba, że do stada wróci.

Po odejściu Melmotha łąka zrobiła się dziwnie pusta i tajemnicza jak spokojne, głębokie morze. Owce zbiły się w gromadę na wzgórzu i najpierw słuchały ciszy, a potem panny Maple, która prowadziła śledztwo.

- Musimy się dowiedzieć, dlaczego George opuścił ludzkie stado - mówiła. - W nocy, o której opowiadał nam Wędrowiec, musiał odkryć, że jest to złe stado. Że zabiło Szczura McCarthy'ego. Wyobraźcie sobie, że żyjecie w jakimś stadzie i że pewnego dnia odkrywacie, że pozostałe owce nie są wcale owcami, tylko wilkami.

Owce spojrzały na nią z przerażeniem. Tylko zimowe jagnię szyderczo zameczało.

- I wyobraźcie sobie, że to była tajemnica - ciągnęła panna Maple. - Że wilków tych nie można było rozpoznać po zapachu, że były to wilki w owczej skórze. I że prawda wyszła w końcu na jaw. Kiedy prawda wychodzi na jaw, ludzie mówią, że to sprawiedliwość, tak przynajmniej myślę.

- Ale z czego ta prawda wychodzi? - spytał Otello, którego sprawa ta zaczęła nagle wciągać.

Panna Maple zmarszczyła czoło.

- Nie wiem - przyznała w końcu. - Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy ją wypuścić.

- Sprawiedliwości! - zameczał Biały Wieloryb, któremu spodobał się pomysł wypuszczenia prawdy na jaw. Przynajmniej nie brzmiało to niebezpiecznie: jedno lekkie kopnięcie w odpowiednią furtkę, jedno pchnięcie sprytnym nosem Bystrej i cała ta sprawa z morderstwem wreszcie się skończy. Ale zaraz potem zaczął się zastanawiać, dlaczego prawdę w ogóle zamknęto. Czy to niebezpieczne? Niebezpieczne tylko dla ludzi czy dla owiec też? Mocno zamknął usta i zrobił bardzo owczą minę. Postanowił, że nie będzie się na takich spotkaniach odzywał, tylko spokojnie żuł trawę.

- Ciekawie jest pomyśleć, który z bohaterów opowieści Melmotha mógł się bać - dodała panna Maple po krótkiej przerwie. - Który i czego. George i rzeźnik bali się trupa, przynajmniej początkowo. To wiemy. Trup mówi, że gdzieś w pobliżu czai się śmierć, a śmierci boi się każdy.

Owce niepewnie zameczały. Temat był dla nich zbyt makabryczny. Mimo to panna Maple nieustępliwie parła naprzód.

- Ale kiedy dowiedzieli się, że mordercy wiedzą to, co wiedzą oni, przestraszyli się

jeszcze bardziej.

Owce wymieniły spojrzenia. Kto tak naprawdę co wiedział? Panna Maple wykorzystwała ich konsternację, żeby wyrwać z ziemi jaskier i starannie go przeżuć.

- Dlaczego? - rzuciła, przelknąwszy. - Dlatego, że oni też się boją. Boją się, że prawda wyjdzie na jaw. A kiedy się boją, są niebezpieczni, tak jak psy. Psy, które się boją, są po dwakroć bardziej niebezpieczne. Psy, które się boją, gryzą.

Nagle jakby coś przyszło jej do głowy. Spojrzała na Wieloryba, który w skupieniu przeżuwał jedzenie. - Wieloryb, co miałeś zapamiętać? - spytała.

- Wszystko - odparł z dumą Wieloryb. Panna Maple ciężko westchnęła. - I co jeszcze? Wieloryb myślał tylko przez ułamek sekundy.

- Króla goblinów.

Panna Maple kiwnęła głową.

- Właśnie. Teraz już wiemy, dlaczego dzieci bały się George'a, chociaż nigdy nie zrobił nikomu krzywdy. Nauczyły się strachu od starszych, tak jak nasze jagnięta. George starszym zagrażał, bo znał ich tajemnicę.

Owce milczały. Były pod wrażeniem. Panna Maple jest naprawdę najmądrzejszą owcą w całym Glennkill, pomyślały.

- Ale może żadna z tych rzeczy nie ma nic wspólnego z jego śmiercią - powiedział Zora. - Ostatecznie przez tyle lat, prawie tak długo, jak żyje owca, nic mu nie zrobili. Więc dlaczego akurat teraz?

Panna Maple energicznie pokręciła głową.

- Nie, to musi się jakoś łączyć. Szpadel tu, szpadel tam: to aż nad to oczywiste. Szpadle nie są zazwyczaj niebezpieczne. Nasz szpadel stał przez lata w szopie. Więc dlaczego dwóch ludzi umiera nagle od szpadla? Ponieważ w przypadku George'a miało to tak wyglądać, chociaż tak naprawdę to został otruty. Ten, kto go zabił, chciał przypomnieć komuś o McCarthym.

- Może rzeźnik? - zameczał Wieloryb, który zdążył już złamać postanowienie o milczeniu i zucił. - On też wiedział o McCarthym.

- Rzeźnik - powtórzyła w zadumie panna Maple. - Rzeźnik... - Jak by to słowo przeżuwała. - Rzeźnik się zabezpieczył. Właśnie dlatego nikt go nie zabił! Może nie mieli odwagi go tknąć i chcieli go w ten sposób ostrzec? Z drugiej strony - dodała, strzygąc uszami - z drugiej strony, mogło być zupełnie odwrotnie. Może ktoś chce, żeby prawda wyszła na jaw. Może ten ktoś zamordował George'a, żeby wreszcie wyszła? A ponieważ nie wyszła, wziął na cel rzeźnika. Ludzie ze wsi się go boją. Nie chcą, żeby umarł, chociaż nikt go nie lubi.

- Nie, to jest opowieść miłosna! - zameczała przekornie Wrzosowata.

- Jeśli z rzeźnikiem, to nie miłosna - mruknął Wieloryb.

Ale panna Maple uznała, że w opowieści miłosnej może wystąpić nawet rzeźnik.

- Czemu nie? - odrzekła. - Przecież i tak interesuje się Kate. I wiedział, co przytrafiło się McCarthy'emu. Może to on przebił George'a szpadlem, żeby wyglądało to tak, jakby tamci zrobili to jeszcze raz. Wszyscy razem. I nikt nie śmie go wydać, bo się zabezpieczył.

Całe to myślenie sprawiło, że owce poczuły się senne. Gdziekolwiek panna Maple wetknęła nos, tam zawsze pojawiały się nowe możliwości, które brzęczały jak muchy w korytku. Było ich za dużo nawet dla niej.

- Ciągłe wiemy za mało - westchnęła. - Musimy lepiej poznać człowieka.

Spięte i zestresowane myśleniem owce postanowiły dojść do siebie w stodole.

Po upalnym dniu było tam duszno i pachniało stęchlizną. Gorąco wypłoszyło stare zapachy z zakamarków, wnęk i dziur. Zapach młodej myszy, która zdechła pod drewnianą podłogą przed rokiem. Zapach potu George'a, gdy przez otwór w suficie wrzucał na wyżki siano,

deszcz pachnącego siana. Śruby, która wypadła z jego radia i wciąż pachniała tak samo jak kiedyś, metalem i muzyką. Zapach krwi i piekającej maści, która kapiała na podłogę z rany Otella. Jaskółczych jaj pod dachem. Zapach oleju. Jagniąt. Śniegu. Pyłu z motyli skrzydeł.

Wszystkie te zapachy grasowały w stodole niczym wścibskie szczury.

Senna panna Maple wsłuchiwała się w nie i mimo upału, szybko zasnęła.

W jej śnie panował miły chłód. Stała nad strumieniem, a strumień cicho do niej szumiał. Bulgotał, śpiewał. Mówił, że wszystko płynie do morza, że nic nie wraca. Ale ona mu nie ufała. Pasło się tam duże stado wspaniałych, białych owiec i od czasu do czasu jedna z nich przechodziła na drugi brzeg. Ilekroć przechodziła, natychmiast robiła się czarna. Czarna od głowy po kopytka. Panna Maple wyteżyła wzrok, żeby zobaczyć, jak to się dzieje i kiedy. Czarne owce spoglądały tęsknie na drugi brzeg, ale te białe ich nie widziały. Wreszcie jedna z czarnych rozpedziła się i przeskoczyła strumień. Ale nie zrobiła się znowu biała. W połowie skoku zmieniła się w wielkiego szarego wilka. Białe owce rozpierchły się, biegnąc prosto do nieba. We śnie panna Maple postanowiła zapamiętać, jak to robią, żeby potem opowiedzieć wszystko Zorze. Lecz we śnie wiedziała również, że nigdy nie uda jej się przenieść tego sekretu przez granicę jawy.

Z nieba płynął przykry zapach.

Obudziła się gwałtownie w mrocznym upale stodoły. Zapach stada! Stada dziwnych owiec, bardzo blisko! Chwilę później przypomniało się jej, że jest z nimi Melmoth. Melmoth, który pachniał jak stado półowiec. Pewnie wrócił wcześniej z nocnej przechadzki, pomyślała, żeby się uspokoić. Zastanawiała ją, dlaczego pachniał tak dziwnie, tak zupełnie inaczej niż wszystkie znane jej owce. Może dlatego, że tak dużo podróżował. Zawsze żył inaczej niż one, dlaczego więc miał tak samo pachnieć?

Mogło to mieć coś wspólnego ze stadami, które napotkał po drodze, i do których dołączył, bo było mu z nimi dobrze. Tyle różnych żyć rozpoczętych wśród tylu różnych owiec. Rozpoczętych i przerwanych, niedopasionych. Na samą myśl zakręciło jej się w głowie. Nic dziwnego, że pachniał mieszaniną zapachów.

A może pachniał tak z zupełnie innego powodu? Może podczas swoich wędrówek spotkał owce, które polubił i zabrał ze sobą we wspomnieniach, ich zapach, nawyki, sposób pasienia się, ich głos? A może wybrał stado sam, stado upiornych owiec, i teraz wiódł je za sobą na niewidzialnej nici zapachowej?

Poczuła się nieswojo. Wiedziała, że nigdy nie przywyknie do jego zapachu. Żadna owca nie mogłaby przywyknąć. Jakby na potwierdzenie tych myśli, znowu poczuła dochodzący z zewnątrz zapach dziwnego stada.

I nagle obudziła się na dobre.

To nie Melmoth! W zapachu tym nie było nic półowczego, tajemniczego czy zagadkowego. Był to zapach młody, płytki i żarłoczny. Owce Gabriela! Musiały być bardzo blisko.

Zameczała na alarm.

Zameczała głośno i przenikliwie, momentalnie wyrwijając owce z błogiego snu o porośniętych soczystą trawą pastwiskach. Wokoło pojawiły się podniesione, rozglądające się na wszystkie strony głowy. Niedługo potem stado George'a stało już w drzwiach stodoły, czujnie obserwując łąkę.

Szła na nich zwarta falanga muskularnych karków i rytmicznie żujących szczęk. Owce Gabriela. Zdołały jakoś uciec z wydzielonego pasionka i pojadając bok przy boku, parły

niepowstrzymanie prosto na stodołę. W ciemności były jeszcze bledsze niż za dnia, jakby biło z nich wyblakłe światło. Wyszły za drucianą siatkę i dopiero teraz stado George'a zobaczyło, ile ich tak naprawdę jest. Były jak jedna z tych maszyn, które prychając, warcząc i bucząc, sunęły jesienią przez pola.

- Gabriel nie umie budować ogrodzeń - zauważyła cierpko Zora. - Jest złym pasterzem.

- Co my teraz zrobimy? - spytała Wrzosowata.

- Nic - odparła Cordelia. - Zostaniemy w stodole. Do stodoły nie wejda.

- Przecież nie możemy pozwolić, żeby wyżarły do czysta całą łąkę! - Wieloryb wyszedł z siebie. - Gdzie się będziemy jutro paść? Musimy je przepędzić!

-Widzisz, ile ich jest? Jak chcesz je przepędzić? Nie udało mi się zamienić z nimi ani jednego słowa!

- Ale musimy coś zrobić! -Wieloryb nie ustępował. -Wszystko zeżrą! Obskubią całe wzgorze. Koniczynę na skraju urwiska. I zioła na zboczu. Zioła otchłani!

- Nie wszystkie - odparła dumnie Zora.

- Miejsce George'a! - zabeczał nagle Wieloryb. - Wyjedzą do czysta Miejsce George'a! Owce popatrzyły na siebie z trwogą.

- Miejsce George'a - wyszeptła Chmurka. - Zjedzą wszystko to, czego sobie odmawialiśmy.

- Mysze ziele - powiedziała Matylda.

- Ucho pasterza i dziurawiec! - wykrzyknęła Bystra.

- Mleczną trawę i owies! - dodała Cordelia. Okazało się, że doskonale wiedzą, co tam rośnie.

Myśl o Miejscu George'a przeważała szalę. Fatalne było już samo to, że stado Gabriela pożerało ich własność. Ale myśl, że miałoby pożreć coś, czym chcieli upamiętnić swojego pasterza, do cna wyjeść zioła i trawę, z której dobrowolnie zrezygnowali...

- Nie! - wściekł się Wieloryb. - Miejsca nie wyżrą!

I tak podjęto decyzję o obronie.

Pod przywództwem Białego Wieloryba stado potruchało do Miejsca. Jeśli Wieloryb się nie bał, sprawa nie mogła być aż tak niebezpieczna.

Początkowo stały w gromadzie niepewne, co robić. Bo jak tu obronić łąkę przed pasącymi się owcami?

Wtedy Otello kazał im utworzyć krąg, owca przy owcy, przy owcy kolejna owca, ramię przy ramieniu, głową w stronę obcego stada. On sam stanął w środku kręgu. Mógł stamtąd bój na wszystkie strony i pomóc odeprzeć napastników.

- Musicie tylko stać tam, gdzie stoicie - mówił. - Jeśli nie dacie im przejść, niczego nie wyżrą. To proste.

Rzeczywiście, taktyka wydawała się zaskakująco prosta.

Początkowo.

Kiedy jednak zobaczyły toczącą się na nich wyszarzałą falę, znowu zwątpiły. Kilka owiec Gabriela podniosło już głowę i wietrzyło w ich stronę. Owce George'a próbowały przybrać zdecydowaną minę i postawę. Bez widocznego skutku. Jeden z baranów Gabriela przeraźliwie zameczał i całe stado potruchało prosto na nich.

- Pasza! - meczało.

Pasza! Owce George'a wymieniły niepewne spojrzenia. Nowy gatunek tucznych? Czym się tak naprawdę ten gatunek tuczyl?

Pierwsi napastnicy dotarli już do zewnętrznej linii obrony i wyciągali szyję w stronę Miejsca. To, co tam wyczuli, najwyraźniej ich przekonało. Zaczęli przepychać się przez mur

owiec tak, jak przepychaliby się przez żywopłot. Oburzony Wieloryb zaprotestował głośnym mecenieniem.

Odkrywszy, gdzie znajduje się najlepsza pasza, owce Gabriela umilkły, jakby nie miały nic więcej do powiedzenia. Nieugięte jak pędząca woda, z tępymi, złowieszczymi pyskami, podchodziły coraz bliżej i bliżej Miejsca. Otello wiedział, że obrona długo nie wytrzyma. I to nie tylko z powodu tej chaotycznej przepychanki - stres i napięcie też robiły swoje.

Wtem Cordelia gniewnie zameczała: młoda owca o krótkich nogach zdołała odepchnąć ją na bok i przebić się przez zwarty szereg obrońców. Natychmiast nabiegł Otello, który jedną wspaniałą szarżą wziął intruzkę na rogi i wyrzucił poza krąg.

- Nic z tego nie będzie - wysapał.

Zmuszeni do odwrotu obrońcy cofali się krok po kroku. Jedynie Biały Wieloryb stał w miejscu niczym skała pośród napierających fal przyływu, niespokojnie zerkając to w prawo, to w lewo na ustępujących przed nawałą towarzyszy. Zora zachowywała stoicki spokój, lecz jej tylne nogi deptały już zakazane zioła. Owiec Gabriela było po prostu za dużo.

U boku Bystrej wyrósł Otello.

- Biegnij - rozkazał. - Znajdź Melmotha i sprowadź go na pomoc!

- Gdzie on jest? - Bystra zawsze wiedziała, co jest najważniejsze.

- Nie wiem - prychnął rozdrażniony Otello. - Może być wszędzie! Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale Bystra ucieszyła się, że nie musi już być częścią tego najeżonego rogami żywopłotu. Umiała biegać. Była najszybszą owcą w stadzie. Bez słowa przebiła się przez gąszcz napastników i pogalopowała przed siebie. Jej miejsce w kręgu zajął Otello, który wszedł między Wrzosowatą i pannę Maple.

- Ale jak Melmoth ich przepędzi? - spytała Wrzosowatą. - Nie jest ich przewodnikiem. Nie pójdą za nim.

- Nie, nie pójdą - odparł Otello. - One przed nim uciekną.

Panna Maple prychnęła z niedowierzaniem. Nawet Wrzosowatą miała sceptyczną minę.

Tymczasem napastnicy odkryli, że łatwiej im będzie stanąć bokiem i naprzec na obrońców całym ciężarem ciała. Owce George'a głucho stęknęły.

I wtedy Zora straciła cierpliwość. Mocno uszczypnęła w nos jednego z intruzów. Ten natychmiast zameczał na alarm. Popodnosiły się głowy i przez jedną przerażającą chwilę nie działo się absolutnie nic.

A potem owce znowu zaczęły pchać, przepychać się i odpychać. Te ze stada George'a zdążyły przynajmniej złapać oddech. Uszczypnięty przez Zorę intruz zameczał tak boleśnie, że już żadna z nich nie chciała ponownie stosować przemocy.

I nagle - zupełnie nieoczekiwanie - owce Gabriela znieruchomiały. Stały jak wryte, wsłuchując się w ciemność. Mocno robiły bokami, drżały z wysiłku - a może z czegoś innego. Zataczając coraz ciaśniejsze kręgi, przez noc podkładał się ku nim mroczny myśliwy.

Żadna z nich nie pamiętała potem, co się właściwie stało. Zapierająca dech w piersi ucieczka, tłok, chaos, ślepe podniecenie i pełne napięcia wyczekiwanie - w pamięci utkwiło im tylko to. Nie było żadnej paniki ani wrażenia, że dalej biec się nie da. Zawsze mogły zrobić jeszcze jeden krok. Ktoś je spędzał, spędzał je jak prawdziwy mistrz.

Niedługo potem - od tamtego czasu musiało upłynąć tylko kilka chwil, bo szybko wrócił im normalny oddech, a serce biło tylko z podniecenia - wszystkie były już tam, gdzie być powinny: owce George'a w stodole, a stado Gabriela za drucianą siatką.

Na skraju urwiska, z błyszczącymi z podziwu oczami, stała Bystra, najszybsza owca w stadzie. Rozmarzona patrzyła w noc.

## 15. Zora i Kostucha

Nazajutrz rano wyszły na łąkę bardzo wcześnie, żeby obejrzeć Miejsce George'a za dnia. Były zadowolone. Okazało się, że Miejsce jest prawie nietknięte i że nawet otaczająca je trawa zaczyna już odżywać. Owce Gabriela stały za ogrodzeniem i żadna z nich nie odważyła się wyjść przez dziurę po raz drugi. Stado było z siebie dumne. Niecierpliwie czekało na przybycie Gabriela. Zobaczy, co zrobiły jego owce, i wreszcie zrozumie, kogo tu przyprowadził: bandę bezużytecznych żarłoków do wykarmienia.

Gabriel przyszedł późno. Uprzedziły go nawet trzmielce, które nie znosiły poranków, i jaszczurki, które lubiły wygrzewać się w słońcu na murku przy bramie. Gdy pojawił się na łące, te ostatnie smyrnęły w trawę niczym ciemne błyskawice. Obok Gabriela szedł mężczyzna o niespokojnie rozbieganych oczach. Niósł czarną torbę. Obydwaj przystanęli przed przyczepą George'a.

- Dobrze by było tam wejść - powiedział Gabriel. - Mógłbym trzymać tam moje rzeczy. I od czasu do czasu nocować.

- Jasne - odparł ten drugi bogatym w znaczenia głosem. Szybko zamrugał. - Przydałoby się. Obejrzyjmy to.

Wyjął z torby kilka narzędzi.

Na dachu przyczepy wylądowała sroka i badawczo przekrzywiła łebek.

Mężczyzna zaczął majstrować przy drzwiach. Szybko się spocił. Owcom też doskwierał upał. Czuli się nieswojo, jak przed groźną burzą.

Po pewnym czasie mężczyzna wyprostował się i wytarł rękawem spocone czoło. Brzęczały muchy.

- Przykro mi - powiedział.

- To znaczy? - spytał Gabriel.

- To znaczy, że tymi narzędziami ich nie otworzę. Tu trzeba dużo czasu i specjalisty.

- Myślałem, że ty nim jesteś, Eddie.

- Ale nie od takich zamków. Owszem, nauczyłem się tego i owego, żeby dorobić trochę na boku, ale... - Eddie wzruszył ramionami.

- Ale co? W czym problem?

- W zamku. To specjalny zamek. Klucza nie dorobisz ot tak sobie. Trzeba zadzwonić do firmy, podać im tajny kod i dopiero wtedy powiedzą ci, co i jak.

- Aha - mruknął Gabriel.

- Posłuchaj. Obydwaj dobrze wiemy, dlaczego chcesz tam wejść. Rzeczy mógłbyś trzymać gdzie indziej, prawda? Dlaczego po prostu nie wyważysz drzwi? Jeśli je rozwalisz, to co? Przecież to śmieszne montować taki zamek na takich drzwiach.

- To znaczy, że można się tam jednak dostać, tak? - spytał Gabriel.

- Bez problemu.

- Ale ludzie by widzieli.

- Tak, ludzie by widzieli.

- A przez okno?

- To samo. Wejść można łatwo, ale rzucałoby się w oczy. Gabriel kiwnął głową.

- Specjalnie tak zrobił. Dajmy temu spokój.

Mężczyzna zrobił głupią miną. Owce czuły, że bardzo chce wejść do przyczepy. Że pragnie tego niemal tak samo jak Gabriel. Po raz kolejny zdały sobie sprawę, jak bardzo George różnił się od innych ludzi. Nie interesowało go nic oprócz nich. Natomiast pozostałych ludzi



interesowała wyłącznie przyczepa.

Eddie nie miał już głupiej miny.

- Boisz się, co? - powiedział. - Ich. Narkotykowej mafii. Jeśli załatwili to tak, że policja nie przeszukała przyczepy, sprawa musi być dla nich ważna. A więc coś w tym jednak jest...

- Nie boję się - odparł Gabriel. Kłamał. Przyprawiony tytoniowym dymem zapach strachu przebił się nawet przez wełnianą kurtkę. - Nie chcę po prostu, żeby ludzie gadali. Ale zdaje się, że tylko ja. - Przeszył Eddiego ostrym spojrzeniem.

- Kilka słów w odpowiednim miejscu nigdy nie zaszkodzi - odrzekł Eddie. - Bo tak, to wszyscy robią, co chcą.

Gabriel popatrzył na niego, tak jak przewodnik stada na młodego, rozbrykanego barana, niemal łagodnie.

- W takim razie, co myślisz o tym? - Wyjął z kieszeni błyszczący, metalowy przedmiot. Eddie zagwizdał przez zęby.

Gabriel miał dziwną minę. Po raz pierwszy odkąd owce go poznały, robił wrażenie spiętego.

Eddie to zauważył.

- Czegoś takiego nie znajduje się na drodze - powiedział. - Skąd go masz?

- Spadł z nieba - burknął Gabriel. Eddie pokręcił głową.

- To za mało. Wiesz, co się dzieje we wsi? Pod Szalonym Dzikiem? Siedzą tam, piją i czekają.

Gadają o wszystkim i o niczym, śmieją się nawet z kawałów O'Malleya. Ale o tym oczywiście nie mówią. O tym tu. Mają prawo wiedzieć, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje. - Gabriel zmrużył niebieskie oczy. - Bardzo dbam, żeby nic się nie działo.

Owce z niedowierzaniem zastrzygły uszami. Ostatniej nocy działo się u nich bardzo dużo, a on był ostatnią osobą, która coś w tej sprawie zrobiła. Musiały przyznać, że je rozczarował.

Eddie westchnął.

- Dobra, to klucz do sejfu. Ale nie do takiego, który można zamówić pocztą. To jest klucz do bardzo dobrego sejfu. Drogiego. Nawet bardzo drogiego. Przypuszczam, że do takiego z kombinacją. Do którego jest kilka kluczy. Tak czy inaczej, do bardzo skomplikowanego.

Gabriel kiwnął głową, jakby już o tym wiedział.

- Duży może być taki sejf? Eddie wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Wielkości kuchenki mikrofalowej? Lodówki? Wszystko zależy. Plusem dużych jest to, że nie można ich wynieść. Za to małych nie wysadzisz, nie uszkadzając ich zawartości. Wszystko zależy od tego, do czego jest ci potrzebny.

Eddie patrzył ciekawie na Gabriela. Tymczasem Gabriel spoglądał obojętnie na swoje owce, jakby od dawna o tym wszystkim wiedział.

- Dzięki - rzucił. - Możesz już iść.

Ale Eddie nie dał się tak łatwo odprawić.

- Już prawie południe - odparł. - Wiesz co? Zjem tu lunch.

- Jak chcesz - mruknął z roztargnieniem Gabriel. Wreszcie zauważył dziurę w ogrodzeniu i zaczął szukać pod przyczepą kawałka siatki i nowego słupka.

- Masz szczęście, że nie uciekły - powiedział Eddie.

- Są dobrze wyszkolone.

- Umiesz obchodzić się ze zwierzętami, trzeba ci to przyznać.

Owce były oburzone. Dobrze wyszkolone! Niewiele brakowało i Gabriel szukałby swoich cudownych owiec we wszystkich warzywniakach w Glennkill. Tylko dzięki Melmothowi wciąż

stały za ogrodzeniem i nie śmiały wyjść.

Podczas gdy on latał dziurę, one spoglądały łakomie na Miejsce George'a.

- Są głodne - wymlaskał z pełnymi ustami Eddie.

Gabriel kiwnął głową i zrobił to nie bez dumy.

-Tak, dużo jedzą, ale po to właśnie są. Trzeba je tuczyć.

Zajrzał do szopki z narzędziami za przyczepą i przez kilka minut w niej szperał. Wrócił z kosą.

Z kosą George'a. Owce wiedziały, że to ciekawe narzędzie jest zrobione z drewna i metalu, nie wiedziały jednak, do czego służy. "Ci, co hodują owce, mogą sobie darować koszenie", mawiał George, polerując ostrze białą-czerwoną szmatką. Robił to tylko z czystej sumienności.

Ale Gabriel koszenia sobie nie darował.

Ani sobie, ani im.

Zaczął się paść u stóp wzgórza, od strony morza.

Owce zamilkły. Pierwszy raz w życiu widziały pasącego się człowieka. Był to straszny widok. Dziwne narzędzie zmieniło się w jego rękach w gigantyczny, żelazny szpon, który przecinał trawę z wrogą, śpiewną nutą. Na łące pobrzmiwał dziwny syk podobny do tego, jaki wydają nisko lecące ptaki z ostrym dziobem. Ilekroć kosa zataczała łuk, źdźbła trawy kładły się płasko na ziemi, nie stawiając najmniejszego oporu. Gabriel się pasł, ale niczego nie jadł. Był to obraz bezsensownego zniszczenia. Pogarszał go jeszcze smakowity zapach martwych ziół.

Mimo letniego słońca, owcom zrobiło się zimno. Biały Wieloryb zaczął się lekko trząść ni to z oburzenia, ni przerażenia.

Oprócz złowrogiego syku kosy nie słychać było nic więcej. Nawet owce Gabriela przestały meczeć i wyblakłymi, wygłodniałymi oczami obserwowały swojego pasterza.

- Skoś tamten kawałek - zawołał Eddie. - Trawa jest tam wyższa. Wskazał Miejsce George'a.

Owce wstrzymały oddech.

- Lepiej nie - odparł Gabriel. - Jeśli inne się tam nie pasą, w ziemi może być jakaś trucizna. Tylko tego mi trzeba, żeby mi tu popadały. I to teraz, kiedy się tak ładnie podtuczyły.

-Tak, na zwierzętach to ty się znasz - powtórzył Eddie. - Lepiej niż ja na zamkach.

Gabriel posłał mu mroczne spojrzenie.

Nadeszła chwila, kiedy Gabriel i jego kostucha nasycili się wreszcie zniszczeniem. Gabriel wetknął źdźbło trawy między zęby, tam, gdzie zwykle wtykał fajkę, i ruszył w stronę przyczepy po taczki. Eddie siedział na schodach. Już dawno skończył jeść. Gabriel nie zwracał na niego uwagi. Zawiózł trawę pod ogrodzenie i przerzucił ją przez siatkę. Owce znowu zaczęły meczeć: "Pasza!" i meczały tak, dopóki ostatnia z nich nie zanurzyła pyska w martwej trawie.

Wtedy zapanował spokój. Gabriel wrócił do przyczepy i do Eddiego. Patrzyli na siebie długo i surowo.

- A więc zamierzasz czekać aż do niedzieli, do otwarcia testamentu, tak? - spytał Eddie.

Gabriel kiwnął głową.

Eddie gwałtownie wstał, chwycił torbę i pomaszerował w kierunku wsi.

Trochę trwało, zanim zdołały dojść do siebie po doświadczeniach z kostuchą. Żadna nie twierdziła już, że Gabriel jest dobrym pasterzem.

- On wcale nie jest pasterzem - powiedziała Wrzosowata. - Powinniśmy go ignorować. Tak jak on nas.

Dobry plan. Niedługo potem kilka owiec odwróciło się tyłem do przyczepy. Postanowiły przepaść się tuż obok Gabriela, demonstracyjnie okazując mu pogardę. George by się wściekł, ale on nawet tego nie zauważył. Ale jedna z jego owiec przyglądała się im z wyraźnym zainteresowaniem, potężny baran, na którego Zora zwróciła uwagę już przedtem. Przesłał opychać się ściętą trawą i przenikliwym wzrokiem patrzył na jej stado.

Ona pierwsza go dostrzegła. Postanowiła, że już nigdy więcej się do nich nie odezwie. Podjęła tę decyzję aż dwukrotnie, najpierw po nieudanej próbie nawiązania rozmowy, a potem po nocnym ataku, kiedy to owce Gabriela rozpełzły się po całej łące jak stado wypłowiałych gąsienic.

Ale ten baran ją interesował. Był starszy od pozostałych i bardziej inteligentny, takie przynajmniej miała wrażenie. Poza tym między jego wyblakłymi oczami wyczuwała obecność otchłani. Niespiesznie pojadając i nie rzucając się w oczy, ruszyła w jego stronę. Minęła go raz, potem drugi. Śledził ją wzrokiem, lecz nic więcej nie zrobił. Postanowiła spróbować po raz trzeci, bliżej siatki.

Tym razem wypaliło.

- Pasza - powiedział baran. - Śmierć. - Miał piękny głos, łagodny i melodyjny. Zupełnie niepasujący do jego krępego, krótkonogiego ciała. Był to głos niezwykle eleganckiej owcy.

-Tak - odrzekła ze współczuciem.-Trawa nie żyje. Ściał ją. Kosą.

Baran pokręcił głową.

-To my jesteśmy paszą. On jest śmiercią. Uciekajcie!

- Gabriel? Gabriel śmiercią? Bzdura. Gabriel jest pasterzem. Chociaż niezbyt dobrym.

Baran znowu pokręcił głową.

-Jesteśmy mięsem - zameczał.

Zora posiała mu dziwne spojrzenie. Coś się w niej zatrzęsło. Otchłań. Była blisko, tuż przed nią, ale jeszcze jej nie widziała. Czowała tylko jej zapach.

- Mięso jest paszą - mówił baran.

Pokręciła głową.

-Trawa jest paszą.

Sfrustrowany baran uderzył rogami w drucianą siatkę. Przez łąkę przetoczył się metaliczny trzask. Gabriel zerknął w ich stronę.

-Trawa to śmierć - powiedział z naciskiem. - Trawa niesie śmierć. - Patrzył na nią niemal błagalnie.

Zora pomyślała, że zwariował. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby jakaś owca mówiła o mięsie. Już miała odejść, uznawszy, że stado Gabriela jest zupełnie beznadziejnym przypadkiem, gdy wtem z otchłani wychynęły trzy krótkie słowa.

Nowy gatunek tucznych.

Powietrze stało się nagle ciężkie i gęste. W skwarze nadciągającej burzy oddychało jej się coraz trudniej. Baran popatrzył na swoje stado, które wciąż bezmyślnie opychało się martwą trawą.

- Jedzą - powiedział. - Tyją. Umierają. A ja... - Zwiesił łeb i zamilkł.

Żeby poradzić sobie ze skrawkami słów wirujących w otchłani, Zora zaparła się kopytkami o ziemię jak górską kozica. Wieloryb, pomyślała. Tyją... nowy gatunek... pod nóż ładnie się podtuczyły. Mgła nagle opadła i rozwarła się przed nią paszcza otchłani. Tak głębokiej nigdy w życiu nie widziała.

Baran patrzył na nią wyczekująco. Po jej wytrzeszczonych oczach poznał, że zrozumiała i chyba mu ulżyło.

- Uciekajcie! - powtórzył.

- Dlaczego nie ostrzeżesz ich? - spytała drżącym głosem. - Swoich. Dlaczego sami nie uciekniecie? Na przykład wczoraj, zamiast atakować Miejsce George'a? - I od razu tych słów pożałowała. Baran posmutniał jeszcze bardziej i był teraz najsmutniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek widziała.

- Strach - odrzekł. - Płoty i strach. Płoty zrobione ze strachu. Są młodzi- Nie rozumieją. I o to chodzi, tak ma być. Matki zapominają. Co roku. Chcą zapomnieć. Jego płoty są wysokie. Psy szybkie. - Pustymi oczami popatrzył przez łąkę na Gabriela.

Oczy Zory były wilgotne. Wszystko rozumiała. Stało przed nią najodważniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek poznała. Zwierzę, które dzień po dniu samotnie spoglądało w otchłań.

- Zmienisz się w baranka na niebie - szepnęła. - Będzie ci łatwiej Niedługo cię tam zobaczyć.

Nie wytrzymała, nie mogła dłużej tego znieść i pogalopowała przez łąkę. Dokąd mogła uciec? Na skalną półkę? Nadmorska przepaść zdawała się teraz nędzną płycizną. Było jej wstyd i przed samą sobą, i przed obcym baranem. Lecz nagle przypomniało jej się, jak do niej przemawiał. Przekazał jej wiadomość. Ostrzeżenie. Teraz ona musiała ostrzec swoich.

- Zwariował - zameczała Wrzosowata.

- Powiedział, że co? - spytała Chmurka.

- Że wszystkie umrą - powtórzyła niecierpliwie Zora. - Że Gabriel je zabije. Już niedługo.

- Zwariował - upierała się Wrzosowata. - Gabriel jest pasterzem. Dogląda ich, w dodatku lepiej niż nas.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nie jest pasterzem - wytknęła jej Ma tylda.

- Nieprawda, nic takiego nie powiedziałam - ucieła Wrzosowata i odeszła z wysoko podniesioną głową.

- Dlaczego miałby je zabijać? - spytała z niedowierzaniem Sara.

- Dla mięsa. - W tym momencie Zora rozumiała, dlaczego obcy baran nie potrafił wytłumaczyć swojemu stadu, czym jest otchłań. Nie chciało w to uwierzyć nawet jej własne, chociaż było mądrzejsze i bardziej inteligentne od tamtego. - Daje im trawę, żeby szybko przytyły. A potem.. - Wszystko pasuje. Są nowym gatunkiem tucznych, błyskawicznie przybierają na wadze. Tak jak Wieloryb. On też jest z tucznych. George tak powiedział. "Pod nóż", powiedział. Uwiercie mi.

- I on ci to wszystko tak... wytłumaczył? - spytała Cordelia.

- Nie - przyznała Zora. - Nie tymi słowami. Ale bał się.

Owce zamilkły. Współczuły obcemu baranowi, ale czy mogły uwierzyć opowieść?

Po ogonach Zora poznała, że nie są do końca przekonane.

- Proszę - powiedziała. - Po prostu wiem, że mam rację!

- Hm.. - odparła panna Maple. - To wyjaśniałoby, skąd to mizerne runo. Pamiętacie, jakie byliśmy zaskoczone, że Gabriel pasie tak mało puszyste owce? Ale skoro nie chodziło mu o runo... Tak, to by wszystko wyjaśniało.

Zora posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie. Pozostałe owce ponownie przeanalizowały jej teorię. Skoro zaakceptowała ją nawet panna Maple, najmądrzejsza owca w całym Glennkill, a może nawet najmądrzejsza owca na całym świecie, w takim razie cóż, chociaż brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie, mogło coś w tym być.

I wtedy Zorę zaatakował Biały Wieloryb, ze wszystkich owiec akurat on.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - zameczał. - Ten baran oszalał. Wczoraj chcieli wyžreć do czysta Miejsce George'a, a dzisiaj nas straszą. Ja wiem swoje. Ja też jestem z tucznych. A skoro

tak, to dlaczego George nie wysłał mnie pod nóż?

- George był inny - zaprotestowała Zora. - Chciał, żeby owce miały ładne runo, pulchne jak tych norweskich.

Ale Wieloryb nie dał się już powstrzymać.

- Być tucznym znaczy zupełnie co innego - zameczał. - Być tucznym znaczy... -

Przekrzywił głowę i przewertował swoje wspomnienia. Ale niczego w nich nie znalazł. - To zupełnie coś innego - powtórzył z uporem.

I właśnie tym ostatecznie przekonał pozostałych do słuszności teorii Zory Bo skoro nawet on, baran o wspaniałej pamięci, nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia, Zora musiała mieć rację.

Wybuchła panika.

- Wilk! Wilk! - zameczała Matylda i zygzakiem popędziła przez pastwisko.

Bystra ukryła głowę w runie Cordelii, a Cordelia w runie Bystrej. Matki wszczęły alarm, przywołując swoje jagnięta.

- Teraz jesteśmy jego stadem! - lamentował Ramzes. - Już po nas!

- On nas zabije! - szepnęła Chmurka. - Jest jak rzeźnik. Musimy uciekać!

- Nie możemy - odparła Sara. - Łąka jest naszym pastwiskiem. Dokąd Uciekniemy?

Wieloryb patrzył z oburzeniem to na jedną, to na drugą.

- Wierzycie jej? - zameczał. - Naprawdę jej wierzycie? Mnie też za bije?

- Ciebie pierwszego! - prychnęła Zora wciąż zła, że Wieloryb jej nie uwierzył.

Nawet Panna Maple nie mogła nic wymyślić. Zerknęła niespokojnie na przyczepę, żeby sprawdzić, czy Gabriel ostrzy już nóż.

- Trzeba zawiadomić Melmotha, Sir Ritchfielda i Otella - szepnęła.

Owce rozejrzały się w poszukiwaniu swoich najbardziej doświadczonych baranów. Sir Ritchfield i Melmoth bawili się w "Łapaj owcę" niczym dwa młode jagnięta, a Otello wciąż trzymał się od nich z daleka. Ale gdy zauważył, jak bardzo są zdenerwowane, natychmiast podbiegł bliżej.

- Wilk! - zameczała Matylda.

- Obcy baran - wysapała Cordelia.

- On nas zabije - dodał zrezygnowany Wieloryb. - Mnie pierwszego!

Chwilę trwało, zanim Otello zrozumiał, o co chodzi. On też się zaniepokoił. Znał świat i zoo, ale nigdy dotąd nie spotkał owiec przeznaczonych na rzeź.

- Trzeba powiedzieć Melmothowi - zdecydował. - On będzie wiedział, co zrobić.

Spojrzeni na Melmotha. Bawił się z Sir Ritchfieldem w pojedynek. Ot tak, dla śmiechu, dał się mu pokonać i tarzał się teraz w trawie jak młode jagnię.

- Na pewno? - spytała Chmurka.

Z głucho bijącym sercem i ściśniętym żołądkiem Otello ruszył w kierunku wzgórza. Nadeszła chwila prawdy. W sumie to nawet mu ulżyło. Od wielu dni szukał pretekstu, żeby wreszcie stawić czoło Melmothowi.

Z drugiej jednak strony, myślał, że po tak długim czasie znowu spojrzy mu w oczy, peszyła go i deprymowała. Melmoth znał go lepiej niż swój własny cień. Widział wszystkie błędy jego młodości, wszystkie jego głupie wybryki i bezlitośnie go krytykował. To skrepowanie bardzo denerwowało. Ostatecznie to nie on wymknął się ukradkiem z przyczepy okrutnego błazna i uciekł, rzuciwszy mu na pożegnanie tylko jedną, głupią uwagę.

- Samotność ma swoje dobre strony. - Otello gniewnie prychnął. Dla niego nie miała

żadnej. Samotność bolała. On, jedna jedyna owca z czterema psami, dwiema fretkami i białą gęsią. Owce nie mogły być same, nie były do tego stworzone. Między jego rogami zagościł smutek i coś w rodzaju współczucia dla Melmotha, który spędził całe życie, wędrując przez samotność, samotny w każdym napotkanym po drodze stadzie. I w końcu stało się coś niewyobrażalnego: Melmoth się zestarzał.

Znosił starość tak jak żadna inna owca, lecz było wyraźnie widać, że to od spoczywającego mu na ramionach ciężaru świata ma tak długą i siwą brodę. Otello wyobraził sobie, jak wyglądałby ich pojedynek, i wpadł w przerażenie. Nigdy dotąd nie śmiał nawet o tym pomyśleć. Kiedy spotkali się pierwszy raz, zdawało się, że Wędrowiec nie zdaje sobie sprawy z kamiennego ciężaru życia. Jego kopyta prawie nie dotykały ziemi, każdy ruch był obrazem kontrolowanej siły.

No i był on, Otello, baran o czterech młodych rogach i nieśmiałym, skonfundowanym sercu. Walczyć? On? Baran z psami?

- Nie umiem - zameczał młodym, wyzywającym głosem.

- Nie - odparł Melmoth - nie umiesz, ale to nieważne. Walka nie jest czymś, co się umie. Walka jest czymś, czego się chce.

Była to więc kwestia chcenia, tak jak wszystko w życiu owcy. Między rogami Otella zalał się podziw, podziw za wolę i mądrość, dzięki której ten brodaty starzec tak długo przetrwał w samotności.

Otello gwałtownie przystanął, bo znowu poczuł się niezręcznie.

Wędrowiec leżał tuż przed jego kopytami, wciąż odgrywając rolę żalostnego idioty, który przegrał w pojedynku. Leżał i jakby z oddali patrzył na niego błyszczącymi, bursztynowymi oczami goblina.

- Oto ten, który rzuca cień - powiedział. - Lepiej jest rzucać cień, niż w cieniu stać. Ale tymi, którzy stoją w cieniu, też nie wolno pogardzać, zwłaszcza w upalny dzień.

Spojrzał na Sir Ritchfielda wciąż zdziwionego zwycięstwem w pozorowanym pojedynku.

- Znam nową zabawę - rzucił. - To zabawa w "Kto się boi wielkiego, czarnego barana". - Z gracją stanął na czterech nogach i przeniósł wzrok na Otella. - Kto się boi wielkiego, czarnego barana? - spytał. Miał poważne oczy; zdawało się, że to nieprawdopodobne, bo ledwie przed kilkoma sekundami igrały w nich figlarne ogniki. - Wiele psów i kilka mądrych owiec. No i oczywiście ubrany na czarno człowiek. Ja na pewno nie. - Przeszył go wzrokiem. - A wielki, czarny baran? Czego boi się on?

Tak wyglądało ich ponowne spotkanie. Otello poczuł, że zalewa go fala znajomej konsternacji. Przekazał mu to, czego Zora dowiedziała się o stadzie Gabriela.

- Musimy uciekać - zakończył. - Jeśli nas poprowadzisz, damy radę.

- Uciekać? Wszyscy? Aż tylu? - Wędrowiec ogarnął wzrokiem stado. Jego oczy musnęły je niczym nisko lecące wrony. Owce spoglądały wyczekująco na wzgórze. - Samotność ma swoje dobre strony.

- Same nie pójda - odparł Otello. - Ani jedna.

- W takim razie będą musiały zostać tutaj - zdecydował Melmoth.

-Ale...

- Tak będzie lepiej - ciągnął starzec. - Uciec? Od niebieskookiego pasterza? Od jego kostuchy? Próżny trud. - Jeszcze raz zerknął na owce. - Będą musiały się czegoś nauczyć. Będą musiały nauczyć pasterza tańczyć. Tańczyć i bać się.

## 16. Złowrogi Wieloryb

Jakiś czas później Otello zebrał stado wokół wzgórza. Owce nigdy dotąd nie widziały, żeby wkładał w coś tyle serca. Mimo to wciąż nie były o końca przekonane. Owszem, powoli przywykały do dziwnego zapachu Wędrowca i podziwiałały go za odwagę i liczne przygody. Ale żeby od razu miał je uczyć? To zupełnie co innego. Przecież mówił prawie jak kozioł. A każde, najmłodsze nawet jagnię wie, że kozły są obłąkane.

Melmoth stanął na szczycie wzgórza, skąd widział je wszystkie. Jego zmierzwionym runem targał gorący wiatr i wyglądało to tak, jakby grzbiet ogarnęły mu szare, drżące płomienie. Rogi błyszcząły w słońcu.

- Kto jest waszym największym wrogiem? - spytał.

- Rzeźnik! Gabriel! Myśliwy! Wilk! - zameczały chórem owce. Ostatnio miały tylu wrogów, że trudno im było wybrać.

- Otchłań - rzuciła filozoficznie Zora.

- Źle - odparł Wędrowiec. - To wy jesteście swoim największym wrogiem! Grube i leniwe, tchórzliwe i strachliwe, bezmyślne i prostackie: oto wy, owce!

Nareszcie wszystko się wyjaśniło: Melmoth definitywnie zwariował. Słuchanie go było czystą stratą czasu, zwłaszcza że Gabriel już ostrzył nóż. Mimo to żadna z nich nie śmiała odwrócić się do nie go tyłem.

- Brak wiary - ciągnął Wędrowiec. - Od tego zaczniemy. Nie powinniście wierzyć w to, czego nie rozumiecie. Nie powinniście rozumieć tego, w co wierzycie. Mój przyjaciel Otello, czarny, czwororożny, odważnooki Otello, pomoże wam to pojąć.

Otello dołączył do niego i Melmoth dał mu oczami znak. Wtedy Otello zaczął się paść. Owce obserwowały go niecierpliwie, ponieważ one paść się nie mogły.

- Oto pasący się baran - powiedział po chwili Wędrowiec. - Zamyślony szuka zielonej trawy, marzycielsko przemierzając łąkę. A teraz... - Kolejny znak. - A teraz widzicie barana czujnego i spiętego jak kot przed skokiem. Barana, który wszystkimi zmysłami bada trawę, barana z czułkami, które sięgają nieba.

Otello paść się z zapalem. Owce patrzyły na niego z zazdrością.

- Dostrzegacie różnicę? - spytał nagle Wędrowiec. Owce zmarszczyły czoło.

- Uszy - powiedziała Zora. - Częściej drżą mu uszy.

- Niżej trzyma rogi - zameczała Bystra.

- Mniej macha ogonem - zauważyła Wrzosowata.

- Zapach - rzuciła z roztargnieniem Matylda. W zapachach zawsze była dobra.

- Źle - odparł Melmoth. - Źle, źle i jeszcze raz źle.

- Nozdrza? - spytała Sara. - Ma bardziej rozdęte nozdrza.

- Jedzenie - zameczał Biały Wieloryb. - Je teraz inne rzeczy- Więcej koniczyny. I mniej owsa.

- Źle!

- Nie widać żadnej różnicy - powiedziała panna Maple.

- Źźźł... dobrze - odparł Wędrowiec, patrząc na nią roziskrzonymi oczami. -

Dowiedziałyście się, że owca, która jest czujna, widzi, chociaż jest niewidoczna. A czujne możecie być tylko wy, bo nikt was w tym nie wyręczy. Jeśli o tym zapomnicie, będziecie swoim największym wrogiem. Bo różnica mimo wszystko jest. Będąc czujnym, Otello przeżyje.

- Ale Gabriel... - zaczęła Sara.

- Wzmoczona czujność pozwoli wam poznać bezwłose myśli dwunożnych. Dwunożni są

hałaśliwymi hipokrytami i umieją podrabiać zapachy, ale z czujnymi owcami nie mają szans.

Powiódł wzrokiem po ich twarzach, sprawdzając, czy to zrozumiały. Jednakże dzięki George'owi owce nauczyły się wyglądać inteligentnie i zdał sobie sprawę, że niełatwo będzie poznać ich prawdziwe myśli.

Kiedy większość z nich straciła już nadzieję, rozpoczęły się zajęcia praktyczne. Pierwsze ćwiczenie polegało na tym, że z maksymalnie wyteżoną uwagą musiały patrzeć na duży, okrągły kamień.

- Ale kamienie nie są niebezpieczne! - zaprotestowała Wrzosowata.

- Nie oszukuj się! - warknął Melmoth. - Jeśli trafi cię w głowę, możesz zginąć. - I zachichotał jak z dobrego kawału.

Wystraszona Wrzosowata odskoczyła do tyłu.

- No właśnie - tłumaczył Melmoth. - Rzecz w tym, że w naszym mniemaniu kamień jest zupełnie niegroźny. Każde jagnię będzie uważało, gdy wreszcie zrozumie, że coś mu jednak grozi.

Owce patrzyły na kamień tak uważnie i z tak wielkim skupieniem, że gdyby nie był kamieniem, na pewno roztopiłby się pod ich wzrokiem jak łacha śniegu na wiosnę. Podczas gdy tak patrzyły, upał dnia ustąpił miejsca potężnej burzy. Kamień zrobił się mokry i odbijało się w nim światło błyskawic. Po niebie przetoczył się grzmot i wkrótce do cna przemokły.

Jako pierwsza cierpliwość straciła Wrzosowata.

- Już nie chcę się skupiać - mruknęła. - Chcę nauczyć się panować nad stadem, spędzać je tak jak ty. Chcę nauczyć się być niebezpieczna.

- Zapanujesz nad kimś dopiero wtedy, kiedy nauczysz się panować nad samą sobą - odparł Melmoth. - A niebezpieczna już jesteś: dla siebie samej. Kiedy przestaniesz, będziesz niebezpieczna dla innych. To proste, prawda?

Tego popołudnia nie wszystkie opanowały to, co Wędrowiec nazywał "sztuką uważania z nozdrzami rozdętymi na całe niebo", ale wszystkie czegoś się jednak nauczyły. Matylda nauczyła się, że można spać za dnia z otwartymi oczami, Wieloryb, że przez całe popołudnie można nie jeść, Sara, że muchy da się przepłoszyć, naprężając i rozluźniając mięśnie i że wcale nie trzeba poruszać w tym celu uszami, a Wrzosowata nauczyła się siedzieć cicho. Jak na początek Melmoth był zadowolony.

Później w oczyszczonym przez burzę pachnącym powietrzu zaczął zadawać im ćwiczenia praktyczne. Najpierw miały przejść skrajem urwiska, zwracając baczną uwagę na każdy krok; nadzorował to ćwiczenie ze skalnej półki Zory. Potem kazał im ukraść ociekający wodą kapelusz Gabriela; pasterz zostawił go na schodach przyczepy, uciekając przed deszczem do stodoły.

Owce uczyły się szybciej, niż myślały. Zdały sobie sprawę, że ilekroć obserwują okolice z wymaganą przez Wędrowca uwagą, nie mają czasu na strach.

Naturalnie nie wszystko szło jak po maśle. Podczas jednego z pozorowanych ataków Melmotha Biały Wieloryb skupił się do tego stopnia, że zapomniał zrobić unik i został stratowany. Wrzosowata zadławiła się trawą, ponieważ za bardzo się skupiwszy, przełknęła ją tchawicą.

Wieczorem zaś Wędrowiec nauczył je czegoś bardzo nieowczego. Nauczył je, jak nie dać się spędzić i zapędzić.

- To niemożliwe - stwierdziła Bystra. - Mamy to we krwi. W nogach.

- Dzieje się tak, ponieważ na to pozwalacie - odparł Melmoth. - Ludzie i psy mogą was spędzić tylko dlatego, że nie umiecie wziąć się w garść. Zapomnijcie o stadzie. Zapomnijcie o psach. Weźcie się w garść.

Ćwiczyły aż do zmroku. Melmoth odgrywał rolę psa i galopował wokół nich z



przerażliwym meceniem, pozorując błyskawiczne ataki, markowane zwody i gwałtowne odskoki. One miały tylko stać w miejscu.

Były wyczerpane, jedno od tego, że instynktownie chciały uciekać, inne od bohaterskiego trwania bez ruchu.

- Czy już niedługo będzie koniec? - spytała Matyllda.

- Koniec czego? - Melmoth spojrział na nią niewinnie.

- Tych wszystkich ćwiczeń - zameczała Sara.

- Nie - odparł Wędrowiec.

- W takim razie kiedy? - stęknął Biały Wieloryb. Bolały go ścięgna i zeszywniał mu kark. Co dziwne, wcale nie odczuwał głodu.

- Mój krągły baranie - rzekł Melmoth. - Spójrz tylko na mnie, na Melmotha, który przewędrował świat, żeby opanować sztukę koncentracji i uwierz mu, gdy powie, że nie było dnia, żeby nie nauczył się czegoś nowego. Ani dnia, ani nawet nocy.

Wieloryb jęknął. Mogli zapomnieć o nocnym odpoczynku. Przygotował się na kolejną serię stresujących ćwiczeń. Ale Melmoth jeszcze nie skończył.

- Z drugiej jednak strony - dodał - możecie uczyć się jedząc. A nawet śpiąc. Tak, pouczcie się teraz, jedząc.

Owce szybko się zgodziły, że jedzenie w wieczornym świetle jest znakomitą metodą nauki. Później potruczały do stodoły, aby kontynuować naukę przez sen. Ale chociaż były zmęczone: jak rzadko kiedy, nie mogły zasnąć. W ciemności, w liściach żywopłotu, szumiał lekki deszcz. Stały wyczerpane, myśląc o obcych, dziwnych baranach, o wędrownych owcach, o kamieniach, pasterskich kapeluszach, tucznikach i o drucianych siatkach. O wszystkim tym naraz. Zahuczała. sowa i zdenerwowało je nawet to. A potem coś zachrząściło tuż za drzwiami. Stłoczyły się w kącie, ale był to tylko Melmoth, który stanął w progu jak czarny cień.

- Nie uczycie się - stwierdził. - Nie śpicie. Co się stało?

- Strach - odrzekła Matyllda.

- Strach - zameczały pozostałe owce.

- Strach - powtórzył Melmoth. - Strachu tu nie ma. Strach jest na dworze. Prawda?

Miał rację. Gdzieś tam byli Gabriel, rzeźnik i wszyscy mięsożercy tego świata.

- Musicie go odpędzić - ciągnął Wędrowiec. - To kolejne ćwiczenie. Sami zobaczycie, że czujność bardzo się przydaje.

I powiedział im, co muszą zrobić.

Sara, Chmurka i Matyllda miały stać w czarnym cieniu pod wronim drzewem, wsłuchując się w głosy ptaków i snując nocie myśli. Ramzes, Bystra i Cordelia miały pójść do dziury pod korzeniami sosny i posłuchać, jak bulgocze w niej zimne morze, grożąc mrukliwie urwisku. Zora miała patrzeć w niebo i wyobrażać sobie, że nie patrzy do góry, tylko w dół, w szeroką jak niebo paszczę otchłani. Natomiast Wrzosowata miała zostać sama w stodole i wytropić zapach ciszy w kątach i zakamarkach.

Natomiast Otello, panna Maple i Biały Wieloryb mieli pójść do wioski, znaleźć rzeźnika i obserwować go dopóty, dopóki nie przestaną się go bać.

Wciąż mżyło. Krople wody spływały po szybie niczym paciorki. W każdej kropli drżała iskierka światła z pokoju za oknem.

Panna Maple, Wieloryb i Otello zaglądali przez deszcz do środka. A w środku siedzieli przy stole Bóg i rzeźnik. Stały między nimi brązowa butelka i dwie szklanki złocistego płynu.

Ham podparł się pod brodę wielkimi rzeźnickimi rękami i spojrział na Boga.

Bóg wetknął nos do szklanki.

- Próżność - powiedział. - Kobięca próżność. Farbują sobie włosy, noszą obcisłe ubrania, a my mamy nie zwracać na nie uwagi. To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe.

- Kate nie farbuje włosów - odparł rzeźnik. - Ma naturalne, i to jakie!

- Niesprawiedliwe - powtórzył Bóg. - I paskudnie się przez to czuję. To dręczy duszę. Naprawdę mi źle. Rozumiesz?

- A ja? - odrzekł rzeźnik. - Wyobraź sobie, jak ja się muszę czuć, jeśli z tobą piję.

Bóg ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Nie myślisz chyba, że cię lubię - powiedział. - Zmieniłeś mi życie w piekło, a wszystko dlatego, że... - Ze smutkiem pokręcił głową.

- Przecież musiałem komuś powiedzieć, nie? - odparł rzeźnik. - Inaczej bym zwariował. - Miał nienaturalnie gruby, bełkotliwy głos. Może dlatego, że był za szybą. - Gdyby George żył, poszedłbym do niego. George umiał trzymać język za zębami, trzeba mu to oddać. Nie, żeby mu się to na coś przydało, biedaczynie. Ty też będziesz trzymał język za zębami, przyjacielu. Będziesz milczał, chcesz tego czy nie.

Długonosy Bóg uśmiechnął się cierpko.

- Słabość ciała. Wiesz, jak to jest dzień po dniu opowiadać ludziom o niebie, zdając sobie sprawę, że czekają na ciebie w piekle? Powiedziałem: "czekają"? Nie, oni mnie tu osobiście odwiedzają!

- A ja? Myślisz, że sam spadłem z tej skały? Ot tak, po prostu spadłem? Myślisz, że stary Ham nie umie prosto chodzić? - Rzeźnik przeszył go gniewnym spojrzeniem.

Bóg nie spodziewał się chyba takiej reakcji. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem kilka razy energicznie kiwnął głową. Wyglądał jak wielki indyk.

- Przychodzą prosto z piekła. Są straszne. Jęczą, zawodzą i zgrzytają zębami, a wszystko przez grzechy cielesne. Musimy je odpokutować, choćby krwią. Zaprawdę, słuszne to i sprawiedliwe, to nasz święty obowiązek.

Krwia? Panna Maple i Biały Wieloryb wymienili spojrzenia. Długonosy Bóg zrozumiał chyba, co w pracy rzeźnika było nie tak. Rzeźnik pozostał oczywiście niewzruszony.

- Przecież to tylko owce - odrzekł. - Nigdy nie zabiłbym konia. Ani osła. Osły mają krzyż na grzbiecie. W sierści. Wiozły naszego Pana w Niedzielę Palmową. To znak. Ale owce? Po to są. Po to się je hoduje. Nie miej wyrzutów sumienia, tak sobie mówiłem. Szybka, czysta śmierć, i na hak w oknie. Proste. Ale potem, potem... -Jego serdelkowate palce dziko zabębniły w stół.

Bóg milczał. Na czubku nosa miał kropelkę potu, która drżała tam jak kropla rosy na wietrze. Palce Hama znieruchomiały. Na chwilę zapadła tak głęboka cisza, że owce słyszały deszcz szumiący na parapecie, delikatny i nerwowy jak spłoszona mysz. Potem Ham wziął butelkę i po brzeg napełnił szklanekę złocistym płynem. Butelka zabalgotała. Ham potrząsnął głową.

- George był inny - powiedział. - Nadawał im imiona. Śmieszne takie. Rozmawiał z nimi. Z nikim innym nie mógł się dogadać, tylko z nimi. Raz przychodzi do mnie i mówi: "Melmoth uciekł. Trzy dni temu. Za długo to trwa. Weźmiemy psy i go wytropimy". Myślałem, że chodzi o jakiegoś dzieciaka... - Rzeźnik parsknął śmiechem. - Obłąd. Ale w porządku był z niego gość, lepszy niż cała reszta.

- Lepszy? - Długonosy Bóg zazdrośnie chwycił butelkę i spojrzał na Hama. - Chyba w to nie wierzysz? Pewnie nigdy się nie dowiemy, co chował w tej swojej przyczepie, ale powiem ci jedno: George zajmował się nie tylko owcami. Wystarczy? Przewrócił oczami. Pociągnął łyk ze szklanki i zakaszłał. Załzawione oczy wyszły mu z orbit.

- George... Zawsze sprawiał mi kłopoty. Nie miał dla mnie za grosz szacunku. I ani cienia strachu przed Bogiem. A wiesz, co jest najgorsze? Że kiedyś w końcu tam trafię i znowu go

spotkam. Nie myślisz chyba, że to przypadek, co? On ich na mnie nasłał. Demony zemsty. Dlaczego nie nasłał ich na innych? Siedzą w tym głębiej niż ja. Ja trzymałem tylko język za zębami, to wszystko. Ale nie, bo on ma do mnie urazę! Wiesz, kiedy zobaczyłem pierwszego? Na jego pogrzebie! Żałobnicy szybko odeszli. Było oczywiste, że mają do roboty coś lepszego niż oglądanie go w grobie, więc wziąłem to czasopismo i... Cóż, teraz to już wszystko jedno. Wziąłem je i zacząłem przeglądać, ale przeglądałem tylko przez chwilę, bo nagle coś usłyszałem. Podnoszę wzrok i widzę czaszkę, która szczyrzy do mnie zęby znad jego grobu. Był wzrostu człowieka, ale ta głowa, ten łeb... - Drżący głos Boga zniknął w szklance i wyszedł z niej jako chrapliwy szept. - To był łeb barana! Baran patrzył mi prosto w oczy! Czarny! Z czterema rogami!

Ham ciężko westchnął.

- Ten mój był biały - odrzekł. - Zaatakował mnie. Zepchnął ze skały. Biały i wielki. Silny jak dzik. Zupełnie szalony. Czy to normalne? Przecież to tylko owce. A tu masz. Jaskrawobiały baran. Świecił we mgle. Powiem ci tylko tyle, że to nie było zwyczajne zwierzę. Ale dlaczego? Ile razy go teraz widzę, zastanawiam się dlaczego.

Rzeźnik wypił haust płynu ze szklanki. Bóg wydmuchał nos w chustkę.

- Jakoś bym sobie z tym poradził - mruknął. - Spaliłem czasopismo, długo się modliłem. Ale potem, już nazajutrz... Przyszła do mnie ta nowa, ta od turystyki. Nareszcie kogoś znaleźliśmy i miałem ją oprowadzić. Tylko na nią spojrzałem, ale pewnie nawet to było dla nich grzechem. Bo patrzę i widzę demona w oknie. Znowu pod postacią barana. Tym razem już nie czarnego, tylko szarego, z olbrzymimi rogami i czarnymi skrzydłami, wysokiego jak człowiek. Od razu odesłałem tę kobietę do Beth. Mówię ci, już nigdy w życiu nie będę mógł spojrzeć na owcę, bo jak patrzę, przechodzi mnie zimny dreszcz.

Rzeźnik dopił resztkę złościstego płynu i spojrzał na niego ze współczuciem.

- Ani ja - odparł. - Myślałem o tym i myślałem. Powiedzieli mi, że leżałem w szpitalu tylko jeden dzień, ale ja czułem się tak, jakbym leżał kilka tygodni. I przez cały ten czas myślałem. Tak, o Kate. Nie mogę o niej zapomnieć, chociaż wyszła za George'a. Dlatego kupiłem te kamery, że bym mógł wieczorami oglądać, jak przychodzi do mnie po piersi indyka - Ham spojrzał z rozmarzeniem w dal. - Nie pożądam żony bliźniego swego... Ale ja nigdy jej nawet nie dotknąłem. Nigdy, uwierz. No więc dlaczego? Nie wszedłem nawet w ten szemrany interes z McCarthym, a facet zalał mi za skórę jak nikt inny. Jedyne powód, jaki przychodzi mi do głowy, to szlachtowanie zwierząt. Ale ktoś musi to robić. - Rzeźnik trzasnął pustą szklanką w stół.

- Wszystko pomszczone - wyszeptał długonosy Bóg. - Każda grzeszna myśl, każda jedna. Nawet w domu Bożym! Byłem w konfesjonale. Miałem coś do obgadania z Gabrielem. Przyszedł, zaczęliśmy rozmawiać i nagle... Makabra, Ham, mówię ci, makabra. Konfesjonał wypełnił się nagle potwornym smrodem. A jego głos zmienił się w straszliwe beczenie. Rozsuwam zasłonę i... i zamiast Gabriela, widzę czarnego barana! Porusza szczękami, ma siedem rogów, jest jak bestia z Apokalipsy! - Bóg zaniósł się szlochem.

Ham zetknął czubkami palce, zrobił z nich grube, mięsiste sklepienie i rzeczowym tonem głosu odrzekł:

- Albo to źle, że je szlachtowałem i jestem winny... - Dotknął ręką wózka. - Jeśli tak, sprawiedliwości stało się zadość. Albo robiłem dobrze i spotkała mnie niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba. Nigdzie nie jest napisane, że zabijanie zwierząt jest złe, nawet w Biblii. W całej Biblii nie ma na ten temat ani jednego słowa. Przeciwnie, bo w Biblii też szlachtują barany.

- Pomsta - tchnął Bóg i zadrżał. - "Pomsta do mnie należy"... Oto, co powinienem być im

powiedzieć w sprawie McCarthy'ego. Mogłem, ale nie chciałem. A teraz już za późno. Pomsta. Teraz pomsta należy do nich. - Zrozpaczony wskazał palcem podłogę.

- Mam dwa wyjścia - odrzekł Ham. - Albo przejdę na wegetarianizm, tak jak Beth, albo pokażę im, że ze mną się tak nie pogrywa. Biały baran. Tak, tak, to tylko głupie zwierzę, instynkt i tak dalej. Często to sobie powtarzam. Ale z drugiej strony, ja też jestem tylko głupim zwierzęciem- To, co widzimy, jest jak... jest jak maska, rozumiesz? A pod tą maską coś jest. Nie wiem co, ale wiem, że to był biały baran. Dorwę go. Za wszystko Ci odpłacę! - Ham położył ręce na stole, jakby chciał wstać. Ale ledwo się podniósł, gdy z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na swoje dziwne krzesło.

Obok panny Maple coś się nagle poruszyło. Zachrząścił żwir. Biały Wieloryb odszedł od okna i spoglądał na ogrodową furtkę.

Panna Maple spiorunowała go wzrokiem.

- Melmoth powiedział, że aż przestaniemy się go bać - rzucił Wielo ryb, udając nieustraszonego.

- To ważne - odrzekła panna Maple. - Może będą rozmawiali o George'u. Może dowiemy się czegoś o morderstwie. A ty jesteś naszą pamięcią.

W tej samej chwili w domu rzeźnika coś trzasnęło ostrym, zimnym trzaskiem, któremu towarzyszyło przerażające echo. Wieloryb podskoczył.

- Widzisz? - dodała zachęcająco panna Maple. - Coś się stało. Chodź, musisz to zapamiętać.

Sztachety płotu wyglądały w ciemności jak ostre zęby, a furtka skrzypiała złowrogo na wietrze. Biały Wieloryb uznał, że samotny powrót na łąkę nie jest jednak dobrym pomysłem. Wepchnął się w bezpieczne miejsce między panną Maple i Otellem i odważnie spojrział w okno.

Z przewróconej butelki wylewał się z bulgotem złocisty płyn. Długo-nosy Bóg kurczowo ścisnął szklankę. Ham patrzył jak zafascynowany na czarną jak krew kałużę, która rozszerzała się na blacie.

- Nie chodzi o twoją żalną duszę - rzekł cicho i spokojnie. Żadne słowa, które dotychczas wypowiedział, nie zabrzmiały tak złowieszczo. - Zgrzeszysz czy nie zgrzeszysz, wystarczy, że odprawisz pokutę i Pan ci wybaczy. Czyżbyś nie wierzył w to, co gadasz w każdą niedzielę w kościele? Nie interesuje mnie ta twoja głupia czystość i niewinność. Dla mnie najgorsze jest to, jak postąpiłeś z Alice. Będziesz za to płacił, dopóki żyję!

Rzeźnik wybuchnął gniewem i Bóg zapomniał o szklance. Usiadł prosto.

- To ona zostawiła mnie - odparł trzeźwo i ze smutkiem. - A nie ja ją. Czegóż bym dla niej nie zrobił. Wszystko bym zrobił! Nawet teraz widzę ją w każdej kobiecie, na jaką spojrzę. Taki mój los. Wszystko przez tę... Przez tę wiedźmę.

Rzeźnik zacisnął pięści. Złowieszczo zatrzeszczały kości. Biały Wieloryb nerwowo zastrzygł uszami.

- Wiedźmę? Moja siostra prosiła cię tylko o odrobinę uczciwości!

W obliczu zimnej furii, jaka ogarnęła rzeźnika, Bóg opadł bezwładnie na krzesło.

- Nie wiesz, co dla ciebie robię - zawodził. - Myślisz, że nie chcieli usunąć cię z drogi? Kto im to wyperswadował językiem ludzkim i anielskim? Ja! A potem jeden z tych spryciarzy uznał, że dobrze by było, gdy by na miejscu zbrodni znaleziono twój łańcuszek. Złoty łańcuszek Kate. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Dzięki Bogu, że się przedtem wypowiadał. Od razu tam poszedłem i...

- To był Josh - przerwał mu znudzonym głosem Ham. Zaskoczony Bóg uniósł brwi.

- Wiedziałeś?

- Wiedziałem tylko, że kiedy Tom ściągnął mnie do pubu, wciąż go miałem. A kiedy

wróciliśmy z łąki, już nie. Ktoś chciał mnie wrobić, to oczywiste. A kto, jeśli nie Josh? Josh, ten przeklęty szczur. Nie lubi mnie, nie pytaj dlaczego. - Rzeźnik w zadumie pokręcił głową.

- Niepotrzebnie zabiłeś go po ślubie George'a.

- No i co? - warknął Ham. - Znalazłeś ten łańcuszek?

- Nie. Ale próbowałem.

- Próbowaleś, bo wiesz, że jeśli przydarzy mi się coś złego, wszystko się wyda - rzucił pogardliwie rzeźnik.

- No to śmiało, na co czekasz? - Bóg znowu udawał odważnego. - Przybij moje listy miłosne do drzwi kościoła. Nie wiem, czy po tylu latach ktoś by się nimi zainteresował.

- Na pewno, możesz mi wierzyć - mruknął ponuro Ham. Bóg nerwowo pociągnął ze szklanki.

- Nie zazdroścę ci - wymamrotał po chwili rzeźnik. - Spowiadać ich dzień po dniu... Co też ci muszą wygadywać. Szpadel! Kto by na coś takiego wpadł?

Bóg nachylił się nad stołem tak nisko, że omal się nie przewrócił. Wbił wzrok w rzeźnika i podczas gdy ten ponownie oklapł na wózku, Bóg znowu był czujny i trzeźwy.

- Nikt nic nie powiedział. Nikt. Ani słowa. Nawet w konfesjonale. O McCarthym, o tak, o McCarthym słyszałem wszystko. Ale o George'u ani słowa. Myśleli o tym, owszem, ale nikt się do niczego nie przyznał.

Ham wzruszył ramionami, jakby wcale go to nie zaskoczyło. Ale Bóg z każdym słowem był coraz bardziej wzburzony.

- To milczenie mrozi mi krew w żyłach! Nawet przed Bogiem nie chcą... Naprawdę bym chciał, żeby się przyznali. To do nich zupełnie niepodobne. Zawsze palili się do spowiedzi. Żeby wyznać grzechy, oczyścić sumienie i tak dalej. Może... Ale ten szpadel, to naprawdę chore.

Chytrze błysnął oczami.

- Zaraz, chwileczkę - dodał. - Po co poszedłeś tam w dniu pogrzebu George'a?

Ham zrobił minę. Najwyraźniej nie chciał myśleć o tamtym mglistym poranku. Szklistym wzrokiem spojrzął w dal, prosto w brązowe oczy Białego Wieloryba.

- Bo chciałem znaleźć łańcuszek - warknął. - Przyszedł mi do głowy taki sam pomysł, nawet bez tej twojej spowiedzi. Josh. Co za idiota. Kiedy nie pojawiła się u mnie policja, pomyślałem, że łańcuszek wciąż musi tam być... - Skupił na czymś wzrok i zamilkł.

Bóg się roześmiał.

- A Josh szukał go pewnie w tym samym czasie co ty. Miał wyrzuty sumienia. I też niczego nie znalazł. Nad tą sprawą ciąży jakaś klątwa i myślę, że...

Urwał, widząc przerażoną minę rzeźnika. Poszedł za jego wzrokiem i też struchlał. Zbladł i chwycił się za serce.

- Jest! - wrzasnął rzeźnik. - Teraz go dopadnę!

Kilkoma wprawnymi ruchami zawrócił wózek i popędził do drzwi. Zdumiony Bóg gapił się na czarny prostokąt, gdzie jeszcze przed chwilą widział trzy owcze łby skąpane w czerwonym świetle.

Biały Wieloryb, panna Maple i Otello niespiesznie truchtali w mżawce- Byli z siebie zadowoleni i mieli ku temu powody. Bo jeśli nawet nie wyzbyli się całkowicie strachu, nastraszyli przynajmniej Boga i rzeźnika.

Otello szedł dumnie przodem. Zaimponował Bogu swoimi rogami; już samo to warte było zachodu. Nawet Wieloryb szedł z wysoko podniesioną głową. Melmoth miał rację! Odrobina skupienia, nieustraszone owcze spojrzenie i można było solidnie nastraszyć każdego człowieka.

Kontemplując swoje najnowsze odkrycie, przyspieszył kroku i już po chwili truchtał ramię w ramię z Otellem. Chciał zwolnić i nieśmiało zostać w tyle, gdy wtem Otello spojrzał na niego i spytał:

- A więc to ty zepchnąłeś rzeźnika ze skały?

Wieloryb podniósł głowę. Ach, jak pięknie zaatakował go w tej mgle...

Ale w tej samej chwili włączyła się pamięć. Biały Wieloryb był chodzącą pamięcią stada. I wszystko pamiętał.

- Nie - westchnął. - Gonił mnie we mgle. I spadł.

Otello aż parsknął z rozbawienia, choć minę miał przyjazną.

- To i tak duże osiągnięcie - powiedział.

Obejrzeni się w poszukiwaniu panny Maple, która została trochę z tyłu. Pogrążona w zadumie, od czasu do czasu przystawała, żeby uskubać kilka listków z żywopłotu wzdłuż ścieżki przez pole. Barany cierpliwie czekały.

## 17. Cordelia zna kilka pożytecznych słów

Dawno temu, zanim panna Maple ujrzała swoją pierwszą zimę, George zwykł był kroić na śniadanie chleb, smarować go masłem i polewać syropem klonowym. W ładne dni zawsze jadł śniadanie na dworze, publicznie, na oczach zazdroszczących mu owiec. Najpierw rozstawiał stolik przed przyczepą. Potem robił kawę. Jeszcze potem przynosił talerz z kromką chleba, już posmarowaną. Postawiwszy talerz na stoliku, wracał do przyczepy, żeby popędzić ekspres do kawy. Kiedy to robił, chleb leżał bez opieki na słońcu. Każda owca miała ochotę go zjeść. Ale tylko panna Maple umiała liczyć do pięćdziesięciu. Wkraczała do akcji, gdy tylko ekspres zaczynał bulgotać, bo George grzmotnął go ręką. 1-15: podkradała się do przyczepy. 15-25: na wszelki wypadek zaglądała do środka. 25-45: zlizywała syrop z chleba, ale robiła to ostrożnie, bardzo, bardzo ostrożnie, tak żeby na maśle nie pozostał najmniejszy ślad owczego języka. Ważne również było to, żeby zostawić tam cieniuteńką warstewkę brązowego syropu, w przeciwnym razie George mógłby coś zauważyć. 45-50: wracała do stada i chowała się za wełnistym ciałem mamy, którą jej poranne wypady bardzo żenowały. 51: z przyczepy wychodził George z kubkiem gorącej kawy. Siadał i zaczynał jeść.

Pewnego dnia maszyna do kawy musiała się zepsuć, ponieważ George z założonymi rękami stanął w progu przyczepy, ledwo panna Maple zdążyła doliczyć do trzydziestu pięciu. Właśnie tego dnia nadał jej imię, mimo że nie przeżyła jeszcze swojej pierwszej zimy. Maple syrop to po angielsku syrop klonowy, i tak panna Maple została panną Maple. Pozostałe owce bardzo jej zazdrościły, a mama była z niej tak dumna, jakby to ona podkradała syrop z chleba. A sama panna Maple, najmłodsze jagnię w historii, któremu nadano imię, hasała po łące aż do zachodu słońca.

Teraz było już oczywiste, że jest najmądrzejszą owcą w całym Glennkill, a może nawet najmądrzejszą owcą na całym świecie. Dlatego zamiast ulec zmęczeniu, owce skupiły się i wyczuły słuch, gdy ona, Biały Wieloryb i Otello zaczęli opowiadać, co słyszeli i widzieli w domu rzeźnika. Wieloryb i Otello znowu mówili o krwi i o strachu przed nożem, który tak bardzo chcieli pokonać. Ale panna Maple poruszyła inny temat.

- Bóg powiedział coś ważnego - zauważyła. - Podkreślił, że nikt nie przyznał się do

morderstwa. Jego zdaniem kryje się w tym coś złowieszczonego, moim też. Gdyby zrobili to całym stadem, czuliby się bezpiecznie i na pewno by mu powiedzieli, tak jak o McCarthym. Bóg ich wtedy nie zdradził, dlaczego więc miałby zdradzić ich teraz? Nie lubił George'a.

- Może zapomnieli? - zasugerowała Chmurka.

Wieloryb pokręcił głową.

- Ludzie tak łatwo nie zapominają. Na wiosnę George wciąż pamiętał, kto ogryzł korę z drzew jesienią. McCarthy zginął siedem zim temu. Siedem zim to dłużej niż życie owcy, a oni wciąż o tym pamiętają. - Było oczywiste, że Biały Wieloryb żywi duży szacunek dla potęgi ludzkiej pamięci.

- Nie, to nie ma nic wspólnego z ich pamięcią - poparła go panna Maple. - Myślę, że milczą z innego powodu, nie wiem z jakiego. Nie sądzę, żeby zrobili to razem, tak jak z McCarthym. Nie zachowują się jak stado, który wyskubie do czysta cały pasionek. Gdyby tak było, zebraliby się w jednym miejscu i spokojnie zaczekali. Oni tego nie robią. Biega ją wszędzie zagubieni i zdezorientowani. Podejrzewają siebie nawzajem. Chcą dowiedzieć się czegoś o innych. Josh przychodzi wypytać Gabriela. Potem przychodzi Eddie. Gabriel obserwuje Josha, Toma O'Malleya i Harry'ego, którzy zakradają się nocą na łąkę.

Zaskoczone owce aż zameczały.

- Powinniśmy byli wpaść na to dużo wcześniej - parsknęła niecierpliwie panna Maple. - Nie dalibyśmy się mu nabrać. Gabriel to myśliwy!

Gabriel myśliwym? Teraz już wiedziały, że jest zdolny do najstraszniejszych czynów. Ale jak panna Maple do tego doszła?

- Od razu powinnam była się tego domyślić. Choćby tylko dlatego, że Matylda nie mogła wyczuć jego zapachu. Tylko on potrafi ukryć swój zapach pod zapachem mokrej wełny i dymu. Co więcej...

Panna Maple rozejrzała się energicznie.

- Co więcej, wiedział, że tych trzech było na łące. Tak powiedział Joshowi. Wiedział nawet, że się zdenerwowaliśmy. Jak by na to wpadł, gdyby go tam nie było?

- Ale dlaczego miałby polować na ludzi? - spytała Chmurka.

- Może ze względu na mięso? - rzucił Wieloryb. - Ludzie nie mają zbyt gęstego runa.

- Żadna owca nie może opuścić stada - zameczał Sir Ritchfield.

Panna Maple kiwnęła głową.

- Moim zdaniem Sir Ritchfield ma rację. Gabriel jest ich przewodnikiem. Nie chce, żeby biegali gdzie popadnie. Chce, żeby zostali w jednym miejscu i nigdzie nie chodzili, tak jak jego owce. Ale oni ciągle chodzą i kiedy zobaczył tamtych trzech, od razu za nimi poszedł.

- Gabriel nie jest dobrym przewodnikiem - stwierdziła Wrzosowata.

- Nie, nie jest - zgodziła się z nią panna Maple. - Nie potrafi utrzymać stada w ryzach. Dlatego siedzi tu i pilnuje przyczepy. W przyczepie musi być coś ważnego. Coś, co za nic nie może się z niej wydostać.

- Sprawiedliwość! - wykrzyknął Biały Wieloryb.

Panna Maple przekrzywiła głowę.

- Może i sprawiedliwość. To bardzo ważne pytanie. Czego ci wszyscy ludzie tam szukają? Eddie, Gabriel, Josh, Tom, Harry... Czego szukają w przyczepie?

-Trawki - podsunęła Zora. -Tom powiedział, że trawki.

Zdawało się, że to zbyt rozsądne. Ludzie nie kierują się zwykle aż tak sensownymi pobudkami. Wieloryb zrobił sceptyczną minę.

- Przecież trawki tu pełno - odparł. - Cała łąka jest porośniętą trawą, przynajmniej tam, gdzie tamci jej nie wyżarli - dodał, posyłając mroczne spojrzenie w stronę owiec Gabriela. - Po

co mieliby szukać jej w przyczepie, skoro wystarczy się schylić?

Musieli przyznać mu rację. Nawet od ludzi należało oczekiwać odrobiny rozsądku. Trawka - bardzo apetyczny temat. Kilka szyj wyciągnęło się w stronę smakowitych źdźbeł sterczących pośród słomy na podłodze.

- Nie przypuszczam, żeby wszyscy szukali trawy - powiedziała panna Maple z długim kłosem zboża między zębami. - Moim zdaniem dla Gabriela ważniejsze jest, żeby nic z tej przyczepy nie wyszło. Nic, nawet trawa.

Wieloryb zazdrośnie patrzył na kłos. -Ale dlaczego?

- Gabriel jest ich przewodnikiem - wyjaśniła panna Maple. - Myślę, że był nim już wtedy, kiedy zamordowano McCarthy'ego. Wie, że George i rzeźnik się zabezpieczyli. Jeśli spotka ich coś złego, wszystko wyjdzie na jaw, tak? Coś złego spotkało George'a, dlatego wszyscy czekają, aż to coś teraz wyjdzie. Moim zdaniem wyjdzie stamtąd.

Owce podeszły do drzwi i spojrzały niepewnie w stronę przyczepy, która spała w ciemności niczym wielki, płaski kamień. Do tej pory uważały, że jest zupełnie niegroźna, że jedyną rzeczą, która może z niej wyjść, jest sam George.

- Sama nie wiem... - szepnęła Cordelia.

- Bez względu na to, co to jest, na pewno stamtąd nie wyjdzie - po wiedziała Bystra. - Nikt nie da rady otworzyć drzwi. Próbował Gabriel, próbował Eddie, Josh, Harry i Tom O'Malley. I ten mężczyzna z cichego samochodu.

- Ale po co próbują otworzyć drzwi, skoro żaden z nich nie chce, żeby to coś wyszło? - zameczała Wrzosowata.

Dobre pytanie. Panna Maple poruszyła uszami.

- Nawet jeśli sami nie potrafią wejść do przyczepy, boją się, że wejdzie tam ktoś inny i że ten ktoś odkryje ich tajemnicę. Ale gdyby im się udało, mogliby znaleźć dowody i na zawsze je zniszczyć.

Stali tak przez jakiś czas, zastanawiając się, myśląc albo po prostu przeżuując trawę. Już wyglądało na to, że całe to przeżuwanie i myślenie zakończy się miłą drzemką, gdy wtem panna Maple znowu ich obudziła.

- Wyobraźmy sobie - powiedziała - że George'a zabiła tylko jedna osoba. Kto mógłby nią być?

Lekko zaszokowane i zdezorientowane owce głośno zameczały. Najpopularniejszymi kandydatami okazali się Gabriel i rzeźnik.

- Hm... - odparła panna Maple. - Zauważyliście coś? Jeszcze niedawno nikt by nie pomyślał, że Gabriel mógłby to zrobić. Nie pomyślałby dlatego, że wszyscy go lubiliśmy. A teraz go podejrzewamy. A podejrzewamy go dlatego, że już go nie lubimy. Może robimy błąd. Może mordercą jest ktoś, kogo lubimy.

- Jeśli jest mordercą, to byśmy go nie lubili - oświadczyła stanowczo Wrzosowata.

- Ale może wciąż lubimy - myślała na głos panna Maple. -Jego albo ją.

- Rebeka? - zameczała wstrząśnięta Chmurka.

- Co o niej wiemy oprócz tego, że ładnie pachnie? - spytała panna Maple. - Pojawia się nagle po pogrzebie George'a. Mówi, że przyjechała tu w związku z turystyką, ale to nieprawda. Przyjechała, żeby wypytać o George'a.

- Ona też chce znaleźć mordercę - wtrącił Otello.

- Albo zrobić tak, żeby nigdy go nie znaleziono. Pytała, czy są jacyś podejrzani. Może chciała sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi.

Cóż, nie można było tego wykluczyć. Piękne córki często doprowadzały ojców do śmierci, przynajmniej w książkach George'a. Mimo to teoria nie przypadła owcom do gustu.



- Dała mi ostatniego pomidora - zauważył Otello.  
- Kilka owiec posłało pannie Maple wyzywające spojrzenie. Czy kobieta, która zrobiła coś takiego, byłaby zdolna do morderstwa?  
Ale panna Maple była nieporuszona.  
- Ona nie jest stąd. Nie boi się, że coś wyjdzie na jaw. Nie wie nawet, co mogłoby wyjść. Pamiętajcie, co Świętoszka Beth powiedziała o szpadlu, trupie i o diabelskich psach?  
- "Wyobraża pani sobie, jak przerażona musi być dusza w ciele człowieka przebitego szpadlem?" - zacytował natychmiast Biały Wieloryb.  
- Właśnie. - Panna Maple nagrodziła go pochwalnym spojrzeniem. - Ale Rebeka nie jest stąd. Nie ma pojęcia o diabelskich psach. I na pewno by się nie bała.  
- Dobrze, jest odważna - prychnął pogardliwie Otello. - I co z tego? To niczego nie dowodzi.  
- Masz rację - westchnęła panna Maple. Było widać, jak bardzo jest zmęczona. - Nie, to niczego nie dowodzi.  
Pogrążona w myślach, zaczęła nerwowo krążyć po stodole. Kilka owiec zameczało z oburzenia, kiedy odepchnęła je na bok lub na nie wpadła, ale ona nie zwracała na nic uwagi.  
- Małe zagadki rozwiązują się same - mamrotała. - Jedna po drugiej, jak otwierające się pączki. Wiemy już, czego rzeźnik i Josh szukali we mgle: szukali Rzeczy. Wiemy już, kto nachylił się i położył coś na ziemi: to był Josh, który Rzecz tam podrzucił. Wiemy już, kto jest wilczym duchem, a kto myśliwym... Tak, ale co z zagadką dużą, tą główną, z samym morderstwem? Dlaczego nic tu nie pasuje?  
Omali nie wpadła na Sare, która w ostatniej chwili zdążyła zejść jej z drogi.  
- Chociaż z drugiej strony, może nie wszystko musi pasować. Może robimy błąd, zakładając, że musi. W powieści kryminalnej niby wszystko pasowało, ale zaraz potem poplątało się i pomieszało, i w końcu George wyrzucił książkę. Może jest tak, że wiele rzeczy po prostu nie pasuje. Rzeczy, które według nas łączą się ze sobą, a które tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego.  
Panna Maple znieruchomiała.  
- Musimy skupić się na głównej zagadce! - wykrzyknęła. - A główną zagadką jest... szpadel!  
Zamilkła i długo milczała. Owce myślały, że głęboko o czymś myśli. Ale niedługo potem jej regularny oddech zdradził, że najmdirzejsza owca w całym Glennkill po prostu zasnęła.

Nazajutrz rano morze gniewnie warczało, a otwory w dachu stodoły świeciły żółtawym światłem jak kocie oczy. Ale na dworze śpiewały już ptaki jak zawsze wolne i beztroskie. Fałszywą nutą dołączył do ich chóru kolejny, początkowo z oddali, potem zupełnie z bliska.

Wyjrawszy przez drzwi, owce znowu zobaczyły Gabriela na schodach przyczepy. Siedział tam i gwizdał.

Przyglądały mu się przez lekką, poranną mgłę.

- Musimy się go pozbyć! - powiedziała Wrzosowata. Nikt się jej nie sprzeciwił.

- Ale jak? - spytała Bystra.

Otoczony kłębam dymu z fajki Gabriel wrósł w schody jak sosna w skałę. Nie wyobrażały sobie, żeby jakakolwiek owca - a nawet stado owiec - dała radę choćby go przesunąć.

- Strach - powiedziała Zora. - Musi się nas bać.

Zrobiły listę rzeczy, których bały się one: duże psy, hałaśliwe samochody, cuchnące smarowidła, wilcze duchy, zapach mięsożernych. Uznały, że żadna z tych rzeczy go nie

przestraszy.

Wymieniły bezradne spojrzenia.

- Uważajcie - prychnął nagle Melmoth Wędrowiec. - Gdybyście dobrze uważały, już dawno wiedziałybyście, czego Gabriel się boi. Co robią ludzie, kiedy się boją?

Panna Maple wytrzeszczyła oczy.

- Stawiają ogrodzenia.

Wszystkie popatrzyły na owce Gabriela, które znowu spoglądały przez siatkę wygłodniałym wzrokiem.

- A co może im się tam stać? - spytała z goryczą Wrzosowata. - Przecież Gabriel codziennie wrzuca im trawę.

- Mogą zachorować - odpowiedział Melmoth.

- Nie chcemy, żeby zachorowały - odparła Zora. - I bez tego mają ciężkie życie.

- Gdyby zachorowały, moglibyśmy się zarazić! - wykrzyknął zaniepokojony Wieloryb.

Melmoth zrobił tajemniczą minę i puścił do nich oko. -A załóżmy, że to my zachorujemy.

Co wtedy?

W głowie Cordelii zaroilo się nagle od słów. Wszystkie tajemnicze określenia, których nauczyła się od George'a, wyrwały się raptem z niewoli i wraz z myślami pogalopowały przed siebie: profilaktyka, zakaźne zapalenie racic, zapalenie opon mózgowych, Creutzfeld-Jacob... W książce o owczych chorobach było ich pełno. I wszystkie coś znaczyły.

Wkrótce potem mieli już plan.

Zniknęły w mrocznej stodole, żeby wszystko sobie przećwiczyć. Gdy jakiś czas później wyszły na dwór, były nieco zdeprymowane okropnością tego, co wymyśliły.

Teraz pokażą Gabrielowi, co znaczy strach.

Ale Gabriel nie siedział już przed przyczepą. Gabriel znowu się pasł. Ponad łąką niosła się zimna pieśń kostuchy, a u jej stóp kładła się ścięta trawa. Owce zadrżały. Postanowiły zaczekać, dopóki pasterz nie skończy. Lecz zaraz potem wraz z jękiem kosy i zapachem martwej trawy wiatr przyniósł coś jeszcze. Od strony wsi dochodził przerażający odór. Popędziły na wzgórze i przystały na szczycie, patrząc, jak ścieżką przez łąkę jedzie ku nim rzeźnik na wózku.

Kostucha śpiewała głośną pieśń, tymczasem podskakujące w trawie koła wózka nie wydawały prawie żadnego odgłosu. Było całkiem możliwe, że Gabriel niczego jeszcze nie zauważył. A przynajmniej nie przerwał jeszcze pracy.

Rzeźnik był bardzo spocony. Przez jakiś czas patrzył, jak trawa pada Gabrielowi do stóp. A potem powiedział:

- Wszelkie ciało jest trawą.

Kosa zawisła w powietrzu. Gabriel spojrział na niego i uśmiechnął się ujmująco.

- Raczej odwrotnie - odrzekł. - W tych zwierzętach wszelka trawa staje się ciałem.

Owce wymieniły znaczące spojrzenia. Rzeźnik musiał chyba to wyczuć, bo spojrział na wzgórze i zmrużył oczy.

Gabriel przyglądał mu się długo i intensywnie.

- Co cię tu sprowadza, Ham? - spytał w końcu ostrożnie.

Ham bardzo się spocił podczas uciążliwej przejażdżki przez łąkę i jego włosy, które w domu Boga wyglądały tak ładnie i złotawo, były teraz szare i lepiły mu się do czoła. Rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony i nagle spytał:

- Przyjdiesz na otwarcie testamentu George'a? Dzisiaj o dwunastej pod lipę. Nie byłem

pewien, czy o tym słyszałeś.

Podjechał jeszcze bliżej, zatrzymał wózek dokładnie naprzeciwko Gabriela, zadarł głowę i przyjrzał mu się badawczo.

- Ham - odparł pasterz. - Prawie od tygodnia Judzie nie mówią o czym innym. Wszyscy o tym słyszeli. I wszyscy przyjdą. Wszyscy, którzy mogą chodzić - dodał, spoglądając z góry na rzeźnika. - Wszyscy, którzy jeszcze żyją. Wszyscy z wyjątkiem ojca Willa oczywiście. Will na pewno zechce pokazać światu, że sprawy doczesne go nie interesują. Nie przepuści takiej okazji. Nie przyszedłeś tu, żeby spytać mnie o testament! Czego chcesz, Ham?

Zmieszany rzeźnik przesunął serdelkowatymi palcami po kołach wózka.

- Chcę cię ostrzec - odrzekł.

- Ostrzec? - Gabriel zmrużył oczy. - Przed czym?

- Przed nimi. - Ham rzucił krótkie spojrzenie w kierunku wzgórza. Powiódł wzrokiem po stadzie owiec i odszukał Białego Wieloryba. Wieloryb nerwowo zameczał. Metoda koncentracji skutkowałą znacznie gorzej, kiedy rzeźnik nie siedział za szklaną szybą.

- Przed owcami? - Gabriel opuścił kosę. - Przestań, jesteśmy sami. Skończ z tymi zawaalowanymi aluzjami. Jeśli chcesz mi grozić, gróż otwarcie.

- Grozić? Tobie? Dlaczego miałbym ci grozić? Jesteś jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znam. Chcę cię ostrzec.

- Przed owcami?

- Tak, przed owcami. Pewnie myślisz, że zwariowałem. Ja też często tak myślę, odkąd spadłem na łeb z tej skały. Ale nie, bo to zdarzyło się już wcześniej, przedtem. To ten baran, nie rozumiesz? On tam wtedy był. To jego robota. - Ham wskazał wzgórze serdelkowatym palcem. - Myślisz, że to spokojne zwierzęta, że można zrobić z nimi, co się chce, prawda? Ja też tak myślałem. Ha. - Rzeźnik roześmiał się gorzko.

- Myślałeś, no i co? - spytał poirytowany Gabriel.

- I się myliłem - odparł Ham. - One wiedzą, co tu się dzieje. Spytaj Williama. Wczoraj nas goniły! Zwłaszcza ten gruby baran. To diabeł!

- Ten, który próbuje schować się za tym szarym?

- Właśnie! - Ham wytarł chustką spocone czoło.

Gabriel patrzył przez chwilę na wzgórze, ale chyba przyszło mu do głowy coś innego. Znowu zmrużył oczy.

- Rozmawiałeś wczoraj z Willem? Ty? Gadałeś z Willem? Cud nad cudami, znaki nad znakami!

- Tak, to znak. Tylko czego? Ja tych znaków dłużej nie zniosę. Spójrz na nie! Wczoraj widziałem trzy! Mówię ci, to nie są zwyczajne owce. Widzisz, jak stoją, jak dotykają się łbami? One coś knują, chcą cię oszukać.

Owce struchlały.

Gabriel przesłonił ręką oczy i znowu spojrział na wzgórze.

- Chyba masz rację - odrzekł.

Przez stado przetoczyło się ciche westchnienie. Pasterz już wiedział. Już nie zniknie. To one znikną z pastwiska. Bo wszelkie ciało jest trawą, a trawa ciałem. Ciałem, czyli mięsem i krwią. A Bóg mówił, że grzechy trzeba odpokutować choćby krwią. Gabriel też to przyznał.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony Ham. - Wierzysz mi?

Gabriel bez słowa kiwnął głową.

Pogodzone z losem owce zanurzyły pyszczki w trawie. Tylko Matylda wciąż patrzyła na rzeźnika i pasterza.

- Spróbujmy mimo to - zameczała.

- Tak, na pewno nie są zwyczajne - powiedział Gabriel. - Są nadzwyczaj nieproduktywne. To bardzo stara rasa. Nie dają wełny, nie rodzą jagniąt. Co George chciał z nimi zrobić, to dla mnie tajemnica.

Ham nerwowo kręcił guzikiem kamizelki.

- Może sprzedasz mi jedną? Tego barana z tyłu. -Tego groźnego?

Biały Wieloryb zeszywniał ze strachu. Ale rzeźnik nagle spuścił oczy.

- Ty mi nie wierzysz - szepnął zrezygnowany. Nie chciał już dłużej rozmawiać. Zawrócił i odjechał.

Pasterz patrzył, jak jego wózek mozolnie sunie przez trawę. Złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Ham! Będiesz na konkursie na najmądrzejszą owcę? To już pojutrze!

Ale Ham się nie odwrócił. Spocony i zasapany jeszcze bardziej przyspieszył, kierując się w stronę ścieżki.

Gdy tylko zniknął za zakrętem, Gabriel rozciągnął usta w uśmiechu. Nareszcie rozgryzł tego starego sukinsyna. Facet miał nie po kolei we łbie! Pokręcił głową i podniósł kosę. Ale coś przykuło jego uwagę. Jedna z owiec George'a potknęła się i upadła. Baran, irlandzka czarnogłówka Gabriel uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stara, udomowiona rasa! Zwinne i bystre zwierzęta! Czegóż ci ludzie nie wymyślą. Baran podniósł się z trudem. Zrobił dwa kroki i znowu upadł. Wtem upadła stojąca za nim owca. Inny baran, ten gruby, jak opętany walił łbem w ścianę stodoły. Uśmiech zastygł Gabrielowi na ustach. Jego niebieskie oczy przestały być lodowate i wyglądały teraz jak woda z topniejącego śniegu: były ciemne, mętne i niezdecydowane. Kosa wypadła mu z ręki.

- Cholera jasna! - syknął. - Mają trzęsawkę. Niech to szlag! Niech to szlag! Niech to szlag!

Owce zataczały się w trawie, nienaturalnie wysoko podnosząc nogi i robiąc krótkie, chwiejne kroki, długo po tym, gdy przestał na nie patrzeć. Dobrze się bawiły. A on natychmiast zagwizdał na psy. Wyrwał dziurę w siatce, którą jeszcze przed kilkoma dniami z takim pietyzmem rozstawiał. Psy dały mistrzowski pokaz zaganiania. W ciągu kilku sekund wypędziły owce na łąkę i ustawiły je w idealnym porządku, nie wzbudzając paniki ani w jednym zwierzęciu. Kilka minut później po Gabrielu i jego stadzie pozostały jedynie chmura kurzu i puste siatkowe ogrodzenie.

- Już go nie zobaczymy - powiedziała uszczęśliwiona Wrzosowata.

- Zobaczymy, zobaczymy - odparła panna Maple. - Dzisiaj w południe, kiedy cień będzie krótszy. Pod starą lipą we wsi. Może wtedy coś wyjdzie na jaw.

## 18. Jagnię, które płakało

Ostatnia wola i testament George'a Glenna - zaczął notariusz. - Spisany i podpisany dnia trzydziestego kwietnia roku 1999 w obecności trzech świadków, w tym jednego zaprzysiężonego prawnika", to znaczy, mojej.

Notariusz się rozejrzał. Zza jego okularami błyszczało dwoje ciekawskich oczu. Nie tylko mieszkańcy Glennkill chcieli wiedzieć, co będzie dalej, on też. Atmosfera pod lipą przypominała tę przed letnią burzą: była złowróżbna i pełna wyczekiwania. Napięcie sięgało zenitu. Panowała cisza i przytłaczający upał. W głowach zbierało się na burzę.

- "Do publicznego odczytania w pierwszą niedzielę po mojej śmierci albo tydzień później

o dwunastej w południe pod starą lipą w Glennkill". - Notariusz zerknął na zielony baldachim nad głową. Z drzewa spłynął liść i wylądował na ramieniu jego nienagannie skrojonego garnituru. Notariusz zdjął go i obejrzał ze wszystkich stron. - Lipa - skonstatował. - Niewątpliwie lipa. Ale czy na pewno ta?

-Ta, ta - mruknął niecierpliwie Josh. - To nasza stara lipa. Możesz pan zaczynać.

- Nie, nie mogę - odparł notariusz.

- Jak to? - spytała Lilly. - Wezwał pan nas, a teraz nie chce pan odczytać testamentu?

- Nie mogę - powiedział notariusz. - Jak to pan nie może? - burknął Eddie.

Notariusz ciężko westchnął. Na jego rękę błysnął zegarek. Bardzo dobry zegarek, podobny do tego, który George nosił, pracując w warzywniaku.

- Jest dokładnie jedenasta pięćdziesiąt sześć. Proszę mi wierzyć, że mój chodzi dobrze. - Tę ostatnią uwagę zaadresował do tych, którzy zerknęli na swoje zegarki. - Nie mogę zacząć przed dwunastą.

Ludzie zaczęli mruzczyć i mamrotać. W owadzim brzęczeniu ich głosów pobrzmiwały nutki irytacji, oburzenia, zdenerwowania, a nawet ulgi.

Pod dowództwem Otella owce podeszły bliżej. Kiedy rozpoczęła się pora krótszego cienia, wyruszyły z pastwiska, żeby sprawdzić, czy testament coś ujawni. Czy wskaże mordercę albo przynajmniej ważny trop. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Otello wbijał im do głowy, że muszą podejść do ludzi spokojnie, naturalnie i po cichu, tak jak pies. Ale tamci nie zauważyliby ich nawet wtedy, gdyby przybiegły tu galopem, mecząc de sił w płucach. Byli zbyt zajęci spoglądaniem na zegarek.

Kościelny zegar wybił dwunastą.

- Już! - szepnęli stojący pod lipą. Ale notariusz pokręcił głową.

- Spiesz się. Przy najbliższej okazji musicie go dobrze ustawić. Przez tłum znowu przetoczył się gniewny pomruk. A potem, jeden po drugim, wszyscy zamilkli. Biały Wieloryb zobaczył, jak przez tłum przedziera się strach z rozwianą na wietrze grzywą, jak niczym kocur ociera się o nogi Josha, jak tchnie zimnym oddechem w kark Eddiego, jak szczerząc w uśmiechu zęby, wacha czarną sukienkę Kate.

I znowu stłumiony pomruk: dołączyła do nich Rebeka w sukience, która była jak kropla czerwonej krwi na tle żałobnej czerni ubrań większości czekających pod lipą ludzi. Śledziły ją wszystkie oczy, para za parą. Otello dobrze wiedział, co się dzieje: mężczyźni sycili się nią, tak stado syci się trawą na pasionku.

Zegarek zniknął pod białym mankietem koszuli. Notariusz odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę zebranych.

Owce zaniemówiły z przejęcia. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu ktoś miał im czytać. W dodatku słowa napisane własnoręcznie przez George'a.

- "Mojej żonie Kate zostawiam bibliotekę składającą się z siedemdziesięciu trzech sznurowatych romansów, powieści kryminalnej, tomu irlandzkich bajek i książki o chorobach owiec oraz wszystko to, co się jej prawnie należy".

Notariusz podniósł wzrok.

- Może pani zatrzymać dom - wyjaśnił. - I dostanie pani niewielką rentę.

Kate zacisnęła zęby i kiwnęła głową.

- "Mojej córce Rebecce Flock..."

Przez tłum przetoczył się podekscytowany szept. Córka? George miał córkę? Z kimś na boku? Cudzołożył?

- "... zostawiam moją ziemię, to znaczy, pastwiska w Glennkill, Golash i Tullykinree".

Otello spojrział na Rebece. Wśród ubranych na czarno i szaro wieśniaków wyglądała jak

czerwony kwiat maku. Bardzo zbladła i miała zaciśnięte usta. Nikt nie zwracał już na nią uwagi. Kate szlochała. Ham patrzył na nią z zafascynowaniem.

Ktoś spytał:

- I to wszystko?

- Nie - odrzekł notariusz. - Nie wszystko.

Wieloryb zobaczył, jak ludziom tężeją mięśnie pod ubraniem. Teraz? Wyjdzie na jaw czy nie wyjdzie? A jeśli wyjdzie, to co? Przygotował się do ucieczki.

- "Beth Jameson zostawiam Biblię".

Siedząca w trzecim rzędzie Świętoszka zasłoniła ręką usta i zaczęła spazmatycznie szlochać.

- "Abrahamowi Rackhamowi zostawiam mojego smitha & wessona wraz z tłumikiem na wypadek, gdyby kiedyś potrzebował broni".

Ham znieruchomiał. Miał wilgotne oczy. Ponuro kiwnął głową.

- "Wiem, o czym teraz myślicie - dodał notariusz. - Nie wszyscy, ale sporo z was".

- Skąd pan może wiedzieć? - spytała Lilly.

- Ja tylko cytuję - wyjaśnił prawnik. Ludzie mieli skonsternowane, pozbawione wyrazu miny. Notariusz westchnął. Owce bardzo mu współczuły, bo nawet one wiedziały, co znaczy: "cytuję". W każdym razie mniej więcej. "Cytować" to prawie to samo co "czytać na głos".

- "Od dawna się nad tym zastanawiałem - ciągnął prawnik - ale tego nie zrobię. Życie dalej tym swoim małym, parszywym życiem". - Pod niósł wzrok. - Przypuszczam, że rozumiecie to lepiej niż ja.

- To wszystko? - spytał Josh z wyraźną ulgą w głosie.

Notariusz pokręcił głową, ponownie odchrząknął i przerzucił kartkę.

- "Pozostała część majątku, który w chwili obecnej szacuję na kwotę... - tu padła liczba, której owce nigdy dotąd nie słyszały - zapisuję..."

Notariusz się nie spieszył. Spod na wpół przymkniętych powiek błyszczały mu chytne oczy, którymi obserwował zebranych pod lipą mieszkańców Glennkill. A ci bardzo ucichli. I nagle, w tej głębokiej ciszy, rozległ się histeryczny śmiech Kate.

- "...moim owcom, żeby mogły pojechać do Europy, tak jak to im obiecałem".

Kate śmiała się okropnym śmiechem, który spływał na owcze runo jak zimny deszcz. Ham szybko zamrugał, jakby ten sam deszcz padał i na niego.

- To jakiś żart? - spytał Grzesznik Harry. Nie - odparł notariusz. - Wszystko jest jak najbardziej zgodne z prawem. Pieniędźmi będę zarządzał ja. Oczywiście owce muszą pojechać do Europy pod nadzorem upoważnionego opiekuna, to znaczy, pasterza. Jego prawa i obowiązki są szczegółowo opisane w testamencie.

- I kto jest tym opiekunem? - spytał spięty Tom O'Malley.

- Pan Glenn go nie wyznaczył. Mam to zrobić ja, według mojego osądu i uznania.

Najlepiej już teraz. Czy ktoś z obecnych chciałby podjąć się tego zadania?

Cisza.

Notariusz kiwnął głową.

- Naturalnie musicie państwo wiedzieć, z czym się to wiąże. Wyszczególniłem tu kilka najważniejszych punktów. - Rozdał zebrany zadrukowane kartki.

Lilly zachichotała.

- Trzeba im czytać? Codziennie co najmniej przez pół godziny? Niby kto to ma robić?

- Uprawniony pasterz opiekun - odrzekł notariusz. - Kontrolować go będzie strona niezależna, czyli ja.

- Żadnej owcy nie można sprzedać ani zabić? - rzucił Eddie. - W ich hodowli

najważniejsze musi być gęste runo? Niezbyt to dochodowe.

- Nie musi być dochodowe. Na dole strony podana jest wysokość pensji opiekuna. Ilekroć któraś z owiec padnie, pensja ulegnie zmniejszeniu, chociaż w dalszym ciągu będzie dość wysoka.

- A jeśli wszystkie padną? - spytał Gabriel. - Jeśli wybuchnie jakaś epidemia?

- W tym przypadku opiekun otrzyma niewielką premię końcową, a dalsze wypłaty zostaną wstrzymane.

Gabriel zrobił krok naprzód.

- Ja się tego podejmę.

- Świetnie. Czy są jeszcze jacyś kandydaci?

Mieszkańcy Glennkill wymienili nerwowe spojrzenia. Popatrzyli na spisane na kartce warunki umowy, potem na Gabriela, jeszcze potem na notariusza. Zdawało się, że niektórzy intensywnie myślą. W ich oczach zapłonęło dziwne światło, a w powietrzu rozszedł się nagle słaby zapach potu. Byli wygłodniali. Pełni oczekiwaniami. Mimo to spoglądali na stojącego obok prawnika Gabriela i milczeli. To tak jak z przewodnikiem, pomyślały owce. Kiedy przewodnik coś postanowi, nikt nie śmie z nim dyskutować.

Chociaż nie. Jedna owca śmiała.

- Na pewno nie ma innych kandydatów? - spytał lekko rozczarowany notariusz.

- Ja też chciałabym spróbować. - Czyjś ciepły głos. Głos wprost stworzony do czytania.

- Znakomicie. - Prawnik spojrzał na Rebeke niemal z wdzięcznością. Błada, lecz promiennie uśmiechnięta stała obok Świętoszki Beth.

Owcom ulżyło. Z Gabrielem nie chciałyby jechać nawet do Europy.

- A kto zdecyduje, który kandydat wygra? - spytała Lilly. - Pan?

- Spadkobiercy naturalnie - odrzekł prawnik.

- Owce? - sapnął Ham.

- Owce - potwierdził notariusz.

- W takim razie musimy iść na łąkę - powiedział Gabriel, śmiejąc się z Rebeke niebieskimi oczami.

- Nie sędzę - odparł notariusz. - Wygląda na to, że spadkobiercy są już wśród nas. Czarny, czwororożny baran hebrydzki, górską owca czarno- główka, merynos i owce rasy Cladoir skrzyżowane z czarnogłówkami. To ostatnie takie stado w Irlandii. Stara irlandzka rasa. Szkoda, że przestano je hodować.

Ludzie zaczęli się odwracać. Początkowo patrzyli na owce tylko z zaskoczeniem. Ale zaraz potem w ich oczach pojawiła się jawna wrogość. Gabriel przyglądał się zwierzętom z krytycznie zmarszczonymi brwiami.

- Owce? Te owce? - wysapał Ham, który siedział na wózku w pierwszym rzędzie. Teraz, kiedy ludzie stanęli do niego tyłem, znalazł się nagle w ostatnim i nie widział już, co dzieje się w pierwszym. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Obydwa stada, ludzkie i owcze, mierzyły się wzrokiem. Oczy ludzi biegały po owczym runie jak wszy. Trzy barany zrobiły krok do tyłu, ale nie miały zamiaru uciekać.

- Świetnie - powiedział notariusz. - W takim razie zobaczymy.

- Ale co? - spytała szyderczo Lilly.

- Nie jestem pewien - przyznał prawnik. - Ponieważ moi nowi klienci nie umieją mówić, trzeba spróbować innego sposobu. - Spojrzał na Rebeke. - Zechce pani stanąć tutaj, a pan - spojrzał na Gabriela - może tam.

Popatrzył na owce.

- Owce George'a Glenna - zaczął, nie ukrywając, że dobrze się bawi. - Kto ma

towarzyszyć wam jako opiekun w podróży do Europy? Pan... - Zerknął na Gabriela.

- O'Rourke - odparł Gabriel przez zaciśnięte zęby.

- Czy pani...

- Flock - dokończyła za niego Rebeka.

Przez tłum przetoczył się stłumiony pomruk głosów. Nawet prawnik uniósł brwi. Kate znowu zanosła się histerycznym śmiechem.

- Pan Gabriel O'Rourke czy pani Rebeka Flock? - powtórzył notariusz. Owce bez słowa patrzyły to na niego, to na Rebece.

- Rebeeeeka! - zameczała Matylda.

- Rebeeeeka! - zawtórowali jej chórem Bystra, Cordelia i Biały Wieloryb. Ale prawnik ich nie rozumiał. Skonfundowane owce zamilkły. Jak powiedzieć mu to, czego chcą?

- Nic z tego nie będzie - rzucił ktoś półgłosem. - Trzeba oddać je Gabrielowi. On przynajmniej wie, jak się z nimi obchodzić.

Wśród wieśniaków narastała wrogość do Rebeki. Ktoś mruknął:

- Ona nie odróżnia owcy od puszki do pudru.

- Zdzira - pisnęła jakaś kobieta.

Ponad falą gniewnych szeptów popłynęła nagle prosta, lecz zniewalająca melodia. Gabriel zaczął mamrotać coś po gaelicku. Jeszcze niedawno melodia ta zauroczyłaby wszystkie owce, chociaż nawet i teraz miała niezaprzeczalny urok.

Otello zrobił krok do przodu i stado ruszyło za nim. Czarny baran zerknął na Gabriela błyszczącymi oczami. A potem spokojnie odwrócił się i potruchtał do Rebeki. Gabriel gruchał po gaelicku jak obłąkany gołąb, lecz na próżno. Jedno po drugim, wszystkie zwierzęta stłoczyły się wokół Rebeki.

Matylda ponownie zameczała:

- Rebeeeeka! Rebeeeeka! - zameczały owce.

- Znakomicie - powiedział notariusz. - Widzę, że wybór jest jednogłośnie. - Zamknął teczkę. - Owce George'a Glenna - dodał grzecznie. - Życzę wam miłej podróży po Europie.

Wróciły na łąkę po cichu, jak we śnie. Mnóstwa rzeczy nie rozumiały, ale wiedziały jedno: jechały do Europy. Czekająca na nie olbrzymia łąka pełna jabłoni.

- Jedziemy do Europy - tchnęła oszołomiona Zora.

- Z przyczepą - dodała Cordelia. - I z Rebece.

- To... - Chmurka wzięła głęboki oddech. Chciała powiedzieć: "cu downe", "niesamowite" albo po prostu "wspaniałe". Lecz nagle zabrakło jej słów. Trochę się wystraszyła.

- To tak, jakby George położył przed nami i chleb, i buraki cukrowe - skonstatował z mądrą miną Biały Wieloryb. - I dodał do tego jabłka, gruszki i koncentrat paszowy.

- I tabletki wapnia - wtrąciła Bystra. Powoli zalała je fala przeogromnej radości.

Zora wybrała tę wyjątkową chwilę, żeby pomedytować na skalnej półce, Wrzosowata zaś wolała po prostu pobrykać. "Jedziemy do Europy!" - śpiewały jagnięta, a każdy, kto pojadał obok Sir Ritchfielda, wyraźnie słyszał, jak stary przewodnik nuci pod nosem jakąś melodię. Jednakże większość owiec pasła się i cieszyła w milczeniu i tylko wnikliwy obserwator zauważyłby, jak bardzo błyszczą im oczy.

Najbardziej szczęśliwy był jednak Otello. Nareszcie będzie miał okazję wypróbować wszystkie sztuczki, jakich George nauczył go za przyczepą: jak dowodzić stadem, jak panować nad sobą w podróży, jak omijać przeszkody i wskazywać pozostałym drogę, jak robić to stanowczo, lecz ostrożnie. "Czekałem na ciebie - powiedział George, kiedy Otello po raz kolejny



zrobił wszystko tak jak trzeba. Wyprawa do Europy będzie z tobą dziecinną igraszką". A teraz jechali. Niestety bez niego, ale Rebeka też była niegorsza.

- Sprawiedliwości! - zameczał z ukontentowaniem. - Sprawiedliwości!

- Nagle umilkł. W Europie będzie na pewno cudownie, ale... - Gwałtownie podniósł głowę. - Nie wyszło! - parsknął. - Nic nie wyszło na jaw! Rozradowane owce przestały się radować. Otello miał rację. W testamencie było mnóstwo wspaniałych rzeczy, ale wciąż nie wiedziały, kto zamordował George'a.

- To nieważne - zameczała uszczęśliwiona Wrzosowata. - My jedzie my do Europy, a morderca zostanie tutaj. Już nam nie zagraża.

- Mimo to powinno wyjść - odparł dzielnie Wieloryb.

- George czytał nam na głos - przypomniała im Cordelia. - Sporządził testament, żebyśmy mogli pojechać do Europy. Szkoda, że nie jedzie. Naprawdę powinien.

- Nie możemy kłaść uszu po sobie - powiedziała Zora. - Był naszym pasterzem. Ktoś go zabił i nie może mu to ująć na sucho. Powinniśmy go złapać, i to jeszcze przed wyjazdem. Sprawiedliwości!

Owce dumnie podniosły głowę.

- Sprawiedliwości! - zameczały chórem. - Sprawiedliwości!

Panna Maple stała wśród nich z badawczymi, błyszczącymi oczami.

Pod wieczór przyszła do nich Rebeka. Córka George'a. Ich nowa pasterka. Przyszła na piechotę, z małą walizką w ręku. Jej twarz była bledsza niż pobielona ściana przyczepy. Postawiła walizkę na trawie i stanęła na schodach.

- Będę tu teraz mieszkać. Bo w wiosce na pewno nie zamierzam. Długo szarpała klamką, próbowała otworzyć okna, a nawet grzebała w zamku szpilką do włosów. Potem usiadła na schodach i podparła głowę rękami. George też tak siadywał, bez ruchu i samotnie, jak stare drzewo. Owcom wydawało się to przedziwne. Po chwili zrozumiały, że Rebeka jest smutna. Melmoth Wędrowiec zaczął nucić pod wiatr.

Rebeka podniosła głowę, jakby go usłyszała, i zagwizdała jakąś melodię. Melodia trzepotała się butnie w powietrzu jak motyl podczas pierwszego lotu.

Daleko na łące pojawiła się czarna postać. Rebeka jej nie zauważyła - Owce nerwowo zastrzygły uszami. Ale zaraz potem wiatr zmienił kierunek i powiedział im, że to tylko Świętoszka Beth; pewnie znowu polowała na dobre uczynki. Cicho jak duch podeszła bliżej. Rebeka iż gwizdała, nie odwróciła nawet głowy.

-Tak mi przykro. To barbarzyńcy! Rebeka nie przestawała gwizdać.

- Nie poradzi pani sobie z tymi drzwiami. Eddie mówi, że to dobry zamek. Nie da się otworzyć.

Rebeka wciąż gwizdała, jakby była zupełnie sama.

- Niech pani wróci. Może pani spać u mnie.

- Do wioski nie wrócę - odrzekła spokojnym głosem Rebeka. - Nigdy. Przez chwilę milczały. I nagle Rebeka spytała:

- Kim był Wesley McCarthy?

- Co? -Wyrwana z zamyślenia Świętoszka lekko drgnęła.

-Wesley McCarthy. Przejrzałam gazety. Sprzed siedmiu lat. Kiedy była pani w Afryce. Znalaziono go zamordowanego w kamieniołomach. Na policję zadzwonił anonimowy informator. Nie było żadnych podejrzanych, nikogo nie aresztowano. Sprawa natychmiast zniknęła z nagłówek.

- Wesley McCarthy! - Świętoszka ścisnęła błyszczący wisiorek na szyi. - Szczur. Tak go nazywano.

Rebeka uniosła brwi.

- Dużo się wtedy o nim mówiło. Nikt nie wie, skąd się tu wziął ani co właściwie tu robił. Ale miał pieniądze. Kupił dom i go wyremontował. Wyremontował i przez jakiś czas spokojnie mieszkał, a przynajmniej tak myśleliśmy. Miał dużo znajomych. Oczywiście później wszyscy twierdzi li, że od samego początku coś im się w nim nie podobało.

- No i?

- Dobrze zaczął - ciągnęła Świętoszka. - Przychodził do Szalonego Dzika, żeby opowiadać, jak zdobył pieniądze, a wszyscy pijacy chłonęli każde jego słowo. Zaczynał ponoć jako skromny rolnik, ale potem... - Roześmiała się szyderczo. - Ludzie wciskali mu pieniądze, żeby zainwestował je za granicą. Kilku pierwszych nawet je odzyskało. - Wzruszyła ramionami. - Reszty może się pani domyślić.

Rebeka kiwnęła głową.

- Ale to był dopiero początek - mówiła dalej Beth. - Szczur zaczął kupować ziemię, kawałek po kawałku. Stąd, od tej łąki, aż do samej wsi. Cały ten teren należał wtedy do niego. Dobrze płacił, a ludzie nie mieli wyboru, bo oskubał ich przedtem z pieniędzy. Nikt go nie pytał, co chce z tą ziemią zrobić, przynajmniej początkowo. Potem było już za późno.

- Za późno na co?

- Szczur chciał zbudować tu rzeźnię. Największą rzeźnię w Irlandii. Kiedy wyjeżdżałam do Afryki, wszyscy gorączkowo zastanawiali się, jak go powstrzymać. Ludzie organizowali komitety obywatelskie, pisali petycje. A kiedy wróciłam: cisza. Dom Szczura stał pusty i dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że go zamordowano.

- Rzeźnie są takie złe? - spytała Rebeka.

Świętoszka uśmiechnęła się smutno.

- Widziała pani rzeźnię? Ten smród! Te transporty zwierząt! Rzeźnia wszystkich by wykończyła. Koniec z turystami, koniec z pokojami do wynajęcia i z Szalonym Dzikim, a hodowcy nie mieliby zbytu na mięso. Miejscowi tacy już są. Narzekali, że McCarthy wdarł się tu siłą, ale mięso kupowali tam, gdzie najtaniej.

- A więc o to poszło - powiedziała Rebeka. - Chyba nie chcę znać szczegółów. Jeszcze nie teraz. - Popatrzyła na Beth, która stała przed przyczepą jak czarny strach na wróble. - Przyjechałam tu, bo chciałam się o nim wszystkiego dowiedzieć. A zwłaszcza tego, dlaczego zamordowano go tuż przed... - Urwała i potarła palcem grzbiet nosa, dokładnie tak samo jak George. Owce dobrze znały ten gest. - Napisał do mnie. Ale ja długo nie odpisywałam. Niech się trochę podenerwuje, myślałam. - Przełknęła ślinę. - Jestem pewna, że byśmy się pogodzili.

- Na pewno - szepnęła Beth.

- Tak pani uważa? Naprawdę?

-Tak.

- Tak mało o nim wiem. Nie wiem nawet, jak żył, co robił, kiedy wyjeżdżał z tej... z tej wsi. Pierwszy raz go podziwiam.

Zdawało się, że coś usłyszały, bo obydwie spojrzały na piękne, wieczorne niebo nad morzem. Na wszelki wypadek owce też tam spojrzały, ale nie dostrzegły niczego specjalnego.

- Co pani teraz robi? - spytała po chwili Świętoszka. Rebeka wzruszyła ramionami.

- Policzę owce. A pani?

- Będę się modliła - odrzekła Beth. - Za panią.

Ale w sumie nic takiego nie zrobiła, bo zamknęła tylko oczy i stała bez ruchu, rzucając długie, proste, cień w wieczornej poświacie. Grały świerszcze. Po kamiennym murku przeszedł

biały kot z ogonem w górze. Zaczęły śpiewać pierwsze nocne ptaki, a owce spokojnie przeżuwały miękką, wieczorną trawę. Melmoth Wędrowiec nucił coś pod nosem, dopóki na grzbiecie nie przysiadła mu sroka, która sfrunęła z wroniego drzewa.

Nie została tam długo i szybko odleciała, by przysiąść na dachu przyczepy. W dziobie miała coś, co błyszczało w zachodzącym słońcu jak ogień. To coś wypadło i z cichym brzękiem wylądowało na schodach.

Rebeka raptownie wstała. Zaskrzypiały drzwi i Świętoszka otworzyła oczy. Rebeka roześmiała się głośno, jak w przyływie dobrego humoru.

- Jejku! - zawołała. - Gdybym tylko wiedziała, że to odnosi aż taki skutek! Musi mi pani podrzucić kilka tych broszurek.

Beth zacisnęła rękę na swoim wisiorku. Zbielały jej kłykcie.

- Proszę, niech pani wejdzie - zawołała z przyczepy Rebeka.

Ale Świętoszka zrobiła krok do tyłu, gwałtownie kręcąc głową. Owce też się zdenerwowały. Bo czy teraz coś stamtąd wyjdzie? Ale z przyczepy George'a nie wyszło nic, tak jak nie wyszło z jego testamentu.

- Powinam już wracać - powiedziała Beth. - Jeśli mogę dać pani radę, to... proszę nie zapalać światła. Powiem, że pani wyjechała.

Odwróciła się szybko i, tak jak wiele razy przedtem, odeszła w kierunku wsi chuda i sztywno wyprostowana.

Rebeka zniknęła z walizką w przyczepie. Szczęknął zamek. Owce zbiły się w gromadę. Co dwie głowy, to niejedna.

- Poszła spać? - spytała Cordelia.

- Pachniała zmęczeniem - odparła Matylda.

- Nie może iść spać - rzuciła butnie Wrzosowata. - Tak jest napisane w testamencie. Musi nam poczytać. Zła z niej pasterka.

- Poczytaj! - zameczały owce. - Poczytaj!

Kiedy się uciszyły, podszedł do nich Wędrowiec, jak zwykle kosmaty i tajemniczy.

- Bzdura - powiedział. - Czy wy nic nie rozumiecie? Opowieść jest tutaj. Opowieść to my. Dziecko musi mieć klucz.

- Ale ona ma już klucz - zauważyła Wrzosowata.

Wędrowiec pokręcił głową.

- Jagnię George'a musi mieć wszystkie.

- Ten do pudełka pod dolmenem też? - spytała Chmurka.

- Tak, ten do pudełka też - odrzekł Wędrowiec. - Kto go ma?

- Ja - powiedziała z dumą Zora.

- Aaaa, owca znad otchłani... - W głosie Wędrowca zabrzmiała nutka szacunku.

- A któż by inny?

Nikt jej nie odpowiedział. Wędrowiec kiwnął głową.

- Uniesiony w powietrze z psotną radością, wspaniale ukryty do chwili nadejścia ludzkiego kota. Musimy się pośpieszyć.

- Chcesz go jej oddać? - spytała z oburzeniem Zora.

- Tak. Tak jak oddalibyśmy go pasterzowi.

- Nigdy tego tak nie robiłam - zaprotestowała Zora. - George zawsze czekał na skraju przepaści.

- Bo George wiedział. Rebeka jest jagnięciem. Dlatego nic nie wie. Trzeba wskazać jej

drogę do mleka.

Zora zrobiła nadąsaną minę.

Jakiś czas potem Rebeka wyszła z przyczepy. Na dworze płakało jagnię i płacz ten ją poruszył. Schodząc ze schodów, zobaczyła na stopniu coś błyszczącego. Błyszczącego nie jak ogień - słońce było już za nisko - ale jak rozlana krew. Nachyliła się. Kluczyk na sznurku. Wzruszyła ramionami i schowała go do kieszeni. W dzień taki jak ten nie zamierzała się niczemu dziwić.

Jagnię wciąż płakało. Kierując się dźwiękiem, Rebeka doszła do dolmenu.

Pod dolmenem znalazła ukryte pudełko. Owce obserwowały ją wyczekująco. Otello zeszkrobał z pudełka ziemię, żeby od razu je zobaczyła. Rebeka roześmiała się, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła je. Gdy uklękła i wyjęła z pudełka małą paczuszkę, z jej karku rozszedł się miły zapach.

Przegryzła sznureczek zębami. Zatrzeszczał plastik. Coś suchego rozkruszyło się jej w palcach.

Powąchała to. Owce też. Pachniało... dziwnie. Apetycznie. Biały Wieloryb od razu wyczuł, że można to zjeść.

- Trawka! - wykrzyknęła Rebeka. - Magazyn trawy!

Owce wymieniły spojrzenia. A więc to była ta tajemnicza trawa, za którą ludzie tak się uganiali. Ilekroć George pędził je na to drugie pastwisko, każda z nich niosła taki pakunek pod brzuchem, głęboko w runie. "Znowu tam idziemy - mówił. Operacja Polifem". Gdyby tylko wiedziały, że te przewiązane sznurkiem, niczym nie pachnące paczuszki zawierały trawę...

Teraz wszystko zależało od Rebeki. Da im trochę? Chyba jednak nie. Chwyciła połę spódnicy, zrobiła z niej torbę i zaczęła wrzucać do niej wszystko to, co znalazła pod dolmenem. Wieczne światło ujrzało mnóstwo, ale to mnóstwo małych pakiecików oraz mnóstwo pakietów większych, takich kwadratowych. I plik papierów.

Rebeka ostrożnie przeniosła te rzeczy do przyczepy w pękatej, po brzegi wyładowanej spódnicy. Na jakiś czas zniknęła im z oczu. Gdy ponownie pojawiła się na schodach, tuż przed jej ustami jarzył się mały ognek.

Nad łąką rozszedł się ciężki, słodkawy zapach. Owcom zachciało się spać. Tymczasem ona zrobiła się nagle bardzo gadatliwa.

- A więc mam czytać wam na głos... - powiedziała. - Poczytam wam tak, jak nikt nigdy wam dotąd nie czytał. Już wiem co. Zobaczymy, czy się wam spodoba.

Chwiejnym krokiem weszła do przyczepy i wróciła z książką w rękę. Otworzyła ją mniej więcej w połowie. Owce wiedziały, że książkę należy otwierać na samym początku i w miarę czytania powoli przekładać kartki z jednej strony na drugą. Kilka z nich zaprotestowało głośnym meceniem, ale większość była zbyt znużona, żeby zawracać sobie głowę małym odstępstwem od reguły. Najważniejsze, że znowu ktoś im czytał. Przecież nie mogły oczekiwać, że ich młoda pasterka od razu wszystko zrozumie.

Rebeka zaczęła czytać.

- "Katarzyna Earnshaw, obyś nie zaznała spoczynku tak długo, jak ja żyję! Powiedziałaś, że cię zabiłem, stań się więc nawiedzającym mnie upiorem. Duchy zamordowanych prześladują po śmierci zabójców. Ja wierzę, ja wiem, że upiory chodzą po ziemi. Pozostań przy mnie na zawsze, przybierz, jaką chcesz, postać - doprowadź mnie do obłędu, tylko nie zostawiaj mnie samego w tej otchłani, gdzie nie mogę cię znaleźć! O, Boże! To się nie da wypowiedzieć! Nie mogę żyć bez mego życia! Nie mogę żyć bez mojej duszy!"

Księżyc zniknął za ciemną chmurą i kartki oświetlał teraz tylko blask małego światełka w ustach Rebeki. Zafascynowane owce stały wokół przyczepy. W tym żarzącym się świetle ich pasterka wyglądała dokładnie tak, jak zawsze wyobrażały sobie syjamskiego pirata z Pameli i żółtego korsarza, takiego o smutnych, zmrużonych oczach.

Zamknęła książkę.

- To za smutne - powiedziała. - Coś smutnego mogę opowiedzieć wam i bez książki. - Przez chwilę milczała, wydmuchując słodki dym. A potem zaczęła mówić tym swoim głosem stworzonym do czytania, chociaż tym razem nic nie czytała, tylko opowiadała.

- Była kiedyś mała dziewczynka, która zamiast jednego miała dwóch tatusiów. Sekretnego i... niesekretnego. Z tym sekretnym zabroniono jej się widywać, ale oni widywali się mimo to i bardzo się lubili. Mamie małej dziewczynki, pięknej królowej, bardzo się to nie podobało, ale nic nie mogła na to poradzić. Nikt nie mógł nic na to poradzić. Ale pewnego dnia mała dziewczynka i jej sekretny tatuś pokłócili się o jakieś głupstwo i dziewczynka zrobiła wszystko, żeby go rozgniewać, chociaż bardzo ją to bolało. Potem przez bardzo długi czas nie odzywali się do siebie ani jednym słowem. Wreszcie do dziewczynki przyszedł list. W liście tym było napisane, że jej sekretny tatuś zamierza wyjechać do Europy. Ale najpierw chciał zobaczyć się ze swoją córeczką. Skrywając radość, dziewczynka kazała mu czekać. Aż zaczęła go na śmierć.

Opowieść nie była zła, chociaż na pewno nie tak dobra jak ta, którą Rebeka zaczęła im czytać. Ale owcom było wszystko jedno. Poczuli się nagle tak bardzo zmęczone, że ledwo mogły słuchać. Wszystkie oprócz jednej.

Biały Wieloryb nie miał czasu na zmęczenie. Odkąd pasterka znalazła trawę pod dolmenem, obsesyjnie chciał jej skosztować. Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Rebeka siedziała po ciemku i z przymkniętymi oczami nuciła coś pod nosem. Obok niej leżała paczuska, zapomniana i otwarta. W okamgnieniu Wieloryb znalazł się tuż przy niej i wetknął do środka pyszczek. W okamgnieniu połknął całą jej zawartość. I zanim Rebeka się spostrzegła, zlizywał już okruszki ze stopni schodów.

Pasterka wybuchła śmiechem.

- Ćpun - powiedziała. Wieloryb przeżuwał trawę miotany wyrzutami sumienia. Ale trawa jako taka bardzo go rozczarowała. Pachniała o wiele lepiej, niż smakowała. Nie umywała się do tej na pasionku ani nawet do siana. Ludzie mieli kiepskie poczucie smaku. Spuścił nos i po raz kolejny postanowił, że już nigdy nie spróbuje niczego, czego nie zna.

Mały, rozżarzony robaczek przed ustami Rebeki w końcu zgąsł.

- Pora spać. - Dygnęła przed nimi i zniknęła w przyczepie. Tym razem nie usłyszały szczęku zamka.

Czysty, nocny wiatr rozwiał dym i znowu odechciało im się spać.

- Jest grzeczna - pochwaliła Reбекę Chmurka.

Owce pokiwały głową, wszystkie oprócz Wieloryba, który zasnął, stojąc na środku pastwiska.

Pozostali nie chcieli jeszcze spać. Przez cały dzień byli tak podekscytowani, że nie mieli czasu najedzenia. Dlatego postanowili zostać na łące trochę dłużej, wypełniając dzienną normę jedzeniową i dotrzymując towarzystwa Wielorybowi, który spał jak suseł i za nic nie chciał się obudzić.

Zapadła noc, mrugały gwiazdy, w oddali ze wszystkich sił huczała sowa. Skrzeczała samotna ropucha. A dwa koty bawiły się w kocią miłość.

Wtem doszedł je cichy pomruk potężnego silnika. Pomruk narastał, był coraz głośniejszy. Bystra podniosła głowę. Przed bramą na końcu ścieżki przez łąkę zatrzymał się samochód.

Samochód bez świateł. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna. Wysiadł i ruszył przez pastwisko w kierunku przyczepy. Tuż przed przyczepą przystanął i pociągnął nosem, jakby coś zwęszył. Potem wszedł na schody i zapukał do drzwi. Raz, potem dwa razy i znowu raz.

## 19. Panna Maple i spotkanie kochanków

W przyczepie nic się nie poruszyło. Mężczyzna nacisnął klamkę i bezszelestnie otworzył skrzypiące drzwi George'a. I równie bezszelestnie je za sobą zamknął.

Zaraz potem za oknami przyczepy zamigotało blade światło.

- Wyczułeś to? - spytała Matylda i zadrżała. - Metal. Ma pistolet, tak jak George.

- Ale nie ma tarczy - zauważył Ramzes. - Bez tarczy mężczyzna sobie nie postrzela.

- Może szuka tarczy George'a - myślała na głos Bystra. - Może chce ją zabrać.

Zaniepokojony Otello spojrzał na przyczepę.

- Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje.

Podeszli bliżej. Panna Maple i Otello zaczęli paść się pod otwartym oknem.

- Niby dlaczego mam to pani mówić? - spytał mężczyzna tak cicho i spokojnie, że prawie bez intonacji. Miał bardzo rzadko spotykany głos.

Rebeka nie odpowiedziała, ale owce słyszały jej oddech, szybki i nieregularny. Rozległ się przytłumiony stukot. Na podłogę spadło coś ciężkiego.

- A więc znalazła to pani - powiedział mężczyzna. - Moje gratulacje. - I po chwili dodał: - Gdzie?

Rebeka roześmiała się cicho.

- Nie uwierzy pan.

- Uwierzę. George był jednym z najlepszych. Był naszym dystrybutorem, specjalistą od Irlandii i Irlandii Północnej. Mnóstwo pomysłów i ani jednej wpadki.

Rebeka znowu się roześmiała, tym razem głośniejsze i bardziej gardłowo, jakby się zakrztusiła.

- I to wszystko tylko za trawkę? - spytała bezbarwnym, chrapliwym głosem zupełnie niepodobnym do tego, jakim im czytała.

Zdenerwowany Otello zerknął na okno.

- Głównie za trawkę. Czasem przerzucał papierosy. Czasem coś innego. Zależnie od zapotrzebowania.

- Mówi mi pan to, bo teraz nie ma to już żadnego znaczenia, tak?

- Boję się, że tak. Znalazła pani dokumenty. Wie pani, co można zrobić z zawartymi w nich informacjami? Byłby to ciężki cios dla naszej firmy.

- Ale ja nic z nimi nie zrobię - odparła Rebeka.

- Wierzę.

Rebeka nie odpowiedziała.

- Wierzę - powtórzył po chwili mężczyzna - ale to niestety za mało. - I z wahaniem dodał: - Przykro mi.

- Mógłby pan zgasić tę latarkę? Oślepia mnie.

- Nie, nie mogę.

Mimo to blade światło zgasło. Panna Maple czujnie pociągnęła nosem. W przyczepie szalała dziwna burza: intensywna, gwałtowna i przytłaczająca. Burza, która rozpedziłaby wszystkie białe baranki na niebie.

- Nie sądzi pan, że to trochę nieprofesjonalne? - spytała Rebeka. - Dostałam dobrą pracę jako pasterka. Pracę wysoko płatną. Muszę tylko zabrać owce w podróż po Europie. Nie mam nic do waszych interesów, nie mam nic do pana. Kłopoty to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba. Nic nie powiem. Nigdy. Nikomu.

- Nieprofesjonalnie byłoby ryzykować - odrzekł mężczyzna.

- Kolejny trup na środku łąki też byłby czymś nieprofesjonalnym.

- Niekoniecznie. Znamy tutejszego inspektora policji. Jest bardzo niekompetentny. I bardzo chętny do współpracy. Co pani myśli o tym: nieślubna córka o wątpliwej przeszłości włamuje się nocą do przyczepy, znajduje pistolet, bawi się nim i przypadkowo się postrzela? Albo strzela do siebie ze smutku po śmierci ukochanego ojca. Ludzie robią takie rzeczy. Z poczucia winy...

- W koszuli nocnej? - przerwała mu Rebeka.

- Słucham?

- Może pan na to nie wpadł, ale koszula nocna nie jest najlepszym strojem dla nocnego włamywacza.

- Hm.

- Co więcej, to nie jest pistolet George'a. Jeśli pańska wersja ma trzy mać się kupy, musi pan mieć ten.

Zaskoczony mężczyzna głośno wciągnął powietrze.

- Ostrożnie. Proszę to natychmiast odłożyć. To nie jest pistolet dla damy.

- Nie jestem damą - szepnęła Rebeka. - A teraz precz stąd.

Coś uderzyło z trzaskiem w ścianę przyczepy. Rebeka cicho krzyknęła. Mężczyzna zaklął.

A potem zrobiło się cicho. Bardzo cicho.

- Cholera - powiedziała w końcu Rebeka.

- Proszę się nie przejmować. Warto było.

Czyjaś stopa zaczęła rytmicznie postukiwać w podłogę.

- Naprawdę by mnie pani zastrzeliła? Ot, tak? - spytał mężczyzna z nutką respektu w głosie.

- Czemu nie? To, co zrobiliście George'owi...

- Nie mamy z tym nic wspólnego. Może mi pani wierzyć. To na pewno nie my. Na sto procent. Jego śmierć to wielka strata dla firmy.

Rebeka powoli wypuściła powietrze.

- Wie pan, kto go zabił?

- Nie. Ale na pewno nikt od nas. To było teatralne, niemal rytualne morderstwo. My tak nie pracujemy. Jeśli już musimy kogoś zastraszyć, robimy to zupełnie inaczej.

- Inaczej?

- Inaczej.

Cisza. Stopa zaczęła postukiwać trochę szybciej.

- Mogę coś dla pani zrobić? - spytał mężczyzna. - Ma pani ostatnie życzenie?

- Ostatnie życzenie?

- Tak. Wszystko jedno jakie. Szklanka wody? Papieros? Rebeka roześmiała się sztucznie.

- Gdzie pan tu znajdzie szklankę wody? Nigdy dotąd pan tego nie robił, prawda?

- Nie. Tak. To nie pani sprawa.

Rebeka westchnęła. Otello poczuł to westchnienie czubkami wszystkich czterech rogów. Podszedł do niego Wieloryb. Obydwaj wbili wzrok w uchylone okno.

- Cholera - powiedziała Rebeka. - Dlaczego teraz? Akurat teraz. Co mam zrobić, żeby

przekonać pana, że wam nie zagrażam!

- Podsuwa mi pani nowe pomysły - odparł powoli mężczyzna. - Kuszące, ale nie jestem aż takim amatorem.

- Słucham? - prychnęła gniewnie Rebeka. - Myśli pan, że chodzi mi o... o to? Nie ma mowy. Czego pan właściwie chce? Włamuje się pan tu i myśli, że zrobię wszystko tylko dlatego, że ma pan pistolet?

- Nie. To był pani pomysł, nie mój. Mnie nie przyszło to nawet do głowy.

- Rozumiem. Naprawdę?

- Jeśli sądzi pani, że mógłbym... - Mężczyzna też wpadł w gniew.

Znowu zapadła cisza. Tym razem trwała dłużej niż poprzednio.

Nagle obydwójce się roześmiali. Jednocześnie.

I znowu zapadła cisza.

- Dobrze - powiedziała w końcu Rebeka. - W takim razie musimy zabić jakoś czas. Niech pan usiądzie.

- Hm... - odrzekł mężczyzna.

- Mogę coś panu powiedzieć. Jak *Szeherezada z Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

- Nie zamierzałem zostać aż tak długo. Ale z drugiej strony...

Z okna przyczepy buchnęła cisza gęsta i ciężka jak gorący oddech.

Owce wymieniły znaczące spojrzenia. Może jednak będzie ciekawie.

Jakby na umówiony znak, Matylda i Wrzosowata zaczęły głośno meczeć.

- Opowiedz! - meczaly. - Opowiedz!

Minęło trochę czasu, zanim panna Maple zdołała nad nimi zapanować.

- Nawet jeśli coś tam sobie opowiadają - powiedziała - jak chcecie to usłyszeć w takim wrzasku?

Ale żadnej opowieści w końcu nie usłyszały. W przyczepie nie padło już ani jedno słowo. Nie były zaskoczone. Znały tę sytuację z książek o Pamelach. Kiedy tajemniczy nieznajomy - nie miały cienia wątpliwości, że mężczyzna z przyczepy był takim nieznajomym - zostawał sam na sam z kobietą, opowieść się zawsze urywała. Bohaterowie milkli, zapadała cisza i był koniec rozdziału. Nie wiadomo, co się wtedy działo. A przecież musiało się coś dziać. Ludzie tak po prostu nie znikali. Pojawiali się zwykle już w następnym rozdziale, cali i zdrowi. Mimo to w tego rodzaju opowieściach zawsze były dziwne przerwy.

Dlatego zrobiły to, co robiły, ilekroć George dochodził do takiego miejsca: zaczęły się cierpliwie paść, czekając na ciąg dalszy. Tylko panna Maple raz podniosła głowę, żeby trochę powietrzyć i sprawdzić - ot tak, na wszelki wypadek - jaka atmosfera panuje w przyczepie. Atmosfera była burzliwa, lecz czysta. Jak wtedy, kiedy na liście pada pachnący deszcz. Uspokojona panna Maple zanurzyła pyszczyk w trawie.

Dużo, dużo później, kiedy nawet ją znudziło już obserwowanie przyczepy, powoli otworzyły się drzwi. Mężczyzna wyszedł i popatrzył na świecący księżyc.

- Piękna noc - powiedział.

Na schodach stanęła Rebeka. Była w czerwonej sukience i znowu zrobiła z niej torbę. Zsunęło się jej ramiączko, odsłaniając złotawo-niebieskie ramię. Nuciała jakąś melodię. Popatrzyli na siebie i przestała.

- Wypaliłam jednego skręta - rzuciła przeproszająco.

Mężczyzna lekceważąco machnął ręką.

Rebeka zachichotała.



- I brakuje jednej paczki. Owca go zjadła. Ta gruba.  
- To chyba baran - odrzekł mężczyzna. - Kosztowne zwierzę. Ale jakoś to przeżyjemy.  
Zaczął wyjmować z sukienki paczuszkę po paczuszcze i chować je do kieszeni płaszcza.  
Przez cały czas liczył.

- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Minus jedna dla barana. W porządku. Papiery też są. Tak, wszystko się zgadza. A to co?

Trzymał w ręku prostokątną paczkę.

- Chyba kasetka wideo - odrzekła Rebeka. - Nie wasza?

- Nie słyszałem, żeby ktoś o wspominał o jakiejś kasecie. - Mężczyzna wepchnął ją do kieszeni.

Ostrożnie ujął rękę Rebeki, powoli podniósł ją do góry, jakby była ciężka i krucha, i w milczeniu ucałował czubki palców. Potem odwrócił się i bez słowa pożegnania wrócił do samochodu. Warkot silnika ucichł w oddali.

Owce odetchnęły dopiero wtedy, gdy ucichł zupełnie. W obecności spokojnego mężczyzny czuły się nieswojo. Ale teraz znowu wszystko było w porządku. Lepszym niż kiedykolwiek dotąd. W przyczepie siedziała córka George'a, Gabriel i jego żarłoczne owce zniknęły, czekała na nich Europa.

Niestety, stan pełnej szczęśliwości nie trwał długo. Była to jedna z tych nocy, kiedy na łące roilo się od intruzów. Tym razem zza przyczepy wychynęła niska, krępa postać. Wychynęła i niezdarnie, tudzież hałaśliwie, podeszła do schodów.

W drzwiach stanęła nagle Rebeka z pistoletem George'a w ręku.

Lilly wydała krótki, piskliwy okrzyk.

- Co jest? - spytała Rebeka. - Co pani tu robi?

- Chciałam tylko... Myślałam, że... - Lilly jak zahipnotyzowana gapiała się na pistolet. -  
Chciałam pomyśleć trochę o George'u.

Rebeka pokręciła głową.

- Nie sędzę. Chciała pani tu wejść. - Lufa pistoletu wskazała drzwi i ponownie wycelowała w Lilly. - Chcę wiedzieć po co. A potem chciałabym się wreszcie wyspać.

Lilly walczyła ze strachem. W końcu mu uległa.

- Przyszłam po kwit - wyznała. - Żeby już nic na mnie nie mieli. Tylko po ten kwit, naprawdę!

Umilkła, ale kiedy tylko Rebeka zachęciła ją ruchem pistoletu, ponownie zaczęła mówić.

- Pracuję w gospodzie Pod Samotnym Sercem. Dorywczo, od czasu do czasu. Kiedy... -  
Znowu urwała.

Poirytowana Rebeka przyglądała się jej przez chwilę i nagle kiwnęła głową.

- No, dobrze. Więc co z tą gospodą?

- Goście nie przychodzą tam tylko po to, żeby... No wie pani. - Lilly zaczęła nerwowo bawić się końcami włosów. Była zakłopotana. - Czasami lubią sobie zapalić. A ja znałam George'a. Był dobrym dostawcą i zawsze u niego kupowałam. Tylko, że kierowniczką jest... jest bardzo podejrzliwa. I chciwa. Zawsze chce pokwitowania. Na moje nazwisko. A tamtej potwornej nocy zupełnie o tym zapomniałam. A potem George'a zamordowano. Jeśli znajdą ten kwit, będą mieli mnie w garści. Wszyscy tylko na to czekają.

Lufa pistoletu opadła i Lilly trochę się uspokoiła.

- Była tu pani, kiedy go zamordowano? - Rebeka zagwizdała przez zęby. Dokładnie tak samo jak George, kiedy uderzyła go niezwykła myśl. - Jeśli się o tym dowiedzą i nie przestanie

się pani tu kręcić, będą mieli na panią coś więcej niż głupi kwit na trochę trawki.

Lilly zrobiła zrozpaczoną minę.

- Ham też tak mówi. Mówi, że mnie wrobia, jeśli nie będę uważała. Ale ja muszę mieć ten kwit.

- Ham? Rackham? Ten rzeźnik?

- Tak. Pewnie widział mnie, kiedy wracałam od George'a. Ale mówi żebym się nie martwiła. Że dobrze wie, że nie mam z tym nic wspólnego. Ma na to dowody. Chociaż tak naprawdę to mnie nienawidzi. Przez Kate.

- Nikt inny pani nie widział? Tylko on? A potem miał ten wypadek i spadł ze skały. A pani martwi się o jakiś kwit. Ma pani żelazne nerwy.

- Kiedy ja muszę go mieć! - powtórzyła z uporem Lilly.

- Dam go pani, pod warunkiem że powie mi pani, co między wami zaszło. Między panią i George'em. Wtedy, tamtej nocy.

Lilly spojrzała na nią z oburzeniem.

- Nic nie zaszło! Zupełnie nie! Wszyscy myślą, że zaszło, bo wygadują o mnie, co chcą. Ale George był dobry. Zawsze można było z nim pogadać jak z porządnym człowiekiem. Tamtej nocy kupiłam trawkę i trochę porozmawialiśmy. To wszystko. To wszystko!

Rebeka ciężko westchnęła.

- Porozmawialiście o czym? Lilly zmarszczyła czoło.

- O pogodzie. Że od kilku tygodni jest piękna pogoda. "W sam raz na pożegnanie", powiedział. Był w dobrym humorze, naprawdę w dobrym. Jak nigdy przedtem. Powiedział, że będę musiała kupować towar gdzie indziej. Dał mi numer telefonu. I nagle... prawie się rozplakał.

Po minie Lilly owce poznały, że przysłała jej do głowy nowa, zupełnie nieproszona myśl.

- O cholera! I jeszcze ten numer. Zupełnie o nim zapomniałam.

- Numer też pani dam - powiedziała Rebeka.

- Naprawdę?

- Czy George powiedział, co zamierza robić wieczorem? Lilly znowu zmarszczyła czoło.

- Miał pójść na piwo do Szalonego Dzika. Zaskoczyło mnie to, bo ni gdy tam nie chodził.

Nigdy! Powiedział, że chce po raz ostatni popatrzeć na ludzi. A potem się z kimś pożegnać.

- Z kim?

- Nie wiem. Nie powiedział. Roześmiał się tylko i mruknął, że to stara historia. Dobrze. - Rebeka zniknęła w przyczepie i wróciła z kawałkiem papieru.

- "Kwituję odbiór 300 euro od Lilly Thompson; zapłata za owczą wełnę". I numer telefonu.

Uszczęśliwiona Lilly wetknęła papier za dekollet i spojrzała na nią z wdzięcznością.

- A teraz precz stąd - rzuciła Rebeka. - I jeśli spotka pani kogoś po drodze, niech mu pani powie, żeby od razu zawrócił. Bez wahania zastrzeżę każdego, kto mnie obudzi.

Roztrzęsiona Lilly kiwnęła głową i potruchtała w kierunku bramy. Kiedy była w połowie drogi przez pasionek, owce znowu usłyszały jej krótki, piskliwy krzyk. Wdepnęła w kupkę owczych bobków.

Uznały, że najlepiej będzie wrócić do stodoły. Bo czy to wiadomo, co mogło obudzić Rebeke?

- A Wieloryb? - zapytała Zora. - Nie możemy zostawić go tu samego.

Biały Wieloryb wciąż spał i nie dawał się obudzić, ale szybko odkryły, że umie chodzić przez sen. Bo rzeczywiście umiał, ale szedł tylko wtedy, kiedy Otello i Sir Ritchfield pchali go

rogami i kiedy reszta stada szła tuż przed nim, mecząc: "Zarcie!"

Przed snem znowu pomyślały trochę o Europie.

- Będzie cudownie - powiedziała Matylda. - Wszędzie jabłonie, a na ziemi mysie ziele.

- Bzdura - przerwała jej Zora. - Europa leży na skraju przepaści, a wszyscy wiedzą, że mysie ziele tam nie rośnie.

- Jak duża jest Europa? - spytała rozmarzona Chmurka.

- Och, bardzo duża - odrzekła z przekonaniem Bystra. - Żeby przebiec ją od początku do końca, trzeba by galopować przez cały dzień i całą noc.

- I wszędzie rosną tam jabłonie? - spytała zadziwiona Maisie. - Wszędzie - potwierdziła Chmurka. - Ale takie z prawdziwymi jabłkami, czerwonymi, żółtymi i słodkimi, a nie z takimi jak nasze.

Ogarnął je nastrój radosnego wyczekiwania. Niecierpliwym meczeniem domagały się jak najszybszego wyjazdu.

Całą zabawę zepsuł im Otello.

- To nie takie proste - prychnął. - Nawet w Europie. Nigdzie tak nie ma. W Europie jest dziwnie i niebezpiecznie. Będziemy musieli na wszystko uważać, tak jak wszędzie, na całym świecie. Może nawet bardziej.

Sir Ritchfield się z nim zgodził.

- Nie ma takiego miejsca, gdzie rosłyby same jabłonie. Zawsze znajdzie się między nimi kolcolist i szczaw, oset i rzygulec. Wszędzie wieje zimny wiatr, wszędzie są ostre kamienie.

Sir Ritchfield przybrał oficjalną minę i popatrzył na nie surowym wzrokiem przewodnika. Owce pospuszczały głowy. Ich najbardziej doświadczone barany miały pewnie rację. Nie ma jabłek bez kwaśnego szczawiu. Wszędzie czai się jakieś niebezpieczeństwo.

Na widok ich rozczarowanych min Sir Ritchfield uznał, że jako przewodnik stada ma obowiązek je pocieszyć.

- Mimo to - dodał - podróż po Europie na pewno będzie piękna. Może nie tak piękna jak sen o soczystozielonej łące, ale piękna jak... jak... - Nie przychodziło mu do głowy żadne porównanie.

- Jak uczucie w trakcie i po strzyżeniu? - podpowiedziała Cordelia. - Wszędzie cię swędzi, szczypie i skubie, ale potem jest lekko, chłodno i przyjemnie?

Sir Ritchfield podziękował jej spojrzeniem.

- Właśnie. Jak uczucie w trakcie i po strzyżeniu.

Jedna po drugiej, owce zasnęły, snując mile, chłodne myśli o letnim strzyżeniu. Biały Wieloryb robił coś dla siebie nowego i wyjątkowego: głośno chrapał i parskał przez sen.

Chrapanie i parskanie stawało się powoli coraz bardziej rytmiczne i melodyjne. Od czasu do czasu przerywał je cichy trzask. Panna Maple z trudem otworzyła oczy. Przez otwory w dachu do stodoły wpadało szarawe światło. Musiał być wczesny ranek. Chrapanie zmieniło się nagle w turkotanie i klekotanie. W powietrze tryskały fontanny kamyków. To dziwne, ale dobrze te odgłosy znała. Słyszała je co rano, niemal przez całe życie, kiedy samochód George'a zjeżdżał z drogi na ścieżkę przez pole.

Podeszła do drzwi i zobaczyła, że George siedzi już na schodach przyczepy.

Zaciekawiona podbiegła bliżej. Zobaczył ją i z uśmiechem podniósł głowę.

- Do roboty, leniuchu! - zawołał.

Panna Maple posłusznie zanurzyła pyszczek w trawie. Teraz, kiedy George tak nieoczekiwanie do nich wrócił, z radością słuchała jego rozkazów. Ale on nie był z niej zadowolony.

- Do roboty - powtórzył. Tym razem zabrzmiało to poważniej. Panna Maple zrozumiała,

że nie chodzi mu o to, żeby się pasła, tylko o coś innego. Zagubiona zastrzygła uszami.

George zdał sobie sprawę, że nic z tego nie będzie, i przeciągle zagwizdał. Gwizd znaczył: "Zagoń stado", ale zamiast Tess, zza rogu przyczepy wyskoczył nagle szpadel. Jak na szpadel, był bardzo dobrym psem. Podbiegł do niej i wetknął nos w trawę. Dwa gwoździe, którymi przybito ostrze do styliska, zmieniły się raptem w oczy, w żywe, czujne ślepia. Panna Maple nerwowo zameczała. Ale szpadel się nie cofnął. Krok po kroku podszedł jeszcze bliżej z gwoździanymi oczami ciągle zwróconymi w jej stronę.

Podszedł bliżej i zaczął wietrzyć, wietrzyć w straszny, beznosy sposób, a jego chudy, drewniany grzbiet wygiął się w pałąk jak do skoku. Pannę Maple ogarnął strach. Popatrzyła na George'a, szukając u niego pomocy, ale on był zimny jak przemarznięta ziemia.

- Dlaczego ty nie żyjesz, George? - spytała. Słowa te poniosły się echem po całej łące, dźwięczne i donośne jak słowa wypowiedziane w języku ludzi. George na pewno je zrozumie, pomyślała. To cudowne, że ktoś rozumiał ją jak drugiego człowieka.

- Nie mogę żyć bez duszy - odparł George.

Nie była to odpowiedź zadowolająca, lecz panna Maple czuła, że innej jej nie udzieli. Mówiąc, zmienił się, chociaż nie bardzo wiedziała jak. Nie wiedziała, za to czuła. Gdy jego usta opuściło ostatnie słowo, sunąc w powietrzu jak leniwa fala, na schodach przyczepy pozostała jedynie pusta skorupa.

W tym samym momencie szpadel podskoczył, jednym płynnym ruchem wygiął się w idealny łuk i metalowym nosem wycelował prosto w pannę Maple...

Nagle się obudziła.

- Już wiem! - zameczała do Chmurki, która tuliła się do niej przez sen.

- Ale co? - spytała rozespana Chmurka.

- Wszystko! Wiem wszystko o morderstwie George'a!

## 20. Co wie Maisie

Jakiś czas później wszystkie owce oprócz Białego Wieloryba znowu I były na nogach, wciąż rozespane, lecz w dobrym humorze. Panna Maple była najmądrzejszą owcą w całym Glennkill. A teraz okazało się, że wie absolutnie wszystko! Wystarczyłoby im samo nazwisko mordercy, ale wyglądało na to, że panna Maple nie wie, od czego zacząć.

- Nigdy bym na to nie wpadła, gdyby nie ta książka. - W końcu jednak zaczęła. - Jak to dobrze, że w testamencie George kazał Rebecce nam czytać.

Owce za nic nie mogły się w tym połapać. Coraz bardziej się martwiły: panna Maple musiała być bardzo zdenerwowana.

- Przecież będzie, i to jeszcze nieraz - pocieszyła ją Cordelia. - Musi. Tak jest tam napisane.

- Ale my już wszystko wiemy - odparła panna Maple. - Rebeka wybrała odpowiedni kawałek. Pamiętajcie, co czytała? Ale tak dokładnie.

W poszukiwaniu pomocy owce popatrzyły na Białego Wieloryba, ale Wieloryb wciąż spał, jak zabity. Kiedy Zora uszczypnęła go mocno w zad, nawet nie poruszył uszami.

Panna Maple cierpliwie czekała, lecz próby obudzenia Wieloryba skończyły się jedynie pełnym frustracji meczeniem.

- Pomyślcie - rzuciła. - Przypomnijcie sobie.  
Owce posłusznie pomyślały.

- Było tam coś o zaznawaniu spoczynku - przypomniała sobie Matyllda. - Przeczytała to na głos.

- I coś o otchłani - dodała Zora.

- I o tym, że duchy zamordowanych prześladują po śmierci zabójców. - Cordelia aż się wzdrygnęła.

- Właśnie - powiedziała panna Maple. - To jest jak trop w trawie, rozumiecie?  
Zastanawialiśmy się, skąd ten szpadel, skoro George już nie żył. Po co szpadel?

Odczekała chwilę, żeby stado trochę o tym pomyślało, i straciwszy cierpliwość, odpowiedziała sama:

- Morderca bał się, że zamordowany będzie nawiedzał go po śmierci, że będzie go straszył. Szpadel miał temu zapobiec. Jak George miał straszyć mordercę, skoro był przybity szpadłem do pastwiska? Morderca na pewno tak sobie pomyślał. Ale... - Dla większego efektu zawiesiła głos. - Ale się pomylił.

Robiło się coraz bardziej podniecająco. Owce stłoczyły się jeszcze bardziej.

- Pomylił się dlatego, że ofiara może straszyć mordercę pod jakąkolwiek postacią. Tak jest napisane w tej książce. George nie potrzebował już swojej i mógł przybrać dowolną. A wszyscy wiemy, kogo lubił.

- Nas - odrzekła z dumą Wrzosowata. - Bardziej niż ludzi.

- Otóż to - zgodziła się z nią panna Maple. - A to znaczy, że straszy mordercę pod postacią owcy. Dlatego musimy ustalić, kto boi się owiec.

To było łatwe.

- Bóg! - zameczały chórem Bystra, Cordelia i Chmurka.

- Właśnie - przyznała im rację panna Maple.

- Ale - wtrąciła nieśmiało Zora - czy Bóg nie przestraszył się przypadkiem Otella?  
Panna Maple kiwnęła głową.

- Tak, raz. Na cmentarzu. Ale Bóg wspominał też o szarym baranie. Wyobraźcie sobie George'a pod postacią owcy: z powodzeniem mógłby wyglądać jak szary baran.

- Bardzo bym chciała go takim zobaczyć - szepnęła Cordelia.

Panna Maple pokręciła głową.

- Chyba nie zobaczysz. Prawdopodobnie widzi go takim tylko morderca.

Owce ciężko westchnęły. Tak chętnie powitałyby George'a w stadzie.

- Ale dlaczego? - spytała nerwowo Wrzosowata.

- Po prostu tak jest - uspokoiła ją Chmurka.

- Nie. - Wrzosowata z uporem pokręciła głową. - Chodzi mi o to, dlaczego długonosy zamordował George'a. Wszystkie oczy zwróciły się na pannę Maple. Właśnie. Dlaczego?

- W książce jest odpowiedź i na to - odrzekła najmądrzejsza owca w całym Glennkill. - "Nie mogę żyć bez mojej duszy!" - I roziskrzonymi oczami popatrzyła na stado.

- No i co z tego? - zameczała Wrzosowata.

- Przypomniało mi się, że umieranie i dusza mają ze sobą coś wspólnego - wyjaśniła panna Maple za bardzo skupiona, żeby zawracać sobie głowę wtrętami Wrzosowatej. - Kiedy się umiera, dusza opuszcza ciało; opuszcza je dlatego, że po śmierci ciało brzydko pachnie, a ona ma wrażliwy nos. A kiedy już je opuści, jest zupełnie bezbronna. Wszyscy słyszeliśmy o diabelskich psach. Ktoś próbował złapać duszę George'a, zanim ta wpadnie w paszczę diabelskich psów. Morderca chciał zatrzymać ją dla siebie.

Panna Maple nabrała powietrza. Było niemal widać, jak jej myśli wypadają ze stodoły,

przebiegają przez pastwisko, mijają dolmen, wpadają do przepaści, wracają, jak podążając tajemniczym szlakiem, miotają się tam i z powrotem.

- Słyszeliśmy, jak bardzo Bóg boi się o swoją duszę. Boi się straszliwie. Byłoby całkiem logiczne, gdyby spróbował zdobyć zastępczą.

Owce przekrzywiły głowę. Nigdy dotąd tak na to nie patrzyły. Pewna swego panna Maple zastrzygła uszami.

- Sam szpadel też coś nam zdradził. Co przychodzi wam do głowy, kiedy myślicie o szpadlu?

- Szpadel oczywiście - odparła Chmurka. Panna Maple tylko westchnęła.

- Mysie ziele! - wykrzyknęła natychmiast Matylda.

Owce były tak zaskoczone, że aż na nią spojrzały.

- Dlaczego mysie ziele? - spytała Zora.

- A dlaczego nie? - odparowała Matylda. - Często myślę o mysim ziele.

- Ale mysie ziele nie ma nic wspólnego ze szpadlem - zauważyła Wrzosowata.

- Panna Maple nie powiedziała, że musi - odparła urażona Matylda. - Będę myślała o mysim ziele kiedy tylko mi się spodoba.

- Ale to nic nie znaczy - tłumaczyła jej Wrzosowata.

- Znaczy, i to bardzo dużo! - Matylda spiorunowała ich wzrokiem. - Teraz też pomyślę o mysim ziele! Żebyście wiedzieli!

Zamknęła oczy i ze wszystkich sił pomyślała. Pozostali wciąż myśleli o szpadlu.

- Warzywniak! - wykrzyknęła Zora.

To było oczywiste. George przekopywał go szpadlem. Wykopywał nim chwasty i kreślił proste linie na ziemi. Potem pogłębiał te linie trzonkiem i wsypywał do nich nasiona. Szpadel i warzywniak to niemal jedno i to samo.

Panna Maple z zadowoleniem kiwnęła głową.

- Właśnie. Byłam pewna, że szpadel coś znaczy. Ogród Boga: pamiętacie? To był klucz. Warzywniak, gdzie sadi się szpadlem martwych ludzi. Ten długo nosy kopie nim dziury i zamyka w nich dusze. Jedna dusza mu nie wystarczy. On chce mieć duży zapas.

Owce były zdumione. Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować, pasować tak jak kasztan pasuje do łupinki. Panna Maple naprawdę była najmądrzejszą owcą w całym Glennkill.

- Ale... - zameczał nieśmiało ktoś z ostatniego rzędu.

Owce odwróciły głowę. Maisie! Coś takiego! Maisie? Zaciekawione, z odrobiną złośliwości nadstawiły uszu, żeby posłuchać, co też może mieć do powiedzenia.

- Ale to nie mógł być Bóg! - zaczęła podekscytowana Maisie. - Bóg mówił, że George to zagubiona dusza. Skoro uważał, że George zgubił duszę, po co miałby mu ją zabierać? To bez sensu.

Maisie poruszyła uszami.

Owce patrzyły na nią ze złością.

Ale panna Maple wcale się nie obraziła. Ostatecznie chciała znać prawdę i wyglądało na to, że jeszcze jej nie zna.

- Jestem pewna, że chodzi o jego duszę - odparła. - Dusza musi do tego jakoś pasować.

- Beth nie ma duszy - zameczała nagle Matylda. Myślenie o mysim ziele szybko ją znudziło.

Chociaż owcom nigdy dotąd nie przyszło to do głowy, od razu stwierdziły, że to oczywiste. Nikt, kto pachniał śmiercią tak jak Świętoszka, nie mógł mieć dobrego nosa. Z dobrym nosem nie można by było tego wytrzymać.

Panna Maple zastygła bez ruchu. Zastygła na długo. Nie drgnęły jej nawet koniuszki

uszu. Stała zupełnie nieruchomo, dokładnie tak, jak stoją pograżone w myślach bardzo stare barany. W końcu powiedziała:

- Ale Świętoszka pragnęła duszy bardziej niż czegokolwiek innego. Bo bez duszy nie można żyć. Tak jest napisane w książce.

Otello podniósł głowę. Po jego oczach można było poznać, że coś zrozumiał.

- Przychodziła do George'a przez wiele lat - kontynuowała panna Maple. - Przynosiła mu broszury, ponieważ wiedziała, że je lubi. Miała nadzieję, że kiedyś polubi i ją, polubi tak bardzo, że odda jej duszę.

- Ale on tego nie zrobił - wtrącił Ramzes. - On te broszury palił.

- Właśnie. To było sprytne. Świętoszka mówiła też o dobrych uczynkach i o tym, że jego duszy coś grozi. Chciała ją zabrać gdzieś, gdzie byłaby bezpieczna i gdzie mogłaby robić dobre uczynki.

- Do Boga? - spytała ciekawie Wrzosowata.

- Oczywiście to był tylko pretekst - odrzekła panna Maple. - Tak na prawdę nie zabrałyby jej do Boga. Zatrzymałyby ją dla siebie i George już nigdy by jej nie zobaczył.

- Ale on nie dał się nabrać - zrozumiała z ulgą Bystra. - Zaczął kopać w warzywniaku. Szpadlem.

- To też było bardzo sprytne - podkreśliła panna Maple. - Bo dzięki temu mógł robić własne dobre uczynki. I Świętoszka nie miała już pretekstu, żeby odebrać mu duszę.

Owce dobrze to pamiętały. Beth pojawiała się przed przyczepą tak często, tak często mówiła o duszy. Zawsze umiała je zwieść, nigdy niczego nie podejrzewały.

- Ona jest jak lis - powiedziała Cordelia. - Jak lis, który wypatrzył ranne jagnię. Podchodzi do niego, zataczając coraz ciasniejsze kręgi, aż wreszcie jagnię jest tak osłabione, że przestaje się bronić.

- Ale George nie był osłabiony - wtrącił z dumą Otello. - George się bronił.

- A Świętoszka cierpliwie czekała - ciągnęła panna Maple. - Innym razem, myślała, innym razem. A potem... Pamiętacie, co wam powiedziałam? Że to wszystko ma związek ze szpadlem. Początkowo nie rozumiałam tylko jaki. Szpadel znaczy warzywniak. Szpadel znaczy, że George się bronił. Szpadel znaczy, że Świętoszka nie mogła odebrać mu duszy.

Panna Maple zrobiła krótką pauzę.

- Ale potem dowiedziała się, że George wyjeżdża do Europy i że zabiera ze sobą duszę. Tyle lat czekała jak pajak na pajęczej sieci. Musiała coś zrobić, jeśli to czekanie nie miało być czekaniem na próżno. Wszyscy wiemy, co zrobiła.

Owce były pod tak dużym wrażeniem, że zaniemówiły. Wszystkie oprócz Zory.

- Ale co z zamordowanymi, którzy prześladowają po śmierci swoich zabójców? Przecież żadna owca jej nie prześladowała.

Panna Maple popadła w zadumę.

- Nie, ale tylko na pozór - odparła po chwili. - W rzeczywistości było inaczej. Na własne oczy widzieliśmy, jak prześladował ją duch, i to aż dwa razy.

Owce wyteżyły pamięć, ale nie mogły sobie tego przypomnieć. A Biały Wieloryb, który wszystko pamiętał, jak chrapał, tak chrapał.

- Musicie pamiętać - powiedziała panna Maple - że zwyczajne owce prawdopodobnie nie widzą owczego ducha. Tylko morderca może go zobaczyć. Ale my widzieliśmy jak zareagowała na jego widok Świętoszka. Pierwszy raz na pikniku. Pamiętacie, jak wyglądała, spojrzawszy na miejsce, gdzie umarł George? Była tak przerażona, że nie mogła nic jeść.

Owce dobrze to pamiętały. Brak apetytu przy tych wszystkich pysznych rzeczach na kolorowym obrusie był nieomylnym znakiem, że Świętoszka naprawdę się wystraszyła.

- A drugi raz wtedy, kiedy Rebeka otworzyła drzwi do przyczepy. Czekaliśmy, aż coś z niej wyjdzie. I wyszło, ale tylko Świętoszka to zobaczyła.

Tak, patrzyła na drzwi wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, doskonale to pamiętały.

- Myślisz, że... - Chmurka urwała. Panna Maple kiwnęła głową.

- Zobaczyła ducha George'a. Raz prawie się zdradziła. Pamiętacie, jak powiedziała, że nie będzie mogła tu żyć, dopóki czarna owca nie opuści stada? Co mogła mieć do Otella? Musiała mówić o duchu George'a.

Tym razem nie było żadnych wątpliwości. Panna Maple znalazła niepodważalne rozwiązanie całej tajemnicy. Zdziwione owce milczały.

- Myślisz, że ją złapała? - spytała po chwili Cordelia.

- Ale co? - spytała Zora.

- No, duszę.

- Jeśli złapała - odparł surowo Sir Ritchfield - będzie musiała ją oddać. - Dusza była przeciwstawieniem rzeczy. Była czymś, co pomagało odkrywać świat. Czymś bardzo cennym i ważnym, nawet jeśli - jak choćby w przypadku ludzi - była bardzo mała.

Panna Maple pokręciła głową.

- Nie, nie złapała. Wystarczy na nią spojrzeć. Wygląda jak człowiek, który zgubił coś, co miało dla niego bardzo duże znaczenie, i który wie, że już nigdy tego nie znajdzie.

Miała rację. Dusza George'a zdołała uciec. Owce odetchnęły. Ale czy znaczyło to, że sprawiedliwości stało się zadość?

- Sprawiedliwości! - zameczało w ciszy zimowe jagnię. Nikt go nie przepędził.

- Sprawiedliwości! - zawtórował mu Otello.

- Sprawiedliwości! - zameczały pozostałe owce. - Ale jak ją wymierzyć? - spytała Bystra.

- To jej wina, że George nie żyje - powiedziała Chmurka. - Byłoby sprawiedliwie, gdyby i ona umarła.

Zabrzmiało to całkiem sensownie.

- To nie byłoby takie trudne - odparł Otello. - Może i nie umiemy zrobić tego tak jak ona, za pomocą trucizny i szpadla, ale możemy na przykład zepchnąć ją ze skały.

- Tylko nie ze skały - zaprotestowała Zora.

- Ale Świętoszka mówiła, że nie boi się śmierci - wtrąciła Wrzosowata.

- Pamiętacie? Ciągle to powtarzała. A przecież chcemy, żeby się bała! Wybuchła wrzawa. Owce chciały, żeby Beth się bała. Tak byłoby sprawiedliwie. Od kilku dni to one bały się tych wszystkich strasznych rzeczy, które działy się na łące.

- Moglibyśmy znowu udać, że jesteśmy chorzy - zaproponowała Cordelia. - Na Gabriela to podziałało.

Ale stado doszło do wniosku, że chorowanie pewnie by jej nie wystraszyło.

Panna Maple zaczęła nerwowo krążyć w ciemności.

- To musi wyjść na jaw. Wszyscy się tego boją. Trzeba zrobić tak, żeby wyszło. Nie z przyczepy, tylko z naszych głów. Muszą się tego dowiedzieć wszyscy ludzie. Wtedy będzie sprawiedliwość.

- Ale ludzie nas nie rozumieją - zauważyła Chmurka.

- To trudne - przyznała panna Maple. - Zdołalibyśmy im coś przekazać, gdyby tylko zwrócili na nas uwagę. A jedyną rzeczą, na którą ludzie zwracają uwagę, jest przyczepa.

- Nie wszyscy - zaprotestowała Sara. - Rzeźnik zwraca uwagę i na owce. - Ale żadne z nich nie chciało nawiązywać kontaktu z rzeźnikiem.

Pochłonięta myślami panna Maple wciąż chodziła tam i z powrotem. Chodziła bardzo długo.



Nagle przystanąła.

- Wiem, kiedy ludzie zwracają na nas uwagę! - Rozejrzała się rozpromieniona. Ale wyglądało na to, że jedyną owcą, na której objawienie to wywarło jakiekolwiek wrażenie, jest ona sama. Pozostałe, znużone jej długim namysłem, jedna po drugiej posnęły.

- To może wypalić - powiedziała.

Obudzili się wcześniej, ale zostali w stodole, żeby dotrzymać towarzystwa Białemu Wielorybowi, który wciąż spał jak suseł. Przed dziury i szpary wpadało do środka poranne słońce, malując na ich grzbietach migotliwe, złote wzory. Byli w dobrym humorze.

- Jeśli szukają najmądrzejszej owcy, na pewno uważnie się wszystkim przyglądają.

Pomysł przypadł im do gustu. W głębi ducha zawsze ciekawił je ten konkurs. Krążyły plotki, że biorące w nim udział owce karmiono lucerną i jabłkami i że podziwiali je wszyscy ludzie. Ale George nie chciał w nim uczestniczyć. "Tego mi tylko trzeba - powiedział kiedyś, gdy ktoś wspominał o konkursie. Żeby pijacy z jury oceniali moje mądre owce".

Ale teraz już nie żył i nie mógł im nic podpowiedzieć.

- Zrobimy to - zdecydował Sir Ritchfield. Błyszczały mu oczy i było widać, że rwie się do czynu.

- Ale jak? - spytała Chmurka.

Podsumowały wszystko to, co słyszały na temat konkursu.

- To kompletna bzdura - zaczęła Matylda.

- Wabik na turystów - dodała Wrzosowata. - Nic innego tu nie ma, to jest konkurs.

- Odbywa się w Szalonym Dziku - powiedziała Sara.

Na początek dobre było i to. Znały Szalonego Dzika z wypraw na drugie pastwisko George'a. Pamiętały ten pub, ponieważ ilekroć tamtędy przechodziły, zawsze czuły zapach whisky i piwa i ponieważ za oknami zawsze pojawiały się oczy ludzi, którzy śledzili ich pasterza, dopóki nie zniknął za zakrętem drogi.

- Wejdziemy z innymi - rzuciła odważnie Zora. - Przecież inni muszą tam jakoś wejść.

Inni! Inne owce! W pubie będzie roilo się od owiec - od bardzo mądrych owiec. Mogłyby dużo się od nich nauczyć. Może skrzyknęłyby się potem i zorganizowały wielkie stado. Sara radośnie poruszyła uszami, Zora zaczęła głęboko oddychać, z rozkoszą wciągając do płuc chłodne, poranne powietrze, a Chmurka położyła się na słomie z pełnym ukontentowania westchnieniem.

- Ale kiedy jest ten konkurs? - spytała Bystra. Wiedziały, że odbywa się tylko raz w roku. A rok to bardzo długo, od jednej zimy do drugiej.

- Pojutrze - odparł Biały Wieloryb. Wreszcie się obudził i znowu miał jasne, trzeźwe spojrzenie.

- Skąd wiesz? - spytała Wrzosowata.

- Gabriel powiedział tak rzeźnikowi, kiedy rzeźnik próbował go przed nami ostrzec - wyjaśnił Wieloryb.

A więc to już pojutrze! Jeszcze tylko dwa spania, i konkurs! Zostało mało czasu. Panna Maple posłała mu sceptyczne spojrzenie.

- Ale od tamtej pory raz już spaliśmy - zauważyła. - Nie pojutrze, tylko jutro.

- Pojutrze - powtórzył z uporem Wieloryb.

- Wszystko się zmieniło - wyjaśniła panna Maple. - Kiedy spaliśmy. To już jutro.

- Dobrze zapamiętałem - odparł Wieloryb. - A jak coś zapamiętam, to się nigdy nie zmienia.

- Zmienia się, zmienia - odparła panna Maple.

Wieloryb wycofał się do kąta i zaczął głośno przeżuwać słomę.

- Musimy wymyślić jakąś sztuczkę - powiedziała z entuzjazmem Wrzosowata. Bez sztuczki nie mogłyby wystąpić w konkursie.

- Co to jest "sztuczka"? - spytało jedno z jagniąt.

W stodole zapadła cisza, która zebrała się wokół ich nóg jak śnieg zimą. Gdzieś w oddali ryczała krowa. Droga jechał samochód, bzycząc nie głośniejszą niż mucha. Po wyżkach przemknęła mała mysz, tupiąc nóżkami, tak jak deszcz tupie kroplami w suche, surowe drewno. Wielki, brązowy pajak skradał się bezszelestnie w lesie owczych nóg.

- Może sztuczka jest w szopie - rzuciła po chwili Cordelia.

- Nawet jeśli jest, nie wiemy, jak wygląda - odparła Zora.

- Moglibyśmy wyjąć z szopy wszystkie obce rzeczy - zaproponowała Wrzosowata, która za wszelką cenę chciała wziąć udział w konkursie.

Potruchtały czujnie do szopy i Bystra odsunęła pyszczkiem zasuwkę.

Otworzyły się drzwi, buchnęła fala stęchłego powietrza. Zapach oleju, metalu, plastiku i wiele innych nieprzyjemnych zapachów. Z nadzieją zajrzały do środka. Szopka była mała, tak mała, że nie zmieściłaby się w niej całkowicie nawet jedna owca, za to pełna różnych rzeczy.

Kosa. Zakrzywiony kij pasterski. Maszynka do strzyżenia runa, mała puszcza oleju, skrzynka na narzędzia, pułapki na szczury, nasiona do warzywniaka; nasiona wcale nie pachniały tak źle. Kubek pełen śrub, małe grabie. Psia obroża przeciw pchłom. Puszcza trucizny na szczury, którą George kupił kiedyś w przypiływie złości, i której ani razu nie użył. Biało-czerwona szmatka. Irchowa szmatka do okien. Wszystkie te rzeczy owce dobrze znały. Dokładnie wiedziały, jak i do czego George ich używał. Wiedziały również, że rzeczy te nie są sztuczkami.

Stojąca w pierwszy rzędzie Bystra zerknęła przez ramię.

- Nie ma - powiedziała.

Nagle usłyszały chichot. Melmoth. Melmoth, który zmienił się raptem w inne zwierzę. Stojąc na tylnych nogach, chodził tam i z powrotem zupełnie jak dwunożny. Jego ruchy były niezdarne, dziwne, bezsensowne i zupełnie nie takie jak trzeba.

- Co to jest? - sapnęła Cordelia.

-To - odrzekł Otello, również stając na tylnych nogach - jest właśnie sztuczka.

Słońce stało już wysoko, z przyczepy wyszła bosą Rebecka, przeciągając się jak kotka, a oni wciąż łamali sobie głowę.

Wyglądało na to, że nie umieją robić nic, co można by uznać za sztuczkę. Pasienie się, bieganie, siedzenie na skalnej półce, brykanie, myślenie, wspomnianie, jedzenie - żadna z tych rzeczy nie była sztuczką.

- A może słuchanie? - podsunęła Wrzosowata.

Otello niecierpliwie pokręcił głową.

-To musi być coś zupełnie bezsensownego - wyjaśni! po raz setny. - Bezsensownego i oczywistego. Jak na przykład chodzenie na tylnych nogach. Albo machanie trzymanym w pysku obrusem. Albo toczenie piłki.

- Po co owca miałaby toczyć piłkę? - spytała Matylda.

- No, właśnie. Teraz już rozumiecie?

- Uważają, że owce są mądre, bo umieją robić bezsensowne rzeczy? - Chmurka z niedowierzaniem poruszyła uszami.

- Nie musimy tego rozumieć - prychnął Otello. - Musimy tylko o tym wiedzieć.

Melmoth z aprobatą pokiwał głową.

- Nie mamy piłki - zauważyła Bystra, owca jak zawsze bardzo pragmatyczna.

- Chyba nie znamy żadnej sztuczki - stwierdziła spokojnie Zora. - Na szczęście. Kilka owiec zwiesiło głowę, ale panna Maple nie dała się tak łatwo zniechęcić.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Chcemy tylko, żeby zwrócili na nas uwagę. Nie chcemy wygrać.

- Ja chcę - burknęła Wrzosowata. Panna Maple ją zignorowała.

- Jeśli uda nam się tam wejść, zwrócą na nas uwagę, a wtedy może to wreszcie zrozumieją.

- Ale co rozumieją? - spytała Matylda.

- Że Świętoszka otruła George'a - wyjaśnił Ramzes. - Że to jej nie wystarczyło, bo chciała również zabrać mu duszę. Że przebiła go szpadłem, bo bała się, że będzie ją straszył jako duch.

- Nigdy tego nie zrozumieją - jęknął Wieloryb.

- W takim razie trzeba to uprościć! - powiedziała panna Maple.

- Że to Świętoszka zabiła George'a - uproszczyła Wrzosowata. - Najpierw trucizną. A potem szpadłem.

- Nie, jeszcze bardziej!

- Świętoszka. Zabiła. George'a - zaproponowała, nerwowo Zora.

- O właśnie. Jeśli się nam poszczęści, może to zrozumieją.

Owce wymieniły spojrzenia. Trzy słowa, ledwie trzy proste słowa, ale jakże trudno będzie przekazać ich znaczenie ludziom...

Popatrzyły na pannę Maple, szukając u niej pomocy, ale ta zniknęła. Słyszały tylko dziwne odgłosy dochodzące z kąta stodoły. Po chwili najmądrzejsza owca w Glennkill wróciła do nich z brudnym nosem i rzeczą rzeźnika w pyszczku.

Panna Maple miała plan.

## 21. Inteligentny Fosco

Inspektor Holmes gapił się w kufel. Był sfrustrowany i podminowany. W każdych innych okolicznościach widok guinnessa na pewno by go pocieszył, ale nie tutaj i nie teraz. Można by to nazwać piwem służbowym, a służbowe piwo psuło całą radość picia. Zwłaszcza tutaj, w Glennkill, w tej zapomnianej przez Boga dziurze. Na tym głupim owczym konkursie, wśród tłumu turystów i rozbawionych wieśniaków. Nie podobała mu się ta atmosfera. Luz luzem, ale ci tutaj byli aż za bardzo wyluzowani. A może tylko mu się tak wydawało, bo miał parszywy humor?

Nie powinien był wstępować do policji. Nie z takim nazwiskiem. W Galway mieli Watsona i jemu też nie dawali spokoju, ale Holmes... Głupie uwagi to jeszcze przyszcz. Na jego biurku łądowały najbardziej beznadziejne sprawy. Najbardziej beznadziejne sprawy opatrzone najgłupszymi pod słońcem uwagami. To nie jego wina, że miał najgorszą wykrywalność przestępstw w hrabstwie i żadnych perspektyw na jej poprawę. Nie ze sprawami takimi jak ta. George Glenn. Od samego początku wiedział jedno: jeśli to nie ktoś z rodziny go zaciukał, nigdy nie dowiem się prawdy. A rodzina Glenna składała się z tej ładnej, pulchnej, rudowłosej kobitki, która miała oczywiście alibi. No i jeszcze ten spadek. Przed otwarciem testamentu chciał aresztować wszystkich spadkobierców. Lepiej to niż nie aresztować nikogo. Zawsze mógł ich potem wypuścić.

Ale teraz? Przecież nie mógł aresztować stada owiec! Szczerze mówiąc, do tej pory zdążył już znienawidzić absolutnie wszystkie owce. Dlatego Szalony Dzik był miejscem zupełnie

nie dla niego.

Pośrodku największej sali ustawiono drewniane podwyższenie. Bez żadnych schodów, tylko z rampami. Wszystko dla owiec. Za podwyższeniem stali pasterze ze swoimi czempionami, tak zdenerwowani, że trudno było stwierdzić, kto gorzej cuchnie, oni czy ich podopieczni. A może cuchnęli tak turyści? Wielu z nich przyjechało tu w upale rowerami. No i wyraźnie było to czuć. Co on tu robił? Miał nadzieję, że morderca przyzna się do winy pod wpływem alkoholu? Że owce dostarczą mu kluczowych dowodów? Nie, o wiele bardziej wolałby siedzieć teraz w biurze z szafką pełną nierozwiązanych spraw. I jeszcze trochę przedłużyć śledztwo.

W sali ucichło. A w każdym razie zrobiło się ciszej. Oczywiście owce wciąż wesoło meczały. Nie było to zbyt mądre. Na podwyższenie wszedł jakiś chudzielec. Jeśli był właścicielem pubu, fatalnie musieli tu karmić. On sam chętniej zamówiłby posiłek u tego grubasa na wózku. Zaraz. Czy to nie oni znaleźli tego trupa? Tak, między innymi oni, Baxter i Rackham.

Podczas przesłuchania pomyślał, że małowówny z niego facet, z tego Baxtera. Ale teraz Baxter gadał i gadał. St Patrick... Yeates i Swift... Tradycja... Jeszcze raz tradycja... Owce dumą Glennkill... Można się było porzygać. W dodatku skończyło mu się piwo.

Wreszcie chudzielec skończył. I rozpoczął się konkurs. Dopiero teraz zrobiło się naprawdę cicho. Nawet owce przestały meczeć.

I nagle w ciszy tej rozległo się pukanie do drzwi. Jeszcze chwilę wcześniej nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz odwróciły się w tamtą stronę wszystkie głowy. Kto normalny puka do drzwi pubu? Mimo to nikt nie zareagował. Pukanie rozległo się ponownie. Brzmiało tak, jakby ktoś walił w drzwi czymś twardym. Dopiero gdy zapukał po raz trzeci, zlitował się nad nim ten długonosy. Z nim też Holmes rozmawiał. Ojciec... Ojciec... jakiś tam. Miejscowy pastor.

Pastor podszedł do drzwi i otworzył je z uśmiechem. Tylko księża umieli się tak uśmiechać, nikt inny. Ale ledwo inspektor zdążył o tym pomyśleć, gdy świątobliwy uśmiech na twarzy pastora zgasł. Stężał. Przeszedł w wyraz bezgranicznego zdumienia. Potem przerażenia. Przerażony pastor patrzył na coś, co czekało na niego tuż za progiem.

Kiedy drzwi się w końcu otworzyły, znowu mieli ochotę uciec. Nigdy by nie pomyśleli, że na świecie może być aż tyle ludzi. O wiele więcej, niż przychodziło ich na łąkę, więcej niż przyszło pod starą lipę we wsi. I ten fetor! Zapachy zmieszały się ze sobą, tworząc tłusty, ostry, przydymiony, zjelczały i potwornie obcy smród. Smród, który zalewał nozdrza jak oliwa, pozbawiając je wężu.

W dodatku nad pochylającymi się nad nimi głowami ludzi wisiła chmura papierosowego dymu, dymu gęstego jak mgła. Od jego gryzącego zapachu łzawiły im oczy. Nie mogły też polegać na słuchu, bo spowił je dziwny całun. Muzyka docierała do nich jak zza żywopłotu. Słyszały też, jak kilkoro gości postukuje nogami pod ławką, nic więcej.

Ludzie gapili się na nich bez słowa. Otworzywszy drzwi, Bóg rozdziawił usta, zrobił dwa kroki do tyłu, bezwładnie opadł na krzesło i chwycił się za serce. Otello wszedł w wąskie przejście między rzędami stołów. Pozostali ruszyli za nim. Nic innego nie przyszło im do głowy, chociaż woleliby co sił w nogach uciec z tej potwornej pieczary. Na konkurs chciało przyjść całe stado, ale przeprowadzono głosowanie i wybrano tylko czterech przedstawicieli: pannę Maple, Białego Wieloryba, Zorę i Otella. Strach zdążył już zabić całą dumę i niecierpliwe wyczekiwanie w Wielorybie, Zorze, a nawet w pannie Maple. Ale Otello był ich przewodnikiem i mogły jedynie iść za nim.

Z wysoko podniesioną głową, nie okazując ani cienia strachu, czarny baran mijał stół za stołem. Tuż za nim szła Zora, za Zora panna Maple, a na samym końcu, ze szmatką w mocno

zaciśniętych zębach, kroczył Wieloryb. Ta śmierdząca szmatka była ich najważniejszym rekwizytem.

Kiedy znaleźli się w połowie drogi do podwyższenia, ktoś coś krzyknął i rozpętało się prawdziwe piekło. Ludzie zaczęli klaskać w dłonie, ryczeć i wrzeszczeć. Owce stłoczyły się popychane przez Wieloryba coraz bardziej spanikowanego tym, że idzie na końcu i że nikt go nie osłania. Jego głowa spoczywała teraz na zadzie panny Maple, głowa panny Maple na zadzie Zory, a Zora napierała głową na zad Otella.

- Co to jest? - szepnęła przerażona.

- Oklaski - wyjaśnił spokojnie czarny baran. - To znaczy, że im się podobamy.

- Ten hałas? - spytała Zora, ale Otello poszedł już dalej i wpadła na nią panna Maple, którą z kolei popchnął Wieloryb.

Klaskanie nie ustawało, nie ustawał wrzask. Potworny hałas ścigał je przez całą drogę. A kiedy Otello wprowadził ich w końcu na podwyższenie, stał się wprost nie do wytrzymania. Otello przystanął i odwrócił się do ludzi. Mieli wreszcie trochę miejsca, lecz zalało je oślepiające światło. Wieloryb, panna Maple i Zora natychmiast skorzystali z okazji, żeby odgradzić się od hordy ludzi. Ramię przy ramieniu obeszlili podest i w zwartym szyku schowali się za swoim przewodnikiem. Otello nisko pochylił głowę, raz, drugi i trzeci.

- Niech wreszcie przestaną - wyseplenił Wieloryb ze szmatką w zębach. - Każ im przestać.

Ale Otello nie zrobił nic. Po prostu stał tam, spokojnie patrząc na morze ludzkich głów. Pozostałe owce rozglądały się niepewnie na wszystkie strony. Z tyłu była druga rampa, która prowadziła do kąta, gdzie czekały inne owce wraz z pasterzami. W kącie było cicho, spokojnie, ciemno i bezpiecznie. Bardzo chciały się tam znaleźć. Ale Otello ani drgnął. Chyba na coś czekał. Hałas zaczął cichnąć, wreszcie ucichł zupełnie.

I wtedy Otello stanął na tylnych nogach.

Znowu wybuchła wrzawa, jeszcze głośniejsza niż przedtem. Ludzie dosłownie ryczeli.

-Widzicie? - rzucił triumfalnie Otello. -To bardzo proste. Kiedy coś robimy, oni hałasują. Kiedy nie robimy nic, oni przestają hałasować.

-To lepiej nie róbmy nic - szepnął Wieloryb.

- To nie jest niebezpieczne - dodał Otello, stanąwszy na wszystkich nogach. - To tylko publiczność. - I z tymi słowami sprowadził swoje stadko z podwyższenia.

W ciemnym kącie za rogiem było niskie ogrodzenie z małą furtką. Otworzył ją kopytkiem, wprowadził owce do środka i zamknął furtkę nosem. Owce biorące udział w konkursie były przywiązane do ogrodzenia. Ich pasterze siedzieli przy stole i z szeroko otwartymi ustami gapili się na nowo przybyłych.

- Miałaś rację - szepnęła Zora do panny Maple. - Tutaj zwracają na nas uwagę.

W towarzystwie innych owiec poczuli się lepiej. Otello znalazł dla nich spokojne miejsce między korpulentnym, szarym baranem i brązową owieczką. Czekali, co będzie dalej.

Aplauz stopniowo przeszedł w pełny podniecenia pomruk. W porównaniu z krzykiem, rykiem i oklaskami pomruk ten był niemal odświeżający. Przez tłum ciekawskich wokół ogrodzenia przebił się mężczyzna w okularach. Pasterze natychmiast się na niego rzucili.

-To wbrew przepisom! - krzyknął jeden.

- Dlaczego nikt nas nie uprzedził? - krzyknął drugi. - Dlaczego nie ma ich na liście!

-Trzeba je stąd wyrzucić!

- O co tu chodzi? Mówił pan, że wolno zgłosić tylko jedną owcę. Gdybym wiedział, przyprowadziłbym Peggy, Molly i Sue. Dopiero byście zobaczyli!

- Nikt ich nie zgłosił - odparł ten w okularach. - Szczerze mówiąc, nie mam zielonego

pojęcia, skąd się tu wzięły. Ani gdzie jest ich pasterz.

Pasterze popatrzyli po sobie bez słowa. I nagle jeden z nich powiedział:

- Ich pasterz nie przyjdzie.

- Skąd pan wie? - spytał okularnik.

- Bo on nie żyje. To owce George'a Glenna.

- Ach tak... - Okularnik był zbity z tropu.

- Powinno się je wyrzucić! - wrzasnął krzepki wieśniak o czerwonej twarzy.

Owce wpadły w przerażenie. Tyle kłopotów tylko po to, żeby ludzie mieli wyrzucić ich z pubu na chwilę przed osiągnięciem celu?

-To nie takie proste - odparł okularnik.- Słyszeliście, jak zareagowała publiczność? I turyści? Podobały im się. Jak myślicie, co się stanie, jeśli je wyrzucimy?

- Mam to gdzieś - warknął jeden z pasterzy. - Zasady to zasady.

- Nie. - Okularnik pokręcił głową. - Dlaczego mielibyśmy pozbawiać ludzi zabawy?

- Zabawy? - powtórzył gniewnie ten o czerwonej twarzy.

- Posłuchajcie - łagodził okularnik. - Pozwolimy im wystąpić poza konkursem. Na samym końcu, kiedy nikt już nie będzie patrzył.

Oburzeni pasterze usiedli przy stole, łypiąc spode łba na owce George'a.

Biały Wieloryb, panna Maple i Zora z szeroko otwartymi oczami patrzyli na dziejące się wokół nich rzeczy. Dzieci wyciągały ku nim ręce, częstując ich cukierkami, chlebem, ciastem, a nawet lodami. Ale żadne z nich ani myślało tego tknąć, nawet Wieloryb. Po raz pierwszy w życiu nie miał apetytu. Może dlatego, że leżąca tuż obok niego szmatka wciąż potwornie cuchnęła.

Muzyka grała bardzo głośno. Tym razem nie płynęła z małego, szarego radia, tylko z podwyższenia, gdzie maszerowała grupa ludzi z dziwnymi narzędziami. Na jej dźwięk serca galopowały im coraz szybciej i szybciej. Stojący za ogrodzeniem ludzie powyjmowali małe pudełka, z których wydobywały się jaskrawe rozbłyski światła. Panna Maple szybko zamrugła. Była najmądrzejszą owcą w całym Glennkill, ale doszła do wniosku, że nikt nie powinien się o tym dowiedzieć.

W poszukiwaniu pomocy ona, Zora i Wieloryb popatrzyli na pozostałe owce. Brązowy baran po prawej stronie nerwowo żuł słomę. Panna Maple już miała go o coś spytać, gdy wtem zauważyła, że przygląda się jej inny, gruby i szary.

- Nie jesteście zbyt mądrzy - rzucił z błyszczącymi oczami. - Przychodźcie tu jak na letnie pastwisko. I w ogóle bierzecie udział w konkursie. To niezbyt mądre. - Figlarnie puścił do niej oko.

- Inni też biorą - zauważył Biały Wieloryb.

- Oni też nie są zbyt mądrzy - odparł tamten.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wieloryb nigdy dotąd nie spotkał barana, który byłby grubszy od niego. Natychmiast poczuł przed nim respekt.

- Ty też tu jesteś - wtrąciła urażona panna Maple; ostatecznie to ona wpadła na pomysł z konkursem. - A jeśli tak, znaczy to, że i ty nie jesteś zbyt mądry.

- Błąd - odrzekł szary baran. - Jestem Fosco. Tamci są tutaj pierwszy raz i nie mają pojęcia, co ich czeka. Wszyscy, oprócz tego nakrapianego barana, bo on bierze udział w konkursie tak długo jak ja. Ale on nic nie kojarzy. Po roku wszystko zapomina. Tylko wariat wystąpiłby tu drugi raz.

- Aha, więc jesteś wariatem, tak? - spytała panna Maple.

- Błąd - odparł tamten. - Jestem Fosco. Udział biorą oni. Ja wygrywam.

Panna Maple już miała zadać mu kolejne pytanie, gdy wtem muzyka umilkła. Na podwyższenie wszedł okularnik.

- Panie i panowie, nareszcie! Za chwilę rozpocznie się nasz tradycyjny konkurs na najmądrzejszą owcę w Glennkill. Najinteligentniejsze zwierzęta w okolicy jedno po drugim zademonstrują nam swoje sztuczki. A wy wypełnicie kartę do głosowania i wybieriecie zwycięzcę. Oczywiście są i nagrody. Dla państwa jest to tygodniowy abonament na specjały z jagnięciny w Szalonym Dziku. Dla owcy zaś... To samo!

Publiczność oszalała z radości.

-To tylko żart - ciągnął okularnik. - Najmądrzejsza owca w Glennkill nie pójdzie pod nóż, to oczywiste. Czeka na nią kufel guinnessa i wieniec z lucerny. A potem nasza laureatka pojedzie na tournée, żeby zademonstrować swoje umiejętności we wszystkich pubach w Ballyshannon, Bundoran i Ballintra!

Okularnik nie robił żadnych sztuczek, mimo to ludzie przez cały czas bili mu brawo.

- Jako skromny wyraz uznania jej pasterz dostanie nagrodę w wysokości dwustu euro. Proszę o oklaski! Ogłaszam, że konkurs na najmądrzejszą owcę w Glennkill jest otwarty!

Siedzący w sali ludzie posłusznie zaczęli klaskać i hałasować.

Otello spiorunował okularnika wzrokiem. Zora potrząsnęła uszami, a Biały Wieloryb głośno przełknął ślinę. Uwaga o specjałach z jagnięciny pozostawiła po sobie paskudny niesmak. Fosco puścił do nich oko.

- Mówi tak za każdym razem. Spójrzcie na mnie. Czy wyglądam jak materiał na specjały z jagnięciny?

- Zaczynamy! - oznajmił okularnik. - Brawa dla Jima O'Connora i jego Mądrusia!

- Oho! - zachichotał Fosco. - Idzie pierwszy. Uważajcie. Owce wyciągnęły szyję. Od stołu wstał pasterz, ten o czerwonej twarzy. Chwycił za postronek nakrapianego barana i wprowadził go na podwyższenie. Publiczność stopniowo się uciszyła.

Pasterz uklonił się i powiedział:

- Mądrus jest jedynym baranem na świecie, który potrafi grać w piłkę. - I położył na podłodze piłkę w czarno-białe grochy.

- Ma przetoczyć ją po scenie nogą - szepnął Fosco. - Mówię wam to, bo inaczej byście się nie domyślili.

Mądrus dokładnie obwąchał piłkę. Potem potarł łbem o przednią nogę. Pasterz patrzył na niego z miną, która mówiła, że jest absolutnie pewny zwycięstwa. Mądrus pomachał nogą do przodu i do tyłu, gapiąc się na piłkę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Wcale się nie spieszył. W sali rozległy się gwizdy. Pasterz zaczął tracić cierpliwość. Podszedł bliżej i kopnął piłkę. Kopnął ją trochę za mocno, bo przetoczyła się na skraj podwyższenia. Mądrus potruchtał za nią i spróbował ją ugryźć. Piłka wyśliznęła mu się z pyska, poturlała się jeszcze dalej, wreszcie spadła z podwyższenia. Bez chwili wahania Mądrus skoczył za nią, lądując na blacie najbliższego stołu. Zabrzączało szkło, głośno zaprotestowali siedzący przy stole ludzie.

Kompletny idiotyzm. Owce przewróciły oczami.

- Widzicie? - zachichotał Fosco. - Robi tę sztuczkę od lat. Większym głupcem w jego stadzie jest tylko sam pasterz.

Mądrus, jedyny owczy piłkarz na świecie, dostał skąpe, wymuszone brawa. Okularnik wszedł na podwyższenie z przeproszającym uśmiechem i zapowiedział kolejnego uczestnika.

- Simon Foster i jego Einstein, którzy bronią tytułu!

- To ja - rzucił Fosco. - Myślę, że mam na imię Einstein - dodał z konspiracyjnym błyskiem w małych oczach, jakby to, że ludzie myślą go z Einsteinem, było jego najsprytniejszym posunięciem.

Pasterz był wysoki, silny i jeszcze grubszy od niego. W jednym ręku miał torbę, drugą trzymał w kieszeni. Spokojnie wyszli na scenę. Jak na swoją tuszę, Fosco poruszał się z

zaskakującą lekkością.

Pasterz nie wypowiedział ani jednego słowa. Wyjął z torby butelkę guinnessa i dużą szklanę. Napełnił ją i postawił na podłodze. Fosco chwycił szklanę zębami i podniósł ją do góry. Potem odchylił głowę i wypił piwo. Buchnęły oklaski. Fosco postawił szklanę. Pasterz sięgnął do torby po drugą butelkę. Jak dotąd nie wyjął z kieszeni ręki. Wyjął za to trzecią butelkę. Ludzie ryczeli z radości. Przy czwartej butelce wstali z miejsc, skandując:

- Einstein! Einstein!

Piątą butelkę wypił sam pasterz - wciąż nie wyjmując drugiej ręki z kieszeni. Wreszcie wyjął ją i pomachał publiczności obydwoma. Pośród ogłuszającego aplauzu zszedł z podwyższenia i odprowadził pupila na miejsce. Pozostali pasterze patrzyli na niego z zazdrością. Grubas przywiązał Fosca do ogrodzenia obok owiec George'a i usiadł.

- A więc to tak wygrywasz? - spytała panna Maple. - Pijąc?

- Błąd - odparł Fosco. - Pijąc guinnessa. Ze szklanki, tak jak oni. Dla tego są przekonani, że to najmądrzejsza rzecz, jaką tylko można zrobić. Dlatego wygrywam. Za każdym razem.

- Przecież to łatwe - powiedziała Zora.

- To kolejny dowód na moją inteligencję - odparł Fosco. - Po co robić coś trudnego, skoro może wygrać, robiąc coś łatwego?

- Ale dlaczego chcesz wygrywać? - spytała panna Maple, teraz już absolutnie pewna, że można się od niego dużo nauczyć.

- Dla piwa, oczywiście - odrzekł Fosco. - Nie słyszałaś, że zwycięzca wygrywa piwo? A potem pokazuje swoją sztuczkę w innych pubach. I znowu dostaje piwo. No i nie zapominaj o wielu tygodniach ćwiczeń przed konkursem. - Błyszczały mu oczy.

Jako następny na scenę wyszedł Jeremy Tipp z Dziką Różą. Zaciekawione owce George'a znowu wyciągnęły szyję, ale Fosco pokręcił głową.

- Nie warto - powiedział. - Tym razem najpierw puścili najlepszych. Pozostałych możecie sobie darować. Szkoda oczu.

Mimo to owce patrzyły. Dzika Róża biegała w kółko, zmieniając kierunek na gwizdek pasterza. Kolejna owca skakała niezdarnie przez niskie przeszkody. Potężnie zbudowany baran kiwał głową, ilekroć pasterz dał mu znak. Na inny znak meczał. Pasterz przemawiał do niego przez cały czas. To dziwne, ale ich występ bardzo się ludziom podobał. Najsmutniejszy był występ brązowej owieczki, która nie miała nawet imienia. Tak bardzo się przestraszyła, że straciła poczucie kierunku i nie potrafiła zaliczyć toru przeszkód, który ustawił dla niej pasterz. Wyszła na środek podwyższenia i zastygła bez ruchu. Kiedy pasterz uderzył ją kijem, ogarnięta paniką uciekła na drugi koniec sceny i spadła z podwyższenia. Mimo to kilku ludzi nagrodziło ją oklaskami.

Fosco wciąż zachowywał posępne milczenie.

Na scenę ponownie wyszedł okularnik.

- A teraz, panie i panowie, nasi niespodziewani goście: Peggy, Polly, Samson i Czarny Szatan.

- Wymyślił nam złe imiona - zameczała z oburzeniem Zora.

- Czy ja wyglądam jak stary osioł? - prychnął Otello.

- Nie szkodzi - odrzekła panna Maple. - Zaczynamy. Róbcie dokładnie to, co ustaliliśmy i pamiętajcie, czego nauczył nas Melmoth.

Owce George'a weszły na podwyższenie, żeby w oślepiającym świetle lamp upomnieć się o sprawiedliwość.

Ludzie patrzyli na nie wyczekująco. Gwar powoli przeszedł w szmer przytłumionych głosów. W końcu zrobiło się tak cicho, że owce znowu usłyszały swój oddech. I nagle rozległ się



głośny trzask. Upadło krzesło. Po chwili trzasnęły drzwi. Zaskoczeni goście spojrzeli w tamtą stronę.

Przez salę przetoczył się cichy pomruk.

- Co to było?

- Ojciec William - odpowiedział ktoś z tyłu. - Nie wiem, co go na padło. Wybiegł, jakby sam diabeł go ścigał.

Chociaż nikt tego nie zauważył, między rogami Otella zagościło przyprawiające o mdłości uczucie. Czy to publiczność tak na niego działała? Ich oczy wędrowały po nim jak kleszcze w runie, tak samo jak wtedy, kiedy Lucyfer Smithley wciągnął go po raz pierwszy na cyrkową arenę. Czekał, aż odezwie się wewnętrzny głos. Aż powie coś uspokajającego, prowokującego albo dającego do myślenia. Aż odpędzi to mdlące uczucie.

Ale nie usłyszał nic. Posłuchał prawym rogiem. Posłuchał lewym. Posłuchał tylnym lewym i tylnym prawym. Wciąż nic. Był tak zaskoczony, że znieruchomiał. Głos zniknął! Po raz pierwszy Otello był zupełnie sam. Przeszły go ciarki. Gdzieś tam, między ludźmi, czyhała panika. Ale kiedy już miała go dopaść, poczuł łagodne pchnięcie w zad. Aksamitny nos Zory. Przypomnił mu, że trzeba iść dalej. Otello wziął się w garść. Ostatecznie pokonał psa. Pokonał wiele psów. Stawił czoło Bogu i Bóg przed nim uciekł. Był przewodnikiem stada. A tego dnia, tego wyjątkowego dnia, był Śmiercią.

Samotność ma swoje dobre strony, pomyślał i zdecydowanym krokiem wszedł na podwyższenie.

Zorze ulżyło. Po chwili wahania Otello znowu ruszył się z miejsca. Nareszcie. Długie oczekiwanie zmusiło ją do myślenia, a tego dnia, tu, na scenie konkursu na najmądrzejszą owcę w Glennkill, po raz pierwszy w życiu chciała myśleć jak najmniej. Ale było już za późno. Przypomniało jej się, co powiedział okularnik. Jagnięce specjały. Przypomnił jej się baran Gabriela. Wszelkie ciało jest trawą. A trawa ciałem. Dlatego się śmiali. Dlatego był tu rzeźnik. Powiodła wzrokiem po twarzach ludzi, którzy chcieli wygrać abonament na specjały z jagnięciny. I ujrzała otchłań, która była tu przez cały czas, tuż pod jej nosem, chociaż Zora nigdy tego nie podejrzewała. Mewy milczały. Po raz pierwszy w życiu zakreśliło jej się w głowie.

Rozejrzała się na wszystkie strony. I nagle zobaczyła małego, białego baranka, który płynął w powietrzu kilka kroków od niej. Wszedł z fajki młodego mężczyzny w drugim rzędzie. Wiedziała, że baranek nie jest prawdziwy. Ale przypomniał jej, po co jest otchłań: istniała po to, żeby ją pokonać. Pewnym krokiem weszła na podwyższenie i stanęła obok Otella. Tego dnia była Pasterzem.

Za Otellem i Zora stanęła panna Maple. Miała dobry nastrój, chociaż była spięta aż po koniuszki runa. To był jej plan. Czy ludzie zrozumieją to, co chcieli im przekazać? Owce rozumiały, wszystkie, całe stado. Ich występ był tak realistyczny, że podczas próby te najbardziej przerażone uciekły aż na wzgórze. Z optymizmem pomyślała, że w swoje najlepsze dni ludzie nie są wcale głupszy od owiec. A przynajmniej, że są niewiele głupszy od głupiej owcy. Ale czy im uwierzą? Nawet jeśli uwierzą, to co wtedy? Bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda sprawiedliwość. Odważnie spojrzała na publiczność. Była Wilkiem.

Biały Wieloryb wszedł na scenę ze szmatką w pyszczku. Oddech miał szybki i płytki. Musiał taki mieć, bo szmatka straszliwie cuchnęła. Poza tym czuł się zaskakująco dobrze. Wiedział, co robić. Wszystko pamiętał. Kiedy odgrywał swoją rolę, nawet najgłupsza owca na pasionku wiedziała, co odgrywa. I kim jest morderca. Z wysoko uniesionymi rogami wszedł ostrożnie na podwyższenie i... zamarł.

W przednim rzędzie, ledwie kilka kroków od niego, z rękami zaciśniętymi na podłokietnikach wózka siedział rzeźnik.

## 22. Bardzo ważny Wieloryb

Tom O'Malley oglądał swoje piwo. Od kilku dni nie było tak źle. Ludzie chcieli z nim gadać, bo miał co opowiadać. A kiedy ludzie chcą z gadać, od razu jest lepiej.

Gdyby ktoś spytał go, co najbardziej podoba mu się w guinnessie, powiedziałby, że kolor. Czarny. Czarny, a czasem ciemnoczerwony albo brązowy. Kiedyś widział takiego konia. Konia brązowego jak guinness. No i ta kusząco-słodka, kremowo-biała piana. Nigdy nie mógł się jej oprzeć. Chociaż z drugiej strony, w ciągu tych ostatnich kilku dni wcale tak dużo nie wypił. Nagle wszyscy chcieli z nim rozmawiać. Tymczasem on mało co pamiętał. Ot, że trącił nogą coś miękkiego i że potwornie się przestraszył.

To dziwne, ale teraz, kiedy pytali go o to znacznie rzadziej, zaczęło mu się przypominać coraz więcej. Długo trwało, zanim uzmysłowił sobie, że szpadel przebił George'a na wylot. Na wylot! Nic dziwnego, że znowu siedział w Szalonym Dziku i chlał piwsko.

Dobrze, że nie widziałem jego oczu, pomyślał. Jak nie zobaczysz oczu, nic ci nie będzie.

Po raz trzeci w życiu Biały Wieloryb stał tak blisko rzeźnika, że mógł spojrzeć mu prosto w oczy. Rzeźnik patrzył w oczy jemu. I miał przerażający wzrok. Teraz nie było między nimi szklanej szyby, nie było mgły, tylko trochę papierosowego dymu. Wieloryb zawrócił i ruszył w stronę rampy. Sprawiedliwość sprawiedliwością, ale rzeźnik był rzeźnikiem.

Otello bez słowa zaszedł mu drogę.

- Rzeźnik - szepnął Wieloryb. - Zabije nas. Mnie pierwszego. Otello pokręcił głową.

- Siedzi na widowni. Publiczność nigdy nic nie robi.

Wieloryb zerknął niepewnie przez ramię. Wyglądało na to, że Otello ma rację. Rzeźnik ani drgnął. Zaciskał tylko i rozwierał dłonie na podłokietnikach wózka. Z mocno bijącym sercem Wieloryb ponownie stanął z boku, gdzie na wejście czekali Otello i panna Maple. Zora wyszła już na środek sceny.

Najpierw miała wytłumaczyć ludziom, o co w tym wszystkim chodzi. Oczywiście chodziło o George'a. Zaczęła od tego, że przyjęła pozycję, w jakiej wtedy leżał. Legła na boku i usztywniła nogi.

Ten i ów zaklaskał.

Ale nikt się nie przestraszył.

Panna Maple niezauważenie pokręciła głową. Nie, nie zrozumieli. Zora wstała i spróbowała ponownie. Tym razem zrobiła to o wiele bardziej widowiskowo.

Gdy ugięły się pod nią nogi i gdy dramatycznie zameczała, Wieloryb popatrzył ciekawie na ludzi. A więc to była ta publiczność... Rzeczywiście, siedzieli tam i nic nie robili. Jednakże to, co działo się na stołach, nie było bynajmniej nudne. Bo na stołach stała niezliczona ilość szklanek z piwem, małe talerze z ludzkim jedzeniem i dziwne miseczki po brzegi wypełnione popiołem. Odruchowo zaczął węszyć. Większość ludzkiego jedzenia była zupełnie niestrawna, ale stamtąd, zza chmury dymu nad pierwszym stołem, dochodził słodki, wielce obiecujący zapach. Wieloryb spojrział na Zorę, która leżała na boku z drgającymi nogami. Do wejścia zostało mu mnóstwo czasu.

Zrobił krok w stronę rampy. To była publiczność. Skoro nawet rzeźnik nic nie robił, pomyśleć tylko, jak bezbronni muszą być inni! I podczas gdy wszyscy patrzyli na Zorę, która właśnie wydawała ostatnie tchnienie, położył szmatkę na podłodze, ukradkiem zszedł z podwyższenia i stanął przed pysznie pachnącym stołem.

Zora znowu zerwała się na równe nogi. Tym razem musieli zrozumieć. Nadeszła pora na morderstwo.

Długimi, prostymi krokami George'a weszła na pasionek z miną, która mówiła: Do roboty, próżniaki! Nagle zastrzygła uszami: wpadła na jakiś pomysł. Zeszła po schodach przyczepy, żeby odwiedzić Świętoszkę Beth. Po drugiej stronie podwyższenie, spokojna jak wilk, czekała panna Maple.

Przywitały się. Panna Maple była bardzo przyjacielska. Trąciła nos Zory swoim nosem: Świętoszka chciała, żeby George coś zrobił. Ale on nie chciał. Niecierpliwie pokręcił głową. W oczach Zory pojawił się błysk rozbawienia, jaki często pojawiał się w oczach George'a. Teraz z kolei Świętoszka wpadła na jakiś pomysł: panna Maple zameczła, zapraszając Zorę na łyk czegoś odświeżającego. Niczego niepodjęziewająca Zora zanurzyła pyszczek w niewidocznej kałuży i pociągnęła haust zatrutej wody.

Robiąc to, zerknęła ukradkiem na publiczność. Ludzie mieli pozbawione wyrazu twarze, tylko rzeźnik Ham był wyraźnie zdenerwowany. Czy zrozumieli plan Świętoszki Beth? Na łące ich zaniepokojone stado krzyczało: "Nie pij tego, George!", ale było już za późno. George wypił truciznę. Po raz trzeci tego dnia Zora odegrała dramatyczną scenę śmierci.

Leżał tam. Kawalek ciasta z wbitym weń widelcem. Wieloryb miał wiele dobrych doświadczeń z ciastem i kilka niezbyt dobrych z widelcami i widłami. Dlatego się zawahał.

I popełnił błąd. Zauważył go człowiek siedzący po drugiej stronie ciasta.

- Hej! - krzyknął. - A sio! A sio! - I zamachał rękami, co w normalnych okolicznościach bardzo by Wieloryba przestraszyło.

Jesteś tylko publicznością, pomyślał Wieloryb i wyciągnął pyszczek w stronę ciasta.

Człowiek chwycił talerz, z zaskakującą szybkością zabrał mu go sprzed nosa i podniósł wysoko nad głowę, gdzie Wieloryb nie mógł go dosięgnąć.

W tej samej chwili Zora po raz ostatni poruszyła w agonii nogami i znieruchomiała.

Również w tej samej chwili Tom O'Malley po raz pierwszy od kilku minut podniósł głowę znad szklanki. Podniósł i zobaczył niewyraźny, podłużny kształt ze sterczącym zeń metalowym przedmiotem, nieco dalej owcę - martwą? (czy to nie tę samą owcę widywał na skalnej półce nad przepaścią?), a obok niej czarnego barana z czterema rogami. Trącił nogą coś miękkiego i...

- George! - zawył. Zawył też leżący pod stołem Cuchulainn, stary pies pasterski Joshua, którego Tom przypadkowo kopnął.

Imię George'a wisiało w powietrzu długo po tym, gdy stopniowo ucichły wszystkie inne odgłosy. W panującej w sali atmosferze coś się zmieniło. Jakby do Szalonego Dzika wpadł podmuch zimnego wiatru, gasząc kilka lamp.

- Siadaj, Tom - powiedział w ciszy Josh. Miał srogi głos. - Urznąłeś się. Lepiej usiądź.

Ale Tom nie miał zamiaru siadać. Wyciągnął rękę w stronę podwyższenia.

- O... Owce! Owce próbują powiedzieć nam coś o tym morderstwie!

-To nie jest śmieszne, Tom - warknął ktoś inny.

- Siadaj - powtórzył Josh.

Z pobladłą twarzą i czerwonym nosem Tom rozejrzał się po sali.

- Siadaj - powiedział surowo Josh po raz trzeci. - Wypiłeś o jednego za dużo.

Miał rację. Na pewno wypił o jednego za dużo. Tom opadł na ławkę i uspokajająco poklepał po głowie Cuchulainna. Znowu się urzynał. Wirowały mu przed oczami wszystkie ściany. A przecież jeszcze przed sekundą czuł się znakomicie. Owce - to musiało coś znaczyć. Ale pewnie znaczyło tylko tyle, że się zalał. Znowu. W trupa.

Na scenę wyszła już Śmierć pod postacią czarnego barana. Wejście Otella nie było w sumie konieczne. Każdy, kto widział, jak umiera Zora, nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że jest martwa. Ale Biały Wieloryb, panna Maple i sama Zora uparli się, że do Szalonego Dzika musi pójść i Otello. Czarny baran znał świat, znał zoo. Nie śmieliby pójść bez niego.

Dlatego teraz Otello i Świętoszka Beth, obydwójce żądni duszy George'a, pilnowali trupa. Ale nadeszła taka chwila, kiedy Świętoszce odechciało się czekać. Panna Maple zepchnęła Zorę na ławkę z boku sceny. Była to jedyna część jej występu, która odbiegała od całej ludzaco prawdziwej reszty: żeby Świętoszka mogła przesunąć trupa, musiała jej pomóc sama Zora, wykorzystując siłę swych potężnie umięśnionych nóg. (Na pastwisku, podczas prób, rozlegały się wówczas okrzyki: "On żyje! On żyje!")

Ale kiedy owce przeszły do wielkiego finału, George Glenn już nie żył. Znalazłszy się na łące, Zora ponownie legła na grzbiecie i zeszywniała. Z braku szpadla panna Maple nastąpiła jej kopytkiem na pierś; podczas prób za ten oszalamiający efekt Zora zapłaciła kilkoma sińcami. A wokół trupa wciąż krążyła Śmierć pod postacią czarnego barana.

Biały Wieloryb odpuścił sobie ciasto i szybko wrócił na scenę. Nagle ucieszył się, że go nie zjadł. Czuł, że ma dziwnie splaszczony żołądek i lekkie mdłości. Wieloryb był bardzo ważny. Rozpocząła się właśnie trzecia i najważniejsza część przedstawienia, scena ze Świętoszką Beth. Zgodnie ze scenariuszem Wieloryb chwycił zębami cuchnącą szmatkę i w ostatniej chwili zajął swoje miejsce obok panny Maple.

Długo myśleli, jak przedstawić scenę morderstwa. W końcu Wieloryb wpadł na pomysł z zapachem. Oczywiście były dyskusje - zwłaszcza między nim i Matyldą - na temat wielkości duszy, na temat Rzeczy oraz tego, czy ludzie w ogóle wyczuwają jakieś zapachy. Zwycięsko wyszedł z nich Wieloryb. "Ludzie mają nos, powiedział. Duży nos dokładnie pośrodku twarzy. Muszą nim coś wyczuwać. A Beth? Jej zapach wyczuje każdy! Każdy, kto ma nos".

Zabrali się do pracy. Matylda odkryła bardzo słaby, kwaskowaty zapach na szmatce w szopie na narzędzia, zapach troszeczkę podobny do zapachu Świętoszki. Żeby go wzmocnić, zagrzebały szmatkę na noc w ziemi, nazajutrz pokryły ją przeżutym szczawiem (znojny trud zucia wziął na siebie Sir Ritchfield jako przewodnik stada), potem owinęły nią niedawno zdechłą ryjówkę i trochę odczekały. Rezultat zapierał dech w piersi. Oczywiście szmatka nie pachniała dokładnie tak jak Beth, ale podobieństwo było wystarczające, żeby owce bez trudu ten zapach rozpoznały. Musieli rozpoznać go zatem i obdarzeni słabym powonieniem ludzie.

Wieloryb dramatycznie potrząsnął szmatką i po sali rozszedł się ostry, cierpki zapach morderczyni. To był najtrudniejszy moment. Mieli zapach i mieli Rzecz, łańcuszek z błyszczącym wisiorkiem, dokładnie taki sam jak łańcuszek Beth. Na łące uznali, że najlepiej by było, gdyby panna Maple nosiła Rzecz na szyi. Próbowali ją jej zawiesić, sęk w tym, że Rzecz

natychmiast tonęła w bujnym runie i po prostu nie było jej widać. Dlatego teraz panna Maple chwyciła ją zębami - do tej chwili ukrywała ją w pyszczku - stanęła na skraju sceny, a potem przeszła się tam i z powrotem, pokazując publiczności mały krzyżyk. Biały Wieloryb szedł tuż za nią, wymachując cuchnącą szmatką.

Na widowni ktoś zaczął się niespokojnie wiercić. Ktoś inny cicho zaklął. Coś zaklekotało. Na podłogę spadła z brzękiem szklanka.

Na podwyższenie wpadł jak burza rzeźnik Ham i w blasku reflektorów załśniły koła jego wózka.

Na scenie lekko się zawahał. Patrzył to na Białego Wieloryba, to na łańcuszek w pyszczku panny Maple. Nagle popędził jak strzała w stronę Wieloryba. Wieloryb nie czekał ani chwili. Odwrócił się i kurczowo ściskając szmatkę, zbiegł rampą z podwyższenia. Rzeźnik deptał mu po piętach. Poruszał się ze zdumiewającą prędkością. Pozostałe owce patrzyły, jak ściga Wieloryba przez salę, jednym przejściem, to drugim.

Nie wiedziały, czy Wieloryb zrobił to z czystej desperacji, czy pod wpływem nagłego olśnienia, tak czy inaczej, skręcił raptem w wąskie przejście między dwoma rzędami stołów. Tak jak można się było tego spodziewać, rzeźnik skręcił za nim. Okazało się jednak, że Wieloryb, choć gruby, jest trochę chudszy od Hama i jego wózka. I podczas gdy on przebiegł przejściem bez najmniejszego trudu, rzeźnik utknął już po kilku długościach owcy. Wszyscy myśleli, że puści wiązankę mrozących krew w żyłach przekleństw, lecz ku ich zaskoczeniu on położył ręce na kolanach i bez słowa obserwował uciekającego Wieloryba.

Ten zaś na miękkich ze strachu nogach wrócił na scenę, gdzie między swoimi poczuł się trochę bezpieczniej. Podczas ucieczki zgubił gdzieś szmatkę.

Łypnął spode łba na Otella i warknął:

- Publiczność! Publiczność nigdy nic nie robi, hę?

Otello się zawstydził.

Przeglądali się sobie w milczeniu: mieszkańcy Glennkill i owce George'a Glenna. Nie było żadnych braw. Biały Wieloryb, który zdażył już odzyskać odwagę, był rozczarowany. W skrytości ducha liczył na oklaski. Może nawet na coś więcej. Podczas występu, pod czujnym okiem publiczności, zaczął się zastanawiać, jak smakuje ten guinness.

Owce zamrugały w papierosowym dymie. Zora rozejrzała się niepewnie. Dym wypełniał salę jak nieprzyjemna mgła. A w tej mgle przygotowywał się do skoku jakiś drapieźnik.

Ale żaden drapieźnik z dymu nie wyskoczył. Najpierw rozległy się głosy kilkorga ludzi z ostatnich rzędów, w których siedzieli turyści. Ktoś o coś spytał, ktoś inny cicho się roześmiał. Ktoś wstał, pchnął wózek Hama i odprowadził go na miejsce. Już wkrótce w sali huczało jak w ulu. Chwila, kiedy wszyscy patrzyli z uwagą na owce, minęła, mimo to sprawiedliwość wciąż nie chciała się ukazać.

Na scenę ponownie wszedł Okularnik, który nazwał Otella "Szatanem". Owce czym prędzej zbiegły na dół, żeby od niego uciec. Za podwyższeniem przystały i przegrupowały się, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

-To byli Peggy, Polly, Samson i Czarny Szatan, którzy udowodnili nam, że nawet owce znają się na współczesnym dramacie - zaczął okularnik. - Nagródźmy ich gromkimi brawami!

Gromkie brawa były w najlepszym razie wymuszone i przeznaczone raczej dla niego niż dla aktorów.

- Panie i panowie, widzieliście, jak najbardziej utalentowane owce w Glennkill walczą o wasze względy. Nadeszła pora...

Na końcu sali ktoś się poruszył. Główny przejściem ruszyła w jego stronę Świętoszka Beth. Niczym młoda jarka, w rękach czule trzymała upuszczoną przez Wieloryba szmatkę. Rozłożyła ją i nawet spod warstwy brudu widać było dwa czerwone znaki na białym tle.

Szła prosto przed siebie, zdecydowanie i niepowstrzymanie, jakby wiodł ją sekretny zapach. Szła tak spokojnie i dumnie, że przyjemnie było na nią patrzeć.

Stanęła pod sceną.

Okularnik spojrzała na nią z góry.

- Bardzo przepraszam - szepnęła - ale chciałabym coś powiedzieć.

- Musi pani? - syknął okularnik. - Akurat teraz?

- Tak - odparła Beth.

Okularnik wzruszył ramionami.

- Panie i panowie - powiedział, podnosząc głos. - Krótka przerwa na ogłoszenie w sprawie zbiórki pieniędzy na cele dobroczynne.

Gestem ręki zaprosił Beth na scenę, lecz ona tam nie weszła. Po prostu usiadła na brzegu podwyższenia, a potem wygładziła sukienkę i szmatkę.

- Chodzi o George'a - zaczęła. - Chciałabym powiedzieć wam coś o George'u.

Od tej chwili w sali było cicho jak makiem zasiał. Ani okularnik, ani owce nie posiadały sztuki przykuwania uwagi, a przynajmniej nie do tego stopnia - jej przychodziło to z nadzwyczajną łatwością. Nie pokazywała żadnych sztuczek, po prostu siedziała i mówiła. Czasem lekko kiwała nogami, czasem głaskała palcami szmatkę.

Było oczywiste, że szmatka, chociaż cuchnąca, jest dla niej ważna. Początkowo nie mówiła o George'u, tylko o sobie.

-To ja mu ją dałam. Dawno, dawno temu. To było takie łatwe. Wszywałam ją przez całą noc. Wiedziałam, jak ma wyglądać. Rano czułam się tak lekko, że mogłabym fruwać jak ptak, zrobić absolutnie wszystko, wszystko powiedzieć. To było... - Urwała. Może po to, żeby odzyskać głos, który był coraz cichszy i cichszy, jakby miał zaraz ucichnąć na dobre. -To było miłe.

Ludzie zaczęli cicho szemrać.

- Ale potem nadeszła ta chwila i nic nie powiedziałam, tylko bez słowa wcisnęłam mu chustkę do ręki. Spojrzał na mnie tak, jakby nie zrozumiał, a ja nie mogłam nic zrobić ani powiedzieć. Ani wtedy, ani już nigdy potem. Kiedy ją teraz zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że był to największy błąd w moim życiu. Akurat to. Nie tamto.

Przeszedł ją silny dreszcz, od karku aż po ręce i nogi.

- W tamtą niedzielę późnym wieczorem ktoś zapukał do moich drzwi. Jeszcze nie spałam, więc otworzyłam i w progu zobaczyłam George'a. Ilekroć się widzieliśmy, zawsze mówiłam o ewangelii, zaczęłam więc mówić i wtedy. Tak, zawsze mówiłam o ewangelii...

Beth ze smutkiem pokręciła głową.

- Ale tym razem było inaczej. "Beth, powiedział. Przestań. To ważne". Zmiękły mi nogi w kolanach, bo powiedział to bardzo łagodnie. Zamilkłam i wszedł do pokoju. Było niemal tak, jak to sobie wyobrażałam. Ale oczywiście jemu chodziło o coś innego.

- "Przyszedłem się pożegnać" - zaczął.

- "Oczywiście - odparłam z odważnym uśmiechem; wydawało mi się, że z odważnym, ale teraz wiem, że był to uśmiech tchórzowski. - Europa wzywa".

- "Nie - odrzekł. - Nie Europa".

Od razu wszystko zrozumiałam. Chyba się nawet ucieszyłam, że tak szybko. A potem powiedział mi, po co przyszedł. Nie pamiętam dokładnie, co mówiliśmy, pamiętam tylko, że błagałam go, żeby tego nie robił. Ale on się uparł. Zawsze był uparty.

Chude palce Beth wędrowały po brzegach brudnej chustki.

Powiedziałam:

- "Przecież tak bardzo chciałeś wyjechać do Europy".

- "Tak - odparł - chciałem. I na swój sposób wciąż chcę. Ale boję się, Beth. Nie dam rady. Już za późno".

Beth zadrżała tak bardzo, że jej palce ześliznęły się z brzegów chustki. W poszukiwaniu pomocy jej lewa dłoń kurczowo chwyciła prawą, zaczęła ją głaskać, uspokajając i się z nią splatać.

- Nie potrafiłam dodać mu odwagi do dalszego życia. A potem po mogłam mu nawet zrobić to tak, jak chciał. Bo kiedy pomyślałam, że mogą go nie pochować...

Jej głos zabłądził jak w lesie, zadrżał i umilkł.

- Poszłabym z nim, ale on nie chciał. "Za godzinę na łące, powiedział. Do tego czasu powinno być już po wszystkim". I poszłam tam w ulewie. Już nie żył. Pomyślałam, że jeśli tego nie zrobię, jeśli nie zrobię tego dla niego, to co to wszystko było warte?

Uśmiechnęła się przez łzy. Owce były zaskoczone. Ale zaraz potem jej uśmiech zniknął jak deszcz w piasku.

- Tak - westchnęła - to było piekło. A potem... Potem czułam się potwornie. Popełniłam wielki grzech, mimo to... mimo to...

- Dlaczego? - odezwał się chrapliwy głos z pierwszego rzędu. Ode zwał się szeptem, lecz w pełnej napięcia ciszy zabrzmiał głośno i wy raźnie.

Beth podniosła wzrok, po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła mówić.

- Dlaczego... akurat tak? - wychrypiął Ham jeszcze ciszej.

Beth spojrzała na niego poirytowana.

- Nie wiem dlaczego. Ale to koniecznie musiał być szpadel. George powiedział: "Żeby dać im do myślenia". Nie mogłam mu tego wyperswadować. To było straszne.

Ham potrząsnął głową.

- Nie, nie szpadel. George.

- Czy to tak trudno zrozumieć? - Beth robiła teraz wrażenie rozgniewanej i bezbronnej zarazem. Przypominała młodą j arkę, która broni swego pierwszego jagnięcia. - Kiedy dałam mu tę chustkę, czułam się tak samo. Nadzieja jest czasem tak wielka, że nie można jej znieść. Strach też. Strach jest jeszcze większy. Za długo czekał na wyjazd do Europy. Może... może po prostu nie miał już odwagi sprawdzić, czy da radę.

- Ale...

- Czy to takie zaskakujące? - przerwała mu Beth. - Czy byłam jedyną osobą, która zauważyła, jak bardzo jest samotny? Zawsze samotny, zawsze tylko ze swoimi owcami? Tak, często się ze mnie śmiał, ale zauważyłam, że się od wszystkiego odsuwa, krok po kroku, dalej i dalej w stronę czegoś... czarnego.

Owce zerknęły niepewnie na Otella. Otello się zmieszał.

Beth westchnęła.

- Minęło tyle czasu. Siedem lat, a kiedy wróciłam z Afryki, było już naprawdę źle. Nie wiem, co się wtedy stało i nie chcę wiedzieć. Ale od tamtej pory nie układało mu się już ani z ludźmi, ani z Bogiem. Początkowo myślałam, że ma to coś wspólnego ze mną, z moim wyjazdem, ale była to tylko próżność. Tyle mu powiedziałam. Ale on nie słuchał. Po wiedziałam mu wszystko oprócz tej jednej, jedynej rzeczy, którą zawsze chciałam powiedzieć. A teraz

przychodzi mi to tak łatwo.

Brzmiało to tak, jakby Beth i George rozmawiali o śmierci George'a. Ale skąd George mógł wiedzieć, że umrze? A nawet jeśli wiedział, to dlaczego nie uciekł?

To, co mówiła Beth, nie miało żadnego sensu. Owce rozumiały poszczególne słowa - zwykłe słowa, takie jak "życie", "nadzieja" czy "samotny" - nie rozumiały tylko, co Świętoszka chce nimi wyrazić.

Wreszcie się poddały. Skupianie się na słowach bez zrozumienia ich sensu za bardzo je stresowało. Głos Beth stał się jedynie cichą, smutną melodią. Zbite z tropu potruły do ciemnego kąta i dołączyły do pozostałych owiec.

- Więc kto go w końcu zamordował? - spytał Biały Wieloryb.

Nikt mu nie odpowiedział.

Nagle usłyszały parsknięcie. Stał za nimi Fosco. Miał dziwnie pachnący oddech i aż za bardzo błyszczące oczy.

- George'a? George.

Nikt nie zareagował na to osobliwe echo.

- Chcesz powiedzieć, że George zamordował George'a? - spytała po woli Zora, bardzo starannie dobierając słowa.

- Otóż to - odparł Fosco.

- Przecież George nie żyje. Został zamordowany.

- Zgadza się - potwierdził Fosco.

- A więc George zamordował samego siebie?

- Właśnie - odparł Fosco, który stał się nagle jeszcze bardziej imponujący i jeszcze bardziej szary.

- Ona kłamie - zameczał Wieloryb, który przyniósł cuchnącą szmatkę aż do Szalonego Dzika, żeby wyjaśnić sprawę morderstwa swego pasterza. - Nie chce się przyznać, że to ona go zabiła.

Jednakże po zapachu owce poznały, że Świętoszka Beth nie kłamie. Ani trochę.

- To jakiś obłąd - mruknęła Zora.

- Nie - odrzekł Fosco. - To samobójstwo.

Samobójstwo. Nowe słowo. Słowo, którego George już im nie wyjaśni.

- Oni czasami tak robią - dodał Fosco. - Ludzie. Patrzą na świat i do chodzą do wniosku, że nie chcą już żyć.

- Przecież żyć i chcieć żyć to jedno i to samo - zaprotestował Wieloryb.

- Nie - odparł Fosco. - U ludzi jest inaczej.

- Niezbyt to mądre - mruknął Wieloryb.

- Nie? - spytał Fosco. Oczy pojaśniały mu tak bardzo, że miał w nich chyba robaczki świętojańskie.

- A skąd wiesz? Żyję na tym świecie od kilkunastu lat i jeśli czegoś się przez ten czas nauczyłem, to tego, że nie łatwo jest powiedzieć, co jest mądre, a co nie.

Nikt nie chciał z nim polemizować. Owce zamilkły, żeby przetrwać to, co usłyszały. Beth przestała mówić i w sali wybuchła gniewna wrzawa. Zora podniosła głowę.

- A co z wilkiem? - spytała.

- Wilk jest w środku - wyjaśnił Fosco.

- Tak jak otchłań? - upewniła się Zora. - Ta wewnętrzna?

- Uhm, tak jak otchłań - potwierdził Fosco.

Zora zmarszczyła czoło. Wpaść w otchłań: to rozumiała. Ale wpaść w samego siebie?

Pokręciła głową.



- Owca nigdy takich rzeczy nie zrozumie.
- Nie - zgodził się z nią Fosco. - Nie zrozumie.

Panna Maple od dłuższego czasu milczała. Siedziała z przekrzywioną głową i myślała. Wtem skonsternowana potrząsnęła uszami.

- No i wszystko wyszło na jaw - powiedziała. - Wracajmy do domu. Pożegnali się z Fosco, który rozumiał tak mroczne rzeczy, i którego rok w rok słusznie koronowano na najmądrzejszą owcę w Glennkill. Wyszli tylnymi drzwiami, które im pokazał. Najpierw Otello, potem Zora i panna Maple, a na końcu Biały Wieloryb.

Kiedy Wieloryb stanął w progu, by już za chwilę wyjść z ulgą na świeże powietrze, na klamkę opadła ciężka, mięsista ręka i tuż przed nosem delikatnie zamknęła mu drzwi.

Biały Wieloryb utknął w cuchnącym pubie jak w potrzasku. Zamarł.

Tuż obok niego siedział blady rzeźnik z oczami jak szparki. Koła jego wózka pachniały gumą. Wieloryb rozejrzał się na wszystkie strony. Tym razem nie było ucieczki.

Wstrząśnięty usiadł na zimnej, kamiennej podłodze. Tak, wpadł w potrzask.

- To ty - powiedział rzeźnik niebezpiecznie spokojnym głosem. - Ty?...

Wieloryb zadrżał jak trawa na wietrze. Wszelkie ciało jest trawą.

Ham niezdarnie zamachał ręką. Wieloryb drgnął. Przez chwilę bał się, że ręka oderwie się od ciała i skoczy prosto na niego.

Ale rzeźnik tylko kiwnął głową, niemal z szacunkiem.

- Teraz już rozumiem - powiedział. - Teraz już wiem, że na to zasługuję. Powiniennem był zauważyć, co się z nim dzieje. Nie miał innych przyjaciół. Ja też nie byłem jego przyjacielem.

Wieloryb wytrzeszczył oczy. Wielka łapa rzeźnika zacisnęła się w pięść tuż przed jego nosem.

- Ale nie zauważyłem - ciągnął rzeźnik. - Odwróciłem głowę. Zignorowałem go. George brał takie rzeczy do serca.

Pięść lekko zadrżała i powoli się cofnęła. Wielorybowi zawirowało w głowie.

I nagle drzwi się otworzyły.

Rzeźnik nie powiedział już nic więcej, lecz wciąż obserwował go jasnymi oczami. Jego ręce leżały na udach, bezwładne i bez życia.

Dopiero po kilku sekundach Wieloryb zdał sobie sprawę, na co Ham czeka.

Oszołomiony wybiegł na dwór. Zapadł już zmrok. W nozdrza uderzyło go gęste, aksamitne, niewiarygodnie wprost świeże, wieczorne powietrze.

Sprawa rozwiązała się sama, tutaj, na oczach zupełnie skołowanego inspektora Holmesa, a konkretnie na scenie konkursu na najmądrzejszą owcę w Glennkill. Samobójstwo. A ta siwowłosa kobieta przebiła go potem szpadlem. Holmes nigdy w życiu by na to nie wpadł. Ale patrząc wstecz, wcale nie było to nieprawdopodobne. Samotny, ekscentryczny starzec, nieudane małżeństwo, córka, która porzuciła ojca. Zwykła rzecz. Chociaż trudno to zrozumieć.

Z zamyślenia wyrwało go ciche chrząknięcie.

Przy stoliku stał mężczyzna w ciemnym ubraniu. Mężczyzna nierzucający się w oczy. Tak, to dobre określenie. Jeden z tych, którego pięć minut później trudno jest opisać.

- Mój owczarek szkocki ma na imię Murph - powiedział.

- O Boże - mruknął Holmes. - Powiniennem był się domyślić. Czego znowu chcecie? Przecież milczę, nie?

- Jak grób, panie inspektorze, jak grób. Pańska mistrzowska beczynność bardzo nam imponuje.

- I co pan o tym myśli? - rzucił Holmes, ruchem głowy wskazując scenę, gdzie siedziała milcząca już siwa kobieta.

Nierzucający się w oczy mężczyzna wzruszył ramionami.

-To nie ma nic wspólnego z nami. Z panem też nie. Prawda? Proszę posłuchać. Co by pan powiedział, gdyby choć raz udało się panu doprowadzić śledztwo do końca, gdyby choć raz rozwiązał pan jakąś sprawę?

Na stole, tuż obok szklanki guinnessa, pojawiła się nagle kasetka wideo; szklanka znowu była na wpół pusta.

- Proszę to wziąć - dodał mężczyzna. - Dowie się pan wszystkiego o McCarthym. Kto wie, czy nie pomoże to panu w karierze.

Zanim Holmes zdążył wepchnąć nieporęczną kasetę do kieszeni, nierzucający się w oczy mężczyzna już zniknął. I co z tego? I tak nie odpowiedziałby na żadne pytanie. Holmes wbił wzrok w stół, w podstawkę pod kufel, która obiecywała, że guinness przyniesie mu sławę i fortunę. Miał złe przeczucia, ale nie w związku ze sprawą Glenna.

Miał złe przeczucia w związku z samym sobą, ze swoim życiem. Z posterunkiem i tym, że nie miał ochoty tam wracać. Piwa już nie dopił.

### **23. Wrzosowata ma rację**

Może wszystko to było dla niego sztuczką, szpadel i cale to poruszenie we wsi. Może było mu łatwiej, kiedy pomyślał o zamieszaniu, jakie tym wywoła. - Rebeka pociągnęła nosem.

Owce zebrały się przed przyczepą tak jak za dawnych czasów, ale nie było już książek o Pamelach. Zamiast tego Rebeka czytała im teraz wielkie, szeleszczące gazety z bardzo cienkimi kartkami. Cudowne było w nich to, że zawierały opowieści o George'u i Beth, a nawet o ich występie na konkursie na najmądrzejszą owcę. Kolejną cudowną rzeczą było to, że Rebeka wiedziała dużo więcej niż gazety, bo rozmawiała z Beth, która wyjechała już z Glennkill, żeby spędzić resztę życia na jakiejś wyspie, robiąc dobre uczynki.

Opowieść, którą lubiły najbardziej, miała tytuł: "Dzięki owcom prawda wychodzi na jaw". Był w niej obrazek przedstawiający scenę w Szalonym Dziku, a na scenie ich, pannę Maple, Białego Wieloryba, Otella i Zorę, wszystkich razem, malutkich, szarych i bez zapachu, ale na pewno ich. Rebeka podsunęła im gazetę pod nos, żeby mogły się lepiej przyjrzeć, ale Wieloryb chciał ją zjeść. Od tamtej pory pokazywała im obrazki z bezpiecznej odległości.

Pokazała im na przykład obrazek młodego George'a z nieznanym jagnięciem na rękach; stał na łące i wyglądał bardzo zuchwale. (Chmurka twierdziła, że to ona jest tym jagnięciem, ale nikt je nie uwierzył). Pokazała im również obrazek Beth w letniej sukience, też młodej i jasnookiej. "Zabójczy romans" - tak głosił tytuł opowieści. Obrazek zamieszczony w opowieści pod tytułem: "Zwłoki zbezczeszczone z miłości" też pokazywał Beth, ale Beth poważną i starą, taką w zapiętej pod szyją sukience.

Rebeka dużo o niej myślała i kiedyś powiedziała tak:

- Od tamtego wieczoru bardzo się zmieniła. Jest chyba najbardziej romantyczną osobą, jaką znam.

"Tamten wieczór" - owce tak to rozumiały - był wieczorem, kiedy ich czwórka wzięła udział w konkursie. Dumnie podniosły głowę. Tamtego wieczoru zrobiły coś ważnego, chociaż nie były do końca pewne co.

Sprawa samobójstwa pozostała dla nich tajemnicą. Nie mogły zrozumieć, jak George

mógł zrobić coś tak dziwnego. Akurat on, człowiek, który prawie zawsze przemawiał do nich tak, że go rozumiały.

- Do samego końca nie wiedział chyba, co robi - powiedziała Rebeka. - Czasami mi to pomaga, bo wyobrażam sobie, że do ostatniej chwili myślał, że jednak pojedzie do Europy. Ale pojechał w zupełnie inną podróż...

Przełknęła ślinę i wytarła ręką zaczerwienione oczy. Ostatnio bardzo często były zaczerwienione.

- Ale wiem, że to nie mogło być takie proste. Najpierw spisał testament, żebyście mogły pojechać do Europy bez względu na to, co się stanie. Był dobrym pasterzem... Oddał Tess do schroniska dla zwierząt. Napisał do mnie... list. -Wytarła pojedynczą łzę na policzku. I jakby w ogóle go tam nie było, popatrzyła prosto przez Wieloryba, który stanął w pierwszym rzędzie z nadzieją, że uda mu się skubnąć gazetę. Jej oczy przybrały nieobecny wyraz. Opuściła gazetę. Czasami wydawało się, że w połowie opowieści nagle zapomina o czytaniu. Musiały wtedy zapędzać ją do pracy.

Wrzosowata i Matylda zameczały, głośno i przenikliwie, a zaraz potem dołączył do nich Ramzes.

Rebeka podniosła wzrok i westchnęła. Ponownie otworzyła szeleszczącą gazetę, żeby kontynuować lekturę opowieści pod tytułem: "Samotny pasterz i szeroki, szeroki świat".

Ponieważ opowieści z Glennkill robiły się stopniowo coraz krótsze i nudniejsze, z czasem wróciła do lektury książki, która wywarła na nich duże wrażenie już wtedy, kiedy czytała ją im pierwszy raz. Dopiero teraz, w świetle dnia, owce zobaczyły, jak piękny obrazek zdobi jej okładkę: mnóstwo zieleni, strumyk, góry, drzewa i skały.

No, ale była to oczywiście książka o ludziach. Dlatego owce z pewnym niepokojem śledziły przygody małego, ludzkiego stada z mrocznych wrzosowisk. Doświadczenie z gazetami nauczyło je wielkiego szacunku dla słowa pisanego w ogólności.

- Jeśli owce i ludzie mogą tak łatwo wejść do książek, to równie łatwo może coś z nich wyjść - stwierdziła Bystra i od tej pory Ramzes wraz z Wrzosowatą podejrzliwie obserwowali książkę, ilekroć Rebeka zostawiła ją na schodach przyczepy. Przecież ten podobny do wilka Heathcliff mógł ich w każdej chwili zaskoczyć, a żadne z nich tego nie chciało.

Ale książka leżała spokojnie i milczała.

Pod koniec, kiedy dwa nareszcie wolne duchy zaczęły wędrować po wrzosowiskach, tak jak zawsze tego pragnęły, zrobiła się nawet romantyczna. Owce pomyślały wtedy o George'u z nadzieją, że jego dusza też wędruje po zielonych łąkach i że może pasie małe stadko, które gdzieś napotkała.

Pewnego dnia na ścieżce przez łąkę pojawił się Ham na wózku. Ogarnięte paniką owce jak zwykle uciekły na wzgórze. Stamtąd obserwowały to, co działo się przed przyczepą. Rebeka i rzeźnik się przywitali.

- Mam nadzieję, że nas nie sprzeda - powiedział Biały Wieloryb.

- Nie ma prawa! - zameczała Wrzosowata. - Tak jest napisane w testamencie!

Mimo to wyteżyły wzrok.

Rebeca i Hamowi rozmawiało się chyba całkiem dobrze. Owce nie odrywały wzroku od tego ostatniego. Był teraz poważny i pomarszczony i wcale nie taki groźny. Na szczęście od morza wiał słony wiatr i nie wyczuwały jego zapachu.

Wrzosowata podjęła zaskakująco odważną decyzję, żeby zejść ze wzgórza i przyjrzeć mu się z bliska. Odprowadzały ją spojrzenia zdumionych owiec.

- .. jakieś związki - mówił rzeźnik. - I to wszędzie. Transmigracja dusz i tak dalej. Ostatnio dużo czytam, więc rozumiem, na czym to wszystko polega. Rozumie pani? - Odwrócił głowę i ni to z zakłopotaniem, ni z ciekawością, ni z szacunkiem spojrział Wrzosowatej prosto w oczy. I leciutko skinął głową, jakby na powitanie. Wrzosowata była tak zaskoczona, że zapomniała o odważnej minie i zdumiona po prostu się na niego gapiła.

Rebeka wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Były z nim tak długo... Tak, bez trudu mogę sobie wyobrazić, że w każdej z nich jest odrobina George'a.

Wrzosowata posłała rzeźnikowi zuchwałe spojrzenie i potruczała na wzgórze. Czekają na nią pełne szacunku stado.

Ham i Rebeka uściśniły sobie ręce i ku ich uldze rzeźnik pojechał w kierunku utwardzonej drogi. Życie mogło toczyć się dalej.

I się toczyło. O świcie owce jak zwykle wychodziły do pracy i pasły się prawie do wieczoru. Potem zbierały się przed przyczepą, żeby Rebeka im poczytała. Jeszcze potem znowu się pasły, a na noc wracały do stodoły. Prowadziły dobrze uporządkowane owcze życie.

Lubiły myśleć o George'u i były mu wdzięczne za testament. "A jednak był dobrym pasterzem", mawiała Chmurka.

Szanowały też jego Miejsce. Żadne z nich nie śmiało skubać rosnących tam ziół i traw. Mimo to nie wiedzieć czemu Miejsce George'a robiło się coraz mniejsze i mniejsze.

- To dlatego, że wszystko się kiedyś kończy - wyjaśniła Zora.

Pewnego ranka, kiedy pozostałe owce jeszcze spały, z opiekuńczych objęć stada wysliznęła się duża, biała klucha. Wyśliznęła się, przebiegła przez łąkę i przystanąła na skraju urwiska. Biały Wieloryb. Długo myślał, patrząc na skalną półkę Zory. Wreszcie zrobił krok do przodu. Potem drugi. Zora to potrafiła. Krok trzeci. Melmoth też. Krok czwarty. I piąty. Spojrział rzeźnikowi prosto w oczy. Wieloryb zrobił krok szósty i znalazł się na półce. Ostrożnie spuścił głowę, żeby spróbować ziela znad otchłani.

Częściej niż kiedyś na pasionku tworzyły się małe grupki, w których wymieniano się opowieściami o minionych przeżyciach.

- To była sztuczka - mówiła Cordelia.

- Żadna owca nie może opuścić stada - mawiał Sir Ritchfield. - Chyba, że do stada wróci.

- Samotność ma swoje dobre strony - rzucał sarkastycznie Melmoth Wędrowiec.

- To była historia miłosna - meczała Wrzosowata, triumfalnie merdając ogonkiem.

## 24. Zora widzi białego baranka

Rebeka z trzaskiem zamknęła książkę. To było coś nowego. Książki o Pamelach drukowano na miękkim, cienkim papierze, dlatego nigdy tak nie trzaskały. Podobnie gazety. Willow, która zasnęła w ostatnim rzędzie, otworzyła oczy i bez słowa odwróciła się zadem do przyczepy. Pozostali wyczekująco patrzyli na Rebeke.

-To już koniec - wyjaśniła pasterka. -Jutro zaczniemy coś nowego.

Owce były rozczarowane. Bo co się stanie z Heathcliffem i Katarzyną podczas ich

wspólnej wędrówki po wrzosowiskach? Dlaczego opowieść się urywała i ani słowem nie wspominała o tym, jak pachną wrzosowiska, kiedy spadnie na nie deszcz? Przecież musi być jakiś ciąg dalszy!

Ale Rebeka najwyraźniej nie miała zamiaru czytać dalej. Siedząc na schodach, delikatnie pogłaskała po głowie Tess, a Tess leciutko pomachała ogonem. Było widać, że robi to pierwszy raz od bardzo długiego czasu.

Pewnego ranka pasterka przywiozła ją samochodem. Tess miała dziwne, smutne oczy. Nie biegła jak zwykle po łące. Nie brykała też wokół przyczepy, szukając swego pana. Wiecznie w cieniu Rebeki, chodziła krok w krok za jej czerwoną sukienką jak młodziutkie jagnię za matką.

- Pora spać - oznajmiła pasterka.

Owce popatrzyły po sobie. Słońce stało wysoko, cienie były nie dłuższe niż dwa skoki w galopie, poza tym stado nie wyrobiło jeszcze dziennej normy pastwiskowo-jedzeniowej. Z powrotem do stodoły? O tej porze? Nigdy! Co więcej, Rebeka czytała im krócej niż zwykle. Uparcie patrzyły na pasterkę.

- Jeeszcze! - zameczała Matylda.

- Jeeszcze! - zawtórowały jej trzy jagnięta.

Ale na Rebecę nie zrobiło to żadnego wrażenia. Od razu było widać, że jest córka George'a.

- Koniec opowieści - odparła. - Na dzisiaj wystarczy.

Matylda dostrzegła wyraz determinacji na jej twarzy i zamilkła, lecz jagnięta meczały dalej. Pasterka uniosła brwi.

- Następnym razem przeczytam wam fragment "Milczenia owiec" - powiedziała, a potem wstała. "Milczenie owiec". To brzmiało obiecująco.

- Idźcie spać - rzuciła. - Jutro jedziemy do Europy. Bardzo wcześnie. Nie chcę tu widzieć zaspanych twarzy.

I z tymi słowami zniknęła wraz z Tess w przyczepie.

- Jutro! - zameczała Wrzosowata.

- Do Europy! - zameczała Maisie.

- To dobrze, że wyjeżdżamy do Europy - powiedziała w zadumie Cordelia - szkoda tylko, że musimy stąd odejść.

Pozostałe owce pokiwały głową.

- Gdybyśmy wyjechali do Europy i jednocześnie zostali tutaj - rozmarzył się Biały Wieloryb - moglibyśmy paść się w dwóch miejscach naraz.

Pomyślały trochę o cudownych możliwościach takiego podwójnego pasienia się.

I właśnie wtedy Melmoth "Wędrowiec podniósł głowę, jakby usłyszał jakiś zew. Miał wilgotne i błyszczące oczy. Zaczął biegać i brykać.

- Chodźcie na skały - powiedział. - Opowiem wam historię o pożegnaniu.

Bardzo chętnie z nim poszli. Ilekroć Melmoth coś opowiadał, ich twarze pieścił dziwny wiatr, wiatr przesycony niejasnymi przecuciami i tajemniczymi zapachami. Przystanęli na skraju urwiska.

Nagle zakrakały wrony na wronim drzewie. Rozległ się ścinający krew w żyłach krzyk padlinożernych ptaków. Owce rozejrzały się odruchowo w poszukiwaniu padliny, która musiała być powodem tej wrzawy. Ale niczego nie wypatrzyły.

Kiedy się odwróciły, okazało się, że Melmoth Wędrowiec zniknął. Ot tak, po prostu. Szukały go pod dolmenem, w stodole i za przyczepą. Szukały w żywopłotach i pod cienistym drzewem, chociaż Melmoth stał na brzegu urwiska i nie mógł tam tak szybko dobiec. Na pewno schował się gdzieś wraz z opowieścią o pożegnaniu. Ale nigdzie go nie znalazły.

Nagle ktoś zameczał. Zora. Zaskoczona zadarła głowę i jasnymi oczami patrzyła w niebo. Spiesząc w kierunku morza, płynęła tam pojedyncza, ciemnoszara chmurka, którą pędziły kapryśne wiatry.

- Zmienił się w baranka na niebie! - wykrzyknął Biały Wieloryb. -W baranka na niebie! - zameczały podekscytowane owce. Udało mu się! Jednemu z nich się udało!

- Czy te baranki kiedykolwiek wracają? - spytało po chwili jedno z jagniąt.

Otello oderwał wzrok od plaży i spojrzał na Wieloryba, pannę Maple, Zorę i Chmurkę, którzy z podziwem i smutkiem wciąż obserwowali kosmatego baranka na niebie. Zastanawiał się, czy im powiedzieć. Bo Melmoth Wędrowiec nie zmienił się w baranka. Stało się coś o wiele bardziej tajemniczego: Melmoth zsunął się stromym tunelem pod korzeniami sosny i po prostu odszedł. "Samotność ma swoje dobre strony".

Postanowił, że jednak nie powie. Nie zrozumieliby tego lepiej - zrozumieliby to gorzej. Im więcej wiedział o Wędrowcu, tym mniej tak naprawdę rozumiał. I zawsze miał niepokojące wrażenie, że Wędrowiec doskonale rozumiał wszystko. Samego siebie, jego i pozostałe owce -a nawet pasterzy. Albo rozumiał, albo był po prostu obłąkany.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić smutek. Ale potrząsanie głową nie pomogło, nie pomogło również grzebanie kopytkiem w ziemi.

Pomógł za to wiatr.

Bo wiatr przyniósł - któż to wie skąd? - liść i położył go ostrożnie tuż przed nim. Żółty liść. Liść jesienny. Liść z pory jaskółczych lotów. Czasu zapachów, pory godów. Otello ponownie spojrzał na łąkę, gdzie Wieloryb, panna Maple, Zora i Chmurka obserwowali z czią szary obłoczek. Patrzył, lecz ich nie widział. Widział natomiast i czuł wszystkimi siedmioma zmysłami - oraz siedmioma zmysłami nowymi, bo już jesiennymi - trzy oszałamiające piękności o białym runie i odurzającym zapachu. I rywala, młodego, silnego, lecz niedoświadczonego.

Nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł zmierzyć się z nim w pojedynku i tego, co będzie potem. Jego kopytka niecierpliwie grzebały w ziemi, krew płynęła w żyłach szybciej niż zwykle.

A potem wiatr zmienił kierunek, unosząc ze sobą zapach Zory, Chmurki, panny Maple i Białego Wieloryba. Otello się uspokoił. Znowu popatrzył na plażę, gdzie Melmoth zmienił się niezauważenie w szary punkcik przesuwany się na tle ciemnoszarej wody. Gdyby nie wiedział, kto to jest, z tej odległości wzięłyby go pewnie za małą falę, wodną mgiełkę, za rozbryzg piany na bezkresnym morzu. Ale on nie widział szarej fali. Widział potężnego rywala, który odchodził ze stada - z jego stada.

Otello był zadowolony.

## Ostrzeżenie

Owce z Glennkill są wyjątkowe. Zwykle owce nie tolerują ani alkoholu, ani narkotyków. Dlatego jestem zmuszona poprosić czytelników, żeby nie kusili ich żadnymi substancjami narkotycznymi. Jeśli chcecie poczęstować je czymś naprawdę smacznym, dajcie im kawałek chleba albo trochę prawdziwej trawy.

## Podziękowania

*Za zachętę i motywację dziękuję M.E. Frenschowi, mojej rodzinie (zwłaszcza Hildzie i Wernerowi), S. O'Donovanowi, Fbrianowi O., Chloe H., Laurze von O., Renatę G., Ortwinowi D., Stefanie W., Sonji T., Stefanie S., K, La Storii i A. Bohnenkamp.*

*Za szczegółowe opracowanie rękopisu, za cenną krytykę szczególnie dziękuję Louise C, Tanji K. i Martinowi S.*

*Oprócz tego dziękuję Orli O'Toole z Leenane Sheep &W00I Centre (to dobry adres dla miłośników owiec) w Connemarze w Irlandii za informacje na temat owiec oraz inspirujące ciekawostki.*

*Dziękuję mojej agentce Astrid Poppenhusen oraz lektorce Claudii Negele za to, że wierzyły w tę książkę i swoim zaangażowaniem i entuzjazmem przyczyniły się do jej wydania.*

*Dziękuję M.D., mojemu partnerowi życiowemu, towarzyszywi w pisaniu i czytaniu, za czas i energię, którą poświęcił tej książce, za niezliczone pomysły, za wiedzę, odpowiednie słowa oraz za cierpliwość i entuzjazm.*